

P. 518k (A) Ont.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ      Nr 1/292 - 2/293      1972**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

E. WACOWSKA : **PRÓBA BILANSU I HOROSKOPY**

CZ. MIŁOSZ : **PAMIĘTNIK NATURALISTY**

J. SZCZERBAK :  
**CZERWONE MAKI NA MONTE CASSINO**

WŁ. BRUS : **UWAGI DO "WYTYCZNYCH"  
NA VI ZJAZD PZPR**

# SPIS RZECZY

Ewa Wacowska:	<i>Próba bilansu i horoskopy</i> .....	3
Tadeusz Nowakowski:	<i>Między „Gartenlaube” a Tupamaros</i> ..	38
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	56
Czesław Miłosz:	<i>Pamiętnik naturalisty</i> .....	73
Jurij Szerbak:	<i>Czerwone maki na Monte Cassino</i> ....	81



Andrzej Brycht:	<i>Żywi</i> .....	97
-----------------	-------------------	----

## OBSERWATORIUM

Zbigniew Byrski:	<i>Konflikt pakistańsko-indyjski</i> .....	150
------------------	--	-----

## ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Magazyn radiowy</i> .....	153
Tadeusz Nowacki:	<i>Możliwości wojenne Izraela</i> .....	162
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	173

## K R A J

Włodzimierz Brus:	<i>Uwagi do „Wytycznych” na VI Zjazd PZPR</i> .....	181
Jan Hussowski:	<i>Kontrasty krakowskie</i> .....	195
—	<i>Nowe władze PZPR</i> .....	201
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i> .....	203

## SPRAWY I TROSKI

Tymon Terlecki:	<i>O „wieloletniczości”, zdumieniach i alarmach</i> .....	204
Roman Królikowski:	<i>Emigracja do Ameryki Południowej</i> ..	212

## KRONIKA KULTURALNA

Jerzy St. Langrod:	<i>In memoriam: Jean Bourrilly</i> .....	214
—	<i>Komunikat</i> .....	216

## KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Wędrowiec i róże</i> .....	217
Paweł Korzec:	<i>Uniwersytet Łódzki fałszuje własną historię</i> .....	219
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	224




—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	226
J. Boniecki, A. Grabowska, B. Heydenkorn, J. Lapter, C. Seyfert, Zb. Szpikowski, W. Tarnawski:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	234
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	239

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1972**

**INSTYTUT  LITERACKI**

## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

E. Baczyzmalski, Reading, Berks. (W. Bryt.), po raz jedenasty	F. 41,00
Czesław Deminet, Kent, Wash. (USA), po raz drugi	F. 52,00
L. Denby, Nomansland, Wilts. (W. Bryt.), po raz piętnasty	F. 20,50
W. M. Drzewieniecki, Buffalo, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 52,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz ósmy	F. 75,00
Roman Gorecki, San Rafael, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 46,00
Alex Grzonka, Gossau, S.G. (Szwajcaria), po raz dziewiętnasty	F. 80,00
E. L. Holzer, Camberwell, Vic. (Australia), po raz szósty	F. 30,00
K. Jagodziński, Irvington, N.J. (USA), po raz trzeci	F. 20,50
Stena Kałużniacka, Phoenix, Arizona (USA), po raz dziewiąty	F. 28,50
Walentyina Makus, Monachium (Niemcy)	F. 6,00
I. Maybach, Heilbronn/N (Niemcy), po raz ósmy	F. 83,00
M. R. (Niemcy)	F. 32,00
Józef Müller, Dingolfing (Niemcy), po raz trzeci	F. 48,00
Jan M. Pawłowski, Bois Colombes (Francja)	F. 40,00
Zdzisław Pechnik, Meudon (Francja), po raz czwarty	F. 100,00
Edward Puacz, Chicago, Ill. (USA), po raz czwarty	F. 130,00
Prof. Dr Gotthold Rhode, Mainz (Niemcy) — z podziękowaniem za walkę o prawa naszych kolegów — historyków czeskich	F. 67,00
A. Romaniuk, Johannesburg, po raz drugi	F. 78,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz czternasty	F. 57,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz jedenasty	F. 73,00
K. Styś, Montreal, po raz drugi	F. 26,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Toronto, Ontario (Kanada), po raz dwunasty	F. 26,00
J. S. Wiland, Toronto, Ontario (Kanada), po raz ósmy	F. 39,00
Miłosz Wnuk, Brookings, S.D. (USA), po raz szósty	F. 52,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Princeton, N.J. (USA), po raz szósty	F. 100,00
Bezimiennie z Hartford, Conn. (USA) — zamiast zbiórki na Zamek Królewski	F. 26,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz dziewiąty	F. 58,00
Bezimiennie z Niemiec, po raz dwunasty	F. 130,00

DZIĘKUJEMY!

Przypominamy raz jeszcze, że rękopisy niezamówione przez redakcję nie będą odsyłane, jeśli do przesyłki nie będzie dołączona odpowiednia ilość międzynarodowych kuponów pocztowych.

Wobec licznych zapytań podajemy, że dopłata lotnicza do Kultury kosztuje w tej chwili dol. 7,50 rocznie do: Stanów Zjednoczonych i Kanady, oraz do wszystkich krajów Afryki i Ameryki Południowej.

Dopłata lotnicza do Australii, Nowej Zelandii, Japonii i Indonezji wynosi rocznie dol. 10,00.

IMPRIME EN FRANCE

1972 N 152

LIBRERIA

P. 9.786

Chm.

## Próba bilansu i horoskopy

Był to seans prawdy — niezwykle w panujących od przeszło ćwierćwiecza warunkach. W Polsce „ludowej” tylko raz, w 1946 roku, w Łodzi, zdarzyło się, że najwyżsi dostojnicy uczestniczyli w podobnym „dialogu”. Wszystkie inne spotkania przygotowywano skrupulatnie pod kątem korzyści propagandowych, i tylko na tych dwu — oddzielonych 24 latami ciężkich doświadczeń — reżyseria zawiodła. Zresztą tylko w Szczecinie miejscowe czynniki polityczne okazały się bezsilne wobec postawy ludzi pracy. Widmo kłeski i tragedii grudniowej skłania aktywistów partyjnych do uchylenia się od rygorów podporządkowania „linii partii”, do ogłoszenia na publicznym zebraniu poglądów nieopatrzonych znakiem aksjomatycznej nieomylności partyjnej. W tej atmosferze większość uczestników, wolna od chomąta dyscypliny partyjnej, tym silniej daje wyraz niepokojom, potrzebom, gorczyzom. Nie są to jednak wystąpienia w pełni zgodne z poglądami. Ogranicza je wiele nazwanych i nienazwanych czynników od milicyjnej blokady stoczni po po unoszący się nad całą Polską cień „doktryny Breżniewa”. „Spotkanie” szczecińskie jest więc seansem prawdy umiarkowanej, stonowanej.

Po raz pierwszy w PRL najwyżsi dostojnicy stają twarzą w twarz z reprezentacją strajkujących robotników w mieście ogarniętym strajkiem powszechnym. *Ipsa facto* — na oczach całej załogi stoczniowej — uznają legalność strajku i prawa organizacji strajkowej. We wszystkich poprzednich konfliktach strajkowych władze ignorowały przedstawicieli robotników, wybierając z dwójga złego bezpośrednie rozmowy z ogółem robotniczym.

Reprezentowanie interesów robotniczych w PRL jest monopolem aparatu partyjnego oraz jego przedłużeń związkowych. Uznanie jakiegokolwiek innego przedstawicielstwa — a szczegól-

nie strajkowego — prowadzi — zdaniem władzy — w niebezpiecznym kierunku. Ośmiela robotników do tworzenia niezależnych organizacji, demaskuje partię jako obrońcę porządku sprzecznego z interesami robotniczymi. Skoro więc w Szczecinie doszło po raz pierwszy do rzeczywistego, zalegalizowanego partnerstwa między niezależnymi mandatariuszami załogi a kierownikami państwa, łatwo sobie wyobrazić jak niepewnie czuła się władza po grudniowej konfrontacji i przed lutową kapitulacją wobec robotniczych rewindykacji. Ale także nigdy dotąd nie zdarzyło się by podobny, autentyczny dokument trafił do publicznej wiadomości. Różne, nawet dramatyczne, dyskusje władz z ludnością znano tylko z wycinkowych relacji uczestników, a więc z natury rzeczy były one niekompletne, nieautentyczne, wypaczone. Ogromna ich większość dotyczyła spotkań dostojników państwowych i partyjnych z różnymi grupami polskiej inteligencji. Właśnie na podstawie tych „przecieków” opinia światowa stwarzała sobie obraz spraw polskich — świadomości społecznej, przyczyn niezadowolenia, tematów konfrontacji z władzami. W imieniu milczącego narodu przemawiał polski inteligent. Tym razem otrzymujemy oryginalne nagranie przebiegu „spotkania”, na którym jedynie „szanowni goście” należą do środowisk inteligenckich. Robotnicza większość o różnych specjalnościach, różnym poziomie intelektualnym, różnym wieku i różnych doświadczeniach, nie rości sobie pretensji do przemawiania w cudzym imieniu. Dobrze zna swoje miejsce i swoje „powinności” na samym dole drabiny społecznej. W żadnym przemówieniu nie zabrzmiał choćby nuta chęci odegrania innej, ważniejszej roli społecznej. Krytyka w nich zawarta nie jest taktycznym posunięciem w jakiejś grze politycznej o wpływy, ogranicza się jedynie do obrazowania konkretnej sytuacji. Sytuacji, która wyklucza realizację najskromniejszych robotniczych pragnień — ludzkiej pracy i ludzkich warunków egzystencji. Po raz pierwszy słuchamy niezafałszowanego — choć daleko niepełnego — głosu Polski robotniczej.

„Spotkanie” szczecińskie trzeba osadzić w ramach polskiej współczesności. Wyrwanego z tego kontekstu niesposób zrozumieć i właściwie ocenić.

Spróbujmy więc wyjaśnić kilka zasadniczych problemów związanych ze szczecińską dyskusją. Jaka jest rzeczywista sytuacja ekonomiczna Polski? Czy władze mogą, czy nie, zaspokoić rewindykacje robotnicze, w zakresie tak umiarkowanym, jak ujawniają się na „spotkaniu”?

Polska poniosła w ostatniej wojnie poważny uszczerbek ma-

terialny. Według polskich szacunków wyniósł on ok. 38 % majątku trwałego o ogólnej wartości 16,9 miliarda dolarów (według cen z 1939 roku). Jednak ze względu na poważny ubytek ludności, zmianę charakteru gospodarki, oraz zmiany terytorialne — skutki ekonomiczne wojny i okupacji okazały się mniej dotkliwe niż wynikałoby z powyższych wyliczeń. W 1947 roku, drugim roku powojennym, wytworzony dochód narodowy osiągnął 80 % przedwojennego poziomu; w przeliczeniu na 1 mieszkańca kraju okazał się już o 15 % wyższy od przedwojennego. W 1970 roku wytworzony dochód narodowy był niemal siedmiokrotnie większy niż w 1947, zaś w przeliczeniu na 1 mieszkańca kraju zwiększył się w tym samym okresie ponad 4,5 razy. W krajach kapitalistycznych jedynie japoński „cud gospodarczy” legitymuje się wyższymi od polskich wskaźnikami.

Polska jest siódmym — pod względem powierzchni i liczby mieszkańców — krajem Europy. W produkcji globalnej surowców i półfabrykatów przemysłowych — poza chemią półfabrykatów — produkcja przemysłowa Polski plasuje się powyżej siódmej lokaty. Pod względem produkcji hodowlanej i rolnej tylko zbiory pszenicy i jęczmienia nie dorównują ogólnej lokacie kraju w Europie (pszenica 8 miejsce, jęczmień 9-te), ale kompensują je zbiory żyta (2-gie miejsce) i owsa (2-gie miejsce), odpowiadające tradycjom polskiej uprawy rolnej i warunkom glebowym. Produkcja mięsa plasuje Polskę na 5-tym, produkcja mleka na 4-tym miejscu w Europie (dane za 1970 r.).

Z powyższego nie wynika jeszcze, że Polska jest krajem zaможnym w aktualnym tego słowa znaczeniu. Polska przestała być rolniczą prowincją europejską — jak w okresie przedwojennym — ale nie stała się krajem przemysłowym na współczesnym poziomie. W żadnej dziedzinie gospodarczej nie osiąga zadowalających rezultatów, mimo 26 lat wymuszonych wyrzeczeń ludności. Ten żalony wynik polityki gospodarczej znajduje najdobitniejszy wyraz w strukturze nakładów inwestycyjnych. Niewspółmierne środki inwestuje się w górnictwo węglowe, energetykę, hutnictwo żelaza, a w ostatnim sześcioleciu w chemię surowcową i nawozów sztucznych. Towarzyszy temu ograniczenie rozwoju i modernizacji przemysłu konsumpcyjnego, transportu masowego, środków łączności, przemysłu poligraficznego, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, nauki, oświaty, szkolnictwa, ochrony zdrowia, szpitalnictwa, opieki społecznej, produktywności rolnictwa i hodowli. Poważny rozwój kopalnictwa, energetyki, przemysłu ciężkiego, chemii surowcowej i, w pewnej mierze, przemysłu maszynowego, odbywa się kosztem stałego ograniczania wewnętrznej konsumpcji w dwojakim sensie: braku zaopatrzenia rynkowego w towary przemysłowe i spożywcze oraz usługi są zjawiskiem stałym; w celu

ograniczenia presji na rynek i hamowania żywiołowych procesów inflacyjnych władze rozmaitymi sposobami ograniczają dochody ludności.

W latach 1969-1970 Gomułka zdecydował się nawet na unieruchomienie szeregu zakładów, wytwarzających artykuły powszechnego użytku, na ograniczenie sektora usług i znaczne powiększenie bezrobocia celem zastraszenia społeczeństwa, celem wywarcia presji na pracujących i zmuszenia ich do wydajniejszej produkcji przy jednoczesnym ograniczeniu zarobków. Podwyżka cen żywności w grudniu 1970 roku była istotnym, ale nie jedynym, elementem tej polityki. Jest to polityka utrzymywania społeczeństwa przy życiu najniższym kosztem, gwoli budowania podstaw przemysłu w tempie przekraczającym zdolności inwestycyjne i akumulacyjne jednego-dwóch pokoleń. I to budowania nieskoordynowanego, pełnego potknięć i nonsensów, kosztownego i technologicznie zacofanego.

Władze polskie na codzień stawiają sprawę aksjomatycznie: bez stworzenia przemysłu ciężkiego nie może być mowy o „prawdziwym” rozwoju gospodarczym kraju i jego „niezależnieniu” od zagranicy. W sytuacjach kryzysowych — tę będącą w powszechnym użytku tezę wyrażają znacznie ostrożniej: Gierek w Szczecinie nie broni wprost inwestycji najbardziej kapitałochłonnych ale powołuje się na konieczność „ratowania środków już zainwestowanych” w nowe kopalnie, huty, elektrownie — czyli zapowiada kontynuowanie robót w przewidzianym tempie i zakresie. Jeżeli więc rozwój kopalnictwa węglowego i czarnej metalurgii jest sprawą zasadniczą, jeżeli odbywać się musi bez udziału zagranicznych kapitałów — odpowiedź na podstawowe pytanie jest taka właśnie, jakiej udzielił stoczniovcóm: nie ma możliwości poważniejszej poprawy warunków ekonomicznych ludności.

Tym groźniej brzmi zapowiedź wytycznych KC PZPR na bieżące pięciolecie. *„Znaczna część nakładów przeznaczona zostanie na szybkie zakończenie inwestycji kontynuowanych z poprzedniego pięciolecia oraz na zrealizowanie w możliwie skróconych cyklach inwestycji rozpoczynanych. Część programu inwestycyjnego związana jest z podjęciem budowy obiektów przewidzianych do eksploatacji po 1975 roku, szczególnie bazy paliwowo-energetycznej i niektórych surowców przemysłu materiałów budowlanych”* (wytyczne na VI zjazd PZPR w grudniu 1971 r., punkt 31). Oczywiście wzmianka o przemyśle materiałów budowlanych ma w tym kontekście charakter czysto propagandowy.

Delegaci stoczniovi nazywają kilkakrotnie Polskę krajem biednym. To drastyczne, sprzeczne z oficjalnymi hasłami stwierdzenie, nie spotyka się z repliką przywódców. Gdy rzecz idzie o rewindykację ekonomiczną wolą uchodzić za zarządców ubogiej

wspólnoty narodowej. Czy jednak Polska jest aż tak uboga, jak wyobrażają sobie szczecińscy robotnicy?

Jest to ubóstwo szczególnego rodzaju. Polska jest uboga za przepaszczonej szansami. Mogła wykorzystać sprzyjającą koniunkturę ekonomiczną po wojnie. Mogła od pierwszych lat powojennych preferować rozwój przemysłu przetwórczego. Były nawet konkretne projekty, dziś głęboko skrywane przed społeczeństwem. Na przykład plan sześcioletni na okres 1950-1955. O jego zawieszeniu i przestawieniu całego potencjału na produkcję zbrojeniową zdecydowała stalinowska prowokacja w Korei. „Zimna wojna” — jako riposta Zachodu na dalekowschodni fajerwerk ostatecznie przytwierdziła Polskę do sowieckiego rydwanu. Także pod względem ekonomicznym. Polska wkroczyła w okres nieodwołalnego ubóstwa obywateli w cieniu gigantycznych i fasadowych „budów socjalizmu”. W czasie, gdy dostawy wyposażenia inwestycyjnego państwa kapitalistyczne obłożyły embargiem, Polska musiała się orientować na wykorzystanie jedynie tych urządzeń, które stawały do jej dyspozycji rządu ZSSR, NRD i Czechosłowacji — państw bardziej zaawansowanych w produkcji maszyn i urządzeń. Dyktatowi politycznemu towarzyszył dyktat ekonomiczny. Rozwinięcie ciężkiego i zbrojeniowego przemysłu w Polsce poprawiało sowiecki bilans militarno-produkcyjny i wiązało Polskę gęstą siecią ekonomicznych uzależnień.

Wskaźniki rozwoju gospodarczego kraju wyrażały do 1956 roku, do październikowego wstrząsu — imperialistyczne zainteresowania sowieckie. Huty żelaza otrzymały wyposażenie sowieckie po to, by pracowały na importowanej z ZSSR rudzie. Ich produkcja zabezpieczała Sowietom dostawy stalochłonnych staków, stalochłonnych wagonów kolejowych, stalochłonnych ciężkich obrabiarek, wyrobów hutniczych, ciężkiego sprzętu budowlanego. Dostawy całych linii obróbczych dla przemysłu zbrojeniowego pozomwały dysponować produkcją polskich wytwórni czołgów, samolotów, dział. Wyposażenie w urządzenia i licencję miniaturowej fabryki samochodów osobowych (zdolnej jedynie do produkowania przestarzałego modelu wozów) miało zaspokoić motoryzacyjne marzenia Polaków. „Uszczęśliwiano” polskie górnictwo urządzeniami mechanicznymi, których przydatność stała się wręcz przysłowiowa w kraju o szerokich tradycjach kopalnianych.

Wszystkie te konstrukcje ZSSR mógł sprzedawać tylko w krajach satelickich i krajach trzeciego świata. Nieliczne urządzenia wykonane na wysokim poziomie — ZSSR zbywał poza „żelazną kurtyną”. Polska jako największe państwo demokracji ludowej stała się wkrótce składnicą wszelakiego „dobra inwestycyjnego” *made in USSR*, z którego znaczna część nie znajdowała wcale

zastosowania czy — jak w przemyśle zbrojeniowym — wykorzystywana była tylko w nieznacznym stopniu w oczekiwaniu na rychłe zamówienia wojenne.

Za dostarczone urządzenia Polska płaciła nie tylko statkami i wagonami kolejowymi; płaciła węglem, wyrobami hutniczymi, cynkiem, koksem, cukrem, papierem, artykułami tekstylnymi itp., itd. W ostatnim roku względnej wolności ekonomicznej — 1950 — obroty handlowe z ZSSR stanowiły niewiele ponad 26 % globalnych obrotów zagranicznych PRL, w pięć lat później przekroczyły 32 %. W obliczeniach tych nie uwzględniono wartości węgla, (wysyłanego do ZSSR do 1956 roku nieodpłatnie w ramach „reparacji wojennych”) która wydatnie podniosłaby wskaźnik związania ekonomiki polskiej z ZSSR.

Powrót Gomułki do władzy i próba rozluźnienia uzależnień ekonomicznych bez naruszenia podstaw politycznych stosunków z ZSSR nie powiodła się. Polska wkroczyła na rynki światowe w charakterze spóźnionego konkurenta. W końcu lat pięćdziesiątych, szczególnie po krachu węglowym, niewiele miała do zaoferowania wypłacalnym klientom dewizowym. Na zdecydowane wyrwanie się z kręgu ekonomicznych zależności nie starczało środków, nie widać było popleczników skorych do pomocy — eksperyment jugosłowiański stracił na atrakcyjności w dobie postalinowskiej „odwilży”. Podjęcie gry w roli samodzielnego partnera groziło retorsjami sowieckimi i efektami ekonomicznie groźniejszymi — jak to się warszawskim schematykom, rachującym tylko doraźne skutki — wydawało. Bieda Polski zależnej uzyskała ponowne potwierdzenie. Już bezapelacyjne. Gospodarka, która nie potrafiła w sprzyjających warunkach wyjść poza krąg gospodarki surowcowej, musi coraz bardziej pozostawać w tyle za państwami, gdzie rewolucja naukowo-techniczna nie jest jedynie propagandowym frazesem. Polskie badania ekonomiczno-porównawcze kładą naukową pieczęć na wyroku. Według publikacji GUS z 1971 r. na jednego mieszkańca kraju przypadał w 1969 r. dochód narodowy niższy o 10 % niż na Węgrzech, o 50 % niższy niż w NRD czy w Austrii, o 110 % niż w NRF, o 120 % niż w Norwegii, o 140 % niż we Francji. Według Instytutu Planowania Komisji Planowania — placówki badawczej najwyższego organu planowania gospodarczego, na osiągnięcie poziomu gospodarczego, odpowiadającego sytuacji zachodnio-niemieckiej w 1965 roku Polska potrzebowałaby 25 pomyślnych lat rozwoju.

Przywiązanie do sowieckiego rydwanu tłumaczy jedynie część problemów ekonomicznych. Moskwa nie miałaby nic przeciw temu, żeby na straży spokoju w tradycyjnie niespokojnej Polsce stanęły pełne spichrze i siasieki. Aprobowała w 1957 roku utrzymanie chłopskiego rolnictwa (*nota-bene* nie tyle ze względu na

jego wyższą wydajność, co wobec fiasca kolektywizacji i braku środków na zapewnienie odpowiedniej ilości miejsc pracy dla nadwyżek siły roboczej, zwolnionych w wyniku utworzenia kołchozów): względy doktrynalne ustąpiły przed nakazami ekonomicznymi. Rzecz jednak w tym, że rolnictwo chłopskie za czasów Gomułki wyczerpało w zasadzie proste rezerwy produkcyjne. Można by jeszcze to i owo usprawnić i znacznie podnieść produkcję rolną, ale pod warunkiem uchylenia biurokratycznych ograniczeń i odpowiedniego wyposażenia rolnictwa w środki techniczne i organizacyjne. W tej sprawie brak zdecydowania. Biurokracja żywi przekonanie o możliwości wyszachrowania wyższej efektywności gospodarki chłopskiej administracyjno-ekonomiczną presją i propagandową zachętą. Przez ostatnie 15 lat jedyną pomoc techniczną dla rolnictwa stanowią maszyny, których produkcję podjęto w ramach realizacji wycinka dalekosiężnego planu rozbudowy bazy dla przyszłych kołchozów. Polska produkuje jedynie ciężkie typy traktorów, nieprzydatne na małych działkach rolnych. Dopiero w 1970 roku wydano zezwolenie na sprzedaż rolnikom tych maszyn. Ich zakup obwarowano niezwykle wymogami. O uprawianych kulturach rolnych decydują miejscowe czynniki administracyjne w oparciu o krajowe plany i wskaźniki nakazywane przez „górze”. Obowiązują ciche dyrektywy ograniczania chłopskiego budownictwa gospodarczego, przede wszystkim stajni, obór, chlewni. Przez 25 lat w kraju zajmującym czołową pozycję w eksporcie mięsa w Europie nie rozwinięto nowoczesnej bazy paszowej, zadowolając się tradycyjnymi sposobami żywienia zwierząt gospodarskich i godząc się na marnowanie znacznych ilości odpadów przemysłowych. W rezultacie Polska ma najniższą w krajach europejskich „demokracji ludowych” obsadę zwierząt hodowlanych w przeliczeniu na 100 ha użytków rolnych (poza obsadę koni, która bije wszystkie rekordy europejskie — ponad 13 koni na 100 ha).

Gierek dokonuje obecnie cudów zapobiegliwości propagandowej, by polscy rolnicy uczcili jego pojawienie się na scenie intensyfikacją hodowli. Wszystko to jednak nie stwarza nadziei na rozwiązanie kłopotów żywnościowych, chociaż w tle czy w bezpośredniej przyczynie wszystkich masowych wstrząsów społecznych w powojennej Polsce — doszukać się można zbyt skąpego kawałka mięsa na robotniczym stole, braku mleka dla dzieci, kłopotów z powszednim chlebem pszenno-żytnim, kompromitującej jakości.

Tylko w ZSSR i w Polsce elementarne środki żywności budzą stałe podniecenie i niepokój ludności. Nie jest to niepokój nieuzasadniony, jeżeli zważyć, że tabele spożycia oddają prym Polakom w spożyciu ziemniaków, a wedle opublikowanego oświad-

czenia jednego z biurokratów na XXI Plenum CRZZ średnie statystyczne spożycie czystego mięsa (wołowego, wieprzowego i baraniego) osiągnęło w Polsce w 1970 roku 29 kg na mieszkańca (patrz *Przegląd Związkowy*, Warszawa, kwiecień, 1971 roku). Za ten stan trudno winić jakiegokolwiek obce czynniki. W dziedzinie rolnictwa Kreml udzielił Polsce wyjątkowej „wolności”. Wszystkie bez wyjątku europejskie „demokracje ludowe” rozwiązały problemy żywnościowe w znacznie korzystniejszy sposób niż Polska. Nad Polską nie ciąży żadne serwituty rolno-hodowlane na rzecz RWPG'owskich partnerów. Nadwyżki, a raczej „nadwyżki” żywności Polska stale sprzedawała i nadal sprzedaje odbiorcom zachodnim. Permanentny niedostatek podstawowych środków żywnościowych jest najjaskrawszym dowodem indolencji rządzących, staje się symbolem stosunku polskiej biurokracji do społeczeństwa.

W systemie społeczno-ekonomicznym PRL państwo jest praktycznie wyłącznym pracodawcą (poza rolnictwem) i wyłącznym prawodawcą. Formalne, fałszywe instytucje przedstawicielskie służą jedynie za parawan władzy i nie reprezentują interesów ludności. Kuratela państwa wyklucza istnienie jakichkolwiek niezależnych organizacji zawodowych, klasowych, nawet kulturalnych. Rozbudowany aparat nadzorczy i policyjny najodważniejszym odbiera ochotę na podjęcie legalnej działalności w obronie interesów całej ludności i oddzielnych jej grup. W tych warunkach skalę wyzysku ludzi pracy ograniczają jedynie spontaniczne wybuchy sprzeciwu. Dopóki są izolowane — nie odnoszą skutku. Gdy obejmują szersze, czy wyjątkowo szerokie kręgi (jak w okresie „polskiego grudnia”), powodują okresową zmianę frontu — wzmoczenie zabiegów propagandowych, wysuwanie nowych haseł i nowych złudzeń, wybranie z szeregów władzy kilku „kozłów ofiarnych” i rzucenie jakiegoś ochłapu dla uspokojenia umysłów. Potem, powoli, wszystko wraca do uświęconej tradycjami PRL normy.

W tych warunkach niepozabawione racji byłoby domniemanie, że biurokracja jako całość odnosi o wiele większe korzyści z gwałtownych wybuchów społecznych, niż ludność. Odwracając się od przegranych zwierzchników, cała biurokratyczna reszta używa absolutorium za przeszłość i z powodzeniem udaje „odnowicieli”, nie zmieniając zasadniczego kursu gospodarczego i politycznego. Trudno zresztą spodziewać się czego innego po tych ludziach, nie dorastają do wysokości zadania, jakie stawia przed Polską skomplikowana sytuacja. Nie są zainteresowani osobiście w głębokiej reorientacji politycznej, żadne siły społeczne nie zmuszają ich do proklamowania nowego kursu. Szczecińskie „spotka-

nie” — wyjątkowa konfrontacja w warunkach wyjątkowego podniecenia — potwierdza to w całej rozciągłości. Oskarżenie Gomułki, publiczne, „szczerze”, przypisanie mu wszystkich win, wystarczy do opanowania sytuacji bez zaspokojenia jakiegokolwiek z ważniejszych postulatów strajkującej załogi. W tym samym czasie, gdy Gierek bierze stoczniovców „uczciwym” przedstawianiem przebrzmiałych spraw i powściągliwymi ogólnikami na temat przyszłości, jego sztaby rozpracowują już koncepcje ograniczenia konsumpcji w „nowych” warunkach ekonomicznych. Dał temu świadectwo główny inspektor Związkowej Komisji Cen na XXI plenum CRZZ. Przedstawił konkretne przykłady z przemysłu tekstylno-odzieżowego (patrz: *Przegląd Związkowy*, kwiecień, 1971). Jako przedstawiciel tej samej biurokratycznej grupy poprzestał na przykładach skromnych. Prawdziwy zasięg utajonego, „pełzającego” — jak nazywa się to w Polsce — ruchu cen artykułów powszechnego użytku, znany jest jedynie najwyższym dostojnikom państwa i sekretariatowi KC. W normalnych warunkach nikt nigdy nie dowie się o zakresie tej akcji, nawet jeźliby okazała się pierwszym krokiem na drodze do kolejnego wybuchu społecznego.

Między władzą i jej aparatem a społeczeństwem wyrósł nieprzekraczalny mur obcości interesów, „tajemnicy państwowej” na temat rzeczywistych warunków egzystencji ludności, niechęci do jakichkolwiek zmian po stronie biurokracji i nieumiejętności spowodowania zmian przez samą ludność — niezorganizowaną i nieświadomą prawdziwej sytuacji ekonomicznej państwa. Oto dlaczego nie ma w Polsce żadnej alternatywy politycznej i gospodarczej. Oto dlaczego zbuntowani, rozgoryczeni, strajkujący stoczniovcy, korzystający z pełnego poparcia robotniczego Szczecina i moralnego poparcia całej robotniczej Polski, okazują się zupełnie bezradni wobec kazuistycznych, fałszywych, przewrotnych popisów Gierka i jego ekipy. Oto dlaczego kategorycznie sformułowane postulaty robotnicze okazują się praktycznie pokornymi prośbami. Oto dlaczego arbitralne przesądzenie losu Polaków przez biurokrację może trwać nadal, bez względu na nazwiska i życiorysy kierowników wspólnoty państwowej — rzeczywistych dysponentów gospodarki narodowej.

Z dotychczasowego wywodu wynika istotnie trudna sytuacja ekonomiczna kraju. Można ten obraz uzupełnić stwierdzeniem, że nie ma żadnej pełnej alternatywy dotychczasowego i nadal prowadzonego kursu. Nasuwa się więc wątpliwość co do zasadności obciążania poprzedniego i obecnego kierownictwa polskiego o indolencję, cynizm, fałsz, brak zdecydowania w wyprowadzeniu kraju z marazmu gospodarczego i politycznego. Czyżby obraz polskiego kierownictwa był reprezentatywny dla wszystkich krajów

demokracji ludowej, dla wszystkich krajów komunistycznych? Czy uzasadniony byłby wniosek o nieuchronnej degeneracji działaczy komunistycznych, po ich awansie na stanowiska rządców krajów?

„Spotkanie” szczecińskie nie udziela na te pytania odpowiedzi wprost. Ani jeden głos nie podpowiada możliwości i celowości porównania sytuacji polskiej ze stanem spraw w innych, „bratnich” republikach „socjalistycznych”. Stoczniovcy nie sięgają do tego rodzaju\* argumentów, które odegrały istotną rolę w dojrzwaniu robotniczego buntu w Poznaniu 1956 roku. Ich prośby „postulaty” i ich myśli, koncentrują się wyłącznie na własnym partykularzu, nawet wówczas, gdy dotyczą zasadniczej kwestii — niezależnego demokratycznego wyboru do organizacji robotniczych (partyjnych, zetemesowskich, związkowych, rad robotniczych).

Oceny krytykowanych przywódców państwowych sprowadzają się ze strony Gierka i towarzyszy do omawiania ich cech charakteru (apodyktyczność i despotyzm Gomułki, jego niechęć do kolektywnych form pracy, wykorzystywanie autorytetu osobistego w stosunkach z innymi oligarchami, wykluczenie krytyki i dyskusji nad jego postanowieniami) traktowania własnej przeszłości robotniczej jako tytułu do udzielenia im zaufania i poparcia (Gierek sam o sobie). W wypowiedziach delegatów kryje się jedynie supozycja, że po uzyskaniu poparcia robotniczego szefowie partii zawodzą zaufanie robotników — a więc „zmieniają skórę”.

Socjologia władzy komunistycznej w PRL wymaga osobnego studium. Próby porównań z innymi krajami w podobnej sytuacji politycznej prowadzą na fałszywe tory. Chyba nie myli się przewodniczący stoczniowego Komitetu Strajkowego, kiedy w końcowym przemówieniu próbuje nieudolnie znaleźć determinanty obecnej sytuacji politycznej w narodowej przeszłości, nawiązując do zmagania Polski z hordami tatarskimi czy akcentując deformacje spowodowane przez okupację hitlerowską. Po Tatarach nie ma śladu w świadomości społecznej, a okres ostatniej wojny dostarczył niezwykle dowodów powszechnego heroizmu, wyjątkowej odporności Polaków na siłę wroga, spójni i moralności narodowej w walce z przytłaczającą przemocą. Chyba, że Paługa ma na myśli powojenny sabat czarownic, konsekwentnie zmierzający do zniewolenia tych wartości, ponieważ stanowiły one główną przeszkodę w podporządkowaniu Polski dyktatowi sowieckiemu... Generalnie Paługa ma jednak rację poszukując historycznych uwa-

\* Patrz: *Poznań 1956 - Grudzień 1970*, Instytut Literacki, Paryż 1971, tom 202 „Biblioteki Kultury”.

runkowań obecnej sytuacji politycznej i aktualnych stosunków między władzą a ludnością.

Polscy komuniści, ze względu na polityczny wynik ostatniej wojny, musieli się znaleźć u władzy. Rzecz w tym, że nie byli do jej objęcia przygotowani. Polska Partia Komunistyczna była partią słabą liczebnie (według oficjalnych źródeł KPP liczyła 14.000 członków) i organizacyjnie, nie cieszyła się popularnością w społeczeństwie. Składało się na to szereg przyczyn. Po pierwsze — zastarzała nienawiść do Rosji — państwa imperialistycznych zaborców i do wszystkiego co rosyjskie. Po drugie — sowiecka próba w 1920 roku zawojowania kraju, cieszącego się zaledwie dwoma latami niezależności po 120 latach niewoli. Po trzecie — programowy prosowiezizm KPP i jej organizacyjna, ideologiczna i polityczna zależność od Kominternu, powodujące zatarcie granicy między interesami polskimi a interesami sowieckimi. W praktyce KPP prowadziła w Polsce, w okresie międzywojennym, raczej robotę dywersyjno-agenturalną niż ideowo-polityczną. Próby przeciwstawienia się tej koncepcji „internacjonalizmu” przez niektórych działaczy komunistycznych spotykały się z sądami kapturowymi w Moskwie... i pośmiertnymi rehabilitacjami w dwadzieścia lat później.

Bezpośrednie sąsiedztwo nie sprzyja obiektywizmowi ocen — nawet wśród towarzyszy walki z drugiej strony granicy. W wystąpieniach wszystkich niemal przywódców sowieckich — także Lenina i Trockiego, a przede wszystkim Stalina — znaleźć można setki dowodów na ich bezkrytyczną i — z punktu widzenia marksistowskiego — antydialektyczną polonofobię. Porażka nad Wisłą w 1920 roku, kończąca nadzieje Lenina i Trockiego na stworzenie wspólnoty komunistycznej od Morza Beringa po Morze Północne, wzmogła nastroje antypolskie w Sowietach, co raz podsycane przez różne akty polityczne i propagandowe (przymusowe wysiedlenie kilkuset tysięcy Polaków z terenu Białorusi i Ukrainy w głąb Rosji, liczne procesy polskich komunistów w ZSSR tendencyjne urabianie obrazu „pańskiej” Polski przez propagandę sowiecką, likwidacja polskich placówek oświatowych i kulturalnych w ZSSR i akcja wynaradawiania Polaków w ZSSR, powrót do tradycyjnych stosunków dyplomatycznych z Niemcami o niedwuznacznie antypolskim znaczeniu, stałe udzielanie przez Komintern poparcia komunistom niemieckim w kontrowersjach między KPP a KPD, utworzenie przez Komintern osobnych organizacji Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy — wbrew zasadzie organizacyjnego koncentrowania sił w jednolitej partii komunistycznej w każdym kraju itp., itd.).

Trudno stwierdzić, czy formalna likwidacja przez Komintern





Polskiej Partii Komunistycznej jako organizacji „przeżartej” przez agenturę kapitalistyczną (1938 rok) była dowodem „dalekosiędnej” myśli Stalina, przewidującego dalszy rozwój sytuacji europejskiej i związane z nią nieuchronne konflikty Moskwy z polskimi komunistami. Dość, że z autorytatywnych świadectw historycznych wynika autorstwo Stalina tej decyzji i że rozwiązanie partii wiązało się z fizyczną likwidacją całego polskiego kierownictwa komunistycznego.

Tak więc od 1944 roku, na wyzwolonych terenach okrojonej Polski, władza znalazła się w rękach podrzędnych, niedoświadczonych w zagadnieniach polityki aktywistów komunistycznych i agentów sowieckiego wywiadu z okresu międzywojennego. Byli to ludzie dostatecznie ograniczeni bądź dostatecznie wykształceni w sowieckiej szkole serwilizmu i stalinowskiej ortodoksji, żeby stać się powolnymi narzędziami imperialistycznej polityki stalinowskiej na terenie Polski. Nie można porównywać poziomu i doświadczenia politycznego bułgarskich, węgierskich, rumuńskich, niemieckich czy czeskich komunistów, obejmujących najwyższe stanowiska państwowe i partyjne w latach 1944-1945 i dalszych, z poziomem i morale politycznym polskich komunistów, przepuszczonych przez filtr NKWD. Mimo sowieckiej presji i penetracji we wszystkich państwach demokracji ludowej, stosunki wewnętrznie tych partii miały jednak inny charakter, niż stosunki w PPR (a następnie PZPR), pozbawionej jakiegokolwiek tradycji politycznej i doświadczonego kierownictwa z okresu międzywojennego. Jeżeli jednak okrucieństwo polskiej partii w okresie stalinowskim nie osiągnęło stopnia równego bestialstwu w innych partiach stalinowskich, to wytłumaczenia tego zjawiska szukać należy właśnie w pookupacyjnej sile moralnej społeczeństwa i jej wpływie nawet na ścisły aparat władzy komunistycznej. Nie jest to przyczyna wyłączna ale, wydaje się, że najistotniejsza. Można kierownikom masowej akcji zbrojnej przeciw okupantowi skazywać na infamie i osadzać w więzieniach ale nie można zamknąć za kratami legendy narodowej, znaczonej śmiercią dziesiątków tysięcy bojowników z blisko milionowej armii polskiego podziemia patriotycznego.

We wszystkich krajach demokracji ludowej stalinizm dążył do rozmycia ideowej kadry komunistycznej drogą przekształcenia partii w organizacje masowe i poprzez odpowiednie rozbudowanie aparatu, złożonego z natury rzeczy z serwilistów i elementów karierowiczowskich, aby w ten sposób przygotować sobie najodpowiedniejszą „drugą zmianę”. Wszędzie zamysł ten przyniósł spodziewane rezultaty. Jest wszakże różnica między polską młodzieżą komunistyczną, ukształtowaną wyłącznie na wzorcach stalinowskich a biurokratycznymi 30-40-latkami, dojrzewającymi do

pełnionych funkcji pod okiem doświadczonych działaczy międzynarodowych — bez względu nawet na ich stalinowską orientację i praktykę polityczną. Kiedy PZPR wprowadzała Polskę w stan nieodwołalnej zależności od Moskwy — w Berlinie, Pradze, Sofii, Tiranie, Bukareszcie, Budapeszcie — stara gwardia stalinowska, mimo powtarzania tych samych co w Warszawie sloganów i frazesów, znajdowała sposoby ochrony narodowych interesów przed niszczącą potęgą sowieckiej „unifikacji”. Bułgaria uchroniła się przed sugestiami budowy gigantycznych hut żelaza, podobnie jak Węgry. Rumunia ocaliła rozwój kopalnictwa ropy, chociaż sowieccy doradcy domagali się zwielokrotnionych nakładów na górnictwo węglowe. Niemcy wyszachrowali kształt kolektywizacji bardzo odległy od kołchozowych wzorów, a także zachowali wysoką sprawność produkcyjną drobnej wytwórczości prywatnej. Czesi obronili przemysł motoryzacyjny mimo zapędów „unifikacyjnych” czyli wbrew nakazom produkcji starych typów sowieckich wozów osobowych. Rumuni i Czesi pozbyli się sowieckich garnizonów na własnym terenie. Polski „instynkt samoobrony” przytłumiła wszechobecność wstyczek i oficjalnych sowieckich agentów. Drugorzędni działacze komunistyczni, nawet jeżeli poszukiwali własnych rozwiązań, nie umieli ich przeprowadzić, ocalić przed prostym dyktatem Moskwy. Byli bardziej nieufni w stosunku do Moskwy ale jeszcze bardziej bezradni wobec jej nakazów. W październiku 1956 roku już tylko jednostki przejawiały zdolność do samodzielnego myślenia. Cały aparat — ten przegoniony z etykietą stalinowską i ten awansowany — nie miał już wątpliwości, że w ostatecznym rezultacie o wzlotach i upadkach służbowych orzekają towarzysze moskiewscy, że o powodzeniu decydują nie frakcje, ale personalne powiązania w Moskwie. Bezimienna, do czasu, armia polskich biurokratów skutecznie paraliżowała więc wszelkie przejawy niezależności i inicjatywy. Część tej armii, najbardziej „zasłużona”, zrobiła w ostatnim piętnastoleciu (czy w ostatnim roku) karierę i gotowa bronić osobistych osiągnięć do upadłego. Trudno oczekiwać w tych kręgach pojawienia się Smrkovskiego czy Ceausescu, Dubczeka czy Kadara. Tamtych podtrzymują doświadczenia powojennych bojów i międzywojennych doświadczeń Krieglów, Nagy'ich, Lukacs'ów, Slanskich, Paukerów. W polskiej tradycji politycznej aparatu znajdzie się co najwyżej Bieńkowski i jego funkcjonalna krytyka ostatniego stadium gomulkiizmu. Daremnie oczekiwać, by myśl Kołakowskiego czy Kuronia i Modzelewskiego znalazła w tych środowiskach jakikolwiek oddźwięk.

Drugi historyczny czynnik determinujący polską sytuację polityczną, to tradycje polsko-sowieckich fobii. Do starych rachunków okres wojny dopisał dwie nowe pozycje, nad którymi Polacy

nie mogą przejść do porządku dziennego i które zarazem przesądzą stosunek sowieckich władców do Polski: mord 11.000 polskich oficerów, wziętych do niewoli w 1939 roku (Katyń — 1941) oraz skazanie przez armię sowiecką, zgrupowaną na prawobrzeżnym przedmieściu powstańczej Warszawy na powolne kowanie (sierpień 1944).

Historia imperializmu sowieckiego obfituje w liczne przykłady cynizmu i przewrotności; nigdy i nigdzie nie wystąpiły one w tak oczywistej postaci jak właśnie w Katyniu i pod płonąca Warszawą. Spadkobiercy zbrodniarzy, którzy nie odważyli się na publiczną pokutę, nie mogą wymazać tych aktów hańbiącej zbrodni także i z własnej pamięci. Stąd więc wywodzi się szczególnie nieufność sowiecka wobec wszystkiego co się w Polsce dzieje i o wiele skrupulatniejszy nadzór nad Polską, niż nad innymi uzależnionymi krajami. Świadczą o tym kontyngenty wojsk sowieckich na terenie Polski; świadczyła wieloletnia obsada wszystkich kierowniczych stanowisk w Wojsku Polskim z dziesiątkami generałów sowieckich pod wodzą marszałka Rokossowskiego. Świadczyły w październiku 1956 roku ruchy sowieckich wojsk w kierunku Warszawy i postawienie Wojska Polskiego w stan alarmu bojowego przez ludzi Moskwy; choć wcześniejsze, i groźniejsze dla Sowietów, wydarzenia polityczne na Węgrzech dopiero w listopadzie wywołały zbrojną reakcję ZSSR.

Dodajmy także że Polska, jako największy kraj z „demokracji ludowych”, ma w imperialistycznych planach sowieckich znacznie większy ciężar gatunkowy, niż Bułgaria, Rumunia czy Węgry, choć bezprzecznie ustępuje tamtym krajom pod względem pozycji strategicznej (Polska nie ma granicy z żadnym państwem kapitalistycznym). Nic dziwnego, że nadzór nad polską biurokracją jest o wiele skrupulatniejszy i zmierza do usunięcia wszystkich ludzi, potencjalnie zdolnych o zabieganie — z niezależnej pozycji — o poparcie społeczne dla krytyki *status quo* i jego sowieckich gwarantów.

Trzecia determinanta historyczna, decydująca o specyfice polskiej władzy komunistycznej, to niedojrzałość klasy robotniczej.

O stanie rozwoju gospodarczego Polski przed wojną najlepiej mówi wskaźnik — 70 % zatrudnionych w rolnictwie. Na skutek ogromnych strat ludności miejskiej w czasie okupacji udział chłopstwa w ogólnej populacji powojennej wzrósł jeszcze bardziej. Zmiana warunków egzystencji i rodzaju zatrudnienia nie oznaczała — i nie oznacza dotychczas — równoczesnego przekształcenia świadomości. Tym bardziej, że wielka fala nowych, powojennych robotników przemysłowych i usługowych wkroczyła do starych i nowozbudowanych zakładów, w których dogorywały i zgasiły całkowicie tradycje ruchu robotniczego — bez

względem na orientację. Słaby — bo nielegalny — w okresie międzywojennym ruch związków komunistycznych wzniesiony został na urzędowy piedestał i z miejsca stracił na atrakcyjności, tym bardziej że niedawni jego działacze pojawili się w roli następców kapitalistycznych wyzyskiwaczy. Wszystkie pozostałe tendencje, jeżeli nawet nie były proklamowane jako „kontrrewolucyjne”, nie miały prawa ani możliwości wspomnienia bodaj o swoich walkach z wyzyskiem kapitalistycznym.

Brak klasowej spójni robotniczej, relikty świadomości chłopskiej wśród robotników wielkoprzemysłowych, niezajomość taktyki walki robotniczej — wszystko to wpływa zasadniczo na całokształt stosunków społecznych w kraju. Skojarzyła się tu przedwojenna słabość polityczna robotników — po wiekach niewoli bardzo podatnych na hasła patriotyczne i nacjonalistyczne — z totalitarnym „oczyszczeniem” przez biurokrację komunistyczną robotniczego przedpola z pozostałości niezależnego ruchu klasowego.

Choć Polska robotnicza nie jest pod tym względem monolitem, to jednak zwierciadło stenogramu szczecińskiego dokładnie odbija sytuację w większości ośrodków przemysłowych. Widać w nim brak poczucia rzeczywistej siły i brak przekonania o legalności podstawowego instrumentu samoobrony — strajku. Mimo tego, że z przebiegu polemiki między władzami a delegatami robotniczymi nie wynika, że strajk nie był uzasadniony i niezawiniony przez stoczniove i partyjne zwierzchnictwo — stoczniovcy faktycznie rezygnują z utrzymania postulatu wypłacenia strajkującym straconych zarobków oraz opublikowania komunikatu, wyjaśniającego formalny przedmiot konfrontacji\*, a rezygnują z użycia satysfakcji moralnej i materialnej. Takie rozwiązanie jest nie do pomyślenia w jakimkolwiek ośrodku robotniczym o ukształtowanej świadomości klasowej, tym bardziej że podobne zakończenie sprawy stawia w równej sytuacji strajkujących i łami-strajków.

Kilku delegatów omawia legalność strajków w ogóle. Filipiki na ten temat wydają się pozornie bezpodstawne, bowiem żaden akt prawny PRL nie wyklucza możliwości strajku. Tym niemniej żaden akt nie stwierdza jednoznacznie robotniczego prawa do strajku — poza tzw. „strajkiem ostrzegawczym” (kilkunastominutowa przerwa w pracy). W świadomości polskich robotników strajk nie jest akcją legalną i dlatego delegaci tak licznie i stanowczo domagają się zaniechania represji za udział i organizowa-

\* Gierek ostatecznie uzyskuje zgodę robotników na wypłacenie im straconych w czasie strajku zarobków, ale pod warunkiem... nadrobienia zaległości oraz zgodę na zgłoszenie komunikatu-sprostowania, wygodnego dla władz.

nie tej akcji. Nikt jednak nie podnosi zasadniczego argumentu, że legalność akcji strajkowych w Polsce wynika z samego braku jakiegokolwiek przepisu wykluczającego.

Niezorientowanie w przepisach prawa i nieumiejętność jego stosowania w konfrontacjach z każdym zwierzchnictwem i każdą władzą, przekonanie o możliwości dowolnej interpretacji formalnych przepisów prawnych przez przedstawicieli władzy — określa sytuację robotników nie tylko w wypadku strajku. Nie trzeba przy tym zapominać, że na mównicy znaleźli się najbardziej wyrobieni i najmniej konformistyczni przedstawiciele szczecińskich stoczniovców.

Mimo oczywistości że wina aparatu partyjnego za sprowokowanie strajku *już po zmianie władz centralnych i wojewódzkich władz partyjnych*, obciąża aparat partyjny — krytyka robotnicza nie sięga powyżej najniższych ogniw partyjnych (Komitet dzielnicowy, egzekutywa oddziałowej organizacji partyjnej w W-4) oraz — w jednym wypadku — do sekretarza propagandy KW Rogowskiego. Choć z wypowiedzi wynika, że w czasie strajku był w Szczecinie obecny wicepremier Kaim — nikt nie kieruje pod jego adresem zarzutu, że nie podjął rozmów ze strajkującą załogą. Nikt też nie wiąże rozwoju wypadków z przypuszczalnymi dyspozycjami władz centralnych, choć wszystkie dane wskazują na zasadność takiego postawienia sprawy.

Trudno sobie wyobrazić, żeby w podobnych okolicznościach — w państwie o tradycjach ruchu robotniczego — zarzuty najcięższego kalibru nie zostały skierowane pod adresem najwyższych czynników, posiadających rzeczywistą władzę i ponoszących z urzędu pełną odpowiedzialność za funkcjonowanie niższych szczebli aparatu władzy i zarządzania. Bowiem walka o interes klasowy jest walką przeciw aparatowi ucisku i jego kierownikom, przeciwko systemowi ucisku i prawom stojącym na jego straży, a nie przeciw niewiele znaczącym jednostkom, wykonującym polecenie zwierzchnictwa i respektującym obowiązujące przepisy.

Tradycję chłopską, przeflancowaną na teren przemysłowy, reprezentuje starszy, mazurzący delegat, który na „chłopski rozum” dowodzi możliwości poprawy warunków robotniczej egzystencji: „wyście, panowie przyszli do pełnego. Bo co miał do powiedzenia Bolesław Bierut? Wszystko zastał niezasiane, ziemię ugorującą, brak osadników — a w macie już wszystko — nawet fabryki...”.

Dwa wystąpienia wyraźnie potwierdzają fakt, że załoga nie dorosła do akcji protestacyjnych. Jeden z delegatów wyraźnie mówi o taktyce walki, ustalonej przez Komitet Strajkowy: „były postulaty do 'targowania', do 'ustępstw', ale postulat ekonomiczny o kompensatę podwyżki cen albo jej likwidację miał pozostać nienaruszalny”. Delegat W-4 w końcowym przemówieniu zarzu-

ca wprost reszcie obecnych, że jeszcze poprzedniego dnia nikt z nich nie ważyłby się zaproponować zakończenia strajku bez realizacji powyższego postulatu ekonomicznego. Przewodniczący Komitetu Strajkowego, już po „przegłosowaniu” klęski strajku, w przemówieniu pełnym sprzeczności, niekonsekwencji, nacechowanym mieszanymi uczuciami, stwierdza gorzko: „My jeszcze strajkować nie umiemy!”. Jakże nie w porę ta sarkastyczna refleksja, skoro chyba on sam zgodził się oddać losy spotkania w ręce biurokratów! Po pierwsze, przez formę spotkania kameralnego i obecność na sali bardzo znacznej liczby „popierających” — oddziaływujących na delegatów. Po drugie, przez zgodę na utworzenie prezydium, w którym większość stanowili miejscowi i przyjezdni notable, a członkowie Komitetu Strajkowego znaleźli się w rozproszeniu. Po trzecie, godząc się na prowadzenie spotkania przez dyrektora stoczni, który przez długich pięć burzliwych dni nie umiał znaleźć rozwiązania konfliktu w myśl postulatów załogi; który demonstracyjnie i jawnie ignorował Komitet Strajkowy domagając się prawa bezpośrednich rozmów z załogą i odrzucając wszelkie propozycje Komitetu Strajkowego. Czegóż się więc spodziewał po spotkaniu pod dyktorską batutą? „My strajkować nie umiemy” — w ustach Paługi brzmi jako samokrytyka człowieka, który zdaje sobie sprawę z popełnionych błędów taktycznych.

Gdyby Paługa i towarzysze mieli doświadczenie walk robotniczych, potrafiliby sobie uprzytomnić istotny sens niedzielnych odwiedzin I sekretarza KC i premiera. Gdyby obronili w negocjacjach ze Szlachcicem właściwą formę prowadzenia „spotkania”; gdyby zastrzegli sobie prawo stałej konsultacji z załogą w czasie „spotkania”; gdyby na wstępie wyraźnie stwierdzili, że z postulatów ekonomicznych nie zrezygnują — prawdopodobnie by zwyciężyli. W dwadzieścia dni po imprezie szczecińskiej doszło do „spotkania” ze strajkującymi włókniarzami łódzkimi. Przystępujący w Szczecinie że nie posiadają żadnych rezerw na poprawę położenia robotników, „prawdomówni” wodzowie PRL musieli teraz odwołać podwyżkę cen z 12 grudnia. W Łodzi delegaci robotniczy wysłuchali kwiecistych zapewnień Jaroszewicza i innych przedstawicieli rządu nie tając zniecierpliwienia i na ich zapytanie kategorycznie odpowiedzieli: „nie, nie pomożemy nowym władzom bez zaspokojenia naszych roszczeń!”. Wiekowe tradycje robotnicze Łodzi okazały się skuteczną zaporą przeciw biurokratycznemu wyzyskowi. Paługa miał więc raczej sięgając do historycznych uwarunkowań aktualnej sytuacji polskiej. Z mapy gospodarczej kraju wynika, że większość ośrodków przemysłowych i zdecydowana większość załóg robotniczych pozbawiona jest tradycji, które zachowała Łódź. „My strajkować nie umie-

my” — można odnieść do całego kraju, nie tylko do stocznego Szczecina.

Nieumiejętność protestu i niewykształcenie świadomości odrębnych interesów klasowych robotników — to główne podstawy istniejących stosunków społecznych w Polsce. Wypadki grudniowe w pełni potwierdziły tę tezę.

Zaczęło się w największej stoczni polskiej — w Gdańskiej Stoczni im. Lenina, od protestu wywołanego decyzjami ekonomicznymi rządu. Brak doświadczenia i brak autorytatywnego przywództwa zdolnego do podjęcia skutecznej taktyki — doprowadziły do szybkiego przekształcenia strajku w manifestację o wyjątkowo ostrym charakterze — podobnie jak trzy dni później w Szczecinie.

W walkach ulicznych przeciw oddziałom zbrojnym napięcie i wola zwycięstwa szybko się wypalają. Akcja ekonomiczna przekształca się w fajerwerki polityczne, nad którymi niedoświadczeni przywódcy robotniczy tracą panowanie. Żywiół drobnomieszczański i urzędniczy, który udzieliłby poparcia pokojowej akcji rewindykacyjnej, ze strachem i nieufnością podchodzi do wszelkich aktów przemocy. W rozumieniu mieszczańskich obserwatorów wypadków, zarzuty bandytyzmu, wichrycielstwa, grabieży itp., jakimi operuje władza — są uzasadnione. Przyczyna wybuchu schodzi na plan dalszy wobec wypadków budzących przerażenie wśród obserwatorów i w samych środowiskach robotniczych. Gwałtowny, oderwany wybuch musi skończyć się fiaskiem, musi sprzyjać biurokracji, mającej dość siły na oprowadzenie w ostatecznej fazie starć. Niezaspokojenie podstawowych żądań ekonomicznych wzmaga zniechęcenie i osłabia wolę walki na przyszłość. Spontaniczny, niekierowany wybuch stabilizuje przewagę władzy nad ogółem ludności.

To nie tylko specyfika polska. Działacze robotniczy na Zachodzie prawdopodobnie więcej sił poświęcają na poskramianie żywiołowych odruchów robotniczych, niż na bezpośrednie rozgrywki z kapitalistami i władzami państwowymi. Walkę toczą za bramami fabryk, unikają przedsięwzięć zrażających pozarobotniczą opinię publiczną; dla wystąpień wykorzystują tylko najdogodniejsze warunki społeczne i polityczne, manifestacje uliczne organizują celem zyskania poparcia szerszych kręgów publicznych a nie ich szkodzenia.

Sprawa uświadomienia robotników w Polsce i w innych krajach „socjalistycznych” o zacoferanej strukturze społeczno-ekonomicznej nabiera szczególnego znaczenia w kontekście utrzymujących się tradycji politycznych. Politykę uprawiali tu i uprawiają inteligenci, których cechuje wysoki krytycyzm społeczny. Jednak krytycyzm ten w dzisiejszej Polsce stał się instrumentem egois-

tycznych interesów grupowych. Polska inteligencja rezygnuje z szerszych aspiracji. Między środowiskami inteligentnymi a robotniczymi nie ma więzi, nie ma zrozumienia wspólnoty interesów. Utrzymują się zastarzałe, obustronne instynktowne obawy i nieufności. Kiedy zrewoltowani stocznioowcy gdańscy w grudniu 1970 zwrócili się o pomoc i poparcie do studentów pobliskiej Politechniki Gdańskiej — spotkali się z ich zdecydowaną odmową. Na spotkaniu szczecińskim z goryczą mówiono o uchyleniu się personelu technicznego od poparcia strajku. Kręgi warszawskich literatów ustosunkowały się do tragicznych zająć *ex post* w rozmowie typowego przedstawiciela „świata kultury” z redaktorem *Kultury* w Paryżu: „robotnicy niech sami pilnują swoich interesów!”... „trzeba się cieszyć, że robotnicy zaawanturowali się sami, bez naszych trzech groszy”... Dwa i pół roku wcześniej, w czasie marcowych wydarzeń i w trakcie następujących po nich procesów wyszło na jaw, że nawet „goszyści” z polskich uniwersytetów, głoszący konieczność odrodzenia komunizmu, nie usiłowali znaleźć poparcia i zrozumienia wśród proletariatu przemysłowego. Inteligenci w dzisiejszym anachronicznym wydaniu i z anachronicznymi poglądami społecznymi tak długo pozostaną bierni, dopóki nie przemówią do nich i nie zmienią ich nastawienia dojrzałe akcje klasowe robotników. Autentyczne zmiany polityczne i społeczne w Polsce zależą od jednolitej akcji tych dwóch sił społecznych.

Z wystąpień szczecińskich nie wynika, że stocznioowcy zrozumieli konieczność zdobycia poparcia i pomocy spoza własnych kręgów oraz umiejętności prowadzenia walki o własne interesy. Przeciwnie, wprawne ucho uchwyci wyraźnie antyinteligentkie akcenty w różnych przemówieniach i antyinteligentkie reakcje sali. Robotnicy polscy skłonni są utożsamiać całą inteligencję z aparatem biurokratycznym i zachowywać wobec niej dystans. Ten podział pozwala biurokracji na poskramianie przejawów niezadowolania obu grup społecznych i rozgrywaniu ich przeciw sobie — przykładem był w Szczecinie antyinteligentki wypad Jaroszewicza przy okazji omawiania płac.

Droga, jaką odbyła taśma z magnetofonowym zapisem przebiegu szczecińskiego „spotkania” od robotników do inteligentkich ośrodków na Zachodzie — do *Kultury*, pozwala jednak mieć nadzieję, że doświadczenia ostatnich lat, a szczególnie grudniowy wstrząs pobudzą do refleksji zarówno robotników jak i część polskiej inteligencji.

Dwa żądania zawarte w postulatach strajkowych wystawiają świadectwo dojrzenia świadomości robotniczej. Pierwsze dotyczy środków masowego przekazu, drugie — prawa nieskrepo-

wanych — demokratycznych, jak określają to autorzy — wyborów do wszystkich robotniczych organizacji w stoczni.

Nie dajmy się zwieść pozorom: te postulaty to jeszcze nie głos załogi. Ich projektodawcami byli najpewniej niektórzy z przywódców strajkowych. Ale fakt, że po raz wtóry — pierwszy raz w dwóch punktach „Żądań Załóg...” z grudnia 1970 roku (patrz aneksy) — robotnicy — przedstawiciele robotników wysuwają postulat pełnej i rzetelnej informacji prasowej, telewizyjnej i radiowej nie ma precedensu. Podnosiły się na ten temat pojedyncze głosy, szczególnie na spotkaniach warszawskich i łódzkich fabryk ale nigdy dotąd były żądaniem ogółu robotniczego.

Żądanie rozpisania wyborów „demokratycznych” do wszystkich organizacji robotniczych w stoczni — mimo formalnego trwania ich kadencji — pojawia się w Polsce po raz pierwszy. Wcześniej, wśród postulatów robotniczych nie spotykało się żądania wyborów także w organizacjach partyjnych, i ZMS'owskich. Ten postulat świadczy o solidarności ze strajkiem większości członków partii i parapartyjnej organizacji młodzieżowej. Gdyby w tej kwestii istniały jakiegokolwiek wątpliwości, postulat „demokratycznych” wyborów w stoczniowych komórkach PZPR zostałby zakwestionowany przez prezydium.

Po raz pierwszy stare i wielokrotnie wysuwane żądanie demokratycznego wybierania władz w związkach zawodowych i radach robotniczych występuje w podobnej postaci. W toku zmian popaździernikowych np., skompromitowani funkcjonariusze sami zgłaszali dymisję, ulegali presji bądź byli usuwani na zebraniach organizacyjnych zgodnie z wolą większości, wyrażoną w głosowaniu. Podobne akty miały miejsce także w Stoczni Szczecińskiej, gdzie Październik zapisał się wielu burzliwymi wydarzeniami. Brak nawiązania do tamtych doświadczeń nadaje tej części postulatów strajkowych wyjątkowe znaczenie. Jest to oryginalny wkład stoczniowców do historii polskiej myśli robotniczej. Postulat dezaprobuje biurokratyczny system wyborczy, obracający robotnicze z nazwy organizacje przeciw robotnikom. Nie chodzi o indywidualne „rozliczanie” mandatariuszy za przeszłość, ale o zagwarantowanie wyboru ludzi, którzy zapewnią obronę klasowych interesów robotniczych w przyszłości. Stąd globalny charakter postulatu.

Przywódcy strajku nie występują przeciwko ustalonej strukturze i formalnym uprawnieniom organizacji, chroniąc się tym samym przed pomówieniem o „rewizjonizm”. W szczególności nie kwestionują zwyczajowej i formalnie orzeczonej statutem PZPR zwierzchności organizacji partyjnej nad innymi organizacjami. Żądają jedynie prawa do demokratycznego ustanowienia zakładowych władz PZPR przez członków partii i zagwarantowania tą

drogą demokratyzacji samej organizacji partyjnej. W rozumieniu strajkujących groźne są nie uprawnienia organizacji partyjnej, ale dotychczasowy tryb ustanawiania władz organizacji partyjnej, który nieuchronnie przekształca „wybranych” nominantów w posłuszne narzędzia partyjnego i służbowego zwierzchnictwa.

To samo dotyczy innych organizacji. W tym sensie żądanie „demokratyczności wyborów” oznacza w istocie demokratyzację organizacji partyjnej i innych organizacji robotniczych.

Walka o demokratyczne wybory oznacza dojrzewanie świadomości robotniczej. Postulat ujawnia rozbieżność w rozumieniu zjawiska demokracji robotniczej: zamiast demokracji dla funkcjonariuszy i biurokratów — demokratyczne władze organizacyjne demokratycznie wybrane i kontrolowane przez ogół, czyli praktycznie przez jego robotniczą większość.

Projektodawcy zdają sobie sprawę z systemu presji i zakulisowych machinacji etatowego aparatu partyjnego, związkowego, zetemesowskiego, administracji gospodarczej. Tylko jako zabezpieczenie przed deformującym wpływem tych biurokratycznych instancji na przebieg akcji można zrozumieć żądanie szerokiej uprawnień kontrolnych dla Komisji Robotniczej. Potwierdzenie przez Gierka kompetencji Komisji Robotniczej równowazyłoby — zdaniem Komitetu Strajkowego — deformującą wolę załogi skutki działania pozastoczniowych czynników politycznych i stoczniowego zwierzchnictwa administracyjnego. Zdając sobie z tego sprawę Gierek udziela postulatowi nowych wyborów deklaratywnego poparcia (choć z formalnego punktu widzenia nie ma prawa orzekać za sprawujących kadencję w organizacjach PZPR, a tym bardziej w organizacjach pozapartyjnych) natomiast żądanie nadzoru akcji wyborczych przez Komisję Robotniczą spotyka się z jego dezaprobatą. Ujawnia się tu robotniczy „demokratyzm” nowego szefa polskiej „demokracji ludowej”.

Na temat organizacji skutecznej demokracji robotniczej wypowiedziało się w ostatnich latach wielu polityków, jest to bowiem w Polsce zasadniczy problem społeczno-polityczny.

Pozytywną próbą przekształcenia stalinowskiego systemu było powołanie w 1956 roku rad robotniczych. Nie przesądzały one zmiany formalnej struktury politycznej, ale ograniczały arbitralność decyzji aparatu partyjnego i zmuszały do liczenia się ze stanowiskiem legalnego przedstawicielstwa załóg. Rady robotnicze zostały praktycznie zlikwidowane, nim się umocniły, nim stały się ośrodkiem robotniczej aktywności społeczno-gospodarczej.

Znaczny rozgłos na świecie (poza Polską) zdobyła krytyka systemu i propozycje zmian politycznych, zawarte w „Liście Otwartym do Partii” Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego (przed kilku miesiącami zwolnionych z więzienia po drugim

wyroku w 1968 roku). Autorzy — socjolog i ekonomista — obaj synowie działaczy komunistycznych i sami byli członkowie partii, dowodzą konieczności przekształcenia systemu polityczno-gospodarczego według wzorów syndykalistycznych.

Autor ukrywający się pod pseudonimem Burba-Kochański z analizy sytuacji w 1970 roku wyprowadza wniosek o konieczności inteligenckiego przywództwa dla robotników, by ich spontaniczne wybuchy przekształcić w zorganizowaną akcję na rzecz demokracji. Jego formuła demokracji sprowadza się do reanimacji rad robotniczych — jako zakładowego czynnika samorządowego, niezależności związków zawodowych i ich zróżnicowania według potrzeb i uznania samych zainteresowanych i przywrócenia systemu wielopartyjnego. Do tych przekształceń prowadzić miałyby podjęcie początkowego działania w ramach legalności, konfrontacji formalnych praw z faktyczną samowolą władz, konfrontacji, które wykazałyby społeczeństwu drzemiące w nim siły i zachęciły do rozwijania głębszej pracy organizacyjnej aż do wysokoukształtowanej konspiracji politycznej włącznie.

Znany filozof polski (od 3 lat przebywający na Zachodzie) opublikował „Tezy o nadziei i beznadziejności”, w których podważa myśl o niereformowalności jakiegokolwiek systemu politycznego i przewiduje konieczność opozycyjnego wobec biurokracji — społecznie rozbudzenia moralnego. Obrona wartości etycznych zmusiłaby władzę do stopniowych ustępstw i przekształceń nieludzkiego systemu w ludzki — socjalistyczny.

Edward Ochab, były I sekretarz KC PZPR, który w 1956 roku przekazał władzę Gomułce, a w 1968 zrezygnował z godności państwowych i partyjnych na znak protestu przeciw prowokacjom antystudenckim, antyinteligentkim i antysemitycznym, w związku z przygotowaniem do VI Zjazdu PZPR wystosował list do jednej z warszawskich fabrycznych organizacji partyjnych, w którym postuluje ograniczenie uprawnień policji, równouprawnienie istniejących stronnictw politycznych i ugrupowań bezpartyjnych w walce o mandaty poselskie, a zapewnienie demokracji robotniczej wiąże z utworzeniem wyższej izby istniejącego parlamentu, złożonej z przedstawicieli zakładów produkcyjnych.

Wszystkie te koncepcje łączą się z koniecznością długotrwałej walki robotniczej, do której polski proletariatus nie jest jeszcze przygotowany. Koncepcja szczecińska, jako nie pretendująca do jakichkolwiek zmian strukturalnych, a zmierzająca do opanowania zakładowych organizacji w drodze bezpośredniego, legalnego wyboru władz w obecnych warunkach, zasługuje na szczególną uwagę.

Opanowanie najniższych ogniw nie zabezpiecza przestrzegania zasad demokracji robotniczej od góry. PZPR hołduje zasadzie

„centralizmu demokratycznego”, który nie tylko zobowiązuje do pełnego podporządkowania się uchwałom naczelnych władz ale zwierzchnie instancje — czyli aparat biurokratyczny wyposaża w prawa akceptacji (czy odrzucenia) wyboru władz niższych ogniw partyjnych. Doświadczenia popaździernikowe wykazały, że aparat partyjny i związkowy szybko pozbyły się demokratycznie wybranych przedstawicieli robotniczych przy pomocy przekupstwa, „awansu”, prowokacji. Nadzieje na utrzymanie niezależnych władz z wyboru załogi nie są więc wielkie. Jednak w warunkach poważnego, jawnego kryzysu politycznego, w jakim się PRL znalazła, walka o obsadę najniższych na szczeblu organizacyjnym stanowisk niewątpliwie przyczyniłaby się do aktywizacji ogółu robotniczego. Gdyby sprawa stała się powszechna — w ostatecznym rezultacie musiałaby doprowadzić do otwartej konfrontacji mandatariuszy zaufania robotniczego z aparatem biurokratycznym. Na co dzień powodowałaby odsunięcie funkcjonariuszy od załóg i sprzyjałaby rozwijaniu samodzielnego myślenia o problemach, jakie ukrywa przed robotnikami nominowany aparat partyjno-związkowy i sprzedajny aktyw organizacyjny.

Rozważania powyższe mają czysto informacyjny charakter. Od wypadków szczecińskich dzieli nas 11 miesięcy i brak podstaw do stwierdzenia, że wywalczone prawo swobodnej akcji wyborczej w stoczni przyczyniło się do poważniejszej zmiany sytuacji w środowiskach robotniczych.

Wróćmy do spraw prasy.

W systemie „demokracji ludowej” gra ona wielką rolę jako reżymowy instrument urabiania opinii publicznej. Po wieloletnich zabiegach postalinowskich nastąpiła wyraźna polaryzacja stanowisk, o bardzo doniosłym charakterze politycznym. Dziennikarze w walnej mierze skonkretyzowali niezadowolone społeczne na Węgrzech w 1956 roku, w Polsce w 1956 roku, w Czechosłowacji — w 1968 roku. Ale też we wszystkich tych krajach ponownemu opanowaniu sytuacji politycznej przez biurokrację towarzyszyły drastyczne czystki wśród publicystów i redaktorów.

Polski wybuch październikowy 1956 roku — w odróżnieniu od węgierskiego i czeskiego — zakończył się zwycięsko i bez przelewu krwi. Tym ostrzej wypadły „rozliczenia” z prasą. Natychmiast po objęciu władzy Gomułka fałszywie i cynicznie oskarżał całą polską prasę o wcześniejsze popieranie stalinizmu, zarzucał dziennikarzom „wtrącanie się” do polityki i żądał bezkrytycznego wykonywania jego poleceń propagandowych.

Na przymusowe milczenie skazano wielu poważnych publicystów. Wszystkie kierownicze stanowiska w gazetach, radio, telewizji obsadzono serwilistami. Każdą próbę krytyki — nieza-

leżnie od utrzymywania prewencyjnej cenzury druku i rozpowszechniania — karano pozbawieniem pracy i funkcji redaktorskich. O tym co, i w jaki sposób, winny podawać środki masowego przekazu, decydowało i decyduje nadal Biuro Prasy KC PZPR. Zagrożeni represjami dziennikarze wyspecjalizowali się w kłamstwach, na jakie nawet nie zawsze decydują się przedstawiciele władz. Prasa stała się forpocztą dezinformacji, obskurantyzmu i prowokacji.

Polacy nie żywią złudzeń co do charakteru krajowych środków masowego przekazu, są one jednak jedynymi powszechnie dostępnymi źródłami informacji. Wprawdzie od października 1956 roku zakończyło się totalne zagłuszanie zachodnich programów, nadawanych w języku polskim, ale ich odbiór i tak był utrudniony na większości odbiorników produkcji krajowej, a „nasłuchiwanie” nie należy do najprzyjemniejszych zajęć.

Pierwszy publiczny osąd prasy polskiej miał miejsce w marcu 1968 roku. Manifestujący studenci symbolicznie palili gazety z fałszywymi wiadomościami o zajściach na uczelniach i z oszczerzami „informacjami” o ich uczestnikach. W tym czasie wszystkie gazety publikowały materiały pod bezpośrednie dyktando organów policyjnych.

M.in. „nieomylna” *Trybuna Ludu*, centralny dziennik partyjny, ogłosiła uczestnictwo w awanturach na uniwersytecie warszawskim córki odsuniętego generała Zarzyckiego. Ewa Zarzycka przebywała w tym czasie w Paryżu... Hasło „prasa kłamie” dotarło do szerokiej opinii publicznej i przyczyniło się do gwałtownego pogłębienia istniejącej od dawna nieufności.

Należy przypuszczać, że zaważyło ono nad charakterem postulatów szczecińskich. Odrzućmy kwestię sprostowania informacji o zobowiązaniach W-4 — ta sprawa jest zupełnie jasna; zatrzymajmy się nad żądaniem rzetelnej informacji prasowej. Kiedy Gierek udaje, że nie rozumie o co chodzi, nikt z obecnych nie potrafi konkretnie wytłumaczyć istoty żądania. Polemika kończy się zwycięstwem szefa partii. Że prasa kłamie — robotnik miał okazję przekonać się namacalnie choćby w czasie grudniowych rozruchów, gdy o wypadkach na Wybrzeżu milczały gazety w innych rejonach, gdy sytuacja z ulic Szczecina ukazała się w krzywym zwierciadle miejscowych redakcyjnych i cenzorskich retuszerów. Nie potrafi jednak wytłumaczyć, że kłamstwem propagandowym jest nie tylko jawne wypaczanie faktów. W Polsce na co dzień praktykuje się raczej system przemilczeń i deformacja znaczenia relacjonowanych faktów, a o tym może powiedzieć jedynie człowiek dobrze zorientowany, pilny obserwator wydarzeń, mający możność porównania przekazów polskich z zagranicznymi.

Sami delegaci uznają „skalę szkodliwości prawdy”, skoro apro-

bują ją z „wyższych racji” nawet w odniesieniu do informacji o strajku i „spotkaniu” — aprobuje zarazem panujący od ćwierćwiecza system pozorów i pozornych prawd dziennikarskich. Prasa może kłamać nadal. Gierek może w trzy miesiące później zdecydować pełne zagłuszanie radia „Wolnej Europy”, zaniedbane przez Gomułkę. Fałsz stał się bowiem konwencją obowiązującą obydwie strony: władzę — która czerpie z niego korzyści i robotników — którzy w poszukiwaniu cienia nadziei często wolą nie znać całej prawdy o swoim położeniu.

W fałszywych od ponad ćwierć wieku stosunkach, kiedy słowa i czyny straciły naturalne znaczenie, kiedy wszystkie idee i nadzieje obróciły się w niwecz — kłamstwo i samookłamywanie stały się dwoma stronami tego samego zjawiska. Według warszawskich reporterów w knajpach szczecińskich odnowa wytrysnęła potokiem „odważnych” wypowiedzi, suto podlewanych wódką. Prawdopodobnie fakt autentyczny — tyle, że brak odpowiedniego komentarza. Prawda boli — „robaka się zalewa” — bezsilność topi się w wodce.

Właściciele Polski Ludowej zawsze byli patronami wolności politycznych przy szynkwach. Dzięki ich zapobiegliwości pijaństwo rośnie z roku na rok. Oficjalne spożycie wódek i spirytusu kreuje Polskę na championa światowego: każdy statystyczny mieszkaniec kraju, wliczając również niemowlęta, konsumował w 1969 roku 7 litrów 50-procentowego alkoholu. W okresie przedwojennym wypijał — 2 litry, w 1950 roku — 4 litry.

Wszystkie współczesne kłamstwa polityczne, społeczne, obyczajowe, ekonomiczne wypływają z nadrzędnego fałszu, który stanowi zarazem platformę milczącego porozumienia między biurokratami a ogółem społeczeństwa: że ZSSR przoduje we wszystkich dziedzinach, że Sowiety są najlepszym przyjacielem narodu polskiego. Wszystkie inne kłamstwa są tylko konsekwencją i rozwinięciami tego podstawowego. Skoro, jak Gomułka sugerował ogółowi Polaków, nie jest do podważenia — z „racji stanu” — kłamstwo nadrzędne, muszą potulnie cierpieć wszystkie inne. Nic więcej nie pozostaje, jak biernie czekać na niewiadome rozwiązania.

To ostatnie kłamstwo-samookłamywanie najlapidarniej określiła świadomość ogromnej większości Polaków.

Grudzień podważył je, ale go nie rozbił.

Materiały z przebiegu „spotkania” szczecińskiego dotarły poza granice PRL po dziewięciu miesiącach. W tym czasie nastąpiło w kraju wiele zmian.

Niewiele jednak znajdziemy faktów godnych uwagi.

W dziedzinie politycznej na czoło wybija się umocnienie pozycji Gierka, faktyczne rozszerzenie jego władzy w porównaniu z władzą Gomułki w ostatnim okresie panowania. Gierek wymanewrował z naczelnych organów partyjnych współników grudniowego puczu pałacowego — zwolenników jawnego terroru w „nacionalistycznej” polityce, tak zwanych „partyzantów”. Ich siła okazała się pozorna. Wystarczyło odsunąć na boczny tor przywódcę — Moczara, przetrzebić nieco kandydatów na gauleiterów, zmienić kierownictwo w MSW, by cała reszta usłużyła stanęła pod znakami Gierka. Dążąc do umocnienia własnej pozycji przez legalne pozbycie się reszty niewygodnych ludzi Gierek przyspieszył termin VI zjazdu PZPR. Również w rok od podwyżki cen okazał się absolutnym i jedynym zwycięzcą w rozgrywce, która w pierwszej fazie, jeszcze podczas „spotkania”, wydawała się mieć grono równoważnych triumfatorów.

Na zjeździe gruntownej zmianie uległ skład KC. Ostatni mohikanie ortodoksyjnego komunizmu opuścili wysiedziałe fotele. Na ich miejscach zasiadzie „przyszłość” partyjnej Polski — poklepywani protekcyjnie po ramionach przodownicy pracy, partyjna młodzież ukształtowana na „partyjną inteligencję” w twardej szkole gomułkowskiego cynizmu.

Przed zjazdem Gierek postawił na stanowiskach wojewódzkich bezbarwną armię partyjnej „trzeciej zmiany”, młodzieńców, gotowych odplacić mu awanse poparciem — na razie absolutnym.

W atmosferze niezagrożenia i przy braku równoważnego autorytetu w sekretariacie KC i Biurze Politycznym, autokratyzm Gierka osiąga miarę równą pozycji Gomułki. Jest inteligentniejszy od poprzednika, potrafi zachować umiar i pozory. Rosjanie mówią, że życzenie naczelnika jest prawem — choć Gierek nie zna rosyjskiego to przecież jego działanie potwierdza to przysłowie. Uruchomił sprawny aparat partyjny, nie szukający zabezpieczenia własnej pozycji — jak działało się to przez kilka długich lat ostatniej fazy gomułkizmu. Z pomocą takiego aparatu Gierek spowoduje w najbliższej przyszłości usuwanie wielu dotkliwych usterek, wynikających z totalnej bzdury i klikowych rozgrywek za panowania Gomułki. A że nabierało się tych usterek mnóstwo — tym łatwiej będzie epatować społeczeństwo „odnową”.

Zupełnie jak w anegdotce z kozą: po wyprowadzeniu kozy z izby wydaje się ona biednemu Żydowi pałacem, choć przedtem molestował rabina swoim mieszkaniowym niedostatkiem. Mądry i wielki rabin przywracający kozom i ludziom właściwe im miejsca. Mądry, wielki polityk pozwalający robotnikom odbudować w „czynach” i poza planem produkcyjnym szatnie, klozety, świetlice, stołówki fabryczne, które za czasów Gomułki bezceremo-

nalnie anektowano na cele produkcyjne, czy administracyjne — „w imię szczęśliwej przyszłości klasy robotniczej”. Czy owych dowodów troski starczy, aby na długo? Czy wśród propagandowego ostrzału nie podniosą się głosy pytające o bardziej przekonujące dowody troski o robotników?

Dzień bieżący nasuwa już wiele okazji do stawiania pytań. Wbrew przysięgom o zamrożeniu cen — ciągle idą one w górę. Wprawdzie Gierek zapewnia o zamrożeniu tylko cen artykułów spożywczych, ale pozwalał społeczeństwu domyślać się ogólnego ich zamrożenia. Opinia publiczna przeoczyła, że zaprzysięgał ceny z pamiętnego poniedziałku 14 grudnia 1970 roku, a więc „gomułkowskie”, a nie te przywrócone z dniem 1 marca 1971 pod presją strajku łódzkiego. Baczniejsza obserwacja prowadzi do wniosku, że władze zabiegają o dodatkowe ściągnięcie z rynku około 5-7 miliardów złotych rocznie. Czy jednak te „skromne potrzeby” poprawienia bilansu, realizowane znów w postaci coraz szerszego obwodu spirali cen nie spowodują ostrych reakcji społeczeństwa pełnego nieufności do władzy...?

Gierek nie może wykluczać takiej możliwości. Gierka dręczą wątpliwości, świadczy o tym przegląd spraw chociażby policyjnych.

Po rzeczywistych przełomach politycznych w krajach „socjalistycznych” obserwowano zawsze ograniczenie wpływów policyjnych; tak było po XX. antystalinowskim zjeździe KPZR w Związku Sowieckim, tak było po Październiku w Polsce. Natomiast w sytuacjach, gdy rzekome zmiany polityczne uwierzytelniają jedynie przesunięcia personalne — policja z reguły unika redukcji osobowych i budżetowych; to zjawisko obserwowaliśmy na Węgrzech w 1956 roku, w Czechosłowacji 1968 roku — obserwowamy w Polsce pogrudniowej.

Z kierownictwa MSW usunięto pod różnymi pretekstami pomoczarowskich generałów i pułkowników. Szereg wiarygodnych informacji wskazuje na toczącą się w MSW czystkę i na ostrą kuratelę sekretariatu KC nad tym najgroźniejszym aparatem władzy.

Jednocześnie stany etatowe milicji i służby bezpieczeństwa rosną, tworzy się nowe jednostki zmilitaryzowanej policji. Powiększa się wydatki na policję. Jest to reakcja typowa dla władzy niepewnej poparcia społeczeństwa i popularności, niewierzącej w realność proklamowanych rozwiązań społeczno-politycznych i gospodarczych.

Rok panowania Gierka upływa więc pod znakiem groźnego memento dla ludności i groźnego w skutkach — jak uczy doświadczenie — poczucia zagrożenia panującej ekipy.

Gierek osobiście odparowywał wielokrotne ataki i krytyki



pod adresem policji oraz prokuratury i sądownictwa, pozostających na usługach MSW, Gierek osobiście odmawiał nawet moralnej satysfakcji robotnikom rozstrzelowanym na ulicach miast, większe znaczenie przywiązując do sprawności i spójności policji. W tych warunkach świadectwo szczecińskiego korespondenta (patrz *Kultura* nr 11, 1971) o wysokich premiach dla MO i służby bezpieczeństwa określają niedwuznacznie kontynuowanie starego kursu gomułkowskiego: policja jest ostatnim, pewnym oparciem dla władzy. Jej rozrost i aktywność powinny odebrać wszystkim warstwom społecznym ochotę do demonstrowania sprzeciwu. Zawodność tej polityki, przypięczętowana wybuchem na Wybrzeżu, nie skłania nowej ekipy biurokratycznej do żadnej rewizji kursu. Do tego potrzeba nie tylko jasnej perspektywy i świadomości realności celów ale przede wszystkim tego, co w ludowych formach rządzenia nie istnieje: zaufania do społeczeństwa, wiary w jego dojrzałość i skłonności do rzetelnej więzi z rządzonymi. Uczciwa rewizja politycznego kursu, to zmiana struktury politycznej — w pierwszym rządzie przez usamodzielnienie przedstawicielskich organów robotniczych (związki zawodowe, rady robotnicze), przez dopuszczenie do głosu wybieralnych reprezentacji ludności (w radach terenowych i sejmie), przez ograniczenie rzeczywistego zakresu uprawnień policji politycznej, przez ograniczenie funkcji aparatu partyjnego na rzecz organizacji partyjnych — z jednej strony i organów państwowo-administracyjnych — z drugiej.

Niczego z tych przedsięwzięć Polacy nie doczekali się; nikt im żadnych nadziei na takie zmiany nie robi. Pozostaje więc wzmocnienie kordonu policyjnego na wypadek gdyby znów przysła im ochota na drastyczne konfrontacje z władzą.

W 1971 roku nie brakło dowodów, że przedsięwzięcia nowej ekipy nie rozbroiły ducha sprzeciwu.

W oficjalnym pochodzie pierwszomajowym w Gdańsku stocznicy nieśli symboliczną trumnę na przypomnienie masakry.

W stocznicach Gdańska i Szczecina działa nowy aktyw społeczny, wyrosły w czasie walk. Miejscowe organizacje partyjne nie mogą odzyskać przedgrudniowej władzy nad załogą i kierownictwem administracyjnym.

Konformistyczna w gruncie rzeczy organizacja literatów postulowała zwolnienie z więzień Kuronia i Modzelewskiego, najwyższych autorytetów „goszystowskich” Polski, których politycznym zapatrywaniem literaci faktycznie nie udzielają poparcia, oraz więźniów z tzw. procesu „taterników” — ludzi również odległych od światka literatury i sztuki.

Jawną kpina przyjęto w kraju próbę wywołania psychozy

społecznej, zagrożenia przy pomocy rzekomego „asa wywiadu”, Czechowicza.

Najlepszy miernik nastrojów społecznych — nasłuchiwanie audycji radia „Wolna Europa” — skłonił władzę do ponowienia zagłuszania.

Polityka odprężenia europejskiego i sowieckie otwarcie w kierunku Izraela zmusiły do rezygnacji ze straszaków syjonistyczno-imperialistycznych, które w różnych konfiguracjach i układach, o różnym natężeniu i zabarwieniu, od 27 lat sprzyjały umacnianiu swoistej formuły konsolidacji „patriotycznej”. Powstała pustkę propagandową na melodyjkę „anty” wypełnia coraz bardziej sceptycyzm i sprzeczne z oficjalną wykładnią partyjno-propagandową komentowanie międzynarodowej i wewnętrznej polityki. Wyciągnięty z lamusa straszak „prywatnej inicjatywy” nie może zrównoważyć tamtych braków propagandowych tym bardziej, że opinia publiczna nie ma już najmniejszych złudzeń w sprawie rzeczywistych powiązań „prywaciarzy”, aferzystów gospodarczych z aparatem biurokratycznym.

W pierwszych 2-3 miesiącach nowej władzy wydawało się odległym obserwatorom, że Polska wkracza w czas pokoju religijnego. Episkopat polski oddał wielką usługę pogomułkowskiej ekipie — z całą powagą odpowiadając na jedno jedyne zdanie o stosunkach między państwem a kościołem w pierwszym publicznym przemówieniu I. Sekretarza. Episkopat jeszcze w czasie wypadków grudniowych ogłosił apele do wiernych o zachowanie spokoju wraz z wyrazami nadziei na lepszą przyszłość kraju.

Polski episkopat daleki jest od modnego „lewactwa” katolickiego, bardzo powściągliwie odnosi się do watykańskich projektów i dążeń ułożenia stosunków z państwami komunistycznymi uchodzą za konserwatywny i mało elastyczny. W tych warunkach niespodziewana gorliwość i szybkość odzewu dostojników kościelnych skłaniała do przekonania, że za ich apelami o zgodę narodową i rezygnację z akcji sprzeciwu kryją się poważniejsze, nieujawnione jeszcze zapewnienia władzy o gotowości uchylecia ograniczeń i dyskryminacji Kościoła, które między Październikiem a Grudniem praktycznie przywróciły stan niewiele różniący się od stalinowskiego.

Optymistów spotkał chwilowy zawód. Poza uregulowaniem spraw własności kościelnej na Ziemiach Odzyskanych żadne poważniejsze akty nie nastąpiły. Zabiegi Watykanu i Episkopatu Polskiego o nawiązanie stosunków między Warszawą a Watykanem okazały się bezowocne. Zamierzoną wizytę papieża w Polsce Warszawa odrzuciła mimo pełnego przeświadczenia, że ten wyjątkowy akt wiązałyby się z błogosławieństwem Polski takiej, jaką

ona jest czyli z umocnieniem autorytetu biurokratycznej władzy w środowiskach katolickich.

A może idzie jedynie o cenę „przetargową”? Za tą hipotezą przemawiałyby ostatnie posunięcia Watykanu (wizyta Mgr Casaroli w Warszawie itp.). Zdecydowała o tym na pewno nie obawa o wzrost wpływów kościoła w Polsce. „Kościół cierpiący” ma o wiele więcej walorów w oczach Polaków, niż kościół aprobujący władzę. Zdecydowała raczej obawa, że zgoda na odprężenie zrozumiana zostanie w Polsce jako przejaw słabości. Słabi zawsze najbardziej obawiają się takich opinii; wołają policyjne pozory siły od rozsądnych rozwiązań politycznych.

Dobiegający końca rok przyniósł radykalną zmianę w drażliwej sprawie wyjazdów zagranicznych. Od wielu lat na międzynarodowych szlakach nie spotykało się tylu Polaków co w 1971 roku. Sprawa w Polsce ważna, jako że jedna trzecia Polaków — około 10 milionów — stale zamieszkuje poza granicami kraju, a rodzinno-narodowe sentymenty emigrantów polskich są wręcz przysłowiowe. Szczególną wymowę polityczną — jako „dowody wolności” — miały zezwolenia na turystyczne i kulturalne wojaże ludzi literatury, sztuki, nauki. Znacznej ich części — przede wszystkim uchodzącej za „jawnych przeciwników” — udzielono paszportów wyjazdowych.

Otwarcie granic jest jednym z istotnych elementów kokieterii, jaką zastosowała nowa władza wobec środowisk kulturalnych. Była to swoista „nagroda” za pozostawienie zrewoltowanych robotników bez poparcia, za powstrzymanie się — literatów, naukowców, dziennikarzy — od demonstracji publicznych, jakie niejednokrotnie zdarzały się za czasów Gomułki. Tym razem nie wyrażono ani jednego protestu na piśmie, poza odosobnionym głosem odsuniętego na boczny tor publicysty, komunisty — Romana Jurysia, nie odezwało się żadne potępienie władzy i konformizmu środowisk inteligenckich. Marcowa lekcja 1968 roku okazała się skuteczna. Praca Bermana, Bieruta, Kliszki, Moczara, Gomułki, Kępy, Kociołka, Starewicza, Kraški i innych partyjnych „specjalistów od kultury” nie poszła na marne. Owoce zbiera Gierek. Garstce „prominentów kultury” okazuje on łaskawe oblicze — nie rezygnując jednocześnie z dalszego opierania się na prowokatorach i zamordystach. A więc nastąpiło przeniesienie zwłok wybitnego nonkonformistycznego historyka-literata Pawła Jasienicy do alei zasłużonych na Powązkach, ale zarazem awansowano „literata-pogromszczyka” — Wiesława Rogowskiego z nieprzyjaznego mu Szczecina na stanowisko naczelnego redaktora centralnej agencji partyjnej. A więc uchylono zakaz publikacji i wydawania dla czołwki polskich pisarzy i publicystów jednocześnie z „ułaskawieniem” trubadurów polsko-komunistycznej odmiany

faszystów — Gontarza i Walichnowskiego. A więc zagrano na sentymentach narodowych, zezwalając na odbudowę zamku warszawskiego, zburzonego przez hitlerowców, ale na czele komitetu odbudowy postawiono Józefa Kępę. Gest w lewo, ukłon w prawo — każdy, kto dąży do dobrych stosunków z nową ekipą może dobrać odpowiednie argumenty, świadczące za Gierkiem... i własnym spokojem. Inteligencji a.D. 1971 to wystarczy. Tradycyjne „sumienie narodu”, spadkobiercy „z urzędu i miejsca zamieszkania” Norwida, Mickiewicza, Sienkiewicza i Wyspiańskiego, Matejki i Chopina, Mochnackiego i Śniadeckich obnoszą po zagranicach uśmiechy zadowolenia 5-dolarowych globtrotterów i okrągłe zdania rozpoczynane od „ale...”, „jednak...”, „należy...”, których z równym powodzeniem mogliby nie kończyć — wiadomo o co chodzi. Gierek nie szuka nawet ich poparcia, zadowala się ich konformizmem i społeczną obojętnością. Obie strony wydają się być zadowolone.

Polityka zagraniczna — bez zmian. Chyba, jeśliby przywiązywać większe znaczenie do zmiany ambasadorów — polskiego w Moskwie i sowieckiego w Warszawie. Pierwszy z nich — Zenon Nowak — należy do starej kadry, wyedukowanej w szkole sowieckiego wywiadu. Jako wicepremier PRL, czy okresowo nawet członek Biura Politycznego, niezmiennie orientował się na dogonną przyjaźń z Krajem Rad według stalinowskiej koncepcji. Drugi jest człowiekiem nowym w sowieckiej dyplomacji. Poza polskim brzmieniem nazwiska i imienia — Stanisław Piłatowicz — nie wyróżnił się niczym spośród tłumu sowieckich biurokratów partyjnych. Po wielu prominentach sowieckich rezydujących w Polsce, jak Lebediew, Aristow, czy obecny ambasador w Paryżu, nowy ambasador niejako zapowiada udzielenie kredytu zaufania Gierkowi przez Kreml.

Słabo zorientowani w sowieckich metodach twierdzili, że Kreml traktuje Gierka jako interrexa, aż do wylansowania bardziej godnego zaufania kandydata. Breżniew, Kosygin, Podgorny nie kultywują słowiańskiej naiwności, którą zdają się im przypisywać jedynie słowiańscy obserwatorzy. Gierek w poprzednim okresie nie był dobrze widziany w Moskwie, ale z trzech względów co najmniej jest tam dobrze widziany od grudnia 1970 roku:

- zarówno on sam jak i jego dostojni partnerzy zdają sobie sprawę, że musi zdobywać zaufanie „stolicy internacjonalizmu” gorliwymi zabiegami — w obawie przed dotkliwymi dowodami „przyjaźni”;
- w danych warunkach ekonomicznych i politycznych — również międzynarodowych — żaden z potencjalnych kandydatów do władzy w PRL nie może zdobyć się na samodzielny manewr, niechętnie widziany w Moskwie;

— spośród kilku ewentualnych następców zgranego do nitki i ciężącego już kulą u nogi nawet samej wielkiej trójce kremłowskiej — Gomułki, Gierka — mimo wszystkich mankamentów — wydawał się najlepszy.

Dowodem łaski sowieckiej w myśl ewangelicznych zasad jest chleb. Gierka w towarzystwie Jaroszewicza uzyskał natychmiast po obaleniu Gomułki największy w historii PRL zastrzyk zbożowej pomocy — 1,5 miliona ton. Kto akt ten wiązałyby li-tylko z obawami, od których nie jest wolny także Kreml — niechże przyjmie do wiadomości, że właściwymi podpisami zaopatrzone już umowę o dostawę takiej samej ilości zboża w roku 1972. Może nawet będzie to pszenica przywieziona wprost z Kanady, gdzie ZSSR zakontraktował pięciokrotnie wyższy kontyngent zakupów. Oczywiście płaci zań twardymi dewizami, chociaż Polska uregułuje rachunek w naturze.

Dla ścisłości kronikarskiej odnotujmy jeszcze dwa inne „sukcesy”: polski delegat w ONZ głosował za albańskim wnioskiem w sprawie chińskiej a polski węgiel powędrował do Hiszpanii dla złamania strajku górników w Asturii.

I może jeszcze jeden fakt, choć wypływający nie tyle z dyplomatycznej aktywności PRL, co z dialektyki współczesnych stosunków międzynarodowych: międzynarodówka socjalistyczna uchyliła się od zajęcia stanowiska w sprawie rozprawy z robotnikami polskiego wybrzeża. A zachodnie związki zawodowe z amerykańskimi na czele, odrzuciły wszystkie sugestie pomocy dla polskich robotników, wysuwane z wielu stron, m.in. przez *Kulturę*. Ostatnio socjalistyczna Międzynarodówka wykluczyła ze swego grona przedstawicieli emigracyjnych partii socjalistycznych.

Na tym pełną listę osiągnięć międzynarodowych PRL w roku 1971 można spokojnie zakończyć.

W dziedzinie gospodarczej niewątpliwym osiągnięciem było jakie-takie zapełnienie sklepów artykułami masowej konsumpcji, w każdym razie w wielkich miastach, i to mimo przywrócenia dawnych cen żywności.

Niewątpliwym sukcesem było zwiększenie produkcji, — w wyniku zobowiązań robotniczych, wykorzystania zatajonych przed administracją gospodarczą rezerw produkcyjnych i uchylenia restrykcji zatrudnienia.

Niewątpliwym sukcesem było odsunięcie widma bezrobocia, jakie zawisło nad różnymi ośrodkami przemysłowymi. I w tej dziedzinie doniosłe znaczenie miało stanowisko sowieckie, wyrażające się w gotowości zakupu większych ilości przemysłowych wyrobów konsumpcyjnych, które na rynkach zachodnich i w kraju nie znajdowały zbytu.

Jednakże najbardziej obiecującym osiągnięciem stała się dość

realna nadzieja na zwiększenie pogłowia trzody chlewnej, na którym — o wiele szybciej niż za Gomułki — przyrasta upragniona masa mięsna. Rok 1971 minął pod znakiem zakupu mięsa w krajach kapitalistycznych, ale wydatki te będzie można zrekompensować eksportem wieprzowiny, chyba już w przyszłym roku. Jego wielkość zależeć będzie od sytuacji społeczno-politycznej w kraju: spokój — zapisze się większym kontyngentem sprzedanym za dolary; niepokój — obniży odpowiednio polskie wpływy dewizowe. Kto jednak w Polsce potrafi właściwie odróżnić spokój od niepokoju i na tej podstawie bilansować wpływy dewizowe państwa?

W rolnictwie nowa ekipa zdobyła się na szerokie przedsięwzięcie perspektywiczne. Ogłoszono likwidację dostaw obowiązkowych, ostatniej pozostałości komunizmu wojennego, która wciąż jeszcze gnębi rolników całego skolektywizowanego obszaru komunistycznego. Zapowiedziano układanie stosunków ekonomicznych z prywatnym sektorem rolnictwa na zasadzie podatkowych rozliczeń oraz kształtowanie cen płodów rolnych na podstawie gry rynkowej. Obiecano chłopom także szereg udogodnień, w tym pomyślnie rozwiązanie sprawy ubezpieczeń społecznych.

Ludziom rozpatrującym kwestię jednostronnie wyda się rzeczą zastanawiającą „nagrodzenie przywilejami” poważnej (około 9 milionów) grupy społecznej, która nie uczestniczyła w wypadkach grudniowych i nie przyczyniła się do umiarkowanej — ale jednak — zmiany sytuacji politycznej. Akt ten nie wyda się niespodziewany jeżeli zważyć, że:

- władza „ludowa” nie lubi nagradzać tych, którzy ją do czegośkolwiek zmuszają; nagradza spokojnych i ustępliwych;
- w przekonaniu władzy „ludowej”, opartym na doświadczeniach okresu stalinowskiego, z chłopstwem trzeba grać, czyli nie wprowadzać go w stan beznadziejności, bo bierny opór wyrządza więcej szkody gospodarce narodowej, niż drobne ustępstwa;
- opinia publiczna o przewadze chłopskiej świadomości żywo reaguje na akty wobec rolnictwa. Tym bardziej, że symptomem współczesności jest niedostatek środków żywnościowych;
- dochody pieniędzy rolników, szczególnie małorolnych i o rodzinach wieloosobowych, w ostatnich latach uległy niebezpiecznemu ograniczeniu na skutek niepomyślnych urodzajów, ograniczeniu hodowli w związku z niedostatkiem paszy oraz wobec ograniczenia możliwości zatrudnienia i zarobkowania poza własnym warszatem rolnym (w przemyśle, budownictwie, transporcie itp.), gdzie „chłopi-robotnicy” uzupełniali niewystarczające dochody. Kryzys zatrudnienia zawsze w wa-

runkach polskich najmocniej godzi w robotników pozamiej-  
skich, właśnie w „chłopów-robotników”;

— nadzieja na osiągnięcie wyższych dochodów dzięki likwidacji  
dostaw obowiązkowych przyczyni się do wykorzystania róż-  
nych — w sumie jednak niezbyt wielkich — rezerw produk-  
cyjnych w gospodarstwach średnich i większych. Wiąże się to  
m.in. z zatrudnieniem pewnej ilości pracowników najemnych  
w gospodarstwach chłopskich, co nie jest bez znaczenia w  
obecnej sytuacji na rynku pracy.

A więc — pomijając dalsze względy — „akt łaski” — zwol-  
nienie od serwitutów komunizmu wojennego nie jest bynajmniej  
nagrodą za potulność, chociaż w warunkach napiętych stosunków  
z klasą robotniczą zneutralizowanie chłopstwa ma także doniosłe  
znaczenie polityczne: robotnik opuszczony przez inteligencję i spo-  
tykający się u chłopów z przychylnością dla władzy, łatwiej  
przyjmie rozwiązania przez nią proponowane, niż gdyby czuł po-  
parcie innych warstw społecznych...

Prognozy na przyszłość wykraczają poza temat niniejszego ko-  
mentarza. Czytelnik zechce usprawiedliwić wypowiedzenie jed-  
nej tylko myśli, związanej właśnie ze zwrotem w polityce rolnej.  
Otóż jego skutki staną się w pełni zrozumiałe dopiero za dwa  
lata. Domniemane błogosławieństwo chłopskiego rolnictwa okaże  
się pociągnięciem taktycznym, w wyniku którego zabraknie wsi  
polskiej okazji do radości. Chłop i jego poplecznicy, wychwa-  
lający odwagę aktualnej władzy na podstawie oceny dotychczas-  
wych stosunków rynkowych, rychło przekonają się, że monopol  
zbożowy państwa „ludowego” nie musi korzystać z instrumentu  
obowiązkowych dostaw, aby ograniczać dochody chłopskie, nie-  
bezpieczne z punktu widzenia „równowagi społecznej” i „równo-  
wagi rynkowej”. Wysokie dostawy pszenicy z ZSSR pozwolą  
władzy dyktować niskie ceny na polskie zboże i odpowiednio do  
nich dostosowywać ceny żywca wieprzowego. Nacisk podatkowy,  
dziś przyjmowany jako zapowiedź „odnowy”, już w 1973 roku  
zacznie budzić gorycz.

Nowa polityka rolna PRL kończy etap naiwnych nadziei Go-  
mułki na samowystarczalność zbożową Polski bez wspomżenia  
rolnictwa odpowiednią pomocą techniczną i organizacyjną. Kończy  
etap relatywnego uprzywilejowania chłopstwa przez stworzenie  
warunków, w których spożywanie kur nie wynikało już z obłożnej  
choroby gospodarza albo z dogorywania kury.

W warunkach permanentnego niedostatku żywności było to  
poważne uprzywilejowanie. Robotnicy polscy oszczędzają na zo-  
ładku, cieszą się mięsem 2-3 razy w tygodniu. Nowa polityka  
rolna wydaje się zapowiadać na niedaleką przyszłość zrównanie

diety chłopskiej i robotniczej w rzeczywistości, a nie w tenden-  
cyjnych opracowaniach Instytutu Ekonomiki Rolnej na ten temat.

Utrzymywanie znaczniejszych różnic między różnymi war-  
stwami ludzi pracy nie mieści się w samej koncepcji „socjalizmu”.  
Jego wyróżnikiem jest różnica między położeniem biurokracji i  
sprzężonych z nią środowisk a całą resztą społeczeństwa.

Jak dotychczas nic nie wskazuje na najmniejsze bodaj próby  
ograniczenia dochodów warstw pasożytniczych. Radosne meldun-  
ki Ministerstwa Finansów o przyroście zasobów gotówkowych  
i oszczędnościach ludności utrzymują się pewnie w podobnej tona-  
cji, co za ubiegłe lata. Sto, z grubym okładem, miliardów złotych  
tworzy fałszywy obraz Polski sytej i zasobnej. Dokładna  
analiza społeczna ciułaczy pozwoliłaby nawet samemu Gierkowi  
w innym świetle obejrzyć rzeczywistość: przytłaczającą część na-  
gromadzeń pieniężnych przypada na konta biurokratów, podobnie  
jak inne zmaterializowane już w domach, willach, samochodach,  
dziełach sztuki, ukryte w udziałach w przedsiębiorstwach prywat-  
nych. Do tych rezerw Gierk nie dobierze się jednak. Pomyśl-  
ność ich posiadaczy jest identyczna z utrzymaniem reżymu.

Czy ograniczenie dochodów chłopstwa zbiegnie się ze zdje-  
ciem części ciężarów z ramion robotniczych? Tego przewidzieć  
nie można.

Dzięki nagraniu magnetofonowemu uzyskaliśmy dowód, że  
Gierk i jego ludzie traktują robotników jak głupców. Tylko tak  
wypada tłumaczyć duby smalone i prymitywne kłamstwa jakimi  
potraktowali delegatów stoczniowych i załogę oddaloną od sali  
o długość przewodów głośnikowych. Ale z przeglądu tych kłamstw  
i wykrętów, z samego pojawienia się w strajkującej stoczni i ze  
sposobu prowadzenia „dialogu” wynika jeszcze jedna, głęboko  
skrywana i o wiele istotniejsza dla Polski prawda: **JEDYNĄ  
SIŁĄ, KTÓREJ SIĘ WŁADZE ISTOTNIE BOJĄ I PRZED  
KTÓRĄ USTĄPIĄ SĄ ROBOTNICY. OD ICH PODSTAWY  
JEDYNIEM ZALEŻĄ ICH WŁASNE LOSY.**

Ewa WACOWSKA

Powyższe studium jest fragmentem książki pt. „Rewolta szczecińska i jej  
znaczenie”, która ukaże się w ciągu stycznia rb. w serii „Dokumenty”.  
Książka będzie zawierała m.in. stenogram z 9-ciogodzinnego spotkania Gierka  
ze stoczniowcami w Szczecinie, w styczniu 1971, wraz ze szczegółowymi ko-  
mentarzami i licznymi aneksami.

## Między "Gartenlaube" a Tupamaros

(OPOWIEŚCI Z TEUTOŃSKIEGO LASKU)

Jedno jest pewne: że nic już nie jest pewne. Od lat w wyobraźni zbiorowej piastowane schematy rozwarstwień społecznych rozklejają się. Niejedna prawidłowość zaczyna chromać. Ulubione typowości nie wytrzymują konfrontacji z rzeczywistością.

I tak w samym sercu Berlina Zachodniego dochodzi czasem do batalii ulicznych między robotnikami, głównie budowlanymi, a bojówkami skrajnie lewicowej młodzieży studenckiej, głoszącej — między innymi — hasło emancypacji klasy robotniczej.

Ironia losu chce, że ten czy ów uskrzydłony chęcią walki z niesprawiedliwością społeczną asystencik uniwersytetu, przeważnie socjolog lub filozof, nie tracąc pobożnej nadziei, że „robotnicy wreszcie ruszą”, dostaje po głowie od dwa razy więcej od siebie zarabiającego kierowcy dźwigu budowlanego, a więc — o zgrozo! — właśnie od tego, któremu pragnie zapewnić lepsze warunki bytowe. Hadkie nieporozumienie. Altruista przez rzeczywistość wyszydzony wycofuje się z pola walki pod ciosami czarnego niewdzięcznika. *Undank ist des Menschen Lohn* — rzecze poeta.

Sam widziałem na własne oczy jak grupa robotników, zatrudnionych przy wznoszeniu amerykańskiego hotelu w Monachium, darła ulotki, jakie próbowali jej wręczyć wysłannicy bawarskiej sekcji Tupamaros (a jakże, są i tacy!), bladzi chłopcy z fanatycznym błyskiem w oku, kto wie czy nie kandydaci na przyszłych Dantonów i Robespierrow, chociaż na razie kojarzą się nam jedynie z „Powrotem taty”: „włosy ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki”...

Dlaczego ich „akcja ulotkowa” zakończyła się fiaskiem? Chyba nie tylko dlatego, że tekst tych ulotek był zbyt literacki:

*Der Unternehmer heisst Unternehmer,  
weil er etwas unternimmt.  
Der Arbeiter heisst Arbeiter,  
weil er arbeitet.  
Würden die Arbeiter etwas unternehmen,  
müssten die Unternehmer arbeiten\*.*

Pomyłono adresata. Wykwalifikowani robotnicy, już upierzeni, rzekłbyś: Tuwimowi „straszni mieszczenie”, posiadacze książeczek oszczędnościowych, własnych domków jednorodzinnych z ogródkiem i garażem (nie wszyscy, oczywiście, ale większość), najwyraźniej lękają się politycznego awanturnictwa pięknoduchów w skórzanych kurtkach, w tych fotogenicznych kurtkach, które upodobnił ich mają do bolszewickich komisarzy lat dwudziestych. O żadnej tam rewolucji, rodzimej czy importowanej, zwolennicy kapitalizmu ludowego słyszeć nie chcą. Dyktatura proletariatu ich nie pociąga. Wolą chorowitą demokrację parlamentarną ze wszystkimi jej wadami od zdrowego jak byk państwa ludowego. Antywyborcze slogany anarcho-lewicowej APO (opozycja pozaparlamentarna) w rodzaju *Nur die allerdümmsten Kälber wählen ihre Schlächter selber* (Tylko najgłupsze cielęta wybierają swoich rzeźników) kwitują wzruszeniem ramion. Instykt drobnych posiadaczy mówi im, że trzęsienia ziemi niekorzystnie się odbijają na kontaktach oszczędnościowych. „Nie po tośmy przez tyle lat spalali raty za meble, by w razie jakiejś poważniejszej rozróby wszystko zaczynać od nowa”. *Keine Experimente!*

Dawniej mówiono proletariatu, że nie ma nic do stracenia — prócz własnych kajdanów. Ale dzisiaj, gdy fetyszym „klasy robotniczej” zwolna staje się anachronizmem, ów proletariat przemieniony w opętanych pasją konsumpcji „małych burżujów”, w chomików wierzących w Przenajświętszy Supermarket, ów proletariatu który dawno już przestał być w Niemczech Zachodnich proletariatem, ma do stracenia niejedno: lodówkę, pralkę elektryczną, samochód, telewizor, urlop na Maderze. I można mu jak dziecku tłumaczyć od rana do wieczora, że żyje i pracuje w kraju w którym bogaci stają się coraz bogatsi a biedni tylko nieco mniej biedni, że znalazł się w trybach systemu targanego wewnętrznymi sprzecznościami i skazanego przez historię na samozagładę, że ten względny dostatek, ta przejściowa ułuda zamożności, jaką się obecnie cieszy, łatwa jest do odwołania, nie przetrwa Wielkie-

\* Przedsiębiorca nazywa się przedsiębiorcą, bo musi coś przedsięwziąć. Robotnik nazywa się robotnikiem, bo musi robić. Gdyby tak robotnicy coś przedsięwzięli, to przedsiębiorcy musieliby wziąć się do roboty”.

go Kryzysu (który *powinien* nadejść jak Godot lub Mesjasz), jest tylko okupem lub napiwkem rzuconym z okien dyrekcji na fabryczne podwórko — ze strachu lub dla świętej zgody, że likwidacja walki klasowej i zawiści społecznej, to bałamutne solidarystyczne zawieszenie broni, leży w interesie tych „na górze” a nie tych „na dole”, że „nie samym chlebem”, że nie wszystko złoto co się świeci, że *Gastarbeiter*, chociaż otrzymują stawki o jakich marzyć nie mogli w Kalabrii czy w Andaluzji, nie powinni się gnieździć w barakach, że...

Wszystko na nic. Ten ex-proletariat, senny i ociężały, bo syty i w nowej skórce, niczym ta dziewczeczka somnabuliczna z ballady Mickiewicza, chociaż to dzień biały i miasteczko — nie słucha. Uszy palcami zatyka. Co gorsza: „dojrzałością” i „poczuciem odpowiedzialności” się chlubi. Dzikie strajki potępia. Biernością swoją niższe kręgi fabrycznej społeczności zaraża. „Racjonalne podejście do zagadnień” przeciwstawia emocji i ideologii. Razem ze związkowcami, ba: razem z pracodawcami, o wydajności i racjonalizacji pracy, o potrzebie zwiększenia eksportu i obrotów już nie tradycyjnym, robotniczym językiem mówi, lecz „nowocześnie” i „rzeczowo”, z pozycji „wspólnego interesu”, „rejsu w tej samej łodzi” i nadrzędnych trosk ogólnogospodarczej natury rozprawia. Jakby już żadnych barykad między pracą a kapitałem nie było, a darwinizm socjalny leży w grobie. Zapomniał gajowy jak kłusownikiem był. Nie ma już głodnych wilczurów w Wolfsburgu. Ani u Thyssena, u Kruppa czy Siemensu. Już nie szczerzą ostrych kłów. Gdzie spojrzeć, młeczne zęby. I bądź tu agitatorom komunistycznym!

— Nie dość, że nasz robotnik jest dowolnie manipulowaną ofiarą wyzysku wielkich monopolów — skarżył się niedawno jeden z zachodnio-niemieckich idealistów, złożonych dziecięcą chorobą lewicowości — to, co gorsza, on o tym nie wie! Zmącono mu świadomość.

W istocie: misjonarskie wycieczki młodych ideologów i teoretyków „*Rote Zellen*” w lud, do zakładów pracy, na połów sympatyków, na rozmowy z klasą robotniczą (sportowe wozy lepiej zaparkować w przyzwoitej odległości od bramy fabrycznej) niezadko kończą się porażką.

— Co dobre dla Boliwii czy Peru — odzywają się niechętnie głosy w świetlicy — wcale nie musi być dobre dla naszego kraju. Po co nam Tupamaros? Po co przemoc i terror? Po co niszczyć? Kto nam daje gwarancję, że to Nowe, zbudowane na gruzach Starego, nie będzie gorsze?

— Nie jestem robotnikiem — obruszył się jakiś malkontent — jestem spawaczem pierwszej kategorii! Zarabiam nieźle. Zarabiałbym jeszcze lepiej, gdybym się zgodził pracować dłużej. Ale

wolę mieć więcej wolnego czasu dla siebie, na próby zespołu big-beatowego.

— *Die Radikalistis sind immer gefährlich*. Radykalna lewica doprowadza do radykalizacji prawicy! — ociągają się majstrowie w rogowych okularach.

— Mówicie o cywilizacji przyszłości, o postępie społecznym a jednocześnie głosicie staroświeckie hasło sojuszu robotniczo-chłopskiego — krzywią się młodzi pracownicy. — Przecież za dwadzieścia lat nie będzie w tym kraju ani chłopów ani robotników. Będą tylko *Angestellte*.

— Ale zanim zbudujemy społeczeństwo bezklasowe... — upierają się przy swoim prelegenci.

Powtórzmy: nie łatwo jest dzisiaj w Niemczech Zachodnich pozyskać świat pracy dla komunizmu.

A jednak... A jednak rzecz nie obywa się bez „jednak”. Otóż mimo widocznego procesu de-proletaryzacji klasy robotniczej, mimo wyraźnej niechęci ludzi pracy do polityczno-społecznego programu rachitycznej, nie mogącej przeskoczyć pięcio-procentowej klauzuli, partii DKP (*Deutsche Kommunistische Partei*, twór nowy i dość sztuczny, nie nawiązujący do tradycji dawnej KPD), mimo robotniczych pięści tak spektakularnie spadających na kędziory bałamutujących się rewolucyjnie paniczyków, na ukostiumowanych dynamitardów maszerujących środkiem jezdni z portretami Mao, Che Guevary, Castro, Róży Luksemburg, Angeli Davis, Arafata, Trockiego i Stalina (cokolwiek niedobrane to towarzystwo!), nie można powiedzieć, by wpływy komunistyczne w Niemieckiej Republice Federalnej były dzisiaj — pomyśleć tylko: po wydarzeniach w Czechosłowacji i na polskim Wybrzeżu! — mniejsze niż w epoce Adenauera i von Brentano, kiedy to ironiści nad Renem proponowali zmianę hymnu niemieckiego na „*Deutschland über Dulles*”. Wręcz na odwrót: zmierzch zimnej wojny i związane z nim podporządkowanie motywacji ideologicznych wymogom *Realpolitik*, przyniosło w konsekwencji znaczny wzrost wpływów komunistycznych w tej luksusowej i okazałej budowlu, wzniesionej przed laty na dolarowych fundamentach.

W rzeczy samej: do paradoksów, jakimi usiane jest życie Niemiec współczesnych, należy rosnąca atrakcyjność komunizmu w państwie kapitalistycznym, cieszącym się dobrobytem, o jakim się Niemcom nie śniło w ciągu ich długiej i niespokojnej historii. Nie mamy na myśli — o czym już była mowa — świata pracy, lecz sfery intelektualne. Mamy na myśli rosnące wpływy komunistyczne w życiu kulturalnym, naukowym i artystycznym. Nie w życiu politycznym. Jeszcze nie. Chociaż i na to może przyjść pora, skoro *spiritus*, jak czytamy w Wulgacie, *flat ubi vult*. Histo-

ria zna przykłady zbiorowej manii samobójczej. Nie tylko pojedynczy ludzie, ale całe społeczeństwa postanawiają sobie czasem zaszkodzić, i to mocno. Niemieckie przysłowie powiada: *Wenn es dem Esel zu wohl ist, geht er aufs Eis tanzen*” Jeśli się osłu za dobrze wie dzie, zaczyna tańczyć na lodzie. I łamie przy tym nogę. To wszystko z nudów, wysoki sędzie? Nie tylko. Ale nuda i dobrobyt niezgorzej sprzyjają kiereńszczyźnie.

Wzrost wpływów komunistycznych w jednym z najbogatszych państw Zachodu? I to w latach *prosperity*? Mogłoby się wydawać, że to niemożliwe. Czyżby byt nie określał świadomości a nadbudowa, niczym balon kulisty, kapryśnie oderwała się od bazy? Czyżby empiria była czystym przywidzeniem? Alboż to za miedzą, w rządzonej przez komunistów części Niemiec, nie uczyniono wszystkiego, by zdepopularyzować tamtejszy model polityczny, by obrzydzić ludziom tamtejszy styl życia i kultury, ustrój i jego codzienną praktykę? Czy „głosowanie nogami” setek tysięcy bieżących, mur berliński, i strzały na granicy się nie liczą? Czym sobie wyjaśnić fakt, że najwięcej rewolucyjnych sekt spod znaku Sierpa i Młota (gdzie są Anno Domini 1972 robotnicy z młotami i chłopci z sierpami?) usadowiło się właśnie w Berlinie Zachodnim, w oknie wystawowym Wolnego Świata, na wysepce demokracji i dobrobytu, ze wszystkich stron oblanej czerwonym morzem? Chyba nie tylko, jak sądzą policjanci i nieprzejednani z koncernu Springera, „krecią robotą tamtej strony”?

Nawet gdyby nas miał spotkać niezasłużony zarzut macCarthyizmu czy malowania czerwonego diabła na ścianie, przemilczać nie wolno, że niemal w każdym większym mieście, głównie w Hamburgu, Frankfurt nad Menem, w Bremie, w Berlinie Zachodnim, rozwijają swą hektyczną działalność, jawną lub zakonspirowaną, liczne organizacje radykalne. Jest, doprawdy, w czym wybierać. „Szturmówki nowej lewicy”, APO, „Juso im Untergrund”, „akcja Rote Front”, „komuny”, „czerwone komórki”, „jaczki Mao”, „nowy Spartakus”, „przyjaciele Black Panther”, „Kollektiv Ernesto Che Guevara”, „Gruppe Pro-Vietnam”, „Proletarische Linke”, „Stadt-guerilla”, „deutsche Tupamaros”, „Rote Armee Fraktion in der BRD”. I tym podobne. Promoskiewskie, propękińskie, propółnocno-wietnamskie, prosiyryjskie, proalgierskie, propalestyńskie, leninowskie, trockistowskie, stalinowskie, luksemburgo-bucharinowskie, anarchistyczne, co kto woli. Tylko o Dubczeku głucho. Wiadomo: kontrrewolucjonista.

Jeśli robotnicy, chłopci i niezwykle silny „stan średni” w Mercedelandzie nie chcą słyszeć o komunizmie, to czy w ogóle warto zajmować się paru tysiącami terrorystów? Wiele hałasu o nic? Chyba warto, bo nosicielami ideologii nigdy nie są masy, lecz zdecydowana na wszystko mniejszość. Ci co świat chcieli przemeblo-

wać, zawsze zaczynali skromnie, od niedużej gromady. Tak powstawały religie i ruchy polityczne. I nikt z nas nie ma pewności, czy ten rozjuszony młodzian, który w tej chwili biegnie za oknem z transparentem „Lumumba żyje!” nie będzie kiedyś nowym Leninem lub... Rosenbergiem.

Większość aktywistów, nie zadawając się seminariami naukowymi, pragnie działać poza rogatkami uniwersyteckiego getta. Ideologia, na ulicę! Chociaż głoszą różne programy i ścierają się ze sobą, uważają że czas uderzyć w strunę drugą, w czynować stal. Jeśli się da, po hunwejbńsku. Z butelką benzyny w ręku. Jedyna rzecz, która została po Mołotowie, to ten jego *cocktail*. Zadnych tam dyskusji z tymi, którzy przekroczyli czterdziestkę. Szkoda czasu na podobny dwunożny niewypał determinant produkcyjnych. Nie pobażać cudzym poglądom. Na śmietnik z przechwałką Voltaire'a, że gotów jest umrzeć za prawo głoszenia poglądów z którymi się nie zgadzał. Liberalizm i tolerancja, jak wykryli znawcy (a raczej wulgaryzatorzy) myśli profesora Marcuse (nie mylić z doktorem Mabase!), to szczególnie perfidny podstęp „późno-kapitalistycznej *Repressive Gesellschaft*”. Przewrotność systemu leży w utrzymywaniu niebezpiecznej fikcji, iż może on ulec zmianie na lepsze, skoro wolno dyskutować...

Zatrzymajmy się na chwilę przy tej duchowej spizarce zbuntowanych.

Dutschke, Negt, Agnoli, Lefèvre, Rabehl i inni ideologowie bojowej lewicy SDS z lat 1964/65 dzisiaj już nie mają bezpośredniego wpływu na następne roczniki. Nic się tak szybko nie starzeje jak studenckie rebelie. Student po kilku latach przestaje być studentem. Jeśli się nie poświęci karierze naukowej, rozluźnia swoje węzły z towarzyszkami walki. Działająca w podziemiu „Rote Armee Fraktion in der Bundesrepublik” wyminęła już zresztą ideologów z lat sześćdziesiątych — z lewej strony, dochodząc do przekonania, że nadmiar dyskusji odwodzi bojowców od „akcji bezpośredniej”. Niemniej jednak podstawowa teza o moralnym legitymizmie terroru w walce z systemem kapitalistycznym, którą Dutschke oparł na pismach Marcuse, dla większości organizacji skrajnie lewicowych nic nie straciła ze swej aktualności.

Mimo współczucia dla losu, jaki spotkał Dutschkego (ciężko zraniony przez młodego neohitlerowca, przebywa za granicą) nie można pominąć milczeniem wskazań, jakich udzielał swym zwolennikom:

„Tylko przez przełamanie reguł gry panującego systemu kapitalistycznej przemocy można doprowadzić do jego zdemaskowania. Gdy zaatakujemy jego system nerwowy (parlament, urząd podatkowy, trybunały sądowe, redakcje koncernu Springera, „America-House”, komisariaty policji, koszary, poselstwa pew-

nych krajów) bądź w formie jawnych demonstracji bądź też działalności zakonspirowanej, system oparty na przemocy ukazuje swoje prawdziwe oblicze" („Die neue Opposition", Rowohlt-Verlag, 1967).

Zalecenia te wyraźnie nawiązują do głośnej pracy Herberta Marcuse „Repressive Toleranz" (1965) o naturalnym prawie każdej mniejszości do zbrojnego oporu:

„Stosując przemoc, mniejszość wcale nie dodaje nowego ognia do łańcucha aktów przemocy, lecz przykładą ręki do zniszczenia już ustalonego systemu gwałtu. Narazając się na odwet, zna tym samym ryzyko, jakiego się podejmuje, a skoro się go nie lęka, żaden czynnik trzeci, żaden pedagog czy intelektualista, nie ma prawa wzywać jej do rozważliwej lub bierności”.

— Nie należy jednak przywiązywać większej wagi do tej partytury — mówi mi jeden ze zbuntowanych. — To nie Ewangelia, „Mein Kampf" czy czerwona książeczka tow. Mao! My byśmy się i bez tego ruszyli. Pewne rzeczy po prostu unoszą się w powietrzu...

Cokolwiek się krytycznego powie o obecnym państwie zachodnio-niemieckim, a powiedzieć dałoby się niejedno, przyznać trzeba, że niewiele jest dzisiaj krajów na świecie, w których by tak uczciwie przestrzegano praworządności, jawności życia publicznego, demokracji, swobód obywatelskich i wolności ludzkich. Korzystają z tych swobód nawet ci, którzy im zagrażają.

Gdyby radykalni ultralewicowcy, którzy pod względem numerycznym stanowią mniejszość słabszą od skrajnej prawicy, nie korzystali z aż nadto życzliwej neutralności sił demo-liberalnych, stale domagających się tolerancji dla swych przeciwników, zasięg ich wpływów byłby bez porównania węższy. Ale demo-liberalne siły społeczne i polityczne, z natury swej immobilne, nie tylko tolerują ekscesy ultralewicowców, nie tylko udostępniają jej pudła rezonansowe w postaci środków masowego przekazu, lecz jeszcze są po cichu dumne z jej ruchliwości.

No, proszę: przez tyle lat mówiono za granicą, że Niemiec-rewolucjonista nie zajmie dworca kolejowego bez wykupienia peronówki, a tu nasi chłopcy odważnie depczą trawniki! Francuzi mają swoją *gauche prolétarienne*, Sartre rozdaje na ulicy egzemplarze „La cause du peuple", „paryski Maj" omal nie wyrócił systemu za burtę, włoscy studenci razem z robotnikami zarekwirowali kamienicznikom domy na Via Tibaldi, Mediolan i Turyn kipi, a my od macochy? Niechaj narodowie wždy postronni znają, że piwośze nie gęsi: własnych Tupamaros mają! Nie mówiąc już o tym, że zamieszki uliczne są fotogeniczne, „rrrewolucja jako towar", dreszczyk w kolorach, na szklanym ekranie i płachtach

ilustrowanych tygodników, nieźle się sprzedaje. Przypomina się szydercze zdanie Lenina o kapitalistach zachodnich: że pierwsi nadesłali swe oferty, gdy rewolucja rozpisze przetarg na dostawę stryczków na burżujskie szyje.

Kto dąży do realizacji swych celów politycznych przez akty gwałtu, podpalanie domów towarowych, branie zakładników, odbijanie więźniów, uderzanie na banki (napad na bank, świątynię naszych czasów, jest zamachem na sferę przeżyć religijnych) nie może, rzecz prosta, cieszyć się sympatią nawykłego do ładu i porządku społeczeństwa, ale...

Ale wywiera wręcz magiczny urok na wielu literatów, naukowców, artystów, zwłaszcza na tych, którym szczególnie doskwiera własna niemożność. Trafnie spostrzeżono, że mieszczański czytelnik w Lipsku, zachwycając się w roku 1799 romansidłem brukowym Vulpiusa o kapitanie zbójców, szlachetnym bandycie Rinaldo Rinaldinim, kompensował swoją polityczną bierność. Także i dzisiaj niejedna dusza artystowska z zakatarzonym *libido dominandi* chciałaby do raju terrorystów, lecz lęka się własnej odwagi. Siodła więc hestera — na biegunach!

Swoista aberacja psycho-mentalna utuczonych beneficjentów systemu kapitalistycznego filistrów z czerwoną gwiazdą wyhaftowaną na sercu, przejawia się we wręcz masochistycznym poszanowaniu cudzych „konieczności", faryzejskiej wyrozumiałości dla motywów drugiej strony i załganym nadobiektywizmie. Wiadomo: szanujmy cudze argumenty bardziej od własnych. *Fair play* co się zowie. A więc:

— „Powiedzmy sobie szczerze" — powiadają ze wzrokiem szlachetnie wbitym w niebo — że gdyby Ulbricht nie zbudował muru w Berlinie, to by mu wszyscy uciekli...

— „Trzeba obiektywnie stwierdzić", że gdyby Chruszczow nie stłumił na czas powstania węgierskiego, mogłoby dojść do reakcji łańcuchowej...

— „Bądźmy bezstronni": gdyby Breżniew nie poradził sobie z niesubordynacją Dubczeka — taką opinię wyraża bawiący się w socjalizm bogacz Nannen w swoim hamburskim tygodniku — doszłoby do trzeciej wojny.

A więc „tata musi". I tym razem musiał. Ulbricht, Chruszczow, Breżniew nie mieli innego wyboru. Na szczęście, nie ma takiego złego, co by na dobre nie wyszło. *Gesta Dei per Sovieticos*.

O podświadomej tęsknocie delikatnych duszyczek do gwałtu i nagiej przemocy, o wstydliwie ukrywanych westchnieniach liryków do bicepsów policjanta, o *homo skrobiens* i kulcie siły, napisano już niejedno. Więc może nie warto zanudzać czytelnika opisem radości, jaka zapanowała w pewnym salonie, gdy poja-



wiła się w nim osoba z aureolą rewolucyjnego bohaterstwa nad głową, autentyczna terrorystka z grymasem nienawiści klasowej na ostentacyjnie nieumalowanej twarzy.

Nigdy nie zapomnę, z jakimi nabożnym szacunkiem i nieukrywany podziwem odnoszono się przed kilku laty na wieczorze towarzyskim we Frankfurcie nad Menem, w eleganckim mieszkaniu cenionego eseisty, łagodnie lewicującego liberała, Horsta Krügera, do niezbyt inteligentnej arogantki, hurrapublicystki, Marie Ulrike Meinhof. Dlaczego właśnie do niej? Bo ta pani Meinhof nie tylko zerwała ze swym mężem „renegackim” redaktorem polit-pornograficznego magazynu „Konkret” (miał się, zaprzaniec, dopuścić zdrady rewolucji na rzecz złotego cielca), lecz jeszcze tytułem odwetu wysłała do jego willi pluton brodatych janosików, by potłukli porcelanę i załatwili swe potrzeby fizjologiczne w małżeńskim *cubiculum* politycznie niedobranego stadła. Tak się też stało. O bohaterskim czynie „rote Ulrike” mówiono w sferach intelektualnych z uznaniem od Helgolandu aż po Zugspitze. O tej heroinie, która dla dobra sprawy zrzekła się zamożnego męża i dwojga małych dzieci, wydrukowano w NRF miliony słów. Tak to już bywa z humbugiem, zwanym informacją dziennikarską: publiczność więcej się dowiaduje o chuligancie politycznej, tęskniącej do Herostratesowej eskapady, niż, dajmy na to, o chirurgu, który w klinice ocala komuś życie.

Obecni na tej *party* lirycy, prozaicy, krytycy literaccy i teatralni, młodzież politologiczna, lubo nie gustowali zbyt w obyczajowych perkusjach i ekshibicjach, patrząc na to szorstkie stworzenie z grzywką, wprost uginali się pod ciężarem swej bezbarwnej, nieheroicznej egzystencji, tak dalekiej od rewolucyjnej jedności słowa i czynu. Ej, unieść zadzio z fotela, odrzucić garb kompleksów, i pomaszerować z tą Ulrike na barykadę! Duch ochoczy, ale ciało mdłe! Jedynie Alfred Kantorowicz, pamiętam, stary komunista, „Hiszpan”, i ktoś, kto zbyt długo mieszkał w Warszawie, żeby się dać zwariować, nie ulegli fascynacji tej mini-Passionarii.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dodajmy, że ta niewydarzona Joasia Darczanka lewackiego Jet-Setu w rok później wzięła udział w zbrojnym napadzie na jeden z zachodnio-berlińskich instytutów naukowych, gdzie oswobodzono doprowadzonego z więzienia do czytelnego podpalacza domów towarowych, towarzysza Baadera. Chwileczkę! Dlaczego co drugi dzień doprowadzano tego polit-pyromaniaka z więzienia do pracowni naukowej? By mógł zbierać materiały do napisania pracy o zaletach leninizmu. Czy wobec bobasków tej maści stosuje się w brzydkim, kapitalistycznym piekle jakąś taryfę ulgową? Nic podobnego. Każdy obywatel, a więc i więzień, według konstytucji, ma prawo do swobodnego

rozwoju swej osobowości. A jak tu swobodnie rozwijać swoją osobowość bez znajomości pism Lenina? O przepustkę w prokuraturze dla Baadera wystarał się niejaki Horst Mahler, dość niezwykły adwokat, który po godzinach służbowych, po zdjęciu togi, przyklejał sobie, niczym Rinaldo Rinaldini, sztuczną brodę, nakładał perukę i hulał na mieście jako mały Napoleon komunistycznych bojówek. To nie żarty. To fakt.

Rezolutnej Ulrike i jej juhasom udało się wprawdzie odbić łąkającego wiedzy komunarda Baadera, ale podczas strzelaniny poraniono kilka osób. Obawiając się aresztowania uciekła do Iraku. Po jakimś czasie wróciła do NRF, gdzie nadal działała w konspiracji, ścigana przez policję. Podobno ukrywa ją jakiś sfrustrowany własnym bogactwem krezus-progresista, który chciałby pójść w ślady Feltrinello. Jej artykuł ukazał się w tygodniku „Der Spiegel”. Zwróciła się w nim z prośbą do młodzieży, by się nie patyczkowała z policją. Ukrywając się w komunistycznym podziemiu (bodaj że prochińskiej proveniencji) nakręciła film o domach poprawy dla dziewcząt i wydała na ten temat książkę, którą można nabyć w każdej księgarni.

Gdy dyrekcja telewizji ARD nie chciała wyświetlić filmu, nakręconego przez osobę, której fotografię oglądać można na listach gończych, kilku neurasteników uderzyło w prasie na alarm, że reakcjonisci gnębją wolność słowa i swobody twórcze. Dziwić się trzeba — pisali — że chociaż w Bonn rządzą socjaliści, w aparacie sprawiedliwości ciągle jeszcze straszą dinozaury o mentalności lokajów NATO. A wiadomo przecież, że póki NATO i antykomunizm nie znikną z powierzchni ziemi, nie będzie złotego wieku ludzkości...

Innymi słowy: patrz Kiereński na nas z nieba!

W takim klimacie, dodajmy na stronie, nie łatwo jest być emigrantem z Europy Środkowej i Wschodniej. Zwłaszcza, jeśli się nie chce mieć nic wspólnego z niewłaściwym sprzymierzeńcem: z wojującą prawicą, która niczego nowego się nie nauczyła, ale i niczego starego nie zapomniała, z tą niepoprawnie nacjonalistyczną Teutonią, co tak niedbale zmyła z siebie brunatną plamę. Ci wezmą cię za nasłanego przez tamtą stronę „bolszewika”. Podobnie jak tamci, ozdobieni frygijską czapczką, mają cię za kontrewolucyjne nasienie.

Mój znajomy, literat słowacki, póki mieszkał w Bratysławie, nieco inaczej wyobrażał sobie atmosferę, panującą w zachodniemieckim środowisku twórczym. Dzisiaj, po trzech latach emigracyjnej egzystencji w NRF, nie tai swego rozgoryczenia:

— Wszystko tutaj jest uregulowane jak dobry stolec. Giełdą literacką steruje Cyklop, ślepy na lewe oko. Wróg czai się dlań tylko na prawicy, nigdy zaś na lewicy. *Der Feind steht rechts.*

Słaby pisarz „reakcyjny” z reguły jest gorszy od słabego pisarza „postępowego”. To dogmat. „Reakcjonista” zaś jest najczęściej ten, kogo raz brak wolności i demokracji na wschodzie. Cyklop uważa, że sztuki teatralne o prześladowaniu Murzynów nie mogą być złe. Nawet jeśli je klecą analfabeci. Literat-rewolucjonista w ogóle nie potrzebuje pisać poprawnie, gdyż gramatyka, ortografia i interpunkcja są spuścizną klas ginących. Byłe grafoman z nadreńskiej Pipidówki, jeśli sobie w słowie i w piśmie użyje na amerykańskim imperializmie, może być dzisiaj pewien gorącego przyjęcia w Heidelbergu, na Sorbonie, w Harvardzie. Pewnie go i Pontificia Universitas Gregoriana w Wiecznym Mieście pogłosaławi. Duch czasów! Żaden renomowany kapitalistyczny wydawca w NRF nie przyjmie dziś maszynopisu skażonego bakcylem antykomunizmu. Paszkwil na amerykańską żołdatkę? Z przyjemnością. Kilka słów prawdy o narodach ujarzmionych przez Moskwę? Eee, po co drażnić niedźwiedzia? Jeszcze się obrazi i nie zechce lizać naszego miodu...

— Przesada — mruknąłem. — Przemawia przez pana normalne, emigracyjne rozgoryczenie. Każdy z nas przeszedł tę grypę.

Ale w tej samej chwili przypomniałem sobie jak to pewien wpływowy koryfeusz bawarskiej lewicy odmówił mi przed dwoma laty poparcia w zorganizowaniu wystawy obrazów Józefa Czapskiego.

— Mam do pana żal — drżał mu głos w telefonie. — Przemilczał pan przede mną, że on również pisze. Że graf, że emigrant, na to machnąłem ręką, to nie jego wina. Ale ten Herr Tschapsky, jak się dowiaduję, jest autorem książki „Unmenschliche Erde”... Już sam tytuł... Na domiar złego pisze w niej o Katyniu! W tej sytuacji... sam pan rozumie...

Zrozumiałem: kto pisze o Katyniu, nie może być dobrym malarzem.

Powtórzy: bez poparcia ze strony literackiego salonu, bez owacji tych lewicowo-postępowych liberałów z pokaznym majątkiem osobistym, bez tych pięknoduchów tęskniących po cichu do wędzidła i fizycznej przemocy, bez tych dialektyków unikających ocen moralnych, bez tych cynicznych kapitalistów handlujących rewolucyjnym towarem jak modną bielizną, proces stopniowego osławiania Niemców zachodnich z komunizmem, który dawno już przestał być obiektem demonizacji, przeciwnie: odkryto że jest jadalny i zawiera witaminy, natrafiałby na większe trudności.

Otóż to: gdy się widzi, ile nadziemskiego szczęścia maluje się na twarzy kolońskiej milionerki, egerii malarzy, żony fabrykanta proszku do prania, ilekroć może się publicznie pokazać w towarzystwie utalentowanego wywrotowca, „Czerwonego Daniela”, Cohn-Bendita... Gdy na literackiej fecie we Frankfurcie

wzrok nasz uświadcza hamburskiego wydawcę-milionera, jak łąsi się na czworakach do ponurych Kiemliczów w komisarskich kurtkach, jak obrzuca ich pochwałami i honorariami... Tak, wtedy przypomina nam się ów markiz, który w przede dniu rewolucji francuskiej westchnął samokrytycznie: „Nas nie potrzeba wieszać na latarniach. Nas zabije nasza własna śmieszność”.

Poważna różnica poglądów na rolę i zadania literatury doprowadziła do rozpadu liberalno-lewicowej „Gruppe 47”, która tak znaczną rolę przez długie lata odgrywała w życiu kulturalnym Bundesrepublik. *Spiritus movens* tego ekskluzywnego związku pisarskiego, a raczej kółka dobrych znajomych, prozaik Hans Werner Richter, nie chcąc się ugiąć przed jastrzębiami ultralewicy, rozwiązał swoją różową masonerię. W samą porę, chciało by się powiedzieć! Bo już zaczynała pękać bania z infantylizmem. Już słychać było bełkot rewolucyjny komunaiwniaków i brzuchomóstwo architektów „nowej świadomości”. Już ten i ów odzywał się językiem gwoździami podkutym. Czy „Spartakus” czy „S.A.”, na czerwono czy na brunatno, po niemiecku niemal każda ideologia nabiera żołądkowej szorstkości i zwierzęcej powagi (*Tierernst*). Wiem, wiem, należy się wystrzegać pochopnych uogólnień, zwłaszcza przy ocenie cech narodowych. Ilekroć się jednak przysłuchuję dyskantowi wypadającego z zawiasów idealisty, zwolennika lekarstw szkodliwszych od samej choroby, przypomina mi się opinia Thomasa Manna o własnym plemieniu: brutalność i sentymentalizm, nawzajem się uzupełniając, charakteryzują substancję duchową marzycieli z *Gartenlaube* (ogrodowa altanka — symbol dobrodusznego Michela) i mniej dobrodusznej ludzkiej fauny z teutońskiego lasku. Konsekwencje zmęczenia cywilizacją („spenglerizm” w różnych jego odmianach), antyintelektualizm („Gdy słyszę słowo 'kultura', odbezpieczam pistolet” — mawiał Goering) i swoisty talent do szybkiego pobierania decyzji („Kto rozważa zbyt długo, niczego nie zdziała” — czytamy u katechety idealizmu, Schillera, w „Wilhelme Tellu”) już raz, i to dotkliwie, dały się nam we znaki. Więc chuchamy na zimne. Inni zaśię pasierbowie Apollina z tego przytułku „bezdomej lewicy” chcieli wyzwalać czytelnika z więzów tradycyjnej moralności poprzez eskalację tematyki seksualnej i propagowanie narkotyków. Lub też w przepływie frustracji zaczęli nagle odkrywać w sobie sympatię do... produkcyjniaków i „sorealizmu”.

Póki czarnopodniebienna chadecja rządziła *Wunderland*'em, wszystko było w porządku. Sprawa zaczęła się wikać, gdy sympatyk „Gruppe 47”, Brandt, doszedł do władzy, i jasne się stało, że socjaliści mogą się utrzymać w Bonn przy sterze jedynie za cenę nierealizowania swoich programów społeczno-gospodarczych, co wielu marksistów uznało za cenę zbyt wysoką. Doszło do nie-

uchronnej polaryzacji stanowisk. Odezwały się głosy, że skoro socjaldemokracja ze względów taktycznych odchodzi od socjalizmu, radykalizm na lewym skrzydle godny jest poparcia. „Trochę terroru w tym nazartym, zbęćwalonym do reszty społeczeństwie nie zaszkodzi — tłumaczył mi znajomy krytyk literacki — Taka terapia szokowa dobrze nam zrobi!” A zresztą: który literat czuje się dobrze w roli obrońcy rządu? Opozycja i sprzeciw są jego naturalnym zajęciem. Doszedł do tego szantaż młodością. Że niby starzy, zmęczeni, zdrzemnęli się i — zsunęli się na prawo, a młodszy chwacko wymijają swych przeciwników z lewej strony. Tradycyjne obręcze na beczce: niechęć do Amerykanów, protesty antyatomowe, Wietnam, Grecja, Hiszpania, nienawiść do Springera i Straussa, dość szarmancki stosunek do władców w Moskwie, wschodnim Berlinie czy nawet w Pekinie, okazały się zbyt słabe. Bezcza rozpadła się. Jeszcze zanim Diogenesom przyszło puścić farbę przy ocenie konfliktu arabsko-izraelskiego czy zajadku na Czechosłowację.

W życiu literackim, podobnie jak w szkolnej klasie, ton nadają najruchliwsi. Ci zdolniejsi spokojnie siedzą w ławkach i uważają na lekcji. Ton w środowisku twórczym Niemiec zachodnich nadają więc nie tacy pisarze jak zacny i solidny prozaik Heinrich Böll, który najchętniej żyłby jednocześnie w duchowym konkubinacie z katolicyzmem i socjalizmem własnego chowu (*For whom the Böll tolls* — mawiają ironiści), który — o czym z zalem mówi się w kołach postępowych — „najniepotrzebniej w świecie” upomina się o lepsze traktowanie Sołżenicyna w Rosji i pisarzy w Czechosłowacji i równie „niepotrzebnie” w swojej ostatniej powieści umieścił kilkanaście zdań „nie do przyjęcia dla oficjalnej krytyki literackiej w Moskwie. I nie tacy pisarze jak wszechstronnie utalentowany Günter Grass, liryk, prozaik, dramaturg, obłożony przez skrajną lewicę klątwą za swój „staromodny socjaldemokratyzm”, za sympatię dla Izraela, za autentyczny niekonformizm a przede wszystkim za polemiczne wystąpienia przeciwko terrorystom i łowcom czarownic z grup APO. Nie, nie oni, najzdolniejsi, lecz ci inni, nie ukrywający swej sympatii dla „przodującej ideologii świata” i uważający swą sztukę za narzędzie nieubłaganej walki z...

Właśnie — z czym i z kim?

Otóż taki Peter Weiss, pisarz sceniczny, mający w swoim dorobku dwie pozycje wysokiej próby, walczy najchętniej z neokolonializmem portugalskim w Angoli. Ta Angola przysłańca mu resztę świata. Przez tę Angolę nie widzi, a raczej nie chce widzieć, Europy Wschodniej. Dostrzega natomiast okiem dalekowidza, co dzieje się w Wietnamie. Domaga się Trybunału Norymberskiego dla amerykańskich przestępców wojennych. Gdyby

nie napisał wypracowania szkolnego o Trockim, które przez dwie godziny odczytywane na głosy na scenie, może widza i słuchacza na całe życie zniechęcić do politycznego teatru, dawno by już dostał nagrodę Lenina, ale widocznie już samo słowo „Trocki” wyzwoliło w moskiewskich jurorach niechęć do autora. Tak czy inaczej, im bardziej się Melpomena Weissa upolitycznia, tym słabiej trzyma się na nogach. W ostatniej jego sztuce bliska była omdlenia. Mówią, że ilekroć Weiss w swoim luksusowym apartamencie w Sztokholmie zasiada do napisania antyburżuazyjnego utworu, nakłada na siebie proletariacką bluzę, którą zaprojektowała mu jego żona, znana dekoratorka, wywodząca się z jednej z najbogatszych rodzin w Szwecji. Zaliż to sam Pan Adam wyjawiał Weissowi na spirytystycznym seansie, że duch Boży mieszka w robotniczej bluzie?

Wybitny poeta, Hans Magnus Enzensberger, redaktor teoretycznego organu „nowej lewicy” pod nazwą „Kursbuch” (Rozkład jazdy), bodaj jedyny pisarz na świecie, który zaznał szczęścia kąpieli w Morzu Czarnym u boku pierwszego sekretarza KPZS, w prywatnych pantalonach Chruszczowa, osobiście mu wypożyczonych przez samego Nikitę — zaiste, w czepku się ten Hans Magnus urodził! — walczy nie tylko z NATO (to brzydkie słowo wymienia w swym wierszu „Piana” jednym tchem z... Oświęcimem!), lecz i z emigrantami kubańskimi, którym się roją niebezpieczne sny o kontrrewolucji na cukrowej wyspie. Odkąd wrócił ze zniw trzciny cukrowej na Kubie, gdzie go sam Castro sfotografował przy pracy, cieszy się zasłużonym szacunkiem nad Łabą, Renem i Izarą nie tylko jako literat ale i żołnierz walczący z imperializmem amerykańskim. Cieszy się dziś jeszcze większym szacunkiem niż przed kilku laty, kiedy to zrezygnował z profesury w USA, pisząc do Prezydenta Johnsona, że mu sumienie nie pozwala wykładać w kraju, który sięga po panowanie nad światem.

Wystawiona przed rokiem w Niemczech zachodnich plakotawa ramota Enzensbergera pt. „Przesłuchanie w Hawanie”, rzecz oparta na zeznaniach Kubańczyków, pojmany w czasie nieudanej inwazji w Zatoce Świń, *nota-bene* na zeznaniach udostępnionych poecie przez kubańskie władze bezpieczeństwa, miała, rzecz zrozumiała, przychylnie recenzje, gdyż pisarz zaangażowany we właściwym kierunku, nie może się nie cieszyć sympatią krytyki teatralnej.

Byłoby jednak niesprawiedliwością oceniać tego pisarza jedynie po tej nieudanej dramie. Przed dogmatyczną i zacietrzewioną politgramotą chroni go, mimo wszystko, wyrafinowany intelekt, erudycja, sceptycyzm, samoironia i radość z własnego poetyckiego parlando. Niektóre jego wiersze brzmią przewrotnie. Jakby

poeta Enzensberger przedrzeźniał teoretyka i ideologa Enzensbergera.

Natomiast popularny prozaik piszący czerwonym atramentem, Gerhard Zwerenz, piewca „rewolucyjnego seksu”, Cassius Clay lewackiego tam-tam, jest uosobieniem politykierskiego zacietrzewienia. Nieustannie kokietując czytelnika swoją proletariacką biografią, kompleksem nadmiernej potencji męskiej, wrzaskliwym witalizmem, jaskrawym naturalizmem, erupcjami knajackiego temperamentu i humorku (zamiast Karola Marksa, o czym mówi z dumą, czytywał w Saksonii Karola May'a) niewiele ma do powiedzenia wybredniejszym gwardzistom.

Larum grają! Literatura w akcji! Kiepska bo kiepska, ale podboju świadomości politycznej młodych Niemców, wijących się w kleszczach kapitalizmu, do jutra odkładać nie wolno. Liryk Erich Fried walczy więc z „izraelskim agresorem”, „amerykańskim ludobójstwem w Wietnamie”, „burżuazyjnymi kłamstwami na temat stosunków panujących w Czechosłowacji” i brytyjskim ministrem spraw wewnętrznych, Reginaldem Maudlingiem. Ten ostatni, nie okazując serca Rudi Dutschkemu, do tego stopnia wytrącił Frieda z równowagi, iż szefowi Home Office na złość, tak jest: na złość, postanowił, jak wyznaje, przełożyć dramaty Szekspira „z uwzględnieniem ich zawartości klasowej” i w odróżnieniu od tłumaczy starej daty, Schlegela i Tiecka, nie zamiatać pod dywan słów nieprzywoitych. Na coś mu się jednak przydał ten wraży Maudling!

Z kim walczy w gorącej wodzie kąpany Rolf Hochhuth? Z Pentagonem i Białym Domem. Ale już bez tej retorycznej werwy, jaka cechowała jego potyczki z cieniami Piusa XII i Churchilla. Z kim wojuje elokwentny prozaik Martin Walser? Z dyrekcją „Deutsche Bank”. A finezyjny nowelista Reinhard Lettau? Lettau bierze się za bary z „amerykańskim faszyzmem i militaryzmem”. O sowieckim militaryzmie nigdy nie słyszał. Szczęśliwy człowiek!

Krytykując publicystyczną zadyszkę Lettau'a, autora niepoczynalnego antyamerykańskiej książki „Täglicher Faschismus” (Faszyzm codzienny), wydanej przez szacowny Hanser Verlag w Monachium, jeden z recenzentów (znalazł się taki śmiałek, ale na prawicy!) poruszył sprawę, która dotyczy dziesiątków innych Lettau'ów w Niemczech zachodnich. Ilekroć literat wyrusza na poszukiwanie Bastylli, warto się zastanowić, czy świadomie wyrzeka się sztuki, by poświęcić się polityce, czy też przebiera się za rewolucjonistę, by powetować sobie nieudany romans z Muzami. Lektura sympatyzującego z DKP czasopisma literackiego *Kürbis-kern* jest w tym względzie szczególnie pouczająca. Im anemiczniejsza płotka literacka, tym większy z niej żarłacz polityczny.

Czym skorupka nasiąknie za młodu... Wiedzą o tym poeci Peter Rühmkorf i Günter Bruno Fuchs, zwolennicy hodowania Herkulesów rewolucji już w kolebce. Walczą więc piórem z wadliwym sytemem wychowawczym, który ciągle jeszcze nie zezwala zniewolonej dziatwie odpłacać belfrom pięknym za nadobne.

Chodzi im zapewne o zaprowadzenie w przedszkolach podobnych stosunków, jakie od kilku lat panują na niektórych wyższych uczelniach w NRF i Berlinie zachodnim, gdzie krnąbrni wychowawcy, a więc ci którzy nie chcą kapitulować przed dyrektywami niedouczonej fanatyków z „Rote Zellen”, dostają za swoje. Wygwizdani, zwymyśłani od „faszystów” i „zimnowojennych fagasów Wallstreet”, w obawie przed bardziej dotkliwymi „argumentami” rozwydrzonych adwersarzy, nierzadko muszą się salwować ucieczką. Pomysł w zasadzie nie nowy, praktykowany już w początkach Trzeciej Rzeszy, gdy bojówki brunatnych studentów z okrzykiem: *Und willst Du nich mein Bruder sein, so schlag' ich Dir den Schädel ein!* (Jeśli nie zechcesz być mi bratem, rozbiję ci czaszkę!) nie nadążającym za rytmem historii malkontentom na katedrach przetręcały spróchniałe kości. Międzyuniwersytecki komitet samoobrony profesorów przed terrorem, jaki przed rokiem powstał w NRF, prasa różowo-liberalna z miejsca okrzyknęła „bastionem wstecznictwa i reakcji”.

Ale wróćmy do literackich matadorów: Heinar Kipphardt, dramatopis, epigon Hochhutha, kompilator rewolucyjnych tekstów, ściera się na śmierć i życie z socjalistycznym burmistrzem Monachium, którego uważa za marionetkę w rękach wielkiego kapitału. Zdarzyło się, że ten Kipphardt w programie teatralnym ogłosił czarną listę dwunożnych gadów, które dla dobra rewolucji należałoby zdeptać, i że w tym terrarium sromoty umieścił również burmistrza, swego chlebodawcę. A gdy po tym gejzerze Torquematołectwa, napiętnowanym zresztą publicznie przez Grassa, teatr miejski nie przedłużył Kipphardtowi kontraktu, zrobiono z niego męczennika, stał się św. Sebastianem ultralewicy, niewinną ofiarą „późnokapitalistycznego systemu represji” (lubię tę formułę), który to system do tego stopnia obrzydł niektórym doboszom rewolucji, iż wielu z nich od lat mieszka za granicą: Weiss w Szwecji, Enzensberger w Norwegii, Fried w Anglii, Hochhuth w Szwajcarii, Lettau w Ameryce.

Za męczennika w oczach nie tylko bawarskich „Tupamaros”, ale i nie mogącej się doczekać własnego końca plutokracji, uchodzi również od pewnego czasu obrotny wydawca nad Szprewą, Klaus Wagenbach, fabrykant duchowej amunicji dla rodzimej hunwejbnińskiej, który naraził się celnikom szwajcarskim i policji zachodnio-berlińskiej. Ci pierwsi skonfiskowali mu na granicy kilka skrzyń „Czerwonego kalendarza dla młodych robotników i

uczniów szkolnych na rok 1972". Drudzy zaś zainteresowali się *vade mecum* terrorysty i sabotażysty: „Jak walczyć zbrojnie w Europie Zachodniej — dyrektywy RAF (*Rote Armee BRD*)”.

Warto przekartkować ten „czerwony kalendarz” dla młodzieży. W rubryce „Co można by zrobić” pomysłowość suflerów małego sabotażu godna jest podziwu. Wiązanka dobrych rad i sugestii co się zowie. A więc zacytujmy:

— Nie zapominać o bombach cuchnących i plastikowych torebkach z płynną farbą. Bossom przemysłu wysyłać przez pocztę odpadki, śmieci, i inne nieczystości. Wyprowadzać przełożonych z równowagi. Prowokować ich do podnoszenia głosu i miotania pogrózek. To bowiem osłabi ich autorytet i zwiększy solidarność zespołu. Przerywać kazania *zwischenruß*ami. Szokować spowiedników w konfesjonałach szczegółowymi sprawozdaniami z wyczynów seksualnych. *Ficken* gdzie się da. Blokować klozety do których chodzą szefowie. Psuć zamki, zabijać drzwi gwoździami. Zatykać muszle i rury odpływowe. Szef niewykakany popełnia błędy. Rozklejać na mieście listy gończe z podobiznami wyzyskiwaczy, biurokratów, dozorców znanych ze swej twardej ręki. Znieprawidzonych przełożonych wykańczać nerwowo przez anonimowe telefony w nocy, zamieszczanie nekrologów o ich śmierci lub ogłoszeń o bankructwie. Nie oszczędzać ich żon. Niszczyć „przez pomyłkę” kosztowne maszyny w fabryce. Niszczyć dzienniki klasowe w szkołach. Podkraść nauczycielom notesy ze stopniami. Tworzyć *Kinderkommunen*. Muzykę nastawiać na pełny regulator. Awanturować się po nocy. Nie oszczędzać pomników wojennej chwały. Siusiać na znicze — także i olimpijskie. Wyprowadzać policję w pole, udzielając jej fałszywych informacji. Udzielać schronienia prześladowanym towarzyszom. Niszczyć prywatne ogródki i trawniki. Wybierać do akcji odpowiedni moment, wtedy gdy policja odpoczywa lub się rozmarza. Na przykład: w noc wigilijną...

Pod datą 5 sierpnia kalendarz przypomina, że zbliża się czwarta rocznica ważnego „czynu anty-autorytatywnego”: komunard Karlheinz Pawla w berlińskim sądzie okręgowym, gdy woźny zawołał: „Proszę wstać! Sąd idzie!”, zdjął spodnie, wypiął się na sędziów, po czym zanieczyścił przybytek Temidy!

Szwajcarskim celnikom, których świadomość najwidoczniej zdeformował kodeks załganej moralności mieszczańskiej, nie spodobały się również w kalendarzu dla młodzieży, wydanym przez Wagenbacha, rysunki organów płciowych i poradnik dla narkomanów.

Czyż trzeba dodawać, że ów niecny zamach celników szwajcarskich i policji zachodnio-berlińskiej na wolność słowa drukowanego wywołał święte oburzenie kół postępowych? Posypały

się listy, uchwały, rezolucje. „Po raz pierwszy w dziejach Bundesrepublik skonfiskowano książkę ze względów politycznych” — czytamy w „Sternie”. Męczennik Wagenbach awansował na bohatera dnia. A ośmieszony przez felietonistów urzędniczyzna sądowy, *Amstgerichtsrat* nazwiskiem Biedermann, który podpisał nakaz zajęcia *vademecum* terrorysty, stał się symbolem mrocznego średniowiecza, Inkwizycji, terroru politycznego.

„Tak to ono i jest” — jak mawiał bohater książki Strasze-wicza.

Wszystkie te niewinne — na razie — harce i zabawy z zapalkami odbywają się w zachodniej części Niemiec. W tej jeszcze wolnej i demokratycznej. We wschodniej — byłyby nie do pomyslenia. Bo tam już — „rewolucja zwyciężyła”.

Wszystkie te niewinne — na razie — harce i zabawy z zapalkami odbywają się w państwie, które pewnego dnia — już bez puklerza amerykańskiego — stanie w obliczu zwielokrotnionej potęgi rosyjskiej. A wtedy — *viel Spass*, panowie komunardzi!

Tadeusz NOWAKOWSKI

## ROZGŁOŚNIA POLSKA RADIA WOLNA EUROPA

poszukuje kandydata do redakcji „Dziennika Radiowego”

Zgłoszenie wraz z życiorysem oraz podaniem kwalifikacji i znajomości obcych języków kierować należy na adres:

RADIO FREE EUROPE  
POLISH B.D.

Englischer Garten 1.  
D 8 — Muenchen 22

Nie warto się już kłaskać, pociąg z Warszawy przychodzi wczesnym ranem.

Neapol, 6 sierpnia

Włoska filia *Olympia Press* przysłała mi w prezencie powieść Włosa Tenina *Le notti di Mosca* z ozdobnym listem na uroczystą nutę: wydanie przez nas tej powieści jest nie tylko epokowym wydarzeniem literackim (wspartym o prestiż naszej firmy i jej założyciela Maurice Girodiasa, odkrywcy Henry Millera, Samuela Becketta, Williama Burroughsa i *Lolity* Nabokowa), lecz również rewelacją polityczną; pokazujemy mianowicie światu, że literatura podziemna w ZSSR jest używana jako prawdziwa „broń korozji” przeciw władzy biurokratycznej. Przedmowa uderza w podobny ton: „Być może, erotyzm sowiecki odsłoni w naszych wyrafinowanych oczach całą swoją naiwność; albo na odwrót, niektóre sceny wydadzą nam się zbyt mocne i gwałtowne, bez tego umiejętnego szlifu, który literackimi czyni najbardziej chropowate opisy. Zastanówmy się wszakże w jakich warunkach powstała ta powieść. Po raz pierwszy w historii literatury sowieckiej erotyzm jest bronią przełomu, krytyki społecznej, według optyki stosowanej w najbardziej zaawansowanej literaturze Zachodu... *Moskiewskie noce* wydają się definitywnym zerwaniem z teorią stalinizmu jako wyłącznego siedliska zła. W porównaniu z dzisiejszymi biurokratami przedstawionymi przez Tenina, Stalin nabiera w powieści cech bardziej ludzkich. Gwałtowny atak Tenina na biurokrację sowiecką odbiega daleko od zatroskania Sołżenicyna. Ktokolwiek jest autorem tej powieści, postanowił nie patyczkować się z systemem i dobrać mu się aż do samych trzewi”.

W oryginalne rosyjskim powieść nazywa się *Spi spokojno, dorogoj towariszcz*. Nie jest pewne czy w mrokach konspiracji napisała ją jedna osoba, czy raczej wesoła brygada *tuniejadców*, wzdychająca przy wódce i skąpej zagryzce do dolarów zarobionych przez sławnego rodaka na *Lolice*. Ktokolwiek jednak jest autorem, dobrał się rzeczywiście systemowi aż do samych trzewi i to za pomocą instrumentu, którego istotnie podziemna literatura sowiecka nie używała dotąd w walce przeciw władzy biurokratycznej. Ową „bronią korozji” jest sowiecki *phallus* wyjątkowych rozmiarów, prawdziwy *istrebittel* albo jakby powiedzieli Włosi *lo sterminator*. Króluje on w powieści dumnie i niepodzielnie, szerzy groźne spustoszenie, a już sflaczałym czytelnikom zachodnim musi chyba przywodzić na myśl pociski międzykontynentalne z głowicami atomowymi, prezentowane w rocznicę rewolucji na *Krasnoj Płoszczadi*. Przyplływom „kultu jednostki” zagroziła na-

## Dziennik pisany nocą

Rzym, 26 lipca 1971

Ulica jest pusta i prawie wygaszona, za nią widać z okna ciemną masę Pincio. Dopiero teraz upał, duszny i lepki upał rzymski, cofa się wolno pod naporem lekkiej fali ochłodzenia. Jedyne żońne chwile kończącej się nocy, na które czekają ci co się stąd nie ruszają latem. Jeszcze trochę, a nad konturami domów przetrze się anemiczne światło. Później chluśnie znowu żar z nieba koloru brudnej emalii.

Od lat wpadam do Rzymu niechętnie, jak po ogień, staram się tu nie nocować. Niedyś lubiłem Wieczne Miasto, podobała mi się nawet ta jego pretensjonalna nazwa. Jedną z nowel Musilę zaczyna się od zdania: „Nadchodzi w życiu okres, gdy zwalnia ono wyraźnie swój bieg, jakby wahało się czy płynąć naprzód lub chciało zmienić kierunek”. Cokolwiek staje się potem, czy życie płynie jednak naprzód czy zmienia kierunek, ten okres jest pasem granicznym. W tyle za nim rozciąga się obszar, w którym czas utracony traci realność do bólu.

Łazikując bez celu po Rzymie, dobrnąłem krótko przed północą do dzielnicy Prati. Nazajutrz po wojnie mieszkaliśmy tam w *villino* emerytowanego profesora konserwatorium. Oprócz wynajmowanego pokoju wolno nam było korzystać z oszklonej wieżyczki na dachu, gdzie zazwyczaj malowała K. Wieczorami zachodziliśmy często na wino do *Gallo d'Oro* na sąsiednim placu, blisko Tybru. Stoi oczywiście *villino* z oszkloną wieżyczką, choć nie ma już przed bramą tabliczki z nazwiskiem profesora. Nikt za to na placu nie pamięta winiarni pod Złotym Kogutem. Była tu kiedyś taka? Nie było nigdy, nie było, coś się szanownemu panu przyśniło. *Se lo ha sognato, caro signore*.

reszcie drogę potężna tama kultu fallicznego. I nie bez nawiązania do nauk nieśmiertelnego Iljicza. Podziemnym bojownikiem erotyzmu rewizjonistycznego starczyło na tyle dowcipu, by powieść zaopatrzyć w *motto* z Lenina, zapewniającego Klarę Zetkin że „w dziedzinie małżeństwa i stosunków seksualnych nadchodzi rewolucja zbliżona do rewolucji proletariackiej”. Cała zresztą powieść jest dość dowcipna, o podwójnym dnie, ale wątpię czy zostanie to na Zachodzie zauważone przez koła postępowo-pornograficzne. Wydaje się prawdopodobniejsze że będą one, przy zasadniczej aprobacie tej metody walki z postalinowską biurokracją, lekko zawiedzione na widok staroświeckiego ubóstwa sowieckiej techniki erotycznej: odnosi się istotnie wrażenie, że kult falliczny ikonoklastów sowieckich odbywa się w pluszowo-naftalinowym obramowaniu obyczajowym *fin-de-siècle*.

Natomiast o ile świętą jest prawda że „broń korozji” pojawia się w sowieckiej literaturze podziemnej po raz pierwszy, to sprawiedliwość każe przypomnieć w jak dawnym i częstym użyciu kollokwalnym była ona wśród *urków* za drutami łagrów. Odwoływali się do niej, ilekroć nie dopisywał im humor, w sposób nieźrównanie barwny i pomysłowy. Dawali do zrozumienia, że w „dniu zapłaty” rozniosą ustrój na lancach swoich „niszczycieli”. Ale więźniowie polityczni odnosili się do tych pogroźek ze zrozumiałym sceptycyzmem.

Tak czy owak, wolno mieć niejaką nadzieję że po interwencji *Olympia Press* markuzjańska Nowa Lewica potraktuje walkę z biurokracją sowiecką bardziej na serio, niż po bezkrwistych płodach „zatroskania” Pasternaka czy Sołżenicyna. Będzie to zasługą przeniknięcia do Rosji „optyki stosowanej w najbardziej zaawansowanej literaturze Zachodu”.

## 8 sierpnia

Nie wiem skąd nagle, po trzydziestu z górą latami, Bubko. Istnieje sekret odmykania się w pamięci zardzewiałych kłapek, możliwe że tę wypchnął sprężony nacisk lektury *Spi spokojno, dorogoj towarzysz*.

Latem 1940 roku kisiliśmy się w małej celi więzienia grodzieńskiego, oczekując już tylko transportu. Było nas (jak na ówczesne zatłoczenie więzień za Bugiem) niewielu, znaliśmy się do przesyty, znudziły nam się wiecznie te same pogaduszki o śledztwie i o ex-życiu. Siedzieliśmy więc godzinami w milczeniu i bez ruchu na pryczach, wpatrzeni w skrawek błękitu za kratami.

Któregoś dnia przed wieczorem drzwi celi otworzyły się, podzucano nam nowego towarzysza. Wyświechtane określenie „zwierzę w klatce” pasowało do niego jak ulał. Wysoki choć nieco

przygarbiony, atletyczny, z olbrzymim wygolonym łbem w którym ledwie nacięte były szparki złych i drapieżnych oczu, miotał się w wąskim przejściu między pryczami, całym ciałem obijał się o drzwi i o ścianę pod oknem, kopał rycząc wściekle kibel. Uspokoił się w końcu, zwałił się na zrobione mu przez nas miejsce do spania, ale w ciągu nocy szarpał się często i porykiwał nawet we śnie.

Następnego dnia, pożarłszy łapczywie pajkę chleba i popiwszy ją wrzątkiem, przemówił. Nazywał się Bubko, był (co podkreślił z dumą) jedną z gwiazd grodzieńskiego świata złodziejskiego, za paroma nawrotami odkiblował dziesięć lat w więzieniach przedwojennej Polski. Kiblować mógłby na nowo i pod ruskim, teraz jednak wchodziła w grę rozwałka. Tydzień temu pojechał na robotę do Białegostoku, wrócił do domu wcześniej niż przewidywał, zastał w łóżku swoją kochankę z lejtenantem NKWD. Zarzwał lejtenant, stłukł babę, pognał nad Bug z zamiarem ucieczki do Warszawy. Powinęła mu się noga przed samą granicą. Wypierać się nie było jak, dowodów mieli kupę, podpisał wszystko w pierwszym śledztwie. Rozwalają podobno w każdą sobotę w nocy. A dziś jest czwartek.

Ulżyła mu ta spowiedź, po południowej bałandzie zaszył się w kącie celi i drzemał na siedząco do wieczornego apelu. Noc przespał jak kłoda. W piątek gapił się razem z nami w błękit za kratami, lecz co jakiś czas opuszczał wzrok i przyglądał nam się uważnie, zwłaszcza mnie i moim oficerskim butom z cholewami. Tej nocy obudził mnie, spaliśmy obok siebie. Z jego galopującego i chaotycznego szeptu, bredzenia jak w malignie, miało wynikać że cała historia z niewierną kochanką była lipą dla zamydlenia oczu kacapom, że zabił lejtenant „jako Polak”. Było tam coś jeszcze o „organizacji” i powtarzało się bez przerwy zdanie „niech to będzie po wojnie wiadome”. O nic go nie pypytywałem, należało mu po prostu pomóc umrzeć, przyjmując bez zastrzeżeń błagę za prawdę.

Kiedy w sobotę w nocy zazgrzytał klucz w zamku i zaraz potem rozległ się okrzyk: *na bukwu B!*, Bubko natychmiast odpowiedział swoim nazwiskiem, poderwał się z pryczy i na wychodnym z celi pożegnał się jedynie ze mną. Był opanowany, na jego nalanej i okrutnej twarzy zarysowało się nawet coś w rodzaju chytrego uśmieszku. W minutę później usłyszeliśmy z korytarza ryk, strzępy przekleństw i stłumiony odgłos szamotaniny.

## Paestum, 15 sierpnia

Zaniedbałem Paestum, od ostatniej mojej tu bytności minęło

sporo lat. Dwie nowości. Jedna, pozornie drobna, ma przecież swoją wymowę. W dawnych wycieczkach do Paestum nieodłączną częścią krajobrazu było dla mnie stado kruków, nadlatujące w równomiernych odstępach czasu z ostrym krakaniem od strony Agropoli, przysiadające na szczycie Świątyni Neptuna i odlatujące z powrotem za linię drzew. Przepadło, uprzykrzyło sobie odwiedzić Paestum: różowego powietrza nad świątyniami nie rozdziera już czarna chmara, wieczorami nie dochodzi z ciemności złowroźne krakanie. Jest to, być może, definitywny nekrolog romantycznej epoki Paestum, która począwszy od *Italische Reise* Goethego ściągała na równinne i malaryczne pustkowia melancholijnych pielgrzymów z północy, a pod koniec ubiegłego stulecia osiągnęła swój punkt kulminacyjny w manii samobójstw w antycznych dekoracjach, na tle nagich szkieletoów piękna: ruin.

Druga nowość posiadała znaczenie kapitalne, i kto wie czy poza swoją wagą archeologiczną nie dopełnia w jakiś subtelny sposób zniknięcia kruków. W roku 1968 odkopano w Paestum Grób Nurka, *La Tomba del Tuffatore*, z roku 480 przed Chrystusem, jedyny znany na świecie okaz malarstwa greckiego ery klasycznej. Składa się z pięciu płyt. Cztery, obudowanie grobu, przedstawiają stypę pogrzebową; o tych scenach przewodnik pisze, że „przeplatają się w nich śpiewy, zabawy, amory, dźwięki, aby zmarłemu lżej było odbywać podróż w zaświaty”, wyróżniając słusznie scenę zalotów dojrzałego mężczyzny do młodzieńckiego efeba. Od piątej płyty, stanowiącej pokrywę grobu, wzięta nazwę cała *Tomba del Tuffatore*. Sądząc z jej położenia zmarły, któremu sceny na bocznych płytach ofiarowywały wesoły wiatyk zamiast żałobnego pożegnania, miał się w nią po drodze w zaświaty wpatrywać nieustannie.

Widział nurka, skaczącego z wysokiej trampoliny muru do morza. Postać nurka, wygiętego w nieznaczny tylko łuk, z rękami złożonymi prosto i wymierzonymi w dół jak oszczep, z głową podniesioną tak by oczy mogły bez lęku patrzeć, jest obrazem harmonii i doskonałości. Rzecz jasna, harmonii i doskonałości przejścia z życia w toń śmierci. Niebieskawy fragment morza w lewym rogu, pusta i płowa reszta, niedbale i dziecinnie narysowana trampolina muru w prawym rogu, za nią również ręką dystrykcji ledwie zaznaczone krzewy z tego jeszcze brzegu. Oszczędna, niemal abstrakcyjna kompozycja malowidła nacelowana jest już na tamten brzeg. W połączeniu prostoty i przejrzystości, naturalności i swobody, tkwi sekret greckiej śmierci.

Nie ma odtąd w Paestum miejsca dla kruków, wykrakujących śmierć ciemną i powikłaną, pełną równocześnie strachu i fascynacji.

### Szafuza, 21 sierpnia

Jadąc z ZÜRICHU do Szafuzy, pamiętałem oczywiście notatkę „niespiesznego przechodnia” *Nad wodospadem w Szafuzie*. Stempowski pisał w niej mądrze o zanikającej „czułości serca”, która kiedyś wyciskała podróżnikom potoki łez na widok wodospadu w Szafuzie, i o obecnej „rzeczowej” reakcji turystów, jako o dwóch stronach tego samego medalu: sentymentalizmu.

Nie spodziewałem się jednak, że wycieczka do Szafuzy będzie dla mnie jak gdyby chwilą zadumy nad grobem Pana Jerzego. Ze wszystkiego co po sobie zostawił, ustęp o szumie ojczystych rzek z *Dziennika podróży do Austrii i Niemiec* przywołuję w myślach najczęściej. Ten szum, zwielokrotniony do huku, zamieniony w chór rzek całego świata, towarzyszył mi wciąż w Szafuzie. Stempowski, z usposobienia nieskory do wynurzeń osobistych, pozwolił sobie przecież raz na taki passus: usłyszawszy znów szumiący głos swojej ojczystej rzeki, choćby nawet był stary już i ślepy, poczułby że lata tułaczki opadają z niego jak łachmany. W huku wodospadu w Szafuzie słyszałem głos mojej?

Przed wyjazdem z Neapolu wyciągałem moją siostrę na opowiadania o naszych stronach. Krążyłem wokół Ciemnego Stawu, przymykając oczy widziałem z absolutną wyrazistością olchową groblę, łąchy nenufarów, szuwały blisko łąki, stawidła i upust, płytką rzeczkę opływającą nasz dom, ogromne modrzewie przed domem. Cóż z tego, że większości obrazu już nie ma, że staw wysuszono i zaorano, że jakiś młody człowiek nagabnięty (gdybym wrócił) o ciemną wodę mojego dzieciństwa, odmrunknąłby wrzeszczając ramionami: coś się szanownemu panu przyśniło. Realność dzieciństwa nie jest tak krucha i sypka, jak realność wieku dojrzałego. Szczęśliwy, kto ją potrafi w opisie utrwalić na zawsze. Zazdroszczę Miłoszowi *Doliny Issy*.

### Konstancja, 22 sierpnia

Poniższą, prawdziwą w każdym słowie, migawkę z Konstancji dedykuję poszukiwaczom dowodów obojętności i ironii historii.

Tablicę z medalionem Husa znalazłem późnym popołudniem w starej kamienicy obok dworca. Inskrypcja: *M. Jan Hus cesky reformator bydlel v tomto dome roku 1414, venovali Cechove 1878*. Nad tablicą dwa małe okna mieszkania: w jednym klatka z kanarkami, w drugim doniczki z kwiatkami.



Data w moim notesie, którą musiałem sobie przypomnieć zaglądając do gazety, właśnie ta: 22 sierpnia.

### *Maisons-Laffitte, 10 września*

Białej we wspomnieniu Maryny Cwietajewoj. W listopadzie 1923 roku napisał do niej z Berlina do Pragi: „Kochana! Najmilsza! Niech Pani znajdzie gdzieś pokój w pobliżu, gdziekolwiek Pani mieszka — w pobliżu, nie będę przeszkadzał, nie będę wstępował, muszę tylko wiedzieć, że za ścianą jest żywe, żywe ciepło! Jestem umęczony! Udręczony! Moje życie przez ten rok to koszmar. Pani jest moim jedynym ratunkiem. Niech Pani dokona cudu! Urządzi mnie! Ukryje! Niech mi Pani znajdzie, koniecznie znajdzie pokój”. Odpisała natychmiast że pokój jest, parę kroków od niej. Nie było już odpowiedzi. Nie było dlatego, że wrócił do Rosji tego samego dnia, w którym wysłał z Berlina do Pragi swój listowny krzyk rozpaczy i błagania.

Samotność emigrantów, marzenie o „żywym ciepłe za ścianą”. Gdy w wiele lat później wróciła i Cwietajewa, pamiętała o tym liście? Także ją zamęczył i zdręczył „brak żywego ciepła za ścianą”? Nic nie wiemy o okolicznościach jej samobójstwa wkrótce po powrocie. To pewne, że za ścianą panował martwy chłód. W Monachium miałem raz okazję rzucić okiem na jej listy do pewnego Rosjanina, w którym się podkochiwała. Jedno zdanie utkwiło mi w pamięci: „Taka już moja natura, że nie zatrzymam się póki się nie dotoczę”. Słowo „dotoczyć się” oddaje wiernie jej los.

### *16 września*

Już trzeci z kolei rozmówca ze „środowiska” w kraju pomstuje na W. Ż. Znudzilo mnie to, więc dzisiejszemu zafundowałem autentyczny rozdziałik z dziejów mojej znajomości z Ż.

Było to na kongresie PEN w Amsterdamie, w roku 1954. Ponieważ członkom delegacji polskiej zakazano widywania się z mną, z Ż. umówiłem się potajemnie w restauracji indonezyjskiej u czorta na kuliczkach. Popiliśmy zdrowo, dużo i zajmująco opowiadał o swoich wojennych przeżyciach (jest urodzonym gawędziarzem). Zbliżał się moment rozstania. Wtem Ż. przechylił się nad stołem w moją stronę, i wywiązał się między nami następujący krótki dialog:

*On* (śmiertelnie poważny): Jeżeli Amerykanie przyjdą kiedyś na Wschód, wy tutaj wiecie co ja naprawdę myślę?

*Ja* (siląc się na taką śmiertelną powagę): Naturalnie, naturalnie...

*On* (dalej śmiertelnie poważny): A jeżeli Rosjanie przyjdą na Zachód, co mógłbym dla ciebie zrobić?

*Ja* (dalej siląc się na taką śmiertelną powagę): Tylko jedno.

*On* (zamieniając się w słuch): ???

*Ja* (nie zmieniając tonu): Postaraj się, żeby moje zwłoki wydały się w rodzinie.

Zwiesił głowę, uczcił końcowy akord dialogu przepisową minutą milczenia. Ja też. Potem wybuchnąłem śmiechem. Podniósł głowę. Nie przestawałem się śmiać. Miał zgorzoniałą i obrażoną minę.

I takie również rozmówki z onych czasów należy spisywać na użytek potomności, ku pokrzepieniu polskich serc.

### *25 września*

W *Orangerie* wystawa osiemnastowiecznego malarstwa weneckiego pod hasłem ocalenia Wenecji. Urządzona wybornie, portret miasta w kilku równoległych wątkach. Canaletto i Guardi: elegancja architektury, gra kamienia i wody, formy i natury; Tiepolo ojciec: szal karnawałowy, twarze podobne do masek, maski podobne do twarzy, teatr Goldoniego; Tiepolo syn i Longhi: strój i gest, ale i tu częsty motyw lustra kostiumowego, z pogranicza szyderczej maskarady i sztywnej konwencji; Piranesi: rozpad, gnicie, pleśń, podziemne więzienia, rusztowania na których nikt nie stoi i stropy które niczego nie podpierają.

Czym jest Wenecja? Wenecjanin, postawiony wobec takiego pytania, odpowie w dziewięciu wypadkach na dziesięć, że cudem: *un miracolo, un prodigio*. Dla mnie, odkąd spędziłem w Wenecji tydzień zimą, raczej snem niż cudem.

Przyjechaliśmy w grudniowy wieczór. Mgła była gęsta, z dworca do Akademii stateczek posuwał się z powolnością żółwia, trąbiąc ciągle i ostukując niespokojnie kanał reflektorem, z Akademią do hotelu udało nam się dotrzeć tylko dzięki przechodniowi uzbrojonemu w mocną latarkę. Hotel na Zattere — dom w którym w roku 1849 przezimował Ruskin, pisząc lub szkicując *The Stones of Venice* — był niemal pusty. Mgła nie ustępowała, komunikaty meteorologiczne zapowiadały ją na długo. W dzień odważaliśmy się, brodząc po omacku w białej kaszy, wychodzić na niezbyt dalekie spacer. Wieczorami odwiedzaliśmy mieszkającego obok hotelu bibliofila T., którego głównym przedmiotem zainteresowań i poszukiwań był wówczas Frederick Rolfe (Baron Corvo), zakochany w Wenecji i jej młodych gondolierach, zmarły na

jakimś weneckim poddaszu w nieopisanej nędzy nad manuskryptem *The Desire and Pursuit of the Whole*. Po nocach ciszę przerywały niekiedy syreny okrętów płynących kanałem Giudecca. Tak, był to sen, podniecający i ulotny, z przecuciem olśnienia którego nie można (jak we śnie) przeżyć w całości, ale o którym się wie że istnieje na pewno: *the desire and pursuit*, pragnienie i pościg. Zdarzało się że w południe ławice mgły przerzedzały się na okamgnienie, i wtedy fragmenty miasta oglądaliśmy jak dekoracje teatralne przez szparę w uchylonej nieostroźnie kurtynie. W poranek naszego odjazdu, nieoczekiwanie wypogodzony, Wenecja ukazała się nareszcie cała i czysta, w szklistej, złotawo-zielonkawej aurze. I było coś z dziwnego żalu w tym przebudzeniu ze snu o niej.

Jeżeli (rzech we Włoszech dość prawdopodobna) Wenecja nie zostanie ocalona, Europa zachoruje na „zatrucie psychiczne”; tak psychiatrzy określają stan ludzi, którzy nie cierpią wprawdzie na bezsenność lecz tracą zdolność śnienia.

29 września

Norwid w liście do Konstancji Górskiej: „Od ośmnastu wieków potężni i możni *prowadzą* wojny, ale to słabi i uciśnieni *wydają* wojny. Historia nie tylko jest *wiadomością*, ale i *siłą* nawet”.

Przed rokiem ukazał się w *Kulturze* jeden z najciekawszych tekstów przysłanych z kraju, artykuł Pelikana *Sycić nieporozumienie*. Nieporozumienie które trzeba sycić — program minimalny! — to najprostszy, milczący układ sytuacji w ustroju totalitarnym: rząd nie może zrozumieć odwróconego plecami społeczeństwa, społeczeństwo nie może zrozumieć rządu trzymającego się kurczowo władzy, choć jest niezdolny do rządzenia. Jasienica, który autorowi artykułu podsunął ten schemat, zdawał się rozumować tak: sytuacja, już teraz nie do zniesienia, stałaby się jeszcze bardziej nie do zniesienia, gdyby raptem obie strony zdołały się porozumieć co do dzielących je niemożności; partia musiałaby wtedy uchwycić się wyższych form terroru, równających się masowemu mordowi; lepszy obecny stan niedopowiedzenia, zważywszy że czas jest naszym, a nie ich sprzymierzeńcem. Program minimalny, jak się rzekło, bo aplikując uwagę Norwida da się powiedzieć, że słabi i uciśnieni wydają tu po cichu wojnę, a potężni i możni mniej czy więcej po cichu ją prowadzą. Z ważnym jednak zastrzeżeniem, lub na dobrą sprawę ostrzeżeniem Pelikana: „Nie wolno uznać polityki niezgodnej z prawami i tęsknotami obywatela, nie wolno jej uznać za fatalność, gdyż jest to nie tylko kapitulacja, ale i współuczestnictwo”.

W miesiąc po artykule Pelikana obie strony porozumiały się raptem co do dzielących je niemożności: na Wybrzeżu. Słabi i uciśnieni wydali jawną wojnę, potężni i możni jawnie ją prowadzili, stosując mord masowy. Lecz okazało się naraz że uciśnieni nie są wcale tacy słabi, a możni nie tacy znowu potężni. Nowa gestia Gierka, wróciwszy do *status quo ante* z nieznacznymi i na ogół powierzchownymi retuszami, usiłuje zmienić sytuację w której dotychczas programem minimalnym rządzonych było „sycić nieporozumienie”. Główny problem wygląda obecnie w ten sposób: dojdzie do „czechizacji” (w dawnym a nie dzisiejszym tego słowa znaczeniu) społeczeństwa, nastąpi kapitulacja a po niej współuczestnictwo?

To zależy. Zależy od niewiadomej czy mimo kanarków i kwiatków w oknie będzie się pamiętać, że „historia nie tylko jest *wiadomością*, ale i *siłą* nawet”.

Neapol, 5 października

Kiedy zbierałem materiały do „kryminału” politycznego o „siedmiu śmierciach Maksyma Gorkiego”, nie mogłem się oczywiście nie natknąć na dowody ostrego konfliktu Gorkiego z Leninem tuż po rewolucji. Były to drobiazgi, okruchy zaledwie, w porównaniu z książką wydaną świeżo po rosyjsku w Paryżu. Nazywa się *Nieswojewremiennye myśli*, jest pełnym zbiorem artykułów, jakie Gorkij ogłaszał na łamach redagowanej przez siebie gazety piotrogrodzkiej *Nowaja Żizn* w latach 1917-1918. „Niewczesne” były myśli Gorkiego w okresie jego publicystycznej improwizacji na gorąco w tym sensie, że nie mogły już wpłynąć na bieg wypadków. Zapewne, musiały drażnić Lenina jak natrętne muchy lwa, toteż *Nowaja Żizn*, po dwukrotnym zawieszeniu ostrzegawczym, została na osobiste polecenie wodza definitywnie zamknięta 16 lipca 1918 roku. W sumie wiele hałasu o nic, tym bardziej że w latach dwudziestych Gorkij sięgał po bezpieczniejszy koncept do głowy, ustatkował się i opamiętał, wyznaczając Leninowi w panteonie rosyjskim niezłe miejsce między Piotrem I i Lwem Tołstojem. Inny Tołstoj, Aleksiej, zapomniawszy na kolejnym etapie o swoim wielkim przodku, miejsce sam na sam obok Piotra I wskazał dworskim piórem Stalinowi.

Te myśli, „niewczesne” w zgiełku rewolucji, mają dziś wydźwięk osobliwy. Niektóre muszą sobie *pro memoria* wynotować. „Lenin, Trockij i towarzysze zatruli się już zgniłą trucizną władzy, o czym świadczy ich haniebny stosunek do wolności słowa”. „Zaslepieni fanatycy i pozbawieni sumienia awanturnicy pędzą na złamanie karku, rzekomo drogą ku 'rewolucji socjalnej’ — w rzeczywistości jest to droga wiodąca do anarchii, do zguby proletaria-

riatu i rewolucji". Wypadki powinny proletariatowi „otworzyć oczy na całą nieziszczalność obietnic Lenina, na całą głębię jego obłądu, na jego nieczajewsko-bakuninowski anarchizm". „Klasa robotnicza nie może nie zrozumieć, że Lenin na jej skórze i jej krwią przeprowadza tylko pewien eksperyment, stara się doprowadzić nastrój rewolucyjny proletariatu do ostatnich krańców i zobaczyć co z tego wyniknie". „Czym różni się stosunek Lenina do wolności słowa od stosunku do niej takich ludzi jak Stołypin i Plehwe? Władza leninowska nie tak samo wtrąca do więzień wszystkich inaczej myślących, jak to robiła władza Romanowych?". „Rozumne elementy demokracji niech rozstrzygną, czy po drodze im ze spiskowcami i anarchistami typu nieczajewskiego". „Lenin wprowadza w Rosji ustrój socjalistyczny metodą Nieczajewa — „całą parą przez błoto". Lenin, Trockij i wszyscy inni przekonani są widocznie wraz z Nieczajewem, że „prawem do hańby najłatwiej jest uwieść Rosjanina". „Lenin jest niewątpliwie człowiekiem wyjątkowej siły, człowiekiem utalentowanym, rozporządza wszystkimi cechami „wodza", tą również która polega na braku moralności i na czysto wielkopańskim, bezlitosnym stosunku do życia mas ludowych". „Nic nie zbija z tropu Lenina, niewolnika dogmatu, i jego zauszników — jego niewolników... Klasa robotnicza jest dla niego tym, czym ruda dla metalowca. Można — w danych warunkach — odlać z tej rudy państwo socjalistyczne? Prawdopodobnie nie można. Czemu jednak nie spróbować? Co ryzykuje Lenin, jeśli eksperyment się nie uda? Lenin pracuje jak chemik w laboratorium, z tą różnicą że chemik postępuje się martwą materią, a Lenin żywą. Świadomi robotnicy, idący za Leninem, winni zrozumieć że z rosyjską klasą robotniczą przeprowadza się bezlitosny eksperyment, który zniszczy najlepsze siły robotników i na długo zahamuje normalny rozwój rewolucji rosyjskiej". „Nie — w tym wybuchu instynktów zoologicznych nie widzę jasno wyrażonych elementów rewolucji społecznej. To rosyjski bunt bez socjalistów z ducha, bez udziału psychologii socjalistycznej".

Specjalnie zaskakujący jest dla mnie u Gorkiego obsesyjny refren „nieczajewszczyzny". Blisko rok temu pisałem na marginesie fragmentu dziennika Natalii Herzen: „Być może nie jest przesadą dostrzegać jakiś tajemniczy znak historii w tym, że rok śmierci Herzena i szczytu sukcesów Nieczajewa był rokiem urodzenia Lenina". Nie znałem jeszcze *Myśli niewczesnych*.

11 października

Stara socjalrewolucjonistka Jekaterina Olickaja napisała dwutomowe wspomnienia, które cieszą się dużym powodzeniem w

sieci kolportażowej *samizdatu*. Zastanawiam się nad przyczynami tego powodzenia. Książka jest „rozbiegana", niezbyt interesująca, napisana na kolanie i piórem dość niewprawnym, a doświadczenia więziennie-obozowe nie należą w *samizdacie* do tematów rzadko poruszanych i zajmowali się nimi wytrawniejsi od starej eserki pisarze. Domysł, tylko domysł: Olickaja zawdzięcza oczytaność swego pamiętnika właśnie temu, że od wczesnej młodości była i nadal jest eserką. Ze wszystkich rozgromionych po rewolucji partii i grup opozycyjnych eserzy byli bodaj najtwardsi i najbardziej nieustępliwi, najwierniejsi mimo prześladowań własnym przekonaniem. Na procesie ich przywódców, w roku 1922, główny oskarżony Abram Gotz zwrócił się w tych słowach do sędziów przed ogłoszeniem wyroku skazującego: „Jeśli musimy umrzeć, umrzemy bez trwogi; jeśli zostaniemy oszczędzeni, będziemy przeciw wam walczyć tak samo jak przedtem". Słowa Gotza stały się dla większości eserów czymś w rodzaju zbiorowego ślubowania, i choć nie przytacza ich Olickaja, czuje się że były drogowskazem i w jej życiu.

Gdyby mój domysł był trafny, należałoby również przypuszczać że wśród odbiorców *samizdatu* pokutuje legenda nieprzejednanej opozycji, niezależnie od takiej czy innej oceny eserowskiej filozofii politycznej.

16 października

Wieczorem miałem coś do załatwienia w zaułkach, nie łatwo było odnaleźć adres, stąd przymusowy spacer i to w dzielnicy której dawno nie odwiedzałem. Właściwie tylko zaułki mało się zmieniły w Neapolu, nawet od czasów (opisanych przez Malapartego w *La Pelle*) gdy zapuszczaliśmy się w nie przyciągani napisami *Out Of Bounds*. Jedną taką wyprawę, z przygodami w stylu trochę Malapartego a trochę słynnej noweli Boccaccia *Andreuccio di Perugia*, pamiętam doskonale; było nas pięciu: Napoleon Sadek, Janek Bielatowicz, Janek Olechowski, Tadzio Sowicki i ja. Z tej piątki trzej pierwsi nie żyją, czwarty wrócił do Polski. W zaułkach ja sam.

Nie zmieniły się zatem zbytnio, tyle że od zamknięcia domów publicznych prostytutka spieszyła się i zmotoryzowała, wyszła i wyjechała na spotkanie klienteli w okolice portu i na drogi wyłotowe z miasta, albo (w wypadku niepewnej płci tak zwanych *travestiti*) do pasażu Umberto.

Konserwatyzm zaułków tłumaczy się przeważnie względami gospodarczymi. Że niby *l'economia del vicolo* pozwala zarobić na

talerz makaronu ludziom, uprawiającym jeden z tysiąca nieznanych poza Neapolem „zawodów”: na przykład „malarzowi”, który na wezwanie sprzedawcy ryb zjawia się ze swoim japońskim pędzelkiem i bogatą paletą, by nieświeże okazy zatoki przywrócić delikatnym podmalowaniem do stanu *come vivo*. Jest w tym jakiś procent prawdy, ale nie dostateczny dla wyjaśnienia oporu mieszkańców zaułków wobec wszelkiej myśli o przeprowadzce do „domów ludowych” na peryferiach miasta. Znacznie większą, według mnie, rolę odgrywa poczucie psychologicznego i obyczajowego zakorzenienia w „brzuchu Neapolu”, jak zaułki nazywała Matilde Serao. Neapolitańskim Jonaszom, także tym klepiącym biedę, przynosi ulgę świadomość wspólnoty i przynależności, czyli dwóch rzeczy które życie zaułkowe zachowało w przeciwieństwie do anonimowego i oschłego miasta nowoczesnego.

Schodziłem już w dół do centrum, nagle na rozleglejszym skrzyżowaniu trzech zaułków wstrzymał mnie ruchliwy, krzykliwy i żywo gestykułujący tłum. Usuwano stragany, taszczono z bram i rzucano na bruk starzyznę: połamane skrzynki, spróchniałe deski, wypatroszone materace, hałdy tektury. Po chwili, z dymem i trzaskiem, buchnął wysoki płomień. Wszyscy dokoła darli się w niebogłosey i klaskali, u progu jesieni była to zwyczajowa (i w tym roku grubo przedwczesna) inauguracja *in grande* ognisk, które z nastaniem chłódów rozpalane są w zaułkach obok wejść do piwnicznych mieszkań.

### 19 października

J. G., który *tołstye żurnaty* uważa (słusznie zresztą) za kopalnię informacji o ZSSR i wertuje je z benedyktyńską cierpliwością, zapomniał mi widocznie podsunąć *Nowyj Mir* z 1968 roku: wydrukowano w nim reportaż młodego sowieckiego sinologa Żelochowcewa *Kulturnaja rewolucija s blizkiego rassojanija* — *Zapiski oczewidca*, przełożony ostatnio z huczką na włoski jako *La rivoluzione culturale vista da un sovietico*. Dla umiejącego czytać między wierszami, niebywała lektura.

Mój włoski przyjaciel N. załatwił książeczkę zjadliwą etykietką „hipokryta wśród hipokrytów”. I to i więcej, o wiele więcej. Naturalnie Żelochowcew musiał być przede wszystkim „hipokrytą wśród hipokrytów”, skoro otrzymał pilny *socjalnyj zakaz* ob smarowania Chin i maoizmu. Ale to warstwa wierzchnia, obrzędowa, wyrażająca się w stałym akompaniamencie „świętego oburzenia”. Kto bystry i z podobnymi sztuczkami obyty, dojrzy pod nią solidnie położoną warstwę pamfletu antysowieckiego. Metoda

jest prosta i niewinna: na wyłączny rachunek piętnowanych Chin zapisuje się „rewoltujące i karygodne zjawiska”, o których wiedzą coś niecoś z własnego podwórka obywatele ZSSR.

Mnóstwo chińskich „anomalii” irytuje i przygnębia sowieckiego *oczewidca*. Kumanie się z cudzoziemcami nie uchodzi Chińczykom na sucho. Potoczny w Pekinie językiem jest żargon wojskowy: „atakować”, „uderzać”, „nacierać”, „mobilizować”, „unicestwiać”. W bibliotece uniwersyteckiej katalog służy jedynie do użytku wewnętrznego, a lista prohibitów wydłuża się z roku na rok. Trudną sytuację gospodarczą przypisuje się wrogiemu okrażeniu, czyli własne winy zwała się na innych: wybieg stary jak świat! Nie można swobodnie rozmawiać z obawy przed wszechobecnymi aparatami podsłuchowymi, trzeba wychodzić z domu na *rozwaworki po duszku*. O stanowiskach decydują staze partyjne, a nie kwalifikacje. Lekceważy się walory ducha ludzkiego, usiłuje się z człowieka zrobić posłuszną marionetkę, zamiast podciągać masy ludowe na poziom inteligencji spycha się w dół i upokarza inteligencję. Kult jednostki doprowadza kraj do ruiny, przesłania zdobycze marksizmu i leninizmu. Zbrojenia nuklearne pochłaniają większość rezerw. Budownictwo mieszkaniowe jest w zastoju. Nie modernizuje się prymitywnej pracy ręcznej chłopów, przeciwnie wyciska się ich do ostatniej kropli potu w imię stworzenia potęgi imperialistycznej. Oto dlaczego Mao musiał otworzyć wentyl bezpieczeństwa rewolucji kulturalnej, gdyby tego nie zrobił gęstniejąca para rozsadziliby kocioł zwany Chinami. Węsenie wszędzie „kontrewolucjonistów” przypomina średniowieczne sabaty czarownic. Szykanuje się również — rzecz nie do wiary! — rodziny oskarżonych i podejrzanych. Tropi się w absurdalny sposób pochodzenie społeczne, byle ex-właściciel spłachetka ziemi awansuje do rangi obszarnika. Wszystkich bez wyjątku zagranicznych sinologów podciąga się pod wspólny strychulec sługusów amerykańskiego imperializmu i współczesnego rewizjonizmu. Ludzi nauki wysyła się na reedukację do obozów pracy. Niszczy się lub przyszyrzyga odpowiednio przeszłość. Wpaja się młodzieży drętwą mową propagandową. Tresuje się członków partii tak, by swoje poglądy potrafili uzależnić od każdorazowych zmian w linii generalnej. W fabrykach stosuje się przemieszenie robotników w różnych rejonów imperium, oczywiście w celu sparaliżowania w zarodku potencjalnych separatyzmów lokalnych. Ściga się książki i płyty zagraniczne. I tak dalej, i tak dalej, *ad infinitum*.

Żelochowcew nie opatentował — o ile mi wiadomo — swe go cudownie prostego wynalazku, a ponieważ polskie wydarzenia z roku 1968 posiadały niemało cech chińskiej rewolucji kulturalnej, droga przed naszymi krajowymi sinologami jest otwarta.

23 października

Przeglądałem w księgarni album fotograficzny, poświęcony głośnemu cudotwórcy i stygmatykowi Padre Pio z San Giovanni Rotondo w Apulii. Twarz surowa i gniewna, zwłaszcza oczy zimne i nieubłagane.

Przed laty A.W., przejazdem w Neapolu, wyciągnięty na hotelowym łóżku „w czterech ścianach swego bólu”, postanowił wybrać się do Padre Pio. Ostatnia deska ratunku, nadzieja cudu, ucieczka od rozkładanych bezradnie rąk lekarzy do rąk pokrytych stygmatami, zdolnych może samym dotknięciem usmierzyć przewlekłe męczarnie.

Wrócił z tej pielgrzymki rozbity. Cała jego żarliwa wiara uderzyła jak o skałę o chłopski, szorstki, prawie opryskliwy, wyzuty z wszelkich rafinacji, katolicyzm stróża San Giovanni Rotondo. Nie mogło być inaczej. Nie *pietà*, nie miłosierdzie, lecz gromowładna sprawiedliwość i bezwzględność tkwią u źródła tęsknot religijnych wsi apulijskiej. To przecież w niewielkiej odległości od cudotwórczego *feudum* Padre Pio znajduje się San Nicandro, gdzie grupa chłopów porzuciła religię ojców i przeszła na judaizm. Ich inspirator i nauczyciel Donato Manduzio pokłócił się w końcu nawet z rabinem rzymskim, wytykając mu nadmierną letniość. Pisał do niego na krótko przed śmiercią: „Powinniście założyć szkołę proroków. W ten sposób ani wy ani my nie będziemy błędzili po omacku. Bez Widzenia pasterz jest ślepy. Gdyż nasz Bóg nie jest Bogiem umarłych, ale Panem Zastępów. Jeśli gardzicie moimi słowami, nie mną gardzicie lecz Bogiem Wizji, który wywołuje i zmienia wiatr jak Mu się podoba. I nie ma nikogo, kto mógłby Go zapytać: co czynisz?”. Pasterz wyposażony w dar Widzenia, na służbie Pana Zastępów wywołującego i zmieniającego wiatr jak Mu się podoba: tym zapewne chciał być dla wiernych owieczek Padre Pio, który codziennie wznosił nad ołtarzem ręce w bandażach przesiąkniętych krwią i ropą stygmatów.

27 października

Tekst własnoręcznej adnotacji Mikołaja I na *Liście filozoficznym* Czaadajewa, po jego ukazaniu w roku 1836 w moskiewskim *Teleskopie*: „Przeczytawszy artykuł znajduje, że jego treść jest mieszaniną zuchwałych nonsensów, godną człowieka chorego umysłowo”. Lekarze przychyliłi się do dostojnej diagnozy cara, uznali Czaadajewa za „wariata”.

Na precedens Czaadajewa powołał się w roku 1970 Sołżenicyń, stając w obronie biologa Jaurèsa Miedwiediewa, internowanego na oddziale psychiatrycznym szpitala w Kałudze. O historii *Listu filozoficznego* i jego autora napomyka sam Jaurès w książeczce *Kto sumasszedzszy?*, którą wydano po rosyjsku w Londynie. Jaurès napisał ją do spółki z bratem, historykiem Royem. Wzór jasnej, precyzyjnej i inteligentnej kroniki, pasjonujący w czytaniu.

Młodemu i wysoko cenionemu biologowi przypięto „chorobę umysłową” za książkę o karierze Łysienki, oraz za rozprawkę *Współpraca między uczonymi i granice narodowe*: pierwszą kolportował szeroko *samizdat*, co naturalnie pociągnęło za sobą kilka przekładów na Zachodzie; druga krążyła w manuskrypcie wśród naukowców sowieckich. Jaurèsa „badano komisyjnie” dziewiętnaście dni, interwencje jego kolegów sowieckich i zagranicznych wymogły na władzach stosunkowo szybkie zwolnienie. Najciekawszy w książeczce jest bukiet „diagnoz”: „słaba adaptacja do otoczenia”, „zbyt wielostronne zainteresowania, wykraczające poza mury laboratorium, w sferę socjologii i publicystyki”, „niepohamowany impuls walki z wiatrakami”, „nikłe rozeznanie rzeczywistości i konkretnych sytuacji”. Wszystko to razem, w kategoriach sowieckiej psychiatrii państwowej, składa się na „apatyczną schizofrenię z paranoicznym majaczeniem reformatorskim”. *Paranojalny reformatorskiej bred* przewija się w „badaniach” ustawicznie: choroba ciężka i groźna, która powinna dać dużo do myślenia rzecznikom tezy o „reformowalności socjalizmu despotycznego”.

Jaurès nader rozumnie redukuje swoją przykrą przygodę do najprostszych terminów: procesy publiczne przeciw dysydentom, „inaczej myślącym”, przyniosły skutek wręcz odwrotny od zamierzonego, przyczyniły się do ujawnienia i propagowania *kramolnych idei*; zwyciężył więc u szczytu pogląd, że o ile „wzrost liczby procesów politycznych i więźniów politycznych jest bardzo złym świadectwem społecznym, to wzrost liczby łóżek szpitalnych jest bardzo dobrym świadectwem postępu społeczeństwa”. Kto takiemu rozumowaniu śmiałyby zarzucić brak logiki?

Sęk w tym, że nie dopisuje kulejąca wciąż „operatywność”. Po stu trzydziestu pięciu latach pora udoskonalić technikę produkowania „wariatów” imperatorskim pociągnięciem pióra.

3 listopada

Piszący dzielą się na przykutych do stołka i perypatetyków. Należę do drugiego gatunku. Gdybym miał wmontowany w orga-

nizm licznik, okazałoby się że podczas pisania obszedłem w moim pokoju kulę ziemską.

Nałóg chodzenia przy pracy po własnym pokoju jest czynnością mechaniczną, pokrewną transowi, nie angażującą zmysłu obserwacji, nastawioną wyłącznie na refleksję. Czasem jednak następuje jakby ocknięcie się z transu: spojrzenie dookoła, lub na obraz za oknem, ma w sobie coś z zobaczenia po raz pierwszy. Trwa to ułamek sekundy, ale wystarczy by zrozumieć ile się w przeszłości przeoczyło. W kącie obok mojego okna wisi płótno, przedstawiające nasz pokój londyński, z czarną kotką na kufrze i szybą zamalowaną na zielono. Tam też chodziłem pisząc, też przystawałem często na wprost okna, i nie pamiętam czy widać z niego było skrawek Fortune Green.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Nowość wydawnicza

Witold LEITGEBER

# W KWATERZE PRASOWEJ

Dziennik z lat wojny 1939-45  
Od Coëtquidan do "Rubensa"

Stron około 360. Oprawa płócienna z obwolutą.

Cena: £ 2,70; \$ 8,00; F. 40,00

Cena w przedpłacie do dnia 31 marca 1972:

£ 2,00; £ 6,00; F. 30,00.

lub równowartość w innych walutach.

ZAMÓWIENIA NALEŻY KIEROWAĆ:

Veritas Publications,  
4 Praed Mews  
London W2 — W. Brytania

## Pamiętnik naturalisty

W sielance i baśni chciałbym zostać, co jednak niemożliwe, nie dlatego zresztą, żebym aż tak bardzo przejmował się ubytkiem liczby kondorów w Sierra Nevada, obniżeniem się pozycji społecznej niedźwiedzia, czy też sporem pomiędzy hodowcami bydła i konserwacjonistami o lwa górskiego inaczej kugara czyli pumę, w wyniku czego senat stanowy w Sacramento zabronił w 1971 roku polowań na kugara w ciągu najbliższych lat czterech:

Po czterolistną koniczynę łąkami o świcie,  
Po dwójjorzech w głęboki las.  
Tam wróżyło się nam wielkie życie  
I czekało, choć nie było nas.

Dąb nasz ojciec, szorstkie jego ramię.  
Siostra brzoza szeptem prowadziła.  
Coraz dalej szliśmy na spotkanie  
Wody żywej, z której wszelka siła.

Aż wędrując głuchym czarnym borem  
Cały długi dzień młodego lata,  
U wód jasných staniemy wieczorem  
Gdzie król bobrów przeprawami włada.

zegnaj przyrodę  
zegnaj przyrodę

Lecieliśmy nad pasmem skalnośnieźnych gór  
I o duszę kondora rzucaliśmy kości.  
— Czy ułaskawimy kondora?

— Nie ułaskawimy kondora.  
Ginie, bo nigdy nie jadł z drzewa wiadomości.

W parku nad rzeką niedźwiedź zastąpił nam drogę  
I wyciągając łapę poprosił o wsparcie.  
— Więc to przed nim zbłąkani podróżni truchleli?  
— Dajmy mu flaszkę piwa, niech się rozweseli,  
Kiedyś miał w swoich dworach miodu pełne barcie.

Zgrabnie sadił skokami przez trakt asfaltowy  
I znów mieliśmy w światłach las od deszczu mglisty.  
— Wyglądał na kugara.  
— To by się zgadzało.  
Jeżeli są, to właśnie tu, według statystyk.

żegnaj przyrodo  
żegnaj przyrodo

Przedstawiam jak moje dziecinne marzenie zostało zaprzeczone:

I oto, w ławce a nieobecny, zanurzam się w obrazek na ścianie  
klasy, *Zwierzęta Północnej Ameryki*.

Bratając się z szopem-praczem, głaszcząc jelenia wapiti,  
goniąc dzikie łabędzie nad szlakiem karibu.

Puszcza mnie chroni, w niej szara wiewiórka może iść tygodnie  
wierzchołkami drzew.

Ale będę wyrwany do tablicy, któż odgadnie w jakich latach.  
Kreda łamie się w palcach, odwracam się i słyszę mój, chyba mój,  
głos:

„Biała jak końskie czaszki na pustyni, czarna jak tor  
międzyplanetarnej nocy

Nagość, nic więcej, bezobłoczny wizerunek Ruchu.

Eros to był, który splatał nam girlandy z kwiatów  
i owoców,

Lite złoto sączył ze dzbana w zachody i wschody słońca.

On to prowadził nas między słodkie krajobrazy

Nisko nawistłych gałęzi u strumieni, wzgórz łagodnych,

I wabiło nas echo dalej, dalej, kukułka obiecywała

Miejsce gdzie nie ma tęsknoty, w gęstwinie schowane.

Oczy nasze dotknięte i zamiast butwienia, zieleń,  
Cynober tygryskiej lili, sina goryczka genjany,  
Futrzałość kory w półmroku i kuna w górze śmignęła,  
Tak, tylko zachwyty, Eros. Więc krwi alchemiom zawierzyć,  
Dziecinną ziemię ułudy poślubić na zawsze?  
Czy znosić gołe światło bez barw i bez mowy  
Które niczego nie chce, do nikąd nie wzywa?”

Zakryłem twarz rękami, a siedzący w ławkach milczeli.  
Nieznajomi, bo minął mój wiek i zgubiło się pokolenie.

Opowiadam o moim sprycie wówczas, kiedy, wiele przeczuwając, wpadłem  
na pewien pomysł, co prawda nie nowy, ale wysoko ceniony przez lepszych  
ode mnie, o których nic nie wiedziałem:

Zgubiło się pokolenie. Także miasta. Narody.  
Ale to trochę później. Tymczasem w oknie jaskółka  
Odprawia obrzęd sekundy. Ten chłopiec, czy już podejrzewa  
Ze piękność zawsze nie tu i zawsze kłamliwa?  
Teraz widzi swoje powiaty. Koszą otawy.  
Drogi kręte, pod górę, w dół. Borki. Jeziora.  
Pochmurne niebo z jednym ukośnym promieniem.  
I wszędzie rzędy kosiarzy w koszulach z grubego płótna,  
W ciemnoniebieskich spodniach, barwionych wedle zwyczajów.  
Widzi co widzę dotychczas. Był jednak przebiegły,  
Patrzył jakby od razu rzeczy zmieniała pamięć.  
Odwracał się jadąc bryką bo chciał najwięcej zachować.  
To znaczy zbierał co trzeba na jakiś ostatni moment  
Kiedy z okrucichów ułoży świat już doskonały.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zwodził nas język, dla tego samego  
wynajdując coraz to inne nazwy w różnych miejscach i czasach:

*Alpejska gwiazda spadająca, Alpine Shootingstar*  
(*Dodecatheon alpinum*)

Rośnie w górskich lasach nad Rogue River.

Która to rzeka, w południowym Oregonie,

Ze względu na jej skaliste, trudno dostępne brzegi

Jest rzeką rybaków i myśliwych. Czarny niedźwiedź i kugar  
 Dotychczas dość obfity na tamtejszych stokach.  
 Roślinę tak nazwano bo różowo-liliowe kwiaty  
 Zwracają ostrze ku ziemi, ukośnie, pod wiązką płatków,  
 Co razem przypomina gwiazdę z ilustracji  
 Dziewiętnastego wieku, wlokącą cienki snop linii.  
 Rzece nazwę nadali francuscy traperzy  
 Kiedy któryś z nich trafił w indiańskie zasadzki.  
 Odtąd była to dla nich La Rivière des Coquins,  
 Rzeka Hultajska, skąd Rogue w tłumaczeniu.

Siedziałem nad jej nurtem głośnym i pienistym  
 Ciskając kamyki i myśląc, że jakie miał imię  
 Ten kwiat w języku Indian nie będzie wiadome,  
 Jak nie będzie wiadome imię, rodzinne, ich rzeki.  
 W każdej rzeczy powinno być zawarte słowo.  
 Ale nie jest. I cóż tu moje powołanie.

Przypłutują się bezsensowne zwrotki o Anusi i *zalia rutele*, zielonej rutecy,  
 zawsze, zdawałoby się, symbolu życia i szczęścia:

A czemuże Anusia rutę hodowała,  
 Wiecznie zieloną rutę w szteńskim ogrodzie?  
 Czemu *zalia rutele* wieczorem śpiewała  
 Aż niosło się echo, za wody, po rosie?

I dokądże w wianeczku rucianym tak poszła,  
 Czy i spódnicę z kufra zabrała ze sobą?  
 I kto ją tam w indiańskich zaświatach rozpozna  
 Kiedy była Anusia, a nie ma nikogo?

Zdaje krótką relację o tym jak zmieniła się ulubiona kiedyś książka  
*Nasz las i jego mieszkańcy*:

Płacz rozdzieranego zająca napęlnia las.  
 Napęlnia las i nic nie zmienia w lesie.  
 Bowiem umieranie poszczególnej istoty jest jej prywatną sprawą  
 I każda musi sobie z tym radzić jak umie.  
*Nasz las i jego mieszkańcy*. Nasz, naszego sioła,  
 Opasany drutem. Ssanie, mlaskanie, trawienie,  
 Rośnięcie i nicestwienie. Matka obojętna.  
 Gdyby stopić wosk w uszach, motyl na igliwiu,

Żuk napoczęty przez ptaka, zraniona jaszczurka  
 Leżałyby pośrodku koncentrycznych kół  
 Wibrującej swojej agonii. Ten dźwięk przenikliwy  
 Zagłuszyłyby wystrzały ziaren i pąkowania,  
 I dziecię nasze, z koszem na poziomy,  
 Nie słyszałyby trel, czyż nie ślicznych, drozda.

Składam hołd Stefanowi Bagińskiemu, który nauczył mnie posługiwać  
 się śrubą makrometryczną i śrubą mikrometryczną oraz szkiełkiem przedmio-  
 towym, nie zapominam też o głównym sprawcy mego pesymizmu, cytując  
 nawet z dzieła o jego czynach w służbie nauki ogłoszonego na użytek mło-  
 dzieży w roku 1890 w Warszawie: Prof. Erazm Majewski, *Doktor Mucho-  
 łapski; fantastyczne przygody w świecie owadów*:

Mistrzom naszej młodości pozdrowienie.  
 Tobie, mojemu panu od przyrody,  
 Śledzienniku Bagiński w pumpach kraciastych,  
 Władco na infusoriach i amebie,  
 Gdziekolwiek twoja czaszka z wełnistym kosmykiem  
 Spoczywa, kołysana wirem elementów,  
 Jakikolwiek los przypadł twoim okularom  
 W złotej drucianej oprawie,  
 Składam słowo.

I tobie, który jesteś wolny od zniszczenia,  
 Doktorze Muchołapski, bohaterze  
 Wiekopomnej wyprawy w krainę owadów.  
 Mieszkasz, jak zawsze, na Miodowej w Warszawie  
 I twój służący Grzegorz rano trzepie dywany,  
 A ty na starokawalerski udajesz się spacer  
 W te aleje gdzie dawno odniosłeś zwycięstwo  
 Nad wszystkim co podległe zmianie i ruinie.

Zdarzyło się to latem 187\* roku:

„Dzień, w którym nasz naturalista miał poprowadzić do ołta-  
 rza piękną narzeczoną, był jasny, pogodny i bezwietrzny. Zupełnie  
 taki, jakiego było potrzeba do ekskursji na muchy. D-r Mucho-  
 łapski jednak, ubrany już we frak, nie myślał o dwuskrzydłych  
 istotach. Pociągniony jedynie śliczną pogodą i przyzwyczajeniem,  
 postanowił ostatnią wolną godzinę spędzić w Łazienkach Króle-  
 wskich. Idąc, rozmyślał nad szczęściem przyszłego pożycia, gdy  
 naraz przed rozmarzonym wzrokiem jego mignęła się jakaś dwu-



skrzydła istotka. Spojrzał i stanął, jak wryty. Miał przed sobą łowika, ale takiego łowika, jakiego jeszcze nigdy nie widział! Serce zabiło mu jak młotem. Zataił dech i zbliżył się do listka, chcąc dokładnie obejrzyć osobliwy okaz, tymczasem ostrożny owad, pozwalwszy upewnić się, że jest rzeczywiście niezwykłym gatunkiem, uleciał sobie na dalszą gałązkę. Nasz naturalista, nie tracąc go z oczu, zbliżył się na palcach, ale łowik, nie w ciemię widać bity, oddalił się w porę. Powtórzyło się to kilka razy i rozbawiona mucha zaprowadziła go na drugą stronę klombu. Przyrodnik tracił ją z oczu i odnajdywał ciągle i tak grali sobie w chowanego, a czas leciał i leciał. Nadeszła godzina ślubu, gdy łowik ulokował się bardzo wysoko, tak wysoko, że aby go nie stracić z oczu, trzeba było wleźć na drzewo. Nie było czasu do namysłu”.

Ach, podstępny Fatum! Żeby zdybany został  
Kiedy sięgał cylindrem, czając się na gałęzi.  
Żeby na wieść o tym zemdląca dziewica.

Nierozważna to była istota płci żeńskiej.  
Wybrała swoją ziemię tiulu i gazy,  
Luster w gotowalni łatwo pękających,  
Fajansowych nocników, z których tylko ucho  
Zgrzytnie pod łopatą, położnic, żałobnic,  
Szeptów *Między Ustami a Brzegiem Pucharu*  
Czy też między ustami a napoleonką  
Przez pogrobowców zjadaną w burzanie.  
Cóż, zwykłą ziemię, dla wielu bezcenną.  
Oby lekka jej była, choć lekka nie bywa.

Przyznaj, gdyby nie dzień ten, Janie Muchołapski,  
Zdomowiałby twój zapał pośród abażurów.  
Namiętność, czysta i niezawstydzona,  
Ku przeznaczeniom dalej by nie wiodła,  
Aż na tatrańskiej polanie o świcie,  
W Dolinie Białej Wody i Rówienki,  
Patrząc na czerwień wschodzącego słońca,  
Jak nakazywał przepis, wypijesz eliksir  
I zstąpisz tam, gdzie nie ma win ni skargi.

Byłem z tobą, zmałały, w niezgłębionym kraju,  
Pod żdźbłami trawy grubymi jak cedry,  
W huku i trzasku błonkoskrzydłych maszyn.  
Stawałem w centrum chropowatych liści

I nad półmrokiem bagnistej przepaści  
Sznur pajęczyny miałem do przeprawy.

Zanotowałeś: „potworne stosunki”.  
Na sokach, maziach, lepach, milion za milionem  
Nóg poplątanych, skrzydeł i odwłoków  
Szarpie się, słabnie, zastyga na zawsze.  
Tłuste mięso gąsienic żywcem pożeranych  
Przez drapieżne potomstwo dociekliwych much  
Falując pierścieniami beztrosko spożywa.  
Humanitarysto z wieku parlamentów,  
Jaki z ciebie uczony, po cóż nam współczucie?  
I czy stosowne żebyś się oburzył  
Kiedy na czarnej dymiącej równinie  
Do bram przybyłeś spalonego miasta,  
Świadek i sędzia w sali martwych mrówek?

Litością zaraziłeś mnie dla komputerów  
W płaszczach z chityny, w przezroczystych zbrojach,  
I na dziecinnej mojej wyobraźni  
Znak twój dotychczas, filozofie bólu.  
A przecie nie mam za złe, D-r honoris causa  
Heidelbergu i Jeny. Rad jestem, że dalej  
Na twojej lasce biel kości słońcовой  
Błyszczą jak gdyby nie przyćmił jej płomień  
I siedział ktoś w powozach co jadą w Aleje.

Próbuję zwięźle opisać czego doświadczyłem kiedy zamiast wybrać zawód  
podróżnika-naturalisty zwróciłem się ku innym celom:

Pewnie dlatego pielgrzymowałem.  
Którędy, odgadną ci, którzy na przykład  
Zwiedziwszy groty koło Les Eyzies,  
Stając na popas być może w Sarlat  
(Jak mój biedniaczka Alik nazywał, *privat!*),  
Jechali stamtąd drogą na Souillac,  
Gdzie płaskorzeźba w romańskim portalu  
Opowiada przygody mnicha Teofila  
Z Adany w Cylicji, a prorok Izajasz  
Osiem stuleci trwa w gwałtownym ruchu  
Jakby targał strunami niewidocznej harfy.  
I dalej, w kręte kotliny, aż pojawi się  
Wysoko, wysoko, ten klejnot pątników,  
Tak upragniony jak chłopięctwie naszym

Gniazdo na szczycie jodły: Roc Amadour.  
A zresztą nie nalegam. Trakt do Composteli  
Albo do Jasnej Góry nie gorzej pouczy.

Dążenie i mijanie. Tutaj głaz omszały  
Biegnie i wyraźniej za każdym zakrętem,  
Po czym znika w oddali. Tam znów błysnie rzeka  
Spoza drzew i łuk mostu. Niemniej pamiętajmy,  
Nie zatrzyma nas widok ani zimorodek  
Zszywający dwa brzegi jasną włóczką lotu,  
Ani na wieży panna, choć uśmiechem wabi  
I oczy nam zawiąże prowadząc w pokoje.  
Cierpliwy byłem pielgrzym. Więc miesiąc i rok  
Na kiju karbowiałem, bo do celu zbliża.

Tylko że kiedy wreszcie po latach doszedłem  
Zdarzyło się, co, myślę, znane niejednemu  
Jeżeli na parkingu przy Roc Amadour  
Znalazł miejsce i stopnie do górnej kaplicy  
Rachował, aż zrozumiał, że to właśnie tu:  
Bo drewnianą Madonnę z dzieciątkiem w koronie  
Ogląda tłum ospałych amatorów sztuki.  
Tak i ja. Już nie dalej. Góry i doliny  
Przebyte. Ognie. Wody. I niewierna pamięć.  
Pasja ta sama choć wezwania z nikąd.  
I tylko w zaprzeczeniu dom swój miała świętość.

*Czesław MIŁOSZ*

## Czerwone maki na Monte Cassino

Hawrylenko przyjechał do Warszawy porannym ekspresem z Koszalina. W nocy odprowadzili go na koszaliński dworzec członkowie koła UTSK — Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, na którego zebraniu tylko co występował. Kiedy cała gromadka zeszała do podziemnego tunelu, ktoś zaśpiewał i wszyscy podchwycili żalną pieśń o Kozaku, który odjeżdża bardzo daleko i nie wiadomo, czy powróci. Hawrylenko pomyślał, że ta pieśń dotyczy ich samych; przedtem jeszcze, wysoki, smagły mężczyzna, z zadziwiająco błękitnymi oczami, opowiedział mu o swoim życiu — że jako mały chłopiec znalazł się wraz z rodzicami, po wojnie, tu na Ziemiach Zachodnich, gdzie Niemców już nie było, ich domy stały pustką, z powybijanymi szybami, i trzeba było zaczynać życie od samego początku; stary dom zostawili jego rodzice gdzieś w jarosławskim powiecie. Ten sam mężczyzna przeczytał Hawrylence swój wiersz o Beskidzie, o odległych wspomnieniach dzieciństwa i o tym, że marzy o powrocie do rodzinnego kraju, do własnego domu. Wiersz był niezbyt udany, ale szczerzy.

Wszyscy, którzy znaleźli się owej nocy na koszalińskim dworcu, ze zdziwieniem przyglądali się niewielkiej gromadce ludzi, którzy wyszli na peron, śpiewając ukraińską pieśń. Hawrylenko nie znał otaczających go osób — przebywał w tej miejscowości tylko przez pięć godzin; nawet zdążył pojechać na brzeg Bałtyckiego morza, do Mielna, a właściwie, nie pojechał — zawieźli go gościnni gospodarze; zawiózł inżynier-Ukraińiec maleńkim „Fiatem-850”. Kierowca mówił powoli, starannie dobierając ukraińskie słowa, płacząc język ukraiński i polski. Sprawiał wrażenie, że bardzo rzadko mówi po ukraińsku.

Na morskim brzegu czekała ich cisza. Sezon letniskowy jesz-

cze się nie zaczął, na czystych, piaszczystych plażach nikogo nie było. Hawrylenko i jego towarzysze siedzieli w milczeniu, jakby pogrążeni we śnie, zapatrzeni przez jakiś czas w leniwą rozłożniczną mgłę, stojącą nad morzem. Potem Hawrylenko wałęsał się po nadbrzeżu, przyklekał, wpatrując się w przezroczystą wodę, pryskał nią sobie w twarz i próbował jej smaku: wydawało mu się, że woda jest zupełnie ciepła, więc żałował, że nie może się wykąpać. W pierwszych dniach maja tu jeszcze nikt się nie kąpie. Potem robili zdjęcia, a w powrotnej drodze jakaś chuda kobieta rozpytywała go o Połtawę. W Połtawie zresztą nigdy nie była.

I oto teraz, stojąc na peronie, w otoczeniu tych ludzi, z którymi przypadkowy los połączył po raz pierwszy i, prawdopodobnie, po raz ostatni w życiu, Hawrylenko myślał, że aby tych ludzi, ich kłopoty i nadzieje zrozumieć, chociażby w pewnym stopniu, należałoby z nimi obcować przez jakiś czas. Ta myśl wydała się Hawrylence nie do zniesienia, bo już mu obrzydło jeżdżenie się pociągami i wagony restauracyjne — tak zwane „warsy” — do których trzeba było przepychać się przez zatłoczone wagony drugiej klasy; obrzydły mleczne bary i hotele w miastach wojewódzkich. Warszawa była ostatnim etapem jego wędrówki — stamtąd, po dwu dniach, miał wyjechać do Kijowa.

Ta sama chudziutka kobieta, która wypytywała go o Połtawę, wyciągnęła Hawrylencę, potem wszyscy go ściskali gromadnie, ofiarowali bukiet czerwonych goździków, i wreszcie wsiadł do swego sypialnego wagonu. Stał przez chwilę przy otwartym oknie, wpatrując się w twarze odprowadzających go osób. Czuł się niezręcznie, bo uważał się jeszcze za młodego człowieka, a tu przyszli go odprowadzać przeważnie starsi mężczyźni i kobiety; pragnął jakoś odwdziżyć się im za to wyróżnienie i nie wiedział, jak tę wdzięczność okazać. „Hallo, uwaga — zapowiedział głośnik — pociąg pośpieszny do Warszawy odejdzie z toru przy peronie numer jeden”.

Konduktorzy w ciemnych mundurach weszli na stopnie wagonów, Hawrylenko po raz ostatni uściśnął ręce odprowadzających, uśmiechał się, mówił coś wesołego, zapraszał wszystkich do Kijowa, ale czuł się dość niewyraźnie. Jakiś gorzki posmak był w tym pożegnaniu.

Od razu ułożył się do snu w swojej kotysce (polskie wagony sypialne mają, zamiast twardych półek, coś w rodzaju kotysek, czy hamaków). W korytarzu głośno rozmawiano po francusku. Zasnął bardzo szybko, myśląc tylko o tym, żeby pociąg się nie spóźnił, bo nazajutrz zaczynały się Dni Oświaty i Książki; na wielkim książkowym kiermaszu Hawrylenko miał sprzedawać

swoją książkę, przełożoną na polski, i proszono go, żeby się nie spóźnił. Kiermasz zaczynał się o 10 rano.

Hawrylenko obudził się wcześniej i wyszedł na korytarz. Słońce podnosiło się nad lasami i miasteczkami, koło których z hukiem przelatywał ich pociąg. Co sprawiło, że ta ziemia wydawała się obcą? Takie same łąny, jak na Ukrainie, takie same chmury, leśne drogi, takie same sosny i piachy, jak u nas na Polesiu. Co temu krajowi nadawało obcy wygląd: kościoły i budynki z szarego betonu i ponurej, ciemno-czerwonej cegły, i okienice pomalowane na biało? Czy może inne typy samochodów — niezgrabne ciężarówki, „Stary”, i „Syrenki” o niskich podwoziach? Czy też niezbrane mundury wojskowych, patrolujących na peronach stacji — dzielni chłopcy w czapkach z rzemiennymi paskami, nasiunietymi na młode podbródki, z nieodłącznymi automatami za plecami? Ale chyba nie to było najważniejsze, lecz wewnętrzna świadomość, że znajdujesz się w obcym kraju.

Pociąg zbliżał się do Warszawy i miał zaledwie piętnaście minut spóźnienia, co stanowiło nie byle jakie osiągnięcie PKP. Nad przedmieściami stał niedzielny poranek — zamglony, lekki, jak gdyby bezcielesny, nad dachami połyskującymi ranną rosą. Na wyjściowych stacjach stały nieruchome wagony. Na niebie zaczynał się słoneczny, jasny dzień. Hawrylenko pomyślał, że na placu przed Pałacem Kultury i Nauki będzie panować upał. Obok niego rozmawiało dwóch osobników, o trudnym do określenia wyglądzie, jakim odznaczają się ludzie między trzydziстым piątym i pięćdziesiątym rokiem życia. Otworzyli okno i firanki napięły się, jak żagle, pod uderzeniem chłodnego, porannego powietrza.

W Warszawie nikt Hawrylence nie wyszedł na spotkanie. Namacał w kieszeni klucz, który przewidująco wręczył mu jego stary przyjaciel, Florian Kłymowycz, zwany przez przyjaciół Florkiem-pomidorkiem. Florek wyjechał z rodziną na wieś i dał Hawrylencę klucz od swego mieszkania — mieszkał w śródmieściu, przy ulicy Brackiej.

W mieście zaczynało się jasne, majowe święto i na każdym kroku widać było jego oczywiste objawy. Szły świątecznie ubrane dzieci, w białych pantoflach, poważne, jak gdyby udawały się do komunii. Na tablicach ogłoszeń koło centralnego „Uniwersytetu” te same pstrokate zawiadomienia: „Dni Oświaty i Książki”. Ludzi było na ulicach na razie niewiele, ale prawie wszyscy, których Hawrylenko spotykał, szli w kierunku Marszałkowskiej — na kiermasz. Hawrylenko zjadł śniadanie w maleńkiej jadłodajni na Brackiej, obok kolejowego biura „Orbisu”; zamówił rybę w galarecie, mięsna sałatkę, kufel piwa. Po chwili wahania dopłacił trzy złote i wypił dużą filiżankę kakao. Florek-pomidorek mieszkał w gmachu, w którym mieścił się Związek Polskich Ren-

cistów, toteż na schodach zawsze można tu było spotkać starszych panów z maleńkimi krzyżkami w butonierkach, albo stare panie w kapeluszach z czarnej słomki. Ale dziś schody stały pustką.

Hawrylenko wykąpał się z pośpiechem, włożył czystą koszulę i nowy krawat w paski, kupiony w Szczecinie. Zatelefonował do swego tłumacza, pana Stanisława, — ten powiedział, że natychmiast wyjeżdża i że spotkają się na rogu Brackiej i Alej Jerozolimskich. Czekał cierpliwie na pana Stanisława, oglądając z nudów okładki ilustrowanych czasopism w kiosku „Ruchu” i oglądając się za ładnymi dziewczynami, które kołysały biodrami w minispódniczkach; dziewczęta także szły w kierunku Pałacu Kultury. Nareszcie przyjechał pan Stanisław — miał na sobie jasno-szary garnitur i, nie wiadomo czemu, siatkę na zakupy w ręku. Pan Stanisław miał pod sześćdziesiątkę; pochodził z Sambora i dlatego dobrze znał język ukraiński; podczas wojny pan Stanisław był porucznikiem Armii Krajowej w partyzanckim oddziale na Lubelszczyźnie.

Ogromny plac przed bardzo wysokim Pałacem był zabudowany kolorowymi pawilonami różnych wydawnictw, zbitymi z dykty. Z głośników płynęła muzyka, tłum zwiększał się z każdą chwilą, przed kilkoma pawilonami już potworzyły się olbrzymie kolejki — sprzedawano w nich dzieła Sienkiewicza. Hawrylenko przyglądał się, jak z tłoku wydostawali się uczniowie, niosąc grube tomy „Potopu” i „Ogniem i mieczem”. Oddalali się od tłumu i wkładali książki do dużych papierowych teczek. Każde wydawnictwo wręczało kupującym swoje teczki, o jaskrawych kolorach. Przy ladach Wydawnictwa Obrony Narodowej panował największy hałas — dzieciaki kupowały powieść Jana Przymanowskiego: „Czterech pancernych i pies”. Zdaje się, że powieść sprzedawał sam autor — każdy chciał mu się przypatrzeć.

Hawrylenko i pan Stanisław znaleźli nareszcie pawilon swego wydawnictwa — wielki, żółty namiot, rozpięty na rurach z aluminium. Słońce mocno przypiekało i wszyscy sprzedawcy książek — nawet chudziutki redaktorki z wydawnictwa — coraz to ocierali spocone czoła. Z trudem przecisnęli się przez tłum, który otaczał namiot, i dostali się do środka. Pod ladą, w wielkich tekturowych pudłach leżały na kupie zmięte banknoty. Handel szedł żwawo, sprzedawczynie niedbale wrzucały czerwone stużłotówki do pudełek. Wśród sprzedających książki Hawrylenko rozpoznał miłą, zawsze uśmiechniętą panią Basię z działu reklamy i naczelnego redaktora wydawnictwa, pana Kazimierza. Hawrylenko ucieślił się, dostrzegłszy skrzynkę, wypełnioną butelkami z wodą mineralną.

Hawrylenkę posadzono za taką samą ladą jak innych pisarzy, których proszono o autografy na książkach. Położono przed nim

kilka egzemplarzy jego powieści i postawiono tabliczkę z nazwiskiem. Obok niego, w pocie czoła pracował jakiś rudawy jegoś, wyglądający na Niemca: o zaokrąglonej tuszy, z białymi brwiami i jasnymi, wypukłymi oczami. Był to znany poeta, Ernest Bilak. Ludzie podchodzili do niego kolejno, niosąc jego nową książkę, w ładnej, szarej obwolucie. Bilak szybko podpisywał książki i przyjaźnie uśmiechał się do kupujących; jedną z dziewcząt pocałował w rękę. Do Hawrylenki nikt nie podchodził, więc siedział ponury, przeklinając samego siebie, że przyszedł na ten kiermasz. Komu tu jesteś potrzebny, wśród ludzi, którzy ciebie nie znają i nigdy o tobie nie słyszeli? Komu potrzebna jest twoja powieść, zagubiona wśród tysięcy książek na tym kiermaszu?

Wypił szklanekę wody mineralnej i poczuł, że ma spoconą twarz i szyję. Po lewej ręce od Ernesta Bilaka podpisywał swoje książki siwy, poważny człowiek, przy którym skupiali się przeważnie elegancko wyglądający panowie i panie w zaawansowanym wieku; był to znany autor powieści historycznych, Teodor Porębski. Z czasem, już w Kijowie, Hawrylenko przeczytał, że Porębski spędził pół życia w Charbinie, gdzie ukończył polskie liceum. O Charbinie Hawrylenko wiedział tylko tyle, że w roku 1911 wybuchła tam wielka epidemia płucnej dżumy. Porębski robił wrażenie znużonego aktora o siwych skroniach, aktora, który niegdyś grywał Hamleta.

— Proszę pana, czy pan jest z Kijowa? — starszy głos wyrwał Hawrylenkę z zamyślenia.

Przed nim stała, z jego książką w rękach, starsza kobieta w zielonym płaszczu. Hawrylenko zwrócił uwagę na jej szyję; prawie brunatnej barwy, żylasta, głębokie zapadliny przy obojczykach. Stara kobieta z niedowierzaniem przyglądała się Hawrylence, porównując z fotografią, umieszczoną na obwolucie powieści.

— Tak, proszę pani!

— Mój Boże — powiedziała stara kobieta — to tu napisane jest o Kijowie?

— Tak.

— Jezus, Maria, toż ja urodziłam się w Kijowie. Czy pan to rozumie?

Powiedziała to takim uroczystym, przejętym i nawet nieco zdziwionym tonem, jak gdyby urodziła się nie w Kijowie, na ulicy Zwiastowania Marii Panny, lecz co najmniej na Marsie. Hawrylence bardzo przypadła do gustu ta babcia, która zapewne wypaliła w swoim życiu dużo papierosów, bo głos miała zachrypnięty, niemal męski.

— Pani od dawna mieszka w Warszawie?

— Od dwudziestego roku. Moi rodzice zostali pochowani na

omentarzu na Łukianówce. Pragnę, żeby mój wnuk przeczytał o Kijowie. Czy tu jest także coś o Bibikowskim bulwarze?

— Tak. Teraz to jest bulwar Szewczenki. Wyrosły tam wysokie topole.

— Mój brat uczył się w I-szym gimnazjum imienia Aleksandra. Uczył się w tej samej klasie z Paustowskim.

Wyciągnęła ku niemu egzemplarz książki. Hawrylenko zastanowił się przez chwilę i na tytułowej stronie napisał dużymi, krzywymi literami: „Mojej pierwszej polskiej czytelniczce, starej kijowiance, ku miłej pamięci spotkania w Warszawie. Autor”.

Z lekkiej babcinej ręki inni kupujący zaczęli zbliżać się i prosić o książkę Hawrylenki. Kiepski nastrój szybko ulotnił się i teraz Hawrylenko pracował równie zawzięcie, jak inni przy sąsiednich ladach; po niedługim czasie jego wyobraźnia wyczerpała się i zaczął się powtarzać. Wypisywał mechanicznie krótkie dedykacje: „Miłe wspomnienie”, „z najlepszymi życzeniami” itd. Czytelników, najwidoczniej, interesowało oglądanie autorskich kulfonów, wypisywanych w obcym języku. Zielonookiej dziewczynie — studentce akademii artystycznej, wpisał się niebanalnie, coś od serca, chociaż należało wątpić, czy zdoła odczytać te nierówne, pośpiesznie skreślone słowa. Z czasem doszedł nowy kłopot — trzeba było wpisywać się do małych, własnej fabrykacji albumów, przeznaczonych na autografy, które ze wszystkich stron wyciągała ku Hawrylence podlotki, a zebrała się ich na tym kiermaszu nieprzebrana ilość. Pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie rozdał tylu autografów, a potem że kiedyś po jego śmierci, u niektórych chłopców, czy dziewczątek, wtedy już starych ludzi, takich jak dzisiejsza babcia, być może, zachowa się małe album z pożółkłymi autografami, a wśród nich także jego podpis. Wtedy bezzębne babcie i dziadkowie będą przyglądać się nieznanemu podpisowi nieznanego człowieka, nieświadomi, czyj to podpis: boksera, czy zapomnianego estradowego śpiewaka, uczestnika kolarskiego Wyciągu Pokoju, czy po prostu przypadkowego turysty, spotkanego na Starym Mieście. I jeszcze pomyślał, że te albumy mogą zachować się tylko pod jednym warunkiem: jeżeli nie będzie nowej wojny i nowego Powstania Warszawskiego.

— Panie Hawrylenko — powiedział tłumacz — pan pozwoli, że go poznam z panem Andrzejem Linkiem.

Hawrylenko przeczytał już kilka powieści tego młodego, głośnego i popularnego pisarza, i podobał mu się brutalny, ironiczny, okrutny ton opowiadań Linka. Okazał się on właśnie takim, jakim powinien być autor „Podróży do kraju Hitlera”, i Hawrylenko od razu poczuł do niego sympatię; Link był podobny w tym i owym do Hawrylenki — był tak samo wysoki i ciężki, miał bokserki nos, był krótkowidzem, nosił okulary, ale różnił się

od Hawrylenki marynarską bródką. Jego wesołe oczka wesoło błyszczały za grubymi szklami okularów, mówił bardzo głośno, wykazywał wielką pewność siebie i mocno ścisnął podaną dłoń. Link uprawiał kiedyś boks, pracował jako szofer. Podarowali sobie nawzajem swoje książki, zamienili kilka słów i umówili się na obiad na piątą godzinę popołudniu, w restauracji „Grand Hotelu”. Andrzej Link zajął miejsce Ernesta Bilaka, zdjął marynarkę, zakasał rękawy koszuli i wziął się do roboty. Od razu wyrosła przed nim długa kolejka. Wydawnictwo przygotowało na kiermasz czwarte wydanie głośnej powieści Linka.

Początkowo Hawrylenko liczył podpisywane przez siebie egzemplarze, ale wkrótce stracił rachunek. Jeden po drugim przechodzili przed nim przyszli czytelnicy jego książki. Wpatrywał się w ich twarze, starał się je zapamiętać — i od razu zapominał, bo podchodzili coraz inni ludzie. Wymieniał z nimi żarty, ale sumienie drażyła niespokojna wątpliwość: po raz pierwszy zetknął się tak blisko z czytelnikami. Po raz pierwszy w tak bezpośredni sposób brał udział w procesie kupna-sprzedaży swego literackiego towaru. Ludzie podchodzili, płacili sprzedawczyniom osiemnaście złotych, brali książkę i prosili go o autograf. Za osiemnaście złotych można było zjeść dobry obiad w mlecznym barze — pomyślał Hawrylenko. Można trzy razy pójść do kina, albo kupić pomyslową zabawkę dla dziecka. Ludzie mają trudne życie, liczą się z każdym groszem. Kupują twoją powieść, chociaż nikt ich do tego nie zmusza — ileż to pięknych książek sprzedano na tym kiermaszu. A teraz zdaj sobie sprawę, że człowiek, który wydał na ciebie osiemnaście złotych i tłoczył się w tłumie, by uzyskać twój autograf, przychodzi do domu i zaczyna czytać twoją powieść — i okazuje się, że to wszystko łgarstwo, prawdziwie wysane z palca fałszerstwo. Albo coś pretensjonalnego i niezrozumiałego. Więc ów człowiek przeklina najgorszymi słowami i, oczywiście, żałuje nadaremnie straconych pieniędzy.

Nie — powiedział sam do siebie. Należy grać uczciwie i nie zawracać ludziom głowy. Należy dawać im wartościowy towar. Mam prawo spojrzeć tym ludziom prosto w oczy. W mojej książce jest kilka prawdziwych stron, niewiele, ale są, i jeżeli tym ludziom przy czytaniu chociaż raz drgną ich serca, będę się czuł szczęśliwy. A jeżeli dowiedzą się czegoś nowego, czego nie wiedzieli, o moim mieście i o tych ludziach, o których pisałem, to także będę się czuł szczęśliwy. A łgarstwa znowu nie jest tak dużo w mojej książce. Każdego co pisze książki należy, choć raz w życiu, postawić twarzą w twarz z czytelnikiem. Skonfrontować go z tymi pomiętymi banknotami, wyciąganymi z podniszczonych portfeli.

Pani Basia zbliżyła się do niego i poinformowała szeptem,

że wszystkie egzemplarze jego książki, przywiezione na kiermasz, zostały sprzedane, że zostało akurat tylko kilka egzemplarzy dla pracowników wydawnictwa, i jeżeli jest na tyle łaskawy, niech zechce je podpisać.

Podpisał. Pan Stanisław pożegnał się z Hawrylenką. Tłumacz śpieszył się do domu, gdyż miał chorą żonę. Siatka na zakupy potrzebna była panu Stanisławowi na książki, nabyte na kiermaszu; miał przed sobą długą jazdę, zaś papierowe teczki szybko niszczyły się pod ciężarem książek.

Hawrylenko poszedł powoli do siebie na Bracką. Przeszedł koło pozamykanych, szweskich i kapelusznicznych warsztatów w podwórku, z trudem wszedł na trzecie piętro. Rozebrał się i wziął gorący tusz — był to najlepszy sposób na upał. Nie ubierając się, położył się na tapczanie, rozluźnił mięśnie i tak leżał przez jakąś godzinę, w błogim bezruchu, usiłując o niczym nie myśleć. Podobnie, jak kierowcy samochodu długo jeszcze przywiduje się ruchoma wstążka szosy, przed oczami Hawrylenki wciąż stały twarze ludzi, którzy zbliżali się do niego na kiermaszu.

Niedzielny, wiosenny dzień odznacza się swoistą wonią i dźwiękami, odróżniającymi go od innych, powszednich dni. Zapachy niedzielnej Warszawy, zapachy wolnego, upalnego dnia, który wieczorem kończy się deszczem, zapachy starych, kiedyś spalonych, a teraz odbudowanych gmachów, zapachy mielonej kawy i podsmażanych serdelków. Odgłosy niedzielnej Warszawy, radosne kroki dzieci na asfalcie, odgłosy dnia, kiedy ludzie pracują u siebie w domu — reperują dziecinne rowery, albo łóżka, czyszczą dywany elektrycznymi odkurzaczami, słuchają lekkiej muzyki w pierwszym programie warszawskiego radia, albo w drugim programie podniecającego reportażu z kolarskiego etapu Wyścigu Pokoju — jak tam jedzie nasz niezrównany Szurkowski?

O pół do piątej Hawrylenko podniósł się, ubrał i powoli poszedł na ulicę Kruczą, do „Grand Hotelu”. Hotel był bardzo podobny do gmachów w Moskwie. Hawrylenko prześliznął się spojrzeniem po samochodach, zaparkowanych przed wejściem do hotelu: jasno-zielonkawego koloru „Citroën-DS”, zachlapany błotem; niebieski „Mercedes-220”, „Ford-Taunus” z poharatanym lewym błotnikiem; kilka wozów „Skoda-1000-MB”. Właśnie pod hotel podjechał małeńki, niepokaźny „Trabant”, z którego wysiadł Andrzej Link, a za nim wysmukła dziewczyna.

— Poznajcie się — powiedział Link. — To moja żona. Nazywa się Nana. Jest Gruzinką. Warszawską Gruzinką. Nanusiu, to pan Hawrylenko.

Szczupła, jak gdyby w srebrze cyzelowana twarz. Brwi, zrosnięte nad nosem delikatnym łukiem.

— *Hamardzoba* — powiedział Hawrylenko, uśmiechając się na całą szerokość, i ścisnął jej dłoń.

— Niestety, nie znam gruzińskiego języka — odpowiedziała kobieta. — Nigdy nie byłam w Gruzji. Jestem urodzoną warszawianką. Ale czasami śni mi się Gruzja. Coś u człowieka pozostaje we krwi, nieprawdaż?

Sciany restauracji były obite złotogłowiem: na ciemno-kawowym tle zielone, czerwone i złote liście. Ten wschodni przepych przypadł Hawrylence do gustu. Link od razu wziął na siebie rolę gospodarza. Podbiegł do niego kelner, Link coś mu wyjaśnił, a ten stał, z szacunkiem pochylając głowę, nie przerywając klientowi, i tylko od czasu do czasu coś notując. Hawrylenko rozmawiał z Naną. Bardzo szybko znaleźli wspólny temat: samochody. Wyszło na jaw, że zarówno Andrzej, jak Nana i Hawrylenko byli zawziętymi amatorami jazdy samochodowej.

Kelner przyniósł pół litra wódki, sałatkę — a dla mężczyzny — dwa „tatory”: surowe, dobrze przemielone i przemieszane z jajkiem mięso; każdy, według własnego smaku dosypuje do tego dania soli i pieprzu.

— A jak z prowadzeniem wozu? — spytał Hawrylenko, pokazując na wódkę.

— Głupstwo! — Link machnął ręką. — Ważę sto kilogramów, pan chyba także nie mniej. Jak się ma taką wagę, to można pić wódkę beczkami. Pod gazem jeżdżę ostrożniej. Tak że wszystkim jest *o'kay*. W ostatecznym razie będzie nas wiozła Nana.

Pili wódkę ze smakiem — pierwszy toast za spotkanie w Warszawie. Drugi — zdrowie Nany. Trzeci — za spotkanie w Kijowie. Czwarty — zdrowie pięknych kobiet w ogóle. Rozmowa kręciła się dokoła samochodów. Przed „Trabantem” Link miał kolejno osiem samochodów — od starego, rozwalonego „Opla” po nową, super-potężną „BMW”, używaną przez ministrów Niemiec Federalnych. Link kupił ten wóz w Monachium, gdzie przebywał przez cały miesiąc na zaproszenie tamtejszego wydawnictwa.

— Mój dziad był Niemcem — mówił Link. — Stąd moje nazwisko. Ojca rozstrzelali Niemcy. W obozie koncentracyjnym. Niedaleko od Monachium. Także wujka. Wzięli jako zakładnika i rozstrzelali. Zresztą, w naszej rodzinie nawet nigdy nie powstało takie pytanie: — Cośmy za jedni? Tu żeśmy się rozdili i tu umierali. W czterdziestym czwartym nosiłem amunicję na barykadę. Nie wiadomo dlaczego, zapamiętałem, jak przed powstaniem, kiedy w Warszawie panował względny spokój, odlewali się niemieccy żołnierze. Powoli, z miną zwycięzców odlewali się w bramach i, przepraszam cię, Nana, śmierdzili jak knury.

W swoim kraju nigdy tego nie robili. To byli dobrze wychowani ludzie. Nie widziałem Niemca, który by nie przytrzymał drzwi, wchodząc do sklepu, żeby, broń Boże, nie uderzyły kogoś, kto idzie z tyłu. Ich nieszczęście polega na tym, że to naród zanadto zdyscyplinowany, który wszystko bierze na serio. Powiedziano im: chłopcy, w tym kraju, w Polsce, możecie robić wszelkie świństwa. Wszystko jest dozwolone. Wobec czego śmierdzieli. Teraz przyjeżdżają do nas w swoich nowiutkich „Mercedesach”, już nie śmierdzą i nie odlewają się w bramach. Teraz zachowują się uprzejmie, bo im powiedziano: chłopcy, macie zachowywać się uprzejmie. Więc na razie zachowują się uprzejmie. A wśród nas są tacy gówniarze, którzy, gdy zobaczą „Mercedesa”, gotowi są lizać mu tyłek. Niedawno, kiedy jeszcze miałem „BMW”, przyjechałem do Olsztyna. Tam oni często przyjeżdżają z Niemiec Zachodnich, żeby obejrzeć swoje dawne domy. Nawet powiadają tym, co w tych domach mieszkają: — Uważajcie, my tu jeszcze powrócimy. Utrzymujcie nasze domy w porządku. Wyobrażacie to sobie? No, więc jedna psychopatka wzięła mnie za Niemca. Nazwisko, samochód... Nie zdążyłem okiem mrugnąć, a ta, widzę, już gotowa iść ze mną do łóżka... Jakem jej odpylił kilka soczystych polskich słów... Kiedy zrozumiała, że jestem Polak, to tak na mnie popatrzyła, jakby mi wszy po brwiach łążyły. Siedemnaście, osiemnaście lat. Jak taką nauczyć narodowej dumy? Co jej tam Warszawskie Powstanie!

Obok nas kelnerzy krzatali się koło długiego stołu, zastawionego butelkami i zakąskami. Przy stole zbierała się stopniowo coraz liczniejsza gromada starszych osób. Wszystko to byli poważni panowie, przeważnie osiwiali, o pomarszczonych twarzach, ubrani odświętnie, w ciemnych garniturach, jakby chodziło o przyjęcie dyplomatyczne — z lewych kieszeni na piersiach sterczały białe chusteczki. U wielu z nich na klapach marynarek widniały odznaczenia. Na znak przewodniczącego wszyscy podeszli do stołu i bez zwłoki zajęli swoje miejsca. Kelnerzy rzucili się do nalewania kieliszków. Ta wstępna część bankietu trwała niedługo i przebiegła w zadziwiającej ciszy. Przewodniczący wstał, z podniesionym kieliszkiem w lewej ręce.

— Panowie — powiedział niezbyt głośno (Link, Nana i Hawrylenko przestali rozmawiać i słuchali słów przewodniczącego) — radzi jesteście, dziś w Warszawie, powitać w waszych osobach bohaterów bitwy pod Monte Cassino. Bitwa pod Monte Cassino stanowi wybitny rozdział w dziejach walki polskiego żołnierza z niemieckim faszyzmem...

— Ot, proszę! — pomyślał Hawrylenko — Monte Cassino! Romantyczna nazwa górskiego szczytu we Włoszech, gdzie w maju 1944, pod niedostępnymi murami klasztoru poległy tysiące

Polaków z Drugiego Korpusu. Hawrylenko przypomniał sobie słowa pieśni, która już weszła do legendy.

*Czerwone maki na Monte Cassino,  
zamiast rosy, polską piły krew;  
po tych makach szedł żołnierz i ginął,  
lecz silniejszy od śmierci był gniew...*

Ta pieśń często rozbrzmiewała w filmach i na koncertach, w restauracjach i na wojskowych cmentarzach, gdy w jesieni wspomniano umarłych.

— Oto macie temat do niewielkiego opowiadania — powiedział Hawrylenko. — Tuż obok nas znajduje się historia.

— Temat do niewielkiej narodowej tragedii — smutnie uśmiechnął się Link. — Popatrzcie tylko, jacy to starszuskowie. Dziś dla wielu Monte Cassino brzmi jak Waterloo.

— Witamy dziś tych wszystkich, którzy przyjechali do nas, by uczcić dwudziestą piątą rocznicę bitwy pod Monte Cassino. Witamy was, drodzy rodacy, was, którzyście przybyli ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, z Włoch i z Anglii, z Niemiec Zachodnich i Francji — mówił dalej przewodniczący. Jego prawa ręka była nieruchoma — z rękawa wyglądała różowa proteza.

W restauracji panował zwykły obiadowy hałas — biegali kelnerzy, dźwięczały naczynia zgniatane na wózki przez sprzątających; ktoś, rozpalony wódką, głośno rechotał na końcu sali. Nikt nie zwracał uwagi na gromadkę skupionych, mało mówiących mężczyzn, którzy siedzieli za bankietowym stołem.

Nana pytała czy w Kijowie znajdują się starożytne ikony. Nana jest artystką i interesuje ją stare malarstwo. Nana jeszcze nie była ani w Moskwie, ani w Kijowie. Dopiero na jesieni wybierała się razem z Andrzejem do Związku Sowieckiego. Nana ma piękne ręce i jest jej do twarzy w sukni z białej tkaniny, pokrytej delikatnym, srebrzystym haftem.

Przy stole, za którym siedzieli weterani spod Monte Cassino, zarządono przerwę na papierosa. Starsi panowie powychodzili zza stołu, pozapalali papierosy. Link rozliczył się z kelnerem, dał mu hojny napiwek, kelner kłaniał się i dziękował. Także i oni wstali od stołu. W pobliżu, oparty plecami o kolumnę, stał starszy, wysuszony człowiek i palił papierosa; wyglądał tak, jak gdyby nie miał przednich zębów.

— Przepraszam pana — zwrócił się do niego Link — pan także był pod Monte Cassino?

— A jakże! — powiedział stary. Był prawdopodobnie trochę podpity, bo, mówiąc, zacinał się i miał zaczerwienione oczy. — Myśmy, proszę pana, poszli na tę przeklętą górę w nocy. Jak

w okopach zaczęła się walka na białą broń, to już nikt nie wiedział — gdzie nasi, a gdzie Niemcy. Tam, panie, taki zrobił się bałagan... Mojemu przyjacielowi, Tomkowi Żeglickiemu, całą twarz porabiali łopatką. Zamiast twarzy — tatarski befszytk. Myśmy z Tomkiem byli w jednym pułku od samego Saratowa...

— To pan był w Saratowie? — zapytał Hawrylenko.

— Tak, panie. Od początku 1942 roku.

— Ja także byłem w czterdziestym drugim w Saratowie — powiedział Hawrylenko. — Jeszcze jako mały chłopiec. Chodziłem wtedy do pierwszej klasy. Pamiętam polską armię. Zielone, angielskie płaszcze i konfederatki. Mieszkaliśmy niedaleko od warszawskiego sztabu. Oficerowie nosili wysokie, błyszczące buty.

— Tam wtedy były okrutne mrozy — westchnął stary. — W Saratowie odmroziłem sobie policzki. Zawsze, kiedy robi się zimno, zaczynają mnie boleć policzki i zaraz przypominam sobie Rosję.

— A teraz gdzie pan mieszka? — zapytał Link.

— W Stanach Zjednoczonych, w Massachussets. Mam własny motel.

— Nie tęskni pan za Polską?

— Ech, panie — stary machnął ręką z widoczną goryczą.

— Wie pan, jak to powiadają: gdzie jest jeden Polak, tam Polska. Ile ja tych Polak już mam za sobą: w Saratowie, w Taszkencie, w Iranie, w Palestynie, na Monte Cassino... Moje dzieci to już Amerykanie. Ot, przyjechałem, żeby rzucić okiem na Warszawę. Prawdopodobnie, już nigdy więcej jej nie zobaczę.

Hawrylenko i Link pożegnali się ze starym, który w zakłopotaniu trzymał papierosa między palcami, nie wiedząc, gdzie ma strząsnąć popiół. Wyszli na ulicę. Pachniało zbliżającym się deszczem. Przedwieczorny chłód spadł na miasto, jak ratunek. Tu i ówdzie zapalały się neony.

— Boże, jak cudownie! — Nana odetchnęła wiosennym powietrzem.

— Żeby tylko jakiemuś młokosowi nie przyszło do głowy zaśpiewać „Czerwone maki na Monte Cassino” — powiedział Link.

Siadł za kierownicą. Kierownica była niewielka, jak na wyścigowych samochodach, o średnicy nie większej od trzydziestu centymetrów. Lewarek do zmiany biegów wyglądał bardzo zabawnie, zupełnie inaczej, niż w naszych samochodach.

— Czy drzwiczki zamknięte? — zapytał Link. — Nanusiu, sprawdź. Panie Hawrylenko, niech się pan trzyma. Zaraz panu pokażę, co to jest „Trabant” i co to znaczy, gdy przednie koła są samodzielne. Ten wóz jest doskonale wyważony i dobrze zachowuje się na zakrętach.

Samochód wyrwał z miejsca i zaczęła się zwiariowana jazda

po warszawskich ulicach. Hawrylenko siedział obok Linka, Nana skuliła się z tyłu. Było jej niewygodnie — długie nogi nie mieściły się na wąskiej przestrzeni między tylnym siedzeniem i oparciem z przodu. Hawrylenko natychmiast zorientował się, że Link mimo wypitej wódki, prowadzi wóz tak pewnie i bezbłędnie, jakby był zawodowym kierowcą wyścigowym.

— A jeżeli — zapytał — nas zatrzyma milicja?

— To przed nią uciekniemy — spokojnie odpowiedział Link.

— Nie będą w stanie nas dogonić.

„Trabant” wypadł na ulicę Nowy Świat i popędził jak rakietka w kierunku Starego Miasta, warcząc rozgłośnie na dwa takty, niczym motor motocykla bez tłumika. Przez ceglane bramy barbakanu, wichrem wdarli się na Rynek Starego Miasta, plosząc ludzi, chodzących po brukowanym placu. Potem wyjechali na brzeg Wisły, minęli w pędzie posępną bryłę Cytadeli, przejechali jeszcze jakieś pół kilometra, i Link zaczął popisywać się ostrymi skrętami na lewo przy szybkości osiemdziesięciu kilometrów. Ośrodkowa, zupełnie, jak w samolocie na wirażu, gwałtownie odrzuciła Hawrylenkę z siedzenia i przycisnęła go do drzwiczek. Na zakrętach Link łagodnie skręcał kierownicę na lewo, nieco zwalniał i znowu ledwie-ledwie skręcał na lewo. Link wyjaśnił, że ten sposób stopniowego skręcania kierownicy gwarantuje większe bezpieczeństwo, niż przy pełnym skręcie na lewo.

Szybka jazda, nagłe skręty, brutalne zwiększanie szybkości i wyprzedzanie innych wozów na głównych ulicach Warszawy wypełniły Hawrylenkę fizyczną radością. Ten długi dzień obracał się ku niemu jeszcze jednym obliczem.

— Panie Hawrylenko — głośno mówił Link, odrzucony całym sobą na oparcie siedzenia — jeżeli ktokolwiek panu powie, że Polacy to naród romantyków, niech mu pan plunie w gębę. Wszystkie te wielkie słowa g.... są warte! Proszę tylko pomyśleć! Najpierw stwarzamy piękny mit, czerwone maki na Monte Cassino, ronimy łzy, słuchając pieśni, potem sami gorzko śmiejemy się z tego mitu, z tej naszej polskiej ułańszczyzny, z tych czerwonych maków, bo kogo, do cholery, obchodziły te czerwone maki, kiedy w nocy Tomkowi Żeglickiemu rąbali twarz łopatką. Śmiejemy się i zنعamy nad naszymi świętościami, bo taki już u nas charakter. W odróżnieniu od Niemców niczego nie bierzemy na poważnie. Lubimy kpić z samych siebie. Ci, którzy nie znają naszej historii, myślą, że jesteśmy chimerycznymi, nieźrównoważonymi, historycznymi ludźmi. Ale, panie Hawrylenko, jak byśmy nie byli takimi, to byśmy nie mieli tego wszystkiego — pokazał ręką tam, gdzie wznosiły się dziesięciopiętrowe gmachy nowej Warszawy. — Czymże ze stanowiska zdrowego rozsądku był przykład rok tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci? Szaleństwo.



W Kijowie kilku szlachciców zbiera się, by zorganizować powstanie przeciw carskiemu garnizonowi. Czyż to nie szaleństwo? Czy jest w tym chociażby odrobina logiki?

Zaczął kropić deszcz. Wszystko od razu stało się czyste i jakby ze szkła — to nadeszła najpiękniejsza godzina tego dnia: godzina deszczowego spoczynku, samotności na wyludnionych ulicach, świeżości drzew i powietrza, spokojnego pomrugiwania zapalonych latarni.

Tak samo mógł wyglądać ten wieczór i w Kijowie: tak samo skrzypią wycieraczki, zmiatające krople deszczu z przedniej szyby, tak samo połyskują bruki na bulwarze Łesi Ukrainki, — trzeba wrzucić trzeci bieg, nie za mocno naciskając na akcelerator, bo samochód może zarzucić — mokry kijowski bruk jest podstępny i niebezpieczny, a tu nagle, po prawej ręce wyskakuje zaulek, niedostrzegalny dla obcego człowieka, i trzeba tu skręcić, żeby dostać się między stare mury szpitala; tam znajduje się stara kijowska forteca, która nigdy fortecą się nie stała; oto rów, w którym nigdy nie było wody, oto zwodzony most, którego nigdy nie podniesiono w obliczu atakującego przeciwnika, oto wąskie strzelnice w ceglanych murach, ale nikt nigdy z nich nie strzelał; a teraz, moi państwo, przejdźmy nieco do przodu, jakieś sto metrów, nie więcej, mokra glina, ostrożnie, pani Nano, niech mi pani da rękę — jaki przyjemny dotyk ręki tej srebrzystej kobiety! — jeszcze kilka metrów, już całkiem blisko! Wysoki ziemny wał, porośnięty mokrą trawą, niebo, jak na obrazach Fragonarda, i zakratowane wejście do lochu — jak do przeciwnościanego schronu, albo, do piwnicy na jarzyny i owoce. Nie, to była piwnica, przeznaczona dla ludzi — na pewno, wiecie, słyszeliście o tak zwanym Kosym Kaponirze. Ale co teraz będziemy robić? Istnieją dwa warianty: można wejść na ziemny wał, a wówczas otworzy się przed wami panorama Kijowa — poprzez drzewa ujrzycie na dole centralny stadion i oddalone, szare skupiska gmachów na Besarabce, a wtedy zrozumiecie, że można to miasto kochać tak samo, jak wy kochacie swoją Warszawę... Pod samym ziemnym wałem, po jego zewnętrznej stronie ujrzycie okrągły budynek Kaponira — to dar XIX wieku; zakratowane okna-strzelnice, bukoliczne róże w martwej zonie obstrzału pod ścianami i ławki dla zakochanych; tak jest, proszę państwa, jeżeli kto chce spotkać się z dziewczyną, swobodnie się z nią całować i robić inne rzeczy tak, żeby nikt nie widział, to w całym Kijowie nie znajdziecie lepszego miejsca, niż tu. A za dnia młode mamusie przywożą tutaj w wózkach swoje maleństwa, poją mlekiem i czytają książki. Tu wszystko, w samym centrum hałaśliwego miasta, oddycha spokojem i ciszą. A jeżeli nie zechcecie od razu wyjść na ziemny wał (możecie to zrobić później), mogę wam zapropono-

wać co innego, to właśnie, po to was tu przyprowadziłem; chodźmy ku tym drzwiom, chodźmy do tego lochu, do tych podziemi, do tego długiego korytarza, ukrytego w głębi ziemnego wału, podobnego do podziemnego przejścia między stacjami „metra”, zjedźmy do wnętrza Kosego Kaponira.

Tak, nareszcie domyśliście się; nie było powstania z 1863 roku który by nie słyszał o tym strasznym miejscu, gdzie umierali polityczni więźniowie, gdzie ginęły iluzje, a zaczynało się plucie krwią. Zstąpmy pod te półokrągłe, surowe, niemal klasztorne sklepienia, zajrzyjmy do cel, przeznaczonych dla szlachty i dla prostego ludu. Teraz wszystko tu jest odnowione, muzealne, pokojowe — nowe, świeżo wyheblowane podłogi, nowiutkie, ciężkie łóżka żelazne, wykonane w dekoracyjnych warsztatach... Nawet na czarno pomalowane ściany korytarza widzowie przyjmują jako pomysł współczesnego artysty-dekoratora; nie słychać brzęku kajdanów, a kiedy na dworze speka, tu, w Kosym Kaponirze, błogosławiony chłodek; tu, w tych samych celach, gdzie niegdyś stał smród i na brudnych narach dręczyło się stu pięćdziesięciu powstańców, umierających na dyzenterię i gruźlicę, teraz można urządzać koncerty muzyki na organach, albo wystawy współczesnej grafiki. Koło historii nigdy się nie przekręca wstecz i dziś trudno nam sobie wyobrazić, czemu ci wszyscy, którzy choć raz jeden tu byli, uznali to miejsce za przeklęte i czemu Kosy Kaponir dostał się do historii polskiego powstania 1863 roku. Bo w ciągu przeszło stu lat ludzkość zdołała wynaleźć wiele ciekawych rzeczy: streptomycynę i penicylinę (oto czemu trudno nam zrozumieć, dlaczego od tych ścian wiało takim śmiertelnym niebezpieczeństwem na szlachecką młodzież), oświęcimskie krematoria i badanie przy pomocy prądu elektrycznego (oto dlaczego nie robią na nas większego wrażenia te cele i zakratowane okna). Ale, proszę państwa, tu, między tymi murami siedział mój pradziad, Dominik Słonimski, tu ośleplł i tu, w Kijowie, osiedlił się na zawsze po wyjściu z Kosego Kaponira. A co najdziwniejsze, proszę państwa, drugi mój pradziad, Prokop Hawrylenko, także był tu, w tym Kosym Kaponirze, gdy zaczęli zwozić polskich powstańców. Był on wtedy zwykłym żołnierzem, służył carowi, stał na straży Kosego Kaponira przeciw zewnętrznym i wewnętrznym wrogom. Wrogowie zewnętrzni jakoś nie nadchodzili — zbyt daleko im było do Kijowa, i, powiedzmy, panie Link, moi dziadowie nie mogli spotkać się z pańskim dziadkiem; za to wrogów wewnętrznych imperium miało aż nadto, jak każde prawdziwe imperium. O czym rozmawiali ze sobą moi dziadkowie, kiedy stykali się w Kosym Kaponirze? Czy mogło się im przyśnić, że kiedyś krew jednego i drugiego połączy się w mojej osobie?

Było już zupełnie ciemno, gdy „Trabant” wpadł na wielki

plac przed gmachem teatralnym, mieszczącym operę i balet. Nad placem, nad Warszawą szybowiała, oświetlona reflektorami, kobieta o gniewnej twarzy i z mieczem kary w rękach — warszawska Nike, bogini zwycięstwa i zemsty. Krople deszczu spływały po jej twarzy, czarna noc nienawiści osiedliła się w jej szeroko otwartych oczach, miecz zimno pobłyskiwał w jej dłoniach. Hawrylenko pomyślał, że zarówno jego jak towarzyszące mu osoby, czeka jeszcze długa i niebezpieczna droga i trzeba bardzo uważać, żeby ich samochód nie rozbił się, nie przewrócił na śliskiej autostradzie.

Potem serce wypełniło mu się żalem — Hawrylenko żałował, że nie zna słów tej pieśni, z jaką odprowadzano go na nocnym kozalińskim dworcu — pieśni o Kozaku, który odleciał tak daleko i nie wiadomo, czy kiedykolwiek powróci do ojczystego kraju.

Jurij SZCZERBAK

(Przełożył z ukraińskiego Józef Łobodowski)

Jurij SZCZERBAK urodził się 12. X. 1934 w Kijowie. Po ukończeniu studiów medycznych w roku 1958, otrzymał tytuł „kandydata nauk medycznych”, obecnie pracuje w Instytucie Epidemiologii, Mikrobiologii i Parazytologii przy Ministerstwie Ochrony Zdrowia w Kijowie.

Jednocześnie para się literaturą i jest członkiem Związku Pisarzy Ukrainy. Swego czasu wystąpił z odważnym artykułem, krytykującym politykę Partii (jeszcze za Chruszczowa) na odcinku biologii. Opowiadanie „Czerwone maki na Monte Cassino” ukazało się w czasopiśmie *Witczyzna (Ojczyzna)*, nr 6/71.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO  
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:  
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

## Żywi

„...suche kości krzywdy nie zrobią nikomu...”

Eliot.

— Odejdź, chłopak, bo ziemia ci się obsunie spod nóg.

Chłopak odszedł wolno w krzaki przysypane szarym kurzem piachu. Stał tam wśród liści szeleszczących sucho i kręcił głową, a w jego oczach było zdziwienie pomieszane ze strachem. Ale zdziwienia więcej.

Baryła w dole męczył się ze szpadlem i kłął, bo szpadel co i raz trafiał w coś twardego, i Baryła schylał się, żeby odgrzebać, ale to nie było to.

Przyszedł Feliks Rudy do krawędzi, pstryknął ćwiartką papierosa w dół i zapytał:

— No jak?

— Słabo! — krzyknął Baryła głosem stłumionym przez wysokie wilgotne ściany, z nich sterczały korzenie pocięte i rozmaite patyki. — To pewnie nie tu.

— Grzeb śmiało, grzeb, to się i dogrzebiesz.

— Kiedy trzeci dzień już, i nic. Złe pokazali.

— Mnie się widzi — powiedział Feliks Rudy po krótkim zastanowieniu — że to chyba tam — pokazał ręką — bliżej lasu.

— A skąd wiesz?

Ruszył Feliks ramionami, opadającymi jak u małpy, ręce też miał małpie, włochate rudo i długie, a podgięte wciąż dziwnie, jakby chciał kogo nastraszyć.

— Bo ja to bym to akuratnie tam zrobił. A oni przecie pomysłu nie mieli, nie? — zapytał jakby sam siebie, głowę do chmur zadzierając.

— Ty byś zrobił, sukinsyn ty — mruknął Baryła, szpadel na wierzch wyrzucił i wylaż z dołu po ukośnym pnju.

Gruby Baryła stanął przy chudym Feliksie i gadali, a chłopak z krzaków im się uważnie przyglądał. Pomachali rękami i odeszli pod las, i tam oba tupali nogami w ziemię, jakby w tańcu pijani. Jeszcze trochę na nich popatrzył i poleciał do wsi.

Feliks Rudy z Baryłą też zniknęli w lesie, parę drzew minęli i zaszli do samochodu. Tam na plandecę zdjętej siedzieli Antek Sruła i Zyzio Łapka i jedli chleb z kiełbasą, a obok plandeki, w ziemię do połowy wkręcona flacha wódki błyszcząca w cienkich promykach słońca, przesianych przez gęste, wysokie igliwie.

— No jak? — zapytał Antek Sruła.

Feliks na to machnął ręką i skrzywił się, jakby połknął zabę.

— Jełopy, suka ich mać — zgrzytnął zębami czerwoniutki Zyzio — trzy dni darmo. Zbankretujem tu.

— Nie pękaj — Antek powiedział — cheba się znajdzie do jutra.

— Akord! — zawołał Zyzio Łapka. — Akord! Wiesz, ile straty? Jjjezzuss mój... Ale jak się dorwie, to odbijemy — pocieszył się i targnął flaszkę.

Feliks Rudy z Baryłą też wypili, z różowych nakrętek od termosu. Wódka masą ciepłą śmierdziała. Układli się na gęstych, sprężynujących jeżynach, żeby spać.

Ale wtedy przyszedł sołtys, chłopak go przyprowadził i chował się trochę za pnem.

— Oj, panowie, com się napyto! No to kuźden paminto, ze tu, i ślus. Ani jem do rozumu trafić. Mie zał, co wy się tak męcyta, i nic.

Drapał się w koszulę pasiastą i dyszał.

— Pan powinien sam najlepiej wiedzieć — powiedział Baryła.

— Powionym, powionym! Bo mie ale wtyncos nie beło, pojechołym do Zieby, za jednym tam. No tak uni powiony...

— Dobra — odzewał się Feliks Rudy — jutro same będziemy z niemi gadać.

— W łeb chama, w łeb, to sobie przypomni — mruczał Zyzio Łapka.

— Tero moze by co panowie pojedli — kłaniał się sołtys w niepewności zmartwionej. — Goź w dum, Bóg w dum. Staro moja juz ta wyporzundzieła co trza... Prosiemy, prosiemy...

Podnosili się ciężko, z niechętnością udaną.

I powiódł ich sołtys przez las, przez polankę rozkopaną głęboko i piachem świeżym parującą cicho, a chłopak przed nimi leciał, i stawał, i leciał znów.

Kiepska była chałupa, ale zawsze dom, i znalazły się krzesła dla wszystkich. Na stole żarcia nie za dużo, w sam raz. Grzybki

w occie, zeszlóroczne jeszcze ale twarde, kiełbasa podsuszona galancie, słonina żółta solona grubo, chleb pękaty. I flacha jedna. A w kącie jeszcze dwie czekały.

Kiedy zjedli i już popili, Zyzio Łapka wykręcił się do sołtysa:

— No, dawaj pan tych ludzi. Przy kielichu może im łacniej pamięć wróci.

— Zostaw — machnął ręką Baryła, skórkę cieką i suchą jak pergamin obrywając z kiełbasy.

— Racja — powiedział Antek Sruła — dać ich tu, czasu nie marnować.

I sołtysina poszła tamtych zbierać.

Wtedy sołtys do piwnicy skoczył i w każdym ręku po dwie flaszki przyniósł. A kiedy ludzi głosy pod oknami zagrały, Zyzio Łapka na stół się przechylił, pijany mocno:

— Karolka szkoda że nie ma, on by z niemi lepij...

Baryła znów ręką machnął.

— Nie za bardzo on z chamamy gadać umi — mruknął Antek Sruła.

Ale Feliks Rudy ostro na niego spojrział, i tak się odezwał:

— Karolek głowę ma. Swoje co mu potrzeba, to umi. Szko-da, żeśta go nie zbudzili...

— A kto myślał — machnął znów ręką Baryła i po kielicha szczerbatego sięgnął.

Karolek spał na budzie ciężarówki, stary to Dżems był amerykański, dobrze się spało. Ale bąk wariat jakiś brzęczał w kółko i warczał i Karolek zbudził się spocony. Słońce drzewa przeświecało czerwono. Na zegarek spojrzął, przeciągnął się, stanął na krzywych nogach i pokręcił głową. Krzyknął na Baryłę, potem na Feliksa, ale nikogo nie było.

— Robią — powiedział Karolek. — Szukają. Prędzej powinni znaleźć, bo już trzy dni za darmo.

Chciał iść tam do nich na polankę, ale pomyślał, że chłopcy może się czają w krzewach, żeby dechy ściągnąć, i został. Usiadł na pniu kostropatym i patrzył na swój sygnet potężny z rubinowym okiem, tarł go do blasku wielkiego, tarł, i podziwiał.

— No, no — cmoknął. — Trzy miesiące ledwie, i już, ho, ho... I tyle forsy odłożone.

Rozmyślanie go naszło. I myślał: do spółdzielni mieszkaniowej się zapiszę. Z Bašką ślub, to już zaklepane. A później robotkę w redakcji podłapię i w wolnych chwilach opiszę to wszystko. Niezła książeczka wyjdzie. Niezła. Ludzie lubią takie historie. Nie przejadło się jeszcze. Tak, to lepsze od kryminału. Co kryminał? Siedem trupów najwyżej.

Myślał teraz o tytule swojej przyszłej książki. Szlak śmierci.

Nie, to się kojarzy z tym: niech szlag trafi. Na szlaku śmierci — zgrabniejsze. Szukał jeszcze chwilę czegoś dobrego, ale ciężka to była praca. Dobry tytuł to połowa sukcesu. Wszystko musi w tytule być. Gość spojrzysz raz, i już wisi na haczyku. Do kieszeni po forszę sięga. Ciekawy. W domu otworzy książeczkę i co zobaczy? Mnie, śpiącego na budzie w słońcu zachodzącym, z trzmielcem nad głową kołującym! Poezja, psiakrew. Splunął Karolek. No i tamtych zobaczy. Aż mu się w nosie zakręci, i apetyt straci do żony. Zaśmiał się.

Blok raportów wyciągnął z szoferki. Datę postawił, i dalej: „Trwają poszukiwania. Informacje okolicznej ludności okazują się mylne. Wyrzucono ziemi ponad przepisaną normę, w kilku miejscach, lecz bez widocznego skutku. W dniu jutrzejszym zostanie przeprowadzona kolejna indagacja okolicznej ludności”.

Podpisał się z dużym zamachem i znów popatrzył na sygnet. Serdeczny palec nabrał teraz dystynkcji, oczywiście: na Zachodzie sygnety znowu w modę weszły, a zanim do nas dotrze, to ja już.

Zadowolony z siebie palił papierosa i wydmuchiwał dym w kłęby drobniutkich muszek.

Ludzie też niewiele wiedzieli. Izba wypełniła się gęstym smrodem ich potu. Baby chustki miały wełniane, obciśnięte szczelnie i z tyłu w pęk związane, mimo sierpnia. Chłopi buty z podszewką grubą powciskali na nogi bez skarpetek. Spodnie wystrzępione, świecące, w paseczki brudem zatarte.

— No to jak? — walił w stół ręką Antek Sruła, aż butelki skakały. — Ile ich nareście było?

— Ady kiej mówiłem panum, wszystkich wzini...

— To ile ich, psiakrew! — złościł się Antek na babinę zmarszczoną jak suszona śliwka.

— Jo ta nie rachowała, ino te sie ostały, co ik nie wzini — tłumaczyła ona, przelęknięta trochę, że tyn miejski nic nie miarkuje.

— Oj, Boże, Boże nasz — westchnął Zyzio — my do ciebie, a ty w las.

Mrugnął sołtys na Baryłę, wyszli przed dom. Z ogródka rosa pachniało.

— Mądrych to tu nie ma — sapał Baryła, obcierając pot z karku.

— Ze starem Karbownickiem przyndzy si dogado. Chodzi pun — ciągnął Baryłę sołtys.

Parę chałup kołychliwych zygakiem minęli.

— Karbowniczek! — zawołał sołtys.

Siwy dziad w koszuli czarnej słoneczniki za płotem oglądał. Podeszedł i oczy zmrużył.

— Aa... pochwaluny — zaskrzeczał. — Mraka, to i poznać nie idzie.

— My tu łoba — powiedział sołtys urzędowo — momy do was jednom rzec. Tyn miastowy zwiedzić sie potrzebuje.

Karbowniczek myślał chwilę, wreszcie furtkę otworzył. Na ławeczce pod ścianą usiedli. Baryła papierosy wyciągnął, poczęstował. Powiedział co i jak. Zastanowił się stary. Dymka pociągnął. Nosem wypuszczał krzaczastym. Aż mówić zaczął:

— Jozym wtyncos beł we Śwynach, na górcie, u kuma...

Miał Karbowniczek wtedy lat czterdzieści, i do kuma na wioskę drugą poszedł świnie bić. Nielegalnie bili, bo nie wolno było, śmierć za to. A kum sprzedać miał komu, i kiełbasy dobre potrafił wyrabiać, tylko sam nie mógł dać rady — w domu żona tylko i córka, a do świni, wiadomo, męska ręka potrzebna. Bili, a Niemcy wiedzieli, że biją, bo we wsi kapuś jeden mieszkał pod lasem.

Nadjechali motorami ciężkimi, w hełmach, samochodów też parę, wieś otoczyli dokładnie. Ale Karbowniczek w sadku stał przedtem akurat, i usłyszał dudnienie motorów. Coś go tknęło, skoczył przez płot, i polem, krzaczkami gęstymi do lasu. Między drzewa zaczął się w kucki, w rozpadlinie mchem porośniętej, i patrzył struchlały jak pień. Całą wieś stamtąd widać było, z górki trochę. Najpierw Niemcy świnie rozciętą na samochód wrzucili, potem ludzi z całej wsi zegnali, długo do nich mówili, pytali, krzyki lekko niósł wiatr wrześniowy. Rozegnali znowuż po chałupach, drzwi zamknęli, obstawili każdą w czterech, broń do strzału, i chodzili z bańkami i przyskali na winkle.

Chwilę później Karbowniczek zobaczył ogień, podchodzący z dołu, jak żółta trawa, zarastający chałupy, i strzelanie, gdy ludzie z okien skakali. Dym całe niebo zasmarował, a Karbowniczek przycupnięty w dziurze zajęczo patrzył, aż mu oczy mgłą zaszyły i zdrętwiał kark.

Wtedy z wioski jego rodzinnej gromada ludzi wybiegła z wiaderkami, stągwiemi, i siekiery też mieli do rąbania płonących ścian, a jak blisko już byli, Niemcy serię do nich wygarnęli, paru się przewaliło (tych później pochowano na ludzkim cmentarzu) a resztę Niemcy połapali i tak powiedzieli do nich:

— Odejdzta stąd, ludzie, w spokoju, jak nie chęta, co by was to samo spotkało.

A to nie Niemcy mówili, tylko gajowy folksdojcz, bo mu Niemcy kazali. Każdy to słyszał i zawrócili do siebie, bo gospodarz najwięcej to ognia się boi, a było w sam raz po żniwach.

Później Niemcy jeszcze trochę stali, ale zbrzydził ich dym, zabrali się i pojechali. Jak już warkot motorów skrył się w trzas-

ku pogorzelniska, wylazł Karbowniczek z nory swojej wygrzanej, zawilgłej, i poszedł wprost na dom swego kuma, na to miejsce, skąd wypełzał niski bury dym i czasami iskra błyskała.

Stanął tam i wołał po imieniu kuma i jego żonę, i córkę jeich wołał, ale nie odpowiedział mu nikt.

Wtedy w sadku ujrzał drzewa z jednej strony opalone, liście uwiedle, poskręcane czarno, zwiśnięte jak nietoperze. Głód go sparł nagły, że niemożność tego wytrzymać, to śliwki zaczął rwać z gałęzi niskich, pchał je garściami do ust i jadł te śliwki jeszcze ciepłe, suszone, wigilijne.

Swyny teraz na nowo stoją, ale inne już ludzie w nich.

Więc Karbowniczek też niewiele wiedział. Zły Baryła, aż go targnęło.

— To te same Niemcy waszych wzięli? — zapytał.

Karbowniczek stary głową pokręcił i czwarty już papieros wzięł.

— Łee, punie, te cy inse, łuny jednak ubrane. Tak cy łowak, winkse pół chłopca, jak przysłem, to nie beło.

Karolek czekał i czekał, aż komary zaczęły ciąć, a w ustach gorzkość wezbrała od fajek. Wołał nie raz do polany, ale cisza stamtąd szła i świr przedsenny ptaków. Złożył plandekę, rzucił na dechy, klapę z tyłu zamknął i na światłach drózką pogiętą wytoczył się z lasu. Jechał wolno, klaksonem wrzeszcząc co chwila, bo może oni śpią gdzie w trawie wysokiej. Ale nie. To wykrcił z trudem do wsi.

Karolek pruł czasami Dżemsem, jak się Feliks Rudy spił nad miarę. Za ciężki to był wóz dla niego, na szosie jeszcze, za dnia, sześćdziesiątką — ale też przed milicją w strachu, bo na amatorskie prawko taki karawan wieść — a zmierzchem w lesie to nie byle jaka sztuka. Więc głowę naprzód wystawiał, oczy wytrzeszczał, w strachu puszczał jedną ręką ster, żeby okulary poprawić, bo zjeżdżały z nosa spoconego, pedał sprzęgła ledwo mógł wcisnąć do końca nóżką krzywą — ale rwał do przodu, skacząc na twardym siedzeniu, choć drzewa tu groźniejsze niż drogowy patrol.

Karolek życie swoje poważnie traktował, po ludzku, więc wypadków różnych się wystrzegał, a już śmierć na wózku — najgłupsza śmierć. Ryzykować nie lubił. Wszystko dobrze najpierw rozważył. W szkole nawet: „zapisz się do Czerwonego Krzyża” powiedział mu, to się zapisał, bo: jak nie, to co mi z tego przyjdzie? pomyślał, a jak to, to kto wie, co przyniesie czas, moge nawet prezesem ogólnokrajowym zostać, za granicę na konferencje wyjeżdżać — a zawsze to opłacalna impreza w porównaniu

z sumą składki rocznej. U Karolka wszystko było efektem dużej pracy myślowej, gdyż szanował on życie swoje, i w ogóle pojęcie życia. Rzecz najważniejsza, myślał nieraz w godzinach zmierzchów samotnych, to żyć. I racjonalizm jego przyrodzony precyzował się tutaj: a jeśli żyć, to żyć dobrze. Więc niedawno zapisał się do partii, i to było posunięcie słuszne: oto teraz jest już kierownikiem ekipy, choć przedtem nawet by nie śmiał prosić o takie stanowisko. I w miłości torem się tym kierował, choć zadanie miał ułatwione brakiem szerokich możliwości. Obejrzał się bowiem dnia pewnego w lustrze i w godzinę później skompletował według tego wzorca zestaw cech, jakie posiadać winna przyszła jego żona (uniknął dzięki temu paru ciężkich uderzeń w serce i lekkich choć przykrych niedomagań) i Baśka też nosiła okulary na garbatym nosku, i krzywe też miała nogi. Mimo to Karolek alkoholu nie lubił.

Podróż od wiosny, przez lato, do jesieni, również nie była ryzykiem. Zyski dokładnie obliczone. I choć śniły się Karolkowi w pierwsze noce sceny straszne, przed którymi wzdraga się wyobraźnia normalnego, jak on, człowieka — to przecież sny ustały wkrótce, rozpedzone blaskiem słonecznym sygnetu, a perspektywa przyzwoitego życia rozszerzyła się dość pokaźnie.

Tak, on szanował życie, i bez przykrości, zgrzany mocno, dotarł do wsi.

Przed chałupą sołtysią ludzi dużo. Mętne światło z okien sypało. Rozlazili się, pijani głośno, machali rękami, cienie groźne na drogę kładąc. Baryła wsparty o wisienkę nad płotem krzywą. Podszedł Karolek i dosłyszał ciche jego, okropne bluźnienie.

— Nno, Baryła — powiedział — zaprawiliście nieźle?

Spojrzał w ukos Baryła, zachwiał się wkoło pnia.

— Zdarza się, panie Karolek, i w najlepszy rodzinie — wymamrotał z beknięciem. Jeszcze chciał coś powiedzieć, ręce w górę wyrzucił i upadł na pysk.

Karolek odszedł przerażony nóżkami miękkimi drobiąc i zobaczył w izbie Zyzia Łapkę śpiącego pod stołem, a sołtys zielony jak topielec do nóg jego się tulił. Sołtysowa na przypiecku się kiwała, oczy w nich wlepiając z uporem. Kwaśny smród wódki i potu kłębił się w dymie pod lampą.

— Cegój? — zamamrotała sołtysina, gdy Karolek chciał z jej męża objąć Zyzia wyciągnąć.

— Jak pani mogła — powiedział — do tego dopuścić!

— Cegój? — zapytała kiwając się wciąż, ze wzrokiem sztywnym.

— No, że spili się do tego stopnia.

— Cegój?

— Przecież jutro nie będą mogli pracować! — stanął przed nią i machał ze złości rękami.

— Cegój? — nie spojrzała nawet na niego.

Dotknął jej ramienia ostrożnie, chcąc powstrzymać te zwariowane kiwnięcia.

— Cegój? — powtórzyła znów.

Przestraszony odskoczył do niskich drzwi uchylonych w mrok, a wtedy:

— Cegój? — raz jeszcze powtórzyła ona.

Leżał w stodole na miękkim gumowo sianie; gdzieś w kącie, zagrzebany z głową chrapał głucho Antek Sruła, zapach suszonej trawy nie dawał zasnąć, gryzły Karolka muszki jakieś na pół umarłe, skrzeczały jaskółki przez ptasie swoje błyskotliwe sny, więc nie było jak myślenia naglego odpędzić, zresztą gdzie, zresztą po co.

Najważniejsze, myślał Karolek, to osiągnąć właściwy stosunek do swojej pracy. Beznamiętny, lecz ciepły. A widzieć jeszcze linię, łączącą konsekwentnie zamiar z celem, mocną na tyle, by wytrzymała rozmaite przesuwające się po niej ciężary.

Od razu wyobraził sobie w ciemności grubą stalową linę, rozpiętą od belki do belki pod dachem stodoły, i na linie tej dziwnym jakimś cudem balansowali na czubkach palców jednej nogi Baryła i Zyzio Łapka, Antek Sruła i Feliks Rudy, pijani na śmierć, twarze obrzękłe zielono, podświetlone niezwykłym blaskiem, wychodzącym jakby z tych pysków chamskich, tak tragicznych teraz, uwznioślonych. Karolek przyglądał się z podziwem widzeniu swemu, a podziw dla własnej wyobraźni tak był silny, że cofnął go od krawędzi snu, wtedy mógł Karolek na jawie się skomplementować: no, psiakrew, głowę to ja mam... Ale cóż, kiedy widzenie znikło.

Przyszło wtedy Karolkowi nagle do głowy, że z takich scen właśnie można by zrobić znakomity, wprost wyjątkowy film. I to zarówno pod względem artystycznym, jak i... hm, merytorycznym. Zaczął przerzucać szybko pamięci swojej kadry, poddawał je błyskawicznemu montażowi, trwało to dość długo, tyle prawie, co normalny seans kinowy, ale za dużo było materiału, nie mógł sobie Karolek poradzić, masa tego, masa, brrr... Po namyśle zaczął więc wyrzucać pewne fragmenty, ale znowu bez nich całość traciła swoją właściwą wymowę, a jeszcze brakowało tu (tak przynajmniej wydawało się Karolkowi) niezbędnej dozy zaangażowania ideowego, tak ważnego dla twórcy. Doszedł do wniosku, że wszystko po kolei, jak szło, opisać można w książce, niby — powieści, niby — reportażu literackim, niby — pamiętniku, niby — dokumencie, w tej formie skomplikowa-

nej a tak dziś modnej, film natomiast, jeśli też prawdziwie wartościowy ma być, to od początku samego (od genety — poprawił myślenie swe) musi cechować się wyjątkowymi walorami ideowymi i społecznymi. A forma? Czy to ma jakieś znaczenie? I oto doszedł Karolek do olśniewającej eureka: film powstanie z jednej doby (modne, modne), z tej, co zaczęła się dziś. Bez względu na to, co później będzie się działo. Obojętne, jak się zakończy.

Raz jeszcze obejrzał na ekranie czarnym stodolanej nocy wszystkie sprawy dzisiejsze: spanie swoje słoneczne na budzie Dzemsy, kołującego drgliwie trzmiela, czerwony las przechwiany gorącym powietrzem, jazdę drogą kołychiwą z olbrzymami drzew skaczącymi na blask reflektora, Baryłę złamanego wagą trucizny, Zyzia Łapkę i sołtysa związanych miłością niewytłumaczalną, i przeraźliwe „cegój” ciemnej kobieciny, która dotąd pewnie kiwa się na przypiecku...

Zaśmiał się do przeżyć swoich ledwo minionych i usnął spokojnie.

Łby mieli ciężkie, Baryła i Zyzio Łapka, Feliks Rudy i Antek Sruła. Sołtys leżał na ławie, zipiąc ciężko. Kręcili się w izbie i po kuchni, siano słomę z włosów wyczesując palcami. Sołtysina mleka dzban zimnego ustawiła, szmatką spód obtarłszy. Ale pierw po szklanie gorzałki chlapnęli, żeby się odwinęło. Dopiero mleko, maślanek, chleb domowego pieku, z kiełbasą, z czarnym. A i to jeszcze szarość na ich twarzach była.

— Karolka zbudzić trza — zamamrotał Zyzio Łapka.

— Pił? — spytał Antek Sruła.

— Cholera go wi, ale cheba nie.

— Jak zawsze — wtrącił się Baryła. — Ja go z wieczora zdaje się widziałem, rozmawialiśmy trochę, ale co dalej, to nie pamiętam. Może i pijany zresztą był, kołysał mi się coś...

— To już musiał pijany wóz przyprowadzić — ziewnął Feliks Rudy — dobrze, że się nie rozwalili gdzie na pniu. Patrza — powiedział gębą białą, a pędzlem namydlonym okno małe wskazując, zarośnięte doniczkowym pnączem.

Spojrzał i Zyzio, innym się nie chciało. Zobaczył między listkiem drzącym, łożyzką wdzięcznie załamana, a różową i zblakłą wstążeczką — umartwioną postać Karolka w ogromnych wrotach stodoły.

— Chono, chono — machnął szybko ręką Feliks na Baryłę — wygląda jak śledź w mordzie wieloryba!

Podszedł Baryła i patrzył, jak Karolek tam stoi oczy mrużąc pod słońcem ostrym i krzywi się, i przeciera okulary brzegiem koszuli.

— Sledzie nie chodzą w brylach — mruknął Baryła i zaśmiał się trochę.

— Gość w porządku — jakby obronnie powiedział Feliks.  
— Głowę ma.

— A kto mówi, że nie ma — zachnął się Baryła.

— Każdy głupi ma swój łeb — odezwał się z kąta Antek Sruła, z gębą wypchaną chlebem i kiełbasą.

— Jasne — Baryła przytwierdził.

— On głupi nie jest — krzywił się Feliks Rudy pod brzytwą.  
— Taki łeb sam bym chciał mieć. Tylko on poznać nie da. Ale go rozgryzłem. Tak — dorzucił po chwili, wykręcając do lusterka drugi policzek — ja każdego jednego rozgryzę, rozpracuję w trymiga. Nie ma na mnie kozaków.

— Mie nie rozgryziesz — zabełkotał znów Antek Sruła.

Feliks golił się dalej.

— Słyszysz? — powtórzył głośnie Antek. — Nie rozgryziesz mie!

Rękę z brzytwą odsunął Feliks na chwilę od twarzy, z ukosa i z wielkim jakby zalem spojrzął na Antka, i znów z uwagą napiętą wrócił do golenia.

Wszyscy w ciszy czekali, co powie.

Za chwilę odezwał się, językiem policzek wypychając:

— Takich...

Znów brzytwą poskrobał, przerwę dłuższą robiąc.

— ... to ja nawet...

I zaczął wasy wygalać długo i dokładnie, pochłonięty całkiem tą jubilerską pracą, i Antek Sruła zrozumiał, że nie usłyszy ani słowa więcej, że to po prostu koniec — i dno ponizienia. Przełknął spęczniałe żarcie.

— Asa rzniesz — mruknął zaczepnie, próbując śmiechu, ale mu wyszedł żałośnie.

Feliks Rudy i na to nie zwrócił uwagi, za to powiedział do Baryły głosem wtajemniczonego:

— Zobaczo, jaki sygnet pokupił. A na książeczce ile ma.

— Skąd wiesz? Pokazywał?

— Przecie widać.

— Sygnet widać — przytwierdził Baryła. — Ale forszę?

— Ma. Nie bój się o jego forszę.

— Widziałeś?

— Nie.

— Chwalił się tylko? Też się możemy chwalić.

— Nie chwalił, frajerze. Ale ma — przychylił się do Baryły i szeptał — w Ziebrzy, jak forsa przyszła, wpłacał na książkę. Tę dziewczynę z poczty, to ja... — mrugnął z lewego oka. — Mówiła mi, ale ten wasz kierownik to ma siana!

— Dużo, dużo? — zaciekał się nagle Baryła.

— Trzydzieści patyków — odparł Feliks z przydechem głębokim.

Baryła gwizdnął, włoski rzędzące przed lusterkiem pękniętym trędowatym przyglądził i wyszedł na podwórze, resztki śliny z dłoni w spodnie wcierając.

— Uszanowanie, panie Karolek, jak się spało? — krzyknął do Karolka, co wychodził akurat z ciasnego przychyłonego sracza.

— W porządku, dziękuję — uśmiechnął się krzywo Karolek, blade na twarzy.

— Śniadanie czeka — powiedział Baryła, palcem wskazując chałupę, a szedł podwórzem na skos, pośrodku minął się z Karolkiem i zamknął się w sraczu.

— Krzywoszczyl — mruknął, włączając nogami na oblaną deskę.

Palił papierosa i nasłuchując chrobotania w brzuchu, myślał: dobrze takiemu. Szpadłem nie namacha, łap nie otrzęsie, świństwa się nie napatrzy, a zarobi co nas czterech razem. Karolek, uuuu, psia jego matka. Ciężko po wczorajszym, uuuu.

Karolek zaszedł do izby, powiedział swoje dzień dobry i oni powiedzieli mu swoje, wziął w rękę kubek mleka, co gospodyni naląła, i skrzywił się boleśnie.

— Zimne — rzekł z uśmiechem przymilnie wstydliwym — czy mógłbym panią prosić o łaskawe przegotowanie?

Spojrzała na niego tępo wyblakłymi gałami.

— Cegój?

— Zagotować! — wrzasnął ostro Zyzio Łapka biorąc kubek z ręki Karolka i wcisnął go w zdrewniałe łapy tej kobiety.

Poczępała do kuchni.

— Ostro trza z chamamy — pouczajaco rzekł Zyzio. — Krzykiem i biciem, to zrozumie, inaczy nie da rady. Pan za miętki, panie Karolku, pana to by zjedli i wypłuli...

Gadał jeszcze trochę w tym stylu, aż uchylił drzwi do kuchni i krzyknął:

— No jak z tym mlekiem? Doi się?

Nie czekając na odpowiedź zamknął drzwi z trzaskiem.

— I zara pan zobaczy.

Faktycznie, sołtysina weszła z dymiącym garnkiem.

Jadł Karolek śniadanie, a Zyzio Łapka przyglądał mu się uważnie. Łapał okiem krwawe błyski sygnetu, oblizywał się cienkim językiem. A to sukinsyn, myślał. Szpadłem nie namacha, rąk nie otrzęsie, świństwa nie nawącha, a za nas czterech zarobi. Sssukinsyn.

Patrzył na cienkie białe palce Karolkowe o paznokciach długich zaostzonych i brudnych mocno, a ostatni u małego palca najdłuższy był, hodowany.

W nosie pewnie nim dłubie, pomyślał Zyzio. Albo w uchu. Albo jeszcze gdzie.

Karolek jadł kęskami drobniotkami, starając się nie glamać, choć to lubił, bo się wstydził tego prostego kopacza. A kopacz przypatrywał mu się z ciekawością wielką, niezmaconą żadnym konwenansem. I myślał dalej, poprzez wzbierającą nie wiadomo skąd i dlaczego złość na żującego okularnika: to sukinsyn, wsza. Za co on forse bierze. Kierownik, kierownik. Co wielkiego? Chodzi, chodzi, bzdzi, z wieczora wypisze raport, cztery słowa na krzyż, i gites. Też bym potrafił. Szkoły do tego żadnej nie potrzeba. Darmozjad, psia jego krew.

A Karolek, nic o Zyzia myśleniu nie wiedząc, żuł spokojnie drugą kromkę chleba i popijał gorącym mleczkiem. Kropelka drobna biała sunęła mu z brody. Widział Zyzio tę samotną kropelkę. Prawiczek, suka jego matka — burczał w myślach swoich kosmatych. Trza by go spić do dechy którego dnia. Żeby figli migli nawyrabiał. Wyjdzie z niego wtenczas, co tak chowa. Sztynniak, że go nie rusz. Chowa tam coś, szkoda słów. Może i zarznął kogo. Takie oczy morderca może mieć...

Patrzył teraz prosto w oczy Karolka przestłonięte błyskiem szybkim szkła, opuszczone to na chlebek serkiem przyłożony, to na garnek z malowanym kogutkiem. Oczka te były niewinnie błękitne, ocienione wyblakłymi rzęskami.

Wolność moja w życiu jedyna, zarzekał się Zyzio po cichu, jak to nie jest morderca. Z takim samym siedziałem, on chłopka kamieniem zatłukł, jak mu chciał kaczkę odebrać, co ją ukradł. Takie same prawicze oczka... No, poczekaj, rozgryzę ja ciebie, rozgryzę.

— Dziękuję — powiedział Karolek, odsunął garnek, obtarł usta czystą chustką w kratkę i Zyzioowi spojrział prosto w oczy.

Baryła sprężył się ostatni raz, ale też bez skutku, i zgniewało go to okropnie. Nie mógł się ale na własne kichy złościć, no bo jak. I to wszystko zebrane spadło na Karolka.

— Posiedzę jeszcze dla proformy — mruknął, bo mu się dobrze tu myślało, chociaż storgły mu nogi, i to tak, że już wcale ich nie czuł. Więc siedział, z trudem wyciągnął papierosa ze zgiętej kieszeni, zapalił.

Sukinsyn, myślał, a przed sobą na ciemnych oplutych drzwiach widział bladą oszkloną buzię Karolka.

Nic nie robi, kombinował. Bo co on właściwie robi? Nic. Nie popije nawet. A forsy ma. Ho, ho. Co on robi za to? Dziwki może? Dwie na nago we wannie uwiązane, he, he. Tyle, że on i tego może nie lubi. Może nie może. Ha, ha. Trza by mu podstawić jaką, przekonać się. W Ziebrzy się znajdzie, jak tu

skończymy. Popić najpierw. Spić go do glancu. Hocki klocki żeby wyprawiał. Raz się ubawi. A w takich razach to różności z człowieka wychodzą. Zobaczy się, co za gość. Bo ten, co gorzałki nie lubi, i za dziewczynką nie pójdzie, to chory, albo zbrodzień, srał jego pies.

Nóg nie czuł już wcale, aż tak, że nie czuł, że ich nie czuje.

— Uuu — zesunął się z dechy, stał rękami ścian się trzymając. Ciężki tułów giął mu te waciane nogi, a po chwili mrówki tak zaczęły chodzić, biegać, gryźć się, parzyć i szaleć, że co drygnął Baryła nogą, to jeszcze gorzej, jakby im ognia dopiekał.

Nareszcie wylazł, blade krwawy na twarzy obrzęklej, wytchnął głęboko. Szarpnięciami za pasek na boki podciągnął spodnie, i zobaczył Karolka, stojącego przed chatą w cienkim obłoczku słońca. Karolek jakby w górę miał się unieść za chwilę, tylko jeszcze czekał nie wiadomo za czym z dobrej woli, a Feliks Rudy coś mu mocno klarował.

Zaczął zbliżać się do nich powoli, czekając aż mu z twarzy gorąc wysiłku spadnie, wtedy Karolek ręką do niego machnął i zawołał ostrym, cienko drżącym głosem:

— Panie Baryła, proszę tu do mnie, prędzej proszę!

Baryła zatrząsał się aż, jeszcze zwolnił kroku, ale w końcu doszedł i tak.

Antek Sruła zły był na Feliksa Rudego.

— Ja mu to przypomnie — mruczał strzelając z palców — popamięta on mie. Asa podgrywa, kozakuje, lewus kopany. Ale narwał się, narwał...

Zatarł Antek ręce i podszedł do okna. Feliks tam stał z Karolkiem i Baryłą. Gadał coś i rękami machał. Karolek drobno trząchał głową.

Przyjrzał mu się dobrze Antek Sruła.

— A ten Karolek to też — zamamrotał. — Forsy się nachapał, cwaniacha. I na co mu tyle? Może wózek sobie kupi. Ale nie, na wózek nie starczy — obliczał głośno. — Cheba używany. A gdzie mu tam! On się gówno zna. Zeżre go jaki szmelc. Nie pójdzie on na to, ten Karolek. Łachów nakupuje. Odbigluje się na zycher, kobity rwać mu lepiej będzie szło.

Patrzył Sruła na Karolka przez matową od słońca szybkę, widział jego miny ważne i gesty napoliońskie, i złość go coraz większa, nie wiadomo skąd się biorąca, targała.

— Suki syn, żeby tak zgubił te forse. Na książeczce ma, to żeby książeczkę zgubił. Ale by go wkurzyło, ha, ha — śmiał się Antek Sruła, gębę do pelargonii smrodliwych w oknie przystawiając. — Dobrze on pewno pilnuje — zmytygował się z żalem.

Zaczął teraz Antek Sruła kombinować, co by zrobić, jakby



sam tyle forsy miał. Wargi mu się poruszały, jakby modlitwę z książki po dziadku ciągnął, a mruczenie w listki gnojne pelaragonii szło:

— Trzydzieści koła, nno. Garniaki dwa miarowe: czarny z krepki i biały, lekko w krem wpadający, z gabardyny. Kapci ze dwie, albo lepiej trzy pary. I sygnecisko pół kila na środkowy paluch. Gites, szkoda mrygać. Do Sieradza z Warszawy gablotą bym kazał sobie. Dwa badyle kurs. Na sygnał i przed dom, do szwagra prosto. Wylatuje szwagier, Chrystusie, co za panisko wysiada. Nie poznajesz, ja go się pytam, flachę z białą kartką eksportową z walizy żółtej skórzanej wyciągam. I czekolady trzy dla szwagroskich dzieciaków. Jjjezzzusie mój, siostra gały wielkie rozwała jak cielna krowa. A co myśliła, to Antek Sruła, niby ja, ja się odzywam, szwagrowi Kamela pod nosisko pcham, to co myśliła, że ja to co? Śmialiła się, że kopać gnój się nająłem, to tera patrzta, z daleka, żeby nie upaprać mie.

— Ech — podrapał się Antek piąchą w twarde łeb. — Dobrze mieć tak trzydzieści koła. Chociaby i dwadzieścia. Karolek, psiach go ryj, cieszyć się musi. Ale może by się tak i nie cieszył, jakby wiedział, że mu się popsuć może... — zastanowił się Antek Sruła.

— Śpasa mu zrobić jakiego. Schować te książeczke całą. Do piru by trząchał gaciami...

Uśmieł się trochę.

— Warte zachodu, warte. Pomyślic trza. Obadamy, co z tego wyjdzie. Obadamy.

Wszedł Baryła do izby. Antek od okna w kąć skoczył.

— Antek dawaj — powiedział Baryła — do ludzi idziemy. Trza z tem skończyć dziś.

Antek złapał skafander swój żółty zblaknięty z oderwanym ekspresem, i wyszli.

Karbowniczek stary znów się w ogródku kręcił, jakby całą noc tam przy słonecznikach warował. Na tej samej przed chałupą ławce drzazgowatej siedli, i Karbowniczek łapę czarną po cygareta wyciągnął. Dwa naraz wziął, jednego za ucho wielkie słońcem czerwono prześwietlone wsadził.

— No to jak tam było, panie starszy, z temy chłopamy? — zaczął Baryła.

Stary myślał langzam i myślał, papierosa ciągnął, wolną ręką w pierś drapał się chudą co z niej kłaki siwe szpeciniaste wisiły.

— Proszę pana — wpadł energicznie Karolek — nam bardzo zależy na ustaleniu miejsca, gdzie zlokalizowano tę nieprzyjemną sprawę. Więc bardzo pana prosimy, jako jednego z najstarszych mieszkańców wsi, o pomoc w naszej niesłychanie ważnej pracy.

Gdyby pan był uprzejmy nas objaśnić, możliwie jak najdokładniej, byłibyśmy niepomierne wdzięczni. Słuchamy więc.

Karolek ręce na piersiach skrzyżował, główkę lekko pochylił, inteligentnie, w słuch się cały niby zamieniając, oczy aż z uwagania wielkiego zmrużywszy.

Stary Karbowniczek przyjrzał mu się zażawionymi jak u starej kozy oczami.

— Ze co niby? — wyjąkał, przestraszony mocno.

Zyzio Łapka zaklął bardzo ładnie.

— Panie kierowniku — mruknął Feliks Rudy — mów pan po ludzku, bo ten facet ni gugu nie rozumie.

— Przecież chyba wyrażam się dostatecznie jasno i precyzyjnie — głos Karolka drgnął wstrzymwanym trochę oburzeniem.

Posiedzieli chwilę cicho. Karbowniczek nowego zapalił.

— To wobec tego — powiedział Karolek, jakby go ziemia dusiła — niech pan, panie Baryła, sam przeprowadzi wywiad.

Wstał i odszedł do słoneczników, przypatrywał im się od góry do dołu i z powrotem, a były wyższe od niego, na cienkich wprawdzie, ale za to prościutkich nogach. Oglądał więc te cuda Karolek uważnie, bacznie słuch do tyłu przechylając.

A tam stary gimnastykował swój język sztywny, starając się jasno i precyzyjnie określić, co widział przed laty dwudziestu trzema. Raz jeszcze opowiedział historię świniobicia, nie szczędząc wskazówek technicznych, które przydać się mogą wszak każdemu prawdziwemu mężczyźnie, odmalował szalony pożar wsi i hukanie wystrzałów (a łuni: łubut, łubut) ale więcej nic, prócz tego, co już wiedzieli:

— Winkse pół chłopą, jak przysłem, to nie było.

— Zabieramy się — powiedział Baryła i wstał.

Oni też się podnieśli. Furtka skrzypnęła pod Feliksa ręką. Antek Sruła jeszcze w biegu fajkę z ucha Karbowniczka zdjął, ale stary nie poczuł nic.

Karolek go minął.

— Liczyłem na pana — rzekł poważnie — lecz niestety, zawiodłem się. Żegnam.

Stary japę bez zębów rozdziawił.

— Z Bogim, z Bogim — zajączał, gdy już byli na drodze.

W chacie pod lasem synowa kapusia tego ze Śwyn mieszkała. Dachówka różowo słońce odpryskuje, kogut krasny na sztachecie trwa. Drzwi zaskrobane kredą: K.M.B.

— Kacperek, Merchiol i Bartazał — odszyfrował zgrabnie Antek Sruła.

Otworzyli się drzwi, nim zdążyli zastukać.

— A panowie do kogój? — zakrzyczała kobieta. — Tu nicht nie miszko! Tu nikogój ni mo...

— Wolnego, szanowna obywatelko — powiedział Baryła grubo, urzędowo. — Tu ktoś jest.

— Ni mo nikogój! — krzyczała, siniejąc na ustach.

— Jakże, a pani to pies? — ośmiał się Antek Sruła.

— Chcielibyśmy zamienić dwa słowa — rzekł Karolek z ukłonem.

— Jo ta nie zaminiom nijakich słów! — ona w krzyk na to.

Ale Karolek niezrażony, kłaniający się raz po raz:

— Dowiedzieliśmy się, że...

— To za płotym, za płotym! — wrzeszczała, machając rudą szmatą i kubelkiem z odrobiną wody.

Chlapnęło na Karolka buty.

Cofali się, ogłupiali mocno, aż wyleźli na płot.

— A to waryjotka — mruczał Zyzio.

Oparła się o drewnianą korbę studni i patrzyła na nich oczami kuny w kleszczach.

— Chodzi nam o pewne informacje, łaskawa pani — mówił Karolek, wystraszony i nieswój.

— Informacji jo ta nijakich nie daje!

— Proszę się uspokoić, łaskawa pani, to tylko drobiazg...

— Drobiazg to nie wybieli! Piunci miołam drobiazgu! I wybieli, wytłuki, spaleli...

Łzy jej twarz oświeciły.

— Kto wybił? — spytał Baryła.

Ale ona wpadła w milczenie nagłe, jakby w studnię wpadła.

— Chodźta stąd, chodźta, to waryjotka, od razu mówiłem — napierał Zyzio. — Czasu tylko zmarnuję tu.

Ale Baryła twardy był.

— Pani z nas głupich nie struga — powiedział ostro. — Gdzie zabrali chłopów z tej wsi?

— Chto zabroł? — spojrzała na niego całkiem nieprzytomnie.

— Kto, kto — zgniewał się Antek Sruła. — Przecie nie ksiądz. Niemcy!

— Miemce? — zastanowiła się. — A kiej uni tu beli...

— Kiej byli, to byli. Ale jak byli, to gdzie chłopów zabrali?

— Jo ta nie wim — odparła cicho i zaczęła miarowo poruszać korbą drewnianą, splekaną.

— To kto ma wiedzić, do pieruna! — krzyczał Feliks Rudy.

— Teściu panin ich zakapował, nie? To kto ma wiedzić lepiej? Razemśta mieszkali!

— Teścio łutłuki! — wrzasnęła. — I moigo łutłuki! Nase łutłuki oboich...

Dalej bawiła się korbą. Wiadro leciutko brzęczało.

— Rację mieli — dogadywał Antek Sruła. — Też bym załutłk, pieska ich twarz.

Chwilę jeszcze postali, w zrozumieniu nagłym, że nic więcej się już nie dowiedzą.

I poszli do wsi z powrotem, a za nimi wstawał kurz słoneczny, rzadki, długo wisiał w powietrzu.

Krawcowa nie szła już dawno, bo oczy jej odebrało, tyle co kieckę obrobić, albo dziurę w okrętkę ściągnąć, a i to palce skłuła porządnie. Prócz tych oczów jeszcze pamięć jej zaszła, tyle czasu minęło, rozmaitości tyle. A to tyn się urodził, a to zmarło się tymu. Ze z chałupy syna wyciągli, pamięta. Józwa nosił miano. Mądry chłopak, ucuny. Ciągłe nic, tylko w książkach siedział. Na krawca się kierował. Familija cała — krawce. Ojciec, matka, Józwa także samo. Zgrabność w ręku przyrodzoną miał. Razu jednego, jakby dziś, ze Ziebyz rowerem wrócił, materiału przywiózł czarnego. Sukno to było na kapoty. W oknie usiadł, żeby widniej miał, i liczył wydatek, czy go czasem, nie daj Bóg, miastowe nie oszwabili. Ale wszystko wyszło jak trza. To się podniósł i rozłożył sukno na stole, za nożycami spoglądał.

Nikt nie wiedział, jak oni przyszli. Józwa spojrział do okna, bo tam nożyce koło kwiatków leżały, i powiedział:

— Jezusie.

Wtenczas ojciec od maszyny wstał, bo maszynę też mieli, a jakże, dobrą, zyngerowską, przedwojenną rzecz jasna, spojrział do okna tak samo i zawołał:

— Sukno matka zwiń i schowaj bo zabierają!

To zaczęła zwijać sukno i zwijać, długie było, grube i ciężkie, czarne przedwojenne sukno, a oni stali na podwórzu nieruchomo i cicho, dwóch, a trzeci przy stodole się kręcił, tak niemrawo jak pijany jaki, szukał coś, winkle obwąchiwał jakby.

Patrzył Józwa na nich przez szybkę zieleń ocienioną, matka patrzyła i ojciec, długo, wieki całe, aż trzasły drzwi od pomieszczenia z hukiem okropnym i wpadło paru, ale innych, karabiny mieli wcelowane wprost, na Józwa, ojca i matkę. Jeden pod łóżko zajrzał od razu, a pod łóżkiem tamto sukno leżało, w papier żółty owinięte ciasno. Wyciągnął Niemiec paczkę.

— Wasizdas? — powiedział.

A Józwa, który zawsze śmiał się z tego słowa i przedrzeźniał: kiełbasa i kwas, teraz nie odezwał się nic, tylko blady stał i sztywny jak ściana. Niemiec przyjrzał się wszystkim dobrze, paczkę podał drugiemu i złapał Józwa za kołnierz i wywłókł z izby. Matka pobiegła, żeby do nóg mu paść, ale tamci przy drzwiach ją zatrzymali.

Kiedy mogła wyjść wreszcie razem z ojcem przed dom, dużo

chłopa już na drodze stało, z całej wsi pościągani, ale ona nie wie dobrze ilu, cały świat kołował się jej w oczach, tylko Józwa swojego widziała, Józwa tylko, Józwa.

Powalili ich Niemcy kijami po głowach i plecach i pognali przed siebie, do lasu. Jeszcze szpadle pierw zabrać kazali. Każden myślał, że okopy idą wyrabiać.

— Nie bójta się — ludzie mówili — na noc ich puszcza, jeszcze sacharyny dadzą za zapłatę.

Ale jak przeszła godzina, to hukanie przyleciało z lasu, grube jakiesiś i gęste, jakby dzieciocy się wściekły.

I nie wrócił już Józwa.

Ani żaden.

Sukno takos przepadło.

Groźną miał twarz Kartasiński Liłun, bo to nos krzywy jak u ciorta i kikir nad nosem zbieżny. Ślubne zdjęcie Kartasińska wdowa pokazała, brązowe i okrągłe, podług dobrej, przedwojennej smaki. Trzy złote i pół takie foto wyniosło.

No to Liłun kołka na pińku ciosał. Kołek ten był potrzebny, żeby płota podeprzyć, bo raz jak się schłał, to wozem w bramkę trafić nie umiał i zawadził o płot i się płot mało przewalił. Ciut zbrakło. Dwie niedziele wisiał tak ten płot Bogu i kogutkum na pociechę, bo lubieły skakać na niego kogutki, to im lepi szło tera.

No to wybrał Liłun ze szopy kołka pasownego, ciut ociosał go z wiszku, ale skończyć mu całkiem nie dali. Żal go od tamtych pór. Bił, bo bił, ale dobry chłop był. Lubieł żyć dobrze, jak ludzie. I pohulać lubieł. Ale nie z bele kiem. Garny do ludzi. I do ziarcia tys. Kapusty nie zjadł, cheba że skwarków pływało. A kartofli ze słuniną tylko. Głód ścierpieł, a niedobrego nie ruszył. A dobrego to mógł cały sagan. Taki sagan od przedwojny stał, z uchamy obuma. W niem warzyło się wszystko. I wszystkie sytne były. Syn i synowa, i córka, i siostra Liłuna też, co w obrzędku chodziła.

Tak leciały lata, rok za rokiem, z jesieni w jesień, i dalej, ani się spoździał człek. Ani pomyślał, jakby tak miało już do samy śmierci.

A tu razu jedno, co un Liłun kołka na pińku ciosał, trzech weszło w podwyrze, na Liłuna paluchem kiwło. Kołek rzucił i siekirkę do pińka wbieł, i poszedł do nich, a oni w głowę go uderzyli i wygnali na drogę. Tam już innych Niemcy podprowadzili, dużo chłopca, dużo, zrachować trudno, głowy ani do tego. Jeszcze szpadel kozeli wziąć. Kuźdy jedyn ze szpadlim beł. Wyglądali jak wojsko jakie. A Liłuna w sam przód zagnali, tam go postawili oficjera niby. Groźnie on patrzył, aż się Miemce przelekli. Ale żeby za bardzo tak, to nie. Jeszcze raz mu przez głowę

dali i popędzili do lasu. Kartasińska wdowa czuła coś, że nie-szczęście z tego będzie, ale co mogła zrobić.

Kowala buda trawą zarosła wysoko. Palenisko w pył się rozpadło. Młoty, cęgi Miemce zabrali, rzucili na wóz. I żelastwa rozmaitego. Góra czubata. Odjechało to z brzękiem. Żal kowadła najwięcej. Drogie było, Stefan go pierwsze kupił. Z ojca en się wywodził. Trudny los miał on we wsi z początku. Dorobić się nie mógł. A kowadło jak kupił, to się odkręcił los. Konie kuć cały powiat przyjeżdżał. Dobrą on rękę miał i go ludzie poznali. Szanowali go. Piniądz drzwiami oknami szedł. Nową chałupę zara stawiać kazał. Pod gontem, bo pożaru strach. A od słomy najgorzej.

Jak dum stanie, powido on, to gospochę wprowadzę. I wprowadził, tą kobietę małą a grubą. Wtenczas jeszcze gruba taka nie była. Trzech synów, jeden po drugim powiła mu. Dwóch zabrało się w ziemię pokolei. Kował Szczygieł na smętarz co i raz chodził. Całe noce siedział i tam i czekał. Może który mu się pokaże. Bo podobnie ludzie mówili, że pokaże się, tylko prośbę trza znać. To on gadał prośby nocka w nockę, aż jesienią zimno go złapało i zaniemógł. Robić przestał. Pomartwieli się wszyscy. Jak wyzdrowiał, to ręką machnął. Co tam się pokaże, nic się nie pokaże. Odtąd zabrał się do roboty jeszcze mocniej niżli wprzód. I na drugi rok trzeci syn się porodził. A to była akurat wojna. I przyszli do kuźni, żelastwo na wóz wpakowali. Szczygła kowala za karczycho i o ziem rzucili. Pokopali nogami. A jak się podniósł, to już ledwo mógł ustać. Szpadel kazali mu wziąć. Dużo chłopca na drodze czekało, ukrwawieni do cna. Szczygieł mały, to na końcu przystanął. I tak poszli wszyscy powolutku, pochyleni mocno pod szpadlami, jakby z ołowiu były, do roboty ciężkiej jakiej poszli, tam gdzie las.

Jasu Bździoch także samo, całą wieś z niego się śmiała, także samo poszedł, bo do wiersza gadał i dniem nocą po drzewach siedział, także samo poszedł pod las. A był to nieszczęśnik wielki, choć pomycny jak rzadko. Dnia nie było, żeby figła komu nie spletał. A to kosę chłopu zabrał, miedzą wśród żyta się podczołgawszy, a to szybkę wyjął i ze dwora okno roztworzył jak nikogo nie było, wszystko w środku pochował, gwichty w komin, poduchy w piwnicę nawrzucał, rower w sieniach na kawałki rozkręcił. Wylos późni, szybkę w gwoździki założył i z początku myślał niejeden, że w chałupie duch mu pomieszkuje.

Lubieli Jasu Bździocha pomimo, żyć mu nieraz dawali, a pojeść lubiał, jadł i rozmaitości do wiersza za to opowiadał, na poczekaniu mógł ułożyć, co tylko kto chciał. Na weseliska przy-

chodził, śpiewki, figle do śmichu wyprawiał, a i spsocił gdzie mógł, ciasto babie zauroczył i zakalec był, nogi w tańcu dziewuchom płatał. Miłość wielką do każdej miał. Nie chciała go żadna, bo gdzie z takim, co mu w głowie króliki się parzą. Więc nieszczesny był i za wódką ganiał. A że piniędzy skąd, to mleka bańkę cukrem zasypywał i chował głęboko do ziemi pod lasem. Mleko z bańką kradzione, cukier też. A dwie niedziele przeszły, albo trzy, i już Jasu pełną bańkę miał gorzałki, mętnej trochę zielono i kwasem cuchnącej, ale mocnej jak diabła szczyna. Wracał potem od lasu pijany, śpiewający pod same niebiosy. Dzieciaki wtenczas zlatywały z całej wsi, orszak ruchliwy z wrzaskiem go prowadził...

No we wojnę aż Jasu Bździoch musiał wrócić do lasu. Przyłapali, na drogę przywiedli, dużo chłopca tam już stojąc czekało. I on stanął i śmiał się do Niemców wierszem gadający, i oni się do niego śmiali. Nie pobili go nawet, tak się spodobał im, tylko ze wszystkimi do drzew ciemnych na nieba skraj u pognali.

Na połnie szło, nim przebyli wieś całą długą, zakrzywioną koło stawku grząskiego, mechatego żabim skrzekiem, rozbełtanym przez brudne kaczki. Wszystkie wonie skisłe chałup kruchych koślawych w nosy swoje wciągali, w gęby zmarszczone, poczerńnięte i blade patrzyli, w oczy zblakłe, spłowiąte, ropą żółtą podbiegłe. Slina gęsta na nich leciała kropelkami twardymi z pysków bezzębnych, gadających niemrawo. Nacierpieli się, i Baryła, Zyzio Łapka i Feliks Rudy, Antek Sruła i Karolek wreszcie, przepocony bardzo. A nie dowiedzieli się, gdzie tamci są. A bo to kto spa mięta, taki wielki las. Powrócili więc źli do samochodu, drogą kolebliwą wepchnęli się w gąszcz, na wczorajsze miejsce wydeptane.

Antek Sruła został dech pilnować, oni poszli krzakami ostrymi na polankę rozkopaną, zarzuconą piachem przyglądzonym przez nocny wiatr.

— I co, cholera, — powiedział Zyzio Łapka, ściągając marynareczkę cajgową. Rzucił ją na górkę wysuszoną i usiadł z ciężkim przydechem.

— Kopać — mruknął Baryła.

— Kopać, kopać — przedrzeźniał Feliks Rudy — to kopaj, tylko gdzie?

Na to Karolek, stanąwszy na wysokim i płaskim głazie:

— Pierwsza rzecz, to obliczyć, gdzie ewentualnie znajduje się to miejsce. Następnie trzeba zacząć pracę.

Baryła i Feliks popatrzyli na siebie. Zamrugali oczami.

— Plan decyduje o wszystkim — rzekł Karolek, wyciągając z kieszeni ołówek i zmiętą kartkę.

Rozejrzał się dookoła i wyrysował szybko nieporadny planik polany. Feliks Rudy zbliżył się do niego i zajrzał do kartki.

— Na co to, panie Karolek — zdenerwował się. — Tu papierek nawet do dupy obtarcia niepotrzebny, liści tyle.

Machnął ręką i prędko odszedł. Baryła za nim. Zyzio Łapka jakby się wahał, ale widząc oghupiałą minę Karolka wstał i pogonił w krzaki, gdzie znikli już oni.

Karolek na kamieniu stał, ręce opuściwszy, kartkę wietrzyk lekki zagnał między badyle.

Pierwszy pokazał się Baryła, ze szpadlem na ramieniu, ale od krzaków na skos poszedł, blisko drzew, tam gdzie wczoraj Feliks Rudy go powiodł. Szpadel w ziemię wbił, oni przyszli też ze szpadłami, marynarki i koszule na pień zwalony rzucili, Zyzio Łapka zaczął miejsca szukać tupiąc nogą raz koło razu i słuchając uważnie.

Podbiegł Karolek, nogi płącząc w chwastach nisko pełzliwych.

— Co wy robicie, jak pragnę Boga, tam trzeba, tam! — ręką wskazywał drugi kąt polany, obrzucony słońcem bielutko.

Nie odezwali się nic. Szpadle złapali i ostro zaczęli kopać.

A kiedy zajęci pracą swoją, szukaniem i słuchaniem zardzewiałych głosów przepędzali wymierny ludzki czas, czterech ludzi dawniejszych w niewymiernym czasie nieskończone wiodło rozmowy.

Kryła ich ziemia nie płytka, nie głęboka, w sam raz, pulchna od kiełków trawy pobudzonej deszczem, wygrzana. Leżeli koło siebie, blisko, ciasno, a właściwie trochę na sobie, bo dół mniejszy wyszedł niż się spodziewali, i dotąd, od lat dwudziestu i trzech było to przyczyną ich trwałej udreki. Wymawiali sobie ten błąd, po kolei winę na każdego zwalali, jakby więcej miała ona ważyć, niż ziemia. Już odpadła im fatalna ich gwara, oczyściła się mowa z ludzkich podłych przyzwyczajzeń. Porozumiewali się językiem czystym, jasnym, komunikatywnym, a tym łatwiej szło, że prawdziwe języki już im dawno zgniły. Jeszcze pierwszej jesieni. Czasami tylko zdarzał się jakiś zwrot niecenzuralny, ale i on po następnych dwudziestu i trzech latach odszedłby w kosmiczne zapomnienie. Gdyby dobrzy, dzisiejsi ludzie ich nie wydobyli.

Więc oni trzech poważni najwięcej w Jasu Bździocha. Kartasiński Liłun, kowal Szczygieł, Józwa krawiec, no, poważni, a on co, poeta, gorzałkowicz po drzewach biegający.

I Kartasiński tak:

— Ech, ty Jasu, Jasu. Kopać ci się nie chciało. My pracowaliśmy, serca, ręki przykładaliśmy, choć ochoty nie było. A ty co.

Piasieczku na czubek szpadła odrobinię, i dalej do wiersza gadać. Jakby oni co zrozumieć mogli.

— A właśnie, że mogli — odcinał się Jasu Bździoch. — Boć do Miemce, a tacy wszystko rozumia.

— A tam, rozumia — wtrącał Józwa krawiec. — Nic nie rozumia. Jakby rozumieli, to byśmy teraz nie tu, tylko tam.

— Tylko gdzie? — pytał kowal Szczygieł.

— Tam.

— Tam?

— Tam.

— Tam, tam, tam, tra ta tam — przygadywał do wiersza Jasu i chichotał szyderczo.

— Ech, ty Jasu, jełopie — zalił go Kartasiński Liłun. — Że to się taki zgrywus upleże...

— Dobra maciornica go wyhajdukowała — stwierdzał kowal Szczygieł, oskarżenie najcięższe zawierając w tym.

— On jest poeta — ze szczyptą subtelnej ironii zaznaczał Józwa krawiec — tylko głowa nie ta.

— Jasna rzecz, że poeta jestem — złościł się Jasu Bździoch — do wiersza o wszystkim potrafię: o lesie, o chmurkach, o ptakach, o ziemi, o słońcu, o gwiazdach, o człowieku każdym. Co tylko chcę, wszystko mogę. Co chcecie, no, mówcie, to ja zaraz do wiersza, no...

— Ja chcę — powiedział Kartasiński Liłun, zastanowiwszy się krótko — żebyś ty mnie do wiersza w dupę pocałował.

— Ty chamie — oburzył się Jasu Bździoch — w twoją dupę to bym kopnąć nie chciał. Za skarby żadne. Tfu! Jak ona śmierdziała! Pierwszą jesień zaczęła, to jeszcze trzeciej wiosny jechało jak z beczki po kapuście. Ale nic nie mówiłem, bo kulturę mam...

— Twarda, to musiała długo gnąć — usprawiedliwił się z dumą Kartasiński Liłun. — Chłopska, jak się należy. Twoja warijacja rozleciała się w trzy miga. Nawet robote nie chciały żryć. Zbrzydziło ich.

Jasu Bździoch leżał na wierzchu, mieli przez to żal do niego niewygasły. Niemców sympatia do Bździocha w ten sposób się objawiła, że go na ostatku zwalili. Patrzył sobie chwilę dłużej na świat i chciał być mądrzejszy.

— Co wy wieta — mówił, jak już gadać zaczęli. — Nic nie wieta.

— A co ty wiesz? — pytali ze złością.

— O, dużo rzeczy. Napatrzyłem się jeszcze na dużo. Tyle w życiu całym nie widziałem. A wy już na dół mordami, ziemię gryźć, ha, ha! — śmiał się zadowolony.

— Głupiś, co tam było do patrzenia. To samo, co i zawsze.

Las jak las, tych Niemców mordy obrzydłe.

— Eee, ja tam na nich nie patrzył.

— To na co ty patrzył?

— Na wszystko. Wróbel przeleciał, skrzydełkiem furkoczący. Sikorka z gałęzi okiem czarnym błyskała. A sroki, jak do was trzasnęły, zawrzeszczały, jakby im kto ogony wyrwał. I poszły w las, postraszone ciężko. I wiewiórka na łapki tylne uniesiona futerko swoje lizała, gorzejące w słońcu. I wietrzyk suchutki rzeźwił czoło moje spocone. W górę później spojrziałem, chmura tam szła nad sosnami, rozwijała się w chorągiew srebrzytą, przetykaną błękitem... Obróciłem się wtedy do Miemców, powiedziałem rękę jak na pomniku wznosząc:

*Ta chorągiew srebrzysta  
co wieje nad nami,  
jest taka sama dziś,  
jak przed wiekami —  
Ta błękitna chorągiew  
co ponad nami wieje,  
niezwyciężona jest,  
jak nasze dzieje.  
I choć diabli wezmą  
mnie i kmotrów moich,  
ojczyzna mocy wrażej  
przecie się osto!*

Tak mówiłem długo jeszcze i pięknie z ręką podniesioną, aż mi dechu zbrakło, a Miemce gały wywalili i uśmiechali się z pochwałą i zrozumieniem wyraźnym, boć prawda w moich słowach była kłująca. Raz jeszcze w górę spojrziałem, by natchnienia wziąć, ale chmurka tamta rozlazła się w strzępki szare, więc powietrza wciągnąłem żeby westchnąć, ale nie zdążyłem, bo strzelili wtedy i spadłem na was. Za co bardzo przepraszam, z całego serca mi żal — dodał po chwili.

— No tak — odezwał się Kartasiński Liłun — wierszyk niczego sobie, powiedzieć nie można. Ale po co żeś to im gadał, pojąć trudno.

— Jak to — Józwa krawiec tłumaczyć zaczął — żeby ich postraszyć. Rację miał.

— Rację, rację — kowal Szczygieł na to — postraszył ich, to go ustrzelili. A jakby ich nie postraszył, to może by go i nie ustrzelili. Kto wie.

— Co też za gadanie — ośmiał się Kartasiński Liłun — szkopy nie darują.

— Nie darują, to nie darują — zgodził się trochę Kowal Szczygieł — ale może by i darowali.

— Faszysta nie człowiek — stwierdził ostatecznie Józwa Krawiec uczony — nie daruje i psu. Sam widziałem.

— Co widziałeś? — spytał ciekawy zawsze Jasu Bździoch.

— Jak psu nie przepuścili. Bo na nich szczekał.

— Łeee, no to co. Też bym nie przepuścił sukinsynowi. Jakby szczekał na mnie.

— A który szczeka na ciebie? Wszystkie cię znają, w całej wsi. Nie potrzebują szczekać.

— No, teraz faktycznie — zgodził się Liłun Kartasiński.

— Powyzdychały chyba wszystkie do jednego — uzalił się Jasu Bździoch. — Tyli czas, tyli...

Zasła cisza, nagła a długa.

Aż przerwał ją Jasu poeta:

— Teraz leginda tylko po nas chodzi...

Takie rozmowy wiodli przez lat dwadzieścia i trzy, i byłiby wiodli rozmowy takie (albo i lepsze, kto wie) przez lat jeszcze dwadzieścia i trzy, i jeszcze.

Gdyby dobrzy, dzisiejsi ludzie ich nie wydobyli.

Pot wyświecił twarze tych kopiących, Baryły, Zyzia Łapki, Feliksa Rudego, a Karolek z boku stojąc nóżką przytupywał, przesuwając się ciut i tupał, to tu, to tam. Chciał on obszar kopania rozszerzyć, czekał głuchoj odpowiedzi ziemi, dużo chłopów tam w środku czekało.

Ale Baryła i tamci nie patrzyli na Karolka wcale, pracowali na akord. Zmarnowane trzy dni nadrobić czas. Siekali cienkie splątane korzonki, piach do góry miotali wilgotny, osypywał się schnący prędko, pył wstawał chmurką nad wykopem, kasłali trochę, żeby mokre ocierali rękami zbrudniałymi i kopali wciąż, czasem tylko który połówkę fajki przypalił i wygaszał zaraz, żeby jechać w dół, po akordową forszę.

Karolek na nich koso popatrywał, błysk sygnetu swego kątem oka łapiąc. Za wąsko, myślał, kopią. Tam stu ludzi. No, osiemdziesiąt może. Poziomami nawet jakby kładli, po dziesięciu, to też trzeba szerzej. Osiem poziomów, to liczyć (policzył szybko) ze trzy metry najmniej. Trudna wybiórka. Skrzynie zbicz jeszcze, poukładać. Zejdzie do nocy.

Spojrzał na zegarek.

Żeby tylko, ciągnął myślenie swe, jutro chyba dopiero stąd wyrwiemy. Za wąsko, za wąsko kopią, narzekał w myśli swojej zmartwionej, ale nie mówił nic. I tak słuchać nie posłuchają. Bydlaki, psiakrew.

Patrzył na nich kopiących i zgiętych, i czuł, jak mu w głowie drapie żywa do nich nienawiść.

I pomyśleć, że ja z nimi, kombinował, od miesięcy żyję, z tymi bydlakami, z których każdy mógłby być moim katem. „Karolek” mówią na mnie, a to kpina jest, śmiech, kopniak w dupę. Nędzarze, niech się to skończy tylko. Nie poznam żadnego. Gdzie zresztą spotkać ich? Poskrywają się w pipidówkach swoich, w drewniakach skistych na przedmieściu, na wsi przywalonej gnojnym smrodem. Chamy. Podług nich ja pan wielki jestem. W samym środku stolicy mieszkanie... Tak, trzeba będzie załatwić. Wszystkie da się załatwić. Nie ma rzeczy, której się nie da załatwić. Legitymacja czerwona od czego. Mieszkanie w środku Warszawy. Książkę w druku, nawet jak będzie zła. Film na płótnach całego kraju, nawet jak będzie kiepski. Gównno. Wszędzie ludzie. Wszystko z ludźmi. Wszystko można, wszystko, jak się chce.

Pewność rosła w nim i on z nią rósł, aż wydał się sobie pod chmurę. Ale nie było chmur. Płaskie, wysokie szkliwo, przejarzone błękitnie.

Kopali szybko bydlaki, przysze katy Karolka. Aż stuknęły szpadle o twarde dno. Dziabnął Baryła dwa razy jeszcze, bo nie wierzył dzwonienu szpadla.

I zobaczył białość przyżółconą.

— Jest — powiedział cicho, do siebie, ale usłyszeli: i Feliks Rudy i Karolek, i Zyzio Łapka i kowal Szczygieł, Jasu Bździoch, Kartasiński Liłun i Józwa krawiec uczony.

Piach szerniały i mokry odrzucili ostrożnie, rozszerzyli wykop, ziemię odkryli z wierzchu — wtedy wyszły pod słońce kości nagie z ciemnym, szorstkim nalotem czasu.

Chwilę patrzyli milcząc.

— Ilu, ilu? — szybko zapytał Karolek, pochylając się nisko nad dołem. Trochę ziemi osypało się spod jego nóg.

Feliks Rudy przyjrzał się uważnie, zliczył czaszki schnące, pękate.

— Czterech — powiedział z zalem.

— Tylko? — Karolek się zdziwił. — No tak. A mówiłem, żeby szerzej brać. Obok tu mogą jeszcze być.

— Mogą, ale nie muszą — odparł zmęczony Baryła. Szpadlem w ścianę piachu uderzył. Wybił gruntu z pół metra.

— Nic — powiedział. — Nic tam nie ma dalej. Zawsze oni równo w kupie kładli. Jeden dół tylko zawsze. Wiesz pan chyba, panie Karolek? — rzekł zaczepnie, ciężko wyłaząc z dołu.

— Wiem, wiem — musiał się zgodzić Karolek.

Zawsze dotąd jeden dół tylko było. A dużo takich dołów widział już Karolek.

— To co mówili, że tak dużo ich? — wrzasnął Zyzio Łapka z wściekłością. — Co to warte, parę złotych ledwo. Człek się napala, a tu betka. Ech.

— Nie skiełcz — machnął ręką Feliks Rudy. — Skończyli robotę, i dalej. Może jutro lepiej się trafi. Jak tam grafik, panie Karolek?

— Dobry — odparł Karolek. — Sześćset. I dzieci sporo.

— W porządku — zatarł ręce Zyzio Łapka. — Z dziećmi to zachodu mniej. Gnaty krótsze, drzewa tyle nie wyjdzie na skrzynki. Będzie można trochę desek zepchnąć na boku. Nie? — puścił oko do Karolka.

Ale on udał, że nie widzi.

— Tylko żeby nie tak, jak tu — zastanowił się Feliks — ja liczyłem na setkę.

— Dobra, dobra — ostro przerwał Baryła. — Ze wsi wołać trzeba. Niech poznają.

— Tak, tak — zatrzepotał Karolek, na zegarek swój złoty zerkając. — Identyfikacja konieczna jest. W ciągu godziny ją należy przeprowadzić. Panie Zyzio, pan pójdzie do wsi. Kto chce, niech tu przyjdzie. A reszta panów skrzynki zbijać proszę. Przed wieczorem wszystko ma być o kej. Wyjeżdżamy.

Obcierali ręce o spodnie, Zyzio Łapka tupiąc buty z piachu otrząsał.

— To gdzie tera? — zapytał.

— Szosą trzydzieści kilometrów — powiedział Feliks Rudy.

Ale tak szybko stąd nie wyskoczymy, w myślach sobie dodał.

Jak ludzie przyszli, skrzynki zbite na piachu leżały. A zleciało się bab wrzeszczących! A chłopów z mordami rozdziawionymi! A bachorów, co im gały mało w dół nie wpadły! Krzyku, lamentu, płakania.

— Patrzcie, ludzie, patrzcie i poznawajcie! — krzyknął Karolek, odsuwając się trochę.

Stanął na kamieniu gorącym, ręce na piersiach skrzyżował.

„Suche kości krzywdy nie zrobią nikomu” — fragment wiersza sobie przypominał. Był to piękny wiersz, największe dzieło dwudziestego wieku.

Obrócił się tyłem do ruchliwego widoku. Okulary zdjął, w świetle rozmazanym jasno szukał chustki do przetarcia szkieł.

„Jest tu pusta kaplica, wiatrów tylko dom”. Eliot. Znakomite. Szkoda, że nie umiem wszystkiego na pamięć, myślał.

„Na niskim suchym brzegu nagie białe ciała, i tylko szczur, grzechocząc w nich, przerywa ciszę”. To wszystko.

Mało, pomyślał z zalem. Zateśknił nagle za książką. Nic od wiosny nie czytał. W mieście nie był. Nowości pewnie sporo wyszło. Trzeba będzie nadrobić braki. O, jeszcze:

„Ko ko riko, ko ko riko — w błysku błyskawicy”.

— Jezusie! — krzyknęła nagle jakaś baba, ciszę chwilową przecinając.

Chlipanie z wiatrem niesło się pomiędzy drzewa.

— No? — siedł do ludzi z okularami na twarzy już. — Rozpoznano?

Patrzył po twarzach wilgotnych błyskiem potu, przejętych grozą. Ale ciekawości w tym było najwięcej.

— A jogze ich punie łodróźnić, kiej ino gnoty — odezwał się nieśmiało jeden chłop.

— Łano, łano — przytaknęli mu poniekąd.

Baby znów głośniejsze płakać zaczęły. Hałas się wzmógł.

— Co, do diabła — zgniewał się Baryła — przeciw wicie, ile ich wzięli! Jeden mały, drugi duży, po kościach też poznać można! Który najdłuszy był?

Zakołysali się ludzie, zatłoczyli, ziemia sunęła cicho w dół spod nóg.

— Nie pchać się! — wrzasnął Feliks Rudy. — Nie po to kopaliśmy!

Próbowali odejść krok w tył, ale nie dało rady.

— A bo to chto dziś spaminto, chtóren dłukszy — znów powiedział chłop tamten.

Karolek z tyłu zobaczył sołtysa. Machnął ręką na niego.

— Panie sołtys, pan chyba może powiedzieć coś na ten temat. Sołtys przecisnął się między ludźmi, do Karolka podszedł.

— Jo ta nie znom — rozłożył ręce. — Jo ta jesse młudy beł wtyncos, a i do Zieby rowerym...

Karolek spojrział na Tissot swój złoty.

— Czekam jeszcze pięć minut — rzekł. — Identyfikacja niemożliwa, napiszę w raporcie, z powodu całkowitego rozkładu.

I cierpliwie czekał te naznaczone minuty.

Sześć nawet przeszło.

I nic, tylko chlipanie i szmer sepleniący głosów, rosnący i zanikający falami.

— Panie Baryła! — krzyknął. — Proszę zaczynać pakowanie!

Baryła krzykiem i machaniem rękami odpędził ludzi od dołu. Cofnęli się dwa, trzy metry. Wtedy Zyzio Łapka i Feliks Rudy skoczyli w dół, zgięli się tam, aż ich widać nie było wcale, i zaczęli ładunek podawać.

Najpierw czaszka jedna żółto-biało-brązowa poszła do rąk Baryły, i on włożył ją ostrożnie do pierwszej z brzegu skrzyni.

Potem kości inne, leżące zgrabnie jak trzeba, ale osobno, bo złączenia wszystkie, ścięgnię wygniły, a chrząstki stawów całkiem wyschły.

Ręce nareszcie, zebrane powoli, uważnie.

— Jezusie! — krzyknęła baba. — Co łun mo! Pacta!

Schylili się gęsto nad skrzynią. Obłok cuchnącej pary z tego tłumy bił.

Na palcu jednej ręki, mocno wbity na ostrą kość, rudział narparstek zardzewiały.

— Józwa! — wrzasnęła baba druga, padając na kolana i włośy drąc z głowy, a przedtem chustkę, żeby te włosy drzeć, zerwała.

— Józwa mój! Sył, sył jak go wzini! Pamintom, sył... Łoooo! — spazmowała okrutnie, ręce do skrzyni wsadzała, żeby dotknąć Józwy krawca kości, ale bała się przy tym i te ręce cofała, i pchała, i cofała, aż nareszcie cofnęła całkiem.

Karolek szybko wyjął notes i pióro i napisał drobno:

„Skrzynia numer jeden: Józwa krawiec... zidentyfikowany na podstawie naparstka”.

Ale nie wierzył słowu przez siebie pisanemu. Potrząsnął kobiętę za ramię.

— Czy jest pani pewna?

Spojrzała na niego ze złością.

— Jest pani pewna? — powtórzył.

— Co?

— Że to on właśnie?

— Łun, łun! — wrzasnęła.

I wpadła w jeszcze większy niż na początku płacz. Jakby popisać się chciała, że tak głośno potrafi.

Oczekali chwilę.

Ale ona co i raz patrzyła na nich, i widząc, że stoją bez ruchu, jęczała coraz mocniej.

— No, dość tego — powiedział wreszcie Baryła.

— Co? — zapytała, całkiem trzeźwo na niego patrząc.

— Pani już kończy, my też potrzebujem fajrant mieć.

Podniosła się, kiejkę z piachu trochę otrzepała, i znów chlipiąc cicho dla pozorów, wzięła w tłum.

— Ładować, ładować — popędzał Karolek przestępując z nogi na nogę, bo go kamień nagrany parzył przez cienkie podeszwy.

Baryła z Feliksem doładowali skrzynię, potem szybko to samo powtórzyli jeszcze trzy razy, wieka mocno zabili pięćcocalowymi gwoździami, wszystko przy falującym szumie ludzi, i koniec.

Odetchnęli z ulgą spoconą.

Zanim raport Karolek wypisał, naciągnęło popołnie. Skrzynie już stały na wozie, nie za ciężkie, ustawione równo jak trza.

Zyzio Łapka z Baryłą obciążali pół litra. Antek Sruła też dostał miarkę. A Feliks Rudy przy motorze się kręcił, pod maską grzebał, nogą kopał w opony. Pić nie mógł, żeby jechać mógł.

Wtedy Karolek zawołał:

— No, panowie, jedziemy!

— Dół trzeba zasypać — mruknął Baryła.

— Jeszcze nie zasypany? Rany boskie...

— Sie zapomniało — powiedział Zyzio Łapka. — A pan, panie Karolek, także samo coś zapomniał...

— Ja?

— No taaa... Sołtysa podpis. I stempelek na raport.

— A, rzeczywiście — zmartwił się Karolek. — Proszę zasypać dół, panowie, ja postaram się to jak najszybciej załatwić. Wóz gotowy, panie Feliksie?

Spojrzał Feliks na niego spod uniesionej maski.

— A skąd, z godzina jeszcze.

— Taak... — spojrzał Karolek na zegar, dłoń wysoko unosząc, aż błysnęło. — Więc pójdę pieszo. Wszystko ma być zapięte na ostatni guzik, gdy wrócę — powiedział tonem surowym i wszedł między las.

— W dupie tam... — zamachał ręką Antek Sruła.

Feliks Rudy maskę głośno zatrzasnął, do Baryły i Zyzia podszedł, wypił szybko dwie miarki.

— Gazu, gazu — powiedział nerwowym szeptem.

Dokończyli raz, raz, butelkę o drzewo stukli.

— Antek zostaniesz, na Karolka poczekasz — odezwał się Zyzio Łapka.

— Ja, ja — zgiewał się Antek — co najgorzy, to ja...

— Mordę w kubeł — powiedział Feliks Rudy — kochance w łóżko płacz.

Skoczył do soferki, Baryła włożył koło niego, Zyzio na budę się wdrapał.

Motor zagrał i odjechali kołyszac się wolno z lekkim chrupaniem szyszek i gałazek, a Antek Sruła stał i przyglądał się z zalem i złością, kurz ich zasłaniał ciągliwy, przed zakrętem zobaczył jeszcze, jak Zyzio Łapka ręką na niego macha i zrzuca na drogę szpadle.

Zniknęli, stał jeszcze trochę, wreszcie poszedł zbierać te szpadle.

Ziebrza czerwona od słońca, dachy na błysk glancowane.

Na ryneczku stanęli. Zyzio Łapka z Baryłą do knajpy, Feliks Rudy na pocztę naprzeciwno.

Skłonił się pięknie przed okienkiem.



Ziuta stempel z ręki puściła, wzruszona, aż jej uszy grubo krwią nabiegły.

— No jak? — spytał Feliks, opierając łokcie na ladzie.

— Co?

— Teges — ruszył głową i okiem mrugnął.

Uśmiechnęła się żółtymi zębami, a jeden srebrny z boku lśnił.

— A wiesz, Feliks, ja nie bardzo dziś mogę. Sprzątania się nazbierało...

Machnął ręką.

— Drobiazg, śliczna panięko. Nie bądź lewa.

— Ja nie jestem lewa — udała oburzenie.

— Daj się lubić — tłumaczył Feliks Rudy — to cię wszyscy polubią. My już robotę skończyli. Apfart z samego rana. Jeszcze nocka przed nami, ostatnia — zaśmiał się.

— Nocka? — przestraszyła się ona.

— Nocka.

— A gdzie?

— Gdzie bądź. Zmartwienie. Wozisko jest. Wszędzie można...

— Wszędzie... — pokręciła głową z namysłem.

— Do wyboru, do koloru. Piękne panie mają prawo rządzić.

— Jasne — zgodziła się, zadowolona, że on jej tak przy-  
podchlebia.

— To jak będzie?

— Postaram się — powiedziała.

Odetchnął sobie głęboko.

— Gites! Tylko, rozumisz Ziuta, jeszcze nam dwie potrzebne.

Wielkie oczy na niego zrobiła.

— Albo lepiej trzy — dodał.

— Jakie znów trzy?

— Zwyczajne. Albo lepiej eksportowe. Damy do towarzystwa.

Z kolegami ja jestem.

— A — roześmiała się — to ja się dowiem.

— Równiaszki żeby były, rozumisz, jak ty. Bo my się tam w trali lali to za bardzo bawić nie lubimy, nie? Sama wiesz.

— Trzy to nie da rady — odezwała się powolutku. — Dwie to prędzej. Poszukać by... a to fatygi więcej...

— Gra muzyka — machnął ręką Feliks Rudy — dwie także samo oblecą. Tylko równiaszki, miarkuj. Jak ty.

Papierosy do niej przez dziurę w szkle wyciągnął. Z wahan-  
niem jednego wzięła, jakby parzył. Feliks ognia zgrabnie w du-  
żych paluchach podał. Zapalniczkę miał żółtą, wysoką. Palił i ba-  
wił się tą zapalniczką, żeby Ziuta dobrze się przyjrzała, bo zapal-  
niczka gites, stówę za nią dał. Okazyjnie, bo w sklepie sto dwa-  
dzieścia.

Ziuta listy odsunęła, poprawiła wtyczki w telefonie, prze-  
stawiła korbelkę. Za popielniczką patrzyła. Ale nie było. To posz-  
ła do drugiego stołu.

Feliks mordę do szkła przystawił i zobaczył jej nogi i zdziwił  
się, jakby zapomniał, że krzywe.

Frajer nogi, pomyślał, na bok idą.

Wróciła z popielniczką obtłuczoną, wystawiła na ladę. Na  
popielniczce wkółko pisało białą farbą i krzywo:

„Placówka Pocztowa Ziebrza. Świadczymy Usługi Dla Lud-  
ności”.

Popiół strzepali razem i stryknęli się papierosami. Ona, Ziuta,  
znowu się uśmiechnęła, wargi trochę ściągając, żeby zębów tak  
znów nie pokazywać. Czym się chwalić nie było, do lusterka nie  
raz patrzyła.

Przyszedł chłopiec z kopertą zmiętoszoną, stanął za Feliksem  
Rudym. Cierpliwie stał.

Palić skończyli. Ziuta ważną miną przybrała.

— A pan?

Feliks Rudy odsunął się trochę. Chłopiec list na ladzie poło-  
żył, paluchem czarnym mocno przyciskając odwinęty znaczek.  
Feliks Rudy zerknął na wielkie bazgroły:

„Do Sundu Wuiwuckigo...”

Ziuta zgrabnie list na wagę rzuciła.

— To czekamy na szosie — rzekł Feliks Rudy.

I pokazał dwa rozstawione palce.

Kiwnęła głową:

— Za godzinę kończę... To za półtorej będziemy.

Skłonił się Feliks Rudy pięknie i wychodząc kichnął, bo mu  
od kleju z atramentem w nosie zakręciło.

Stała flaszka, suchej kiełbasy dwa knypie i pomidory przejrza-  
łe. Zyzio Łapka z Baryłą gazował, kiedy Feliks wszedł Rudy.

— W porządku — powiedział, jak na niego spojrzeli.

— Za półtorej godziny na szosie — dodał, setkę śmignąwszy.

Na zegarek swój gruby ze sputnikiem na cyferblacie patrzył  
uważnie Baryłą.

— Znaczy się — powiedział, licząc w myślach z twarzą wy-  
siłkiem ściągniętą — znaczy się: za półtorej.

Z ulgą rękę grubą opuścił.

— Ile będzie? — beknął Zyzio Łapka.

— Suma sumarium to trzy odparł Feliks Rudy.

— Rajcowne?

— W tłoku ująd. A po reszcie to nie do patrzenia ony —  
zgniewał się Feliks Rudy.

— Głupis! — mruknął Zyzio Łapka. — Na kobitkę to i po przyglądać nieraz...

— Nie spierajta się — dłonią w stolik trzasnął Baryła. Zawołali jeszcze pół litra, i tak zaczął im lecieć ten czas.

— O, cholera! — wściekł się Karolek, kiedy pusto zobaczył tam, gdzie był samochód.

— O, cholera... Dołu nawet nie zasypali.

Klął na cały głos. Podskakiwał to tu, to tam. W krzaki zagłądał. Na jeżynach zmiętych Antka Sruła Srułę rozwalonego z gębą chrapiącą, a rozwartą jakby niebo chciał zeźreć, odkrył.

— Wstawaj, durniu!

— A co pan, a co pan — nieprzytomnie mruzczał Antek Sruła, wygrzebując się z ciepłego snu. Kolce jeżyn łachów mu się czepiały z potrzaskiwaniem cichutkim.

— Gdzie samochód? Gdzie reszta? — krzyczał Karolek.

— A ciort ich tam wi — mamrotał Antek Sruła, zły że mu się sen przerwał w najlepszym miejscu. Paluchami włosy skołtunione poczesywał.

— Do Ziebrzy skoczyli... Zara wrócą cheba...

— Do Ziebrzy! Rany boskie — złapał się za łeb Karolek z rozmachem, mało mu okulary nie spadły. — No, to już ich dziś nie zobaczę. Spiją się jak świnię. Ale mnie uziemili! W takiej dziurze. Ale uziemili. No i co teraz? — spytał się Antka bezradnie.

Antek ramieniem ruszył.

— Co się pan łamiesz, panie kierownika. Ja także samo zostałem. Oboje to nie zginiemy.

— Nie oboje — zgniewał się Karolek — tylko obaj.

Spojrzał na niego Antek Sruła zdumiony.

— No tyż mówię. Oboje nie damy se zginąć.

Karolek ręką machnął, odwrócił się. Szpadle zobaczył.

— Za narzędzia kto ma odpowiadać? Pan sobie śpi, panie Antku, a ja chłopcy szpadle by pokradli, kto by odpowiadał? Ja, oczywiście, ja!

— Łee tam, zara by pokradli — oburzył się Antek Sruła.

— Ja tak znowu za bardzo nie śpię. Czują mam, że o, na śpiku. Tu niby śpię, a tu uważam. Niech kto tylko podejdzie...

— Ja podszedłem — przerwał Karolek — i co?

Antek Sruła nie stropił się ani, ani.

— Łee, pana kierownika to po węchu poznałem. Nie było co szumować, pan kierownik na szpadle amatorski nie jest, ha, ha — śmiał się ze swojej gadki, bo mu pasowała.

Usiadł Karolek na pniu, mrówki wpięrowy dłoń zgarbawszy. Papierosa zapalił.

Antek Sruła dymu chwilę powąchał, kieszenie pomacał.

— Mie to pan nie poczęstuje — przymówił się z żalem.

— Jasne — tłumaczył sobie głośno — przyjechali komboje, każdy pali sam swoje... Lepsze fajki, to szkoda — wzdechnął i usiadł na drugim pniu.

Karolek milczał, ostro szarpiąc się dymem. W pewnej chwili sięgnął do kieszeni, ale pomyślał: co się będę z chamem fraternizował. Fajki mu się zachciewa. Stale kopci śmierdziuchy najgorsze, amerykana mu dać. Nawet się nie pozna. Nie palenie, powie, za słabe. I splunie pod nogi charchowiną okropną. Chamus.

I dalej siedział spokojnie, teraz dopiero smak tytoniu czując. Słońce w drzewach bryzgało czerwono. Duszna, gorąca noc się zwiastowała.

Sykął nagle Karolek. Mrówka jakaś w nogę go ugryzła. Przez skarpetkę, psiakrew. Złapał ją, duża i ruda, w palcach roztarł.

— Idziemy — powiedział.

Wstał.

— Panie Antku, szpadle pan weźmie. Po drodze zasypie pan dół.

Antek Sruła bystro na niego kikował.

— Mie tam żadna jeszcze nie uchłała — stwierdził z satysfakcją. — Krew mam dla nich za mocną, na śpircie, ha, ha...

Spojrzał na Karolka z ukosa.

— Pięc szpadli, panie kierowniczkę złoty, pięć? Samemu mam brać? I kopać samemu?

— Brać, robić i nie gadać! — krzyknął Karolek, ścieżką wśród drzew odchodząc.

— Z tortu nie jesteś, łobuzie — mamrotał jeszcze.

Dogonił go Antek Sruła, szpadlami dzwoniąc. Z tym brzękiem kajaniarskim przeszli polaną koło dołu. Antek Sruła odwrócił łeb w drugą stronę, a Karolek wiedział, że nie da rady go zmusić, żeby zasypał dół. Powędrowali do wsi.

Myślał o książce swojej Karolek, i o filmie. Ale nie szło najlepiej. Drażnił go brzęk i Antkowe sapanie.

Za głośno sapie, myślał, głośniejsze niż trzeba. Chce pokazać, że się tak męczy. Darmozjad, łachmyta. Książkę stworzyć o takim. Film. Żeby ludzie z kina uciekali. Wszyscy oni: łeb w łeb to samo.

Zezłoszczony do granic, tempo przyspieszał. Antek ziajał.

Chrypi jak byk przy krowie, myślał Karolek.

Rozmieszyło go to porównanie. Zaczął gwizdać „Kocham Paryż”.

Może kiedyś poczuje do nich sympatię, myślał, jak w pamięci tylko zostaną. Jak już czuć nie będę ich smrodu. Słuchać głosów zdartych, obrzydliwych. Tych powiedzeń, tych mądrości ludo-

wych, aż się rzygać chce. Może nawet kiedyś ich z miłością opiszę, bałwanów bezmyślnych, sprzed potopu. Humanista, powiedzą w recenzjach, przyjaciel człowieka. Gówniarze, fachowcy od kawy.

Chwilę miotał się w sobie użalony boleśnie, bo mu jedni, ani drudzy nie imponowali. Ale w końcu wybrał tych od kawy. Z nimi zawsze można coś załatwić.

Antek Sruła deptał ziemię spocony, nic nie wiedząc o Karolka problemach, słuchał melodii o kochaniu Paryża, którą tak samo umiał, i przyglądając się oczami słońcem przekrwionymi figuskowi koślawemu w okularach, sunącemu rażno przez piach i trawę suchą klującą, przeskakującemu lśniące, czarniawe kamienie, tak myślał sobie pod nosem (bo chłop jak mocno myśli, to mamrocze): huj na kaczych nogach. Dobrze mu. Forsy za czterech bierze. A ja szpadli za pięciu niosę, i co mam? Biednemu zawsze wiatru w dupsko wieje. Ale poczeka kurwi synek, się i doczeka. Ja się mu jeszcze odemszczę. Popamięta on mie.

Rachunek we trzech za tę wódkę spłacili i wyszli pijani na fest. Mraka duszna, wełnista już zgęstniała w powietrzu.

Spojrzał znów Baryła na zegarek swój gruby ze sputnikiem zielono świecącym. Ale wskazówki nie świeciły.

— Co się pan martwisz — powiedział mu raz zegarmistrz — po cholere panu w nocy godzina? W nocy się śpi. Grunt, że sputnika widać. Człowiekowi zara lżej na sercu i zapomina o świecie.

Rękę do oka podniósł, no i zobaczył jeszcze.

— Jjezussie! Gazu, chłopaki! — krzyknął i potoczył się lekko na boki.

Zaszli do wozu. Wlazł w szoferkę Baryła. Zyzio Łapka wjechał się za nim. Feliks Rudy z drugiej strony zajrzał.

— No jjjak? Obašta się wpierdykali, to ja może na błotnik wliżę?

— Nie skiełcz, Feliks — Zyzio skrzeknął płaczliwie — jeszcze pińciu takich się pomieści...

No to Feliks Rudy wcisnął się za kółko.

Wyrwali z trzaskiem i hukiem okropnym. Stary Dzems mało w drzazgi nie poszedł. Cztery wąskie ulice prześmignęli od rantu do rantu. Długie światła, rowerzystów paru na chodnik wskoczyło, śmiał się Feliks Rudy na cały głos z ich białych od strachu twarzy.

Ledwie zaczęła się szosa, szara i sfałdowana, zhamowali z piskiem. Skrzynie zafurgotały na budzie. Zyzio Łapka otworzył drzwi i wyleciał z szoferki do rowu. Feliks Rudy cisnął klakson skrzeczący, światłami mrugał.

Spoza drzew trzy kobiety wyszły. Jedna przodem na krzywych nogach, dwie ociągały się za nią.

— Wstawaj, łachmyto! — krzyknął Baryła na Zyzia. — Panie są!

Podeszły wreszcie.

— Szybko, szybko! — wołał Feliks Rudy.

Baryła stał przed maską, cień ogromny na szosę zrzucając.

— Baryła jestem — skłonił się nisko, niezgrabnie.

— Bardzo nam przyjemnie — odpowiedziała Ziuta z dygnięciem.

Dwie tamte zaśmiały się cienko.

— Idź Baryła na budę — powiedział Feliks Rudy — zabierz panie ze sobą. Zyziek, wyłaź z rowu, jadziemy!

Ziuta z trudem wlaźła do szoferki, spódnicę podciągając.

Zyzio Łapka pojawił się, ręce mokre od rosy podał dziewczynom. Niezłe całkiem, pomyślał. Jubel w porządku się szykuje.

Z tyłu podsadzał je za poślady, śmiały się, aż upadły na skrzywie. I Baryła też do nich wlaźł.

Ostro szarpnęli. Śmiech i gadanie hałas wiatru przygłuszył.

— Gdzie jedziemy? — zapytała Ziuta.

Ale Feliks Rudy, nim gębę otworzył, w dach szoferki usłyszał walenie. Stanął z chrzęstem żwiru na poboczu. Drzwi uchylił.

— Kiego?

— Jednej skrzyni brakuje! — wrzasnął Zyzio Łapka.

— Jak to: brakuje?

— A tak to. Cztery należy się być, a trzy są.

— Trzy? — zdziwił się Feliks Rudy. — Przelicz dobrze.

— Trzy — przytwardził Baryła całkiem trzeźwym głosem. — Zajebali nam jedną.

Feliks tak samo otrzeźwiał. Na budę skoczył. Latarką poświecił.

— Trzy.

Zabłuźnił mocno. Aż go krew załała.

— Wrócić musimy — jęknął Baryła.

Feliks Rudy bluźniący ciągle aż Ziuta siwiała, zgrabnie wywinął na szosie.

Polecieli jak do pożaru, albo gdzie.

Trzech Łapiesiów braci i Kostyra Maniek, jeszcze nim słońce zaszło, nudzili się okropnie. Wódki trochę im w gardło wleciało tego dnia, i wina, a później pod zmierzch już ostatnie nikle na piwo z kieszeni wyszmelcowanych dobywali. Rynecek parę razy przeszli, ale nic tam znaleźć nie dało rady. Na stację zaszli.

— Ekspres warszawski leci za godzinę — odezwał się Łapies

najmłodszy, osiemnaście miał lat — chodźta, wywalim go... Popatrzeć by na co...

— Waryjat, siajba mu odwala — zgniewał się Maniek Kostyra, już od rana samego zgniewany.

— Każdy frajer takie coś potrafi. Ale żeby ciaczków trochę wpadło, to nie ma mądrych...

Gamzał tak ostro, gniewliwie, aż przy bufecie za ostatnie piwo kazali, a i tak dobrze, bo i tak piwa zara zbrakło.

Ze śliną gorzką w zębach powrócili na rynek. Wtenczas średni Łąpieś Dzemsą palcem pokazał.

— Stoi — powiedział i splunął — od początku. A szoferaki w gospodzie tankują.

Pokiwali głowami ze zrozumieniem wielkim. Blżej podeszli. Starszy Łąpieś na budę zajrzał.

— Skrzynie — powiedział — z nowych desek. Heblem nie ruszone.

— Skrzynie? — zastanowili się w czterech.

— Zabite świeżo — przytwierdził Kostyra Maniek, błyski czerwone od słońca na łebkach gwoździ widząc.

Poszli dalej, papieroski ssąc.

Na skwerku młody Łąpieś, butem żółtym piasek rysując, tak powiedział mądrze:

— Jak zabite, znakiem tego coś w nich musi być.

— Jasne — kiwnął głową jego starszy brat i spojrzeli wszyscy czterech na siebie.

A Kostyra Maniek słońce obciął, spadające za drzewa. Buksiaka spod rękawa obnażył.

— Za godzinę — mruknął — to się przekonać można. Wypić by się tylko co zdało.

Ale nie zdało się nic i godzina im wolno minęła. Słońce wtedy cichutko spadło za Ziebrzę i zaczęła gęstnieć mraka sucha.

Na rynecek poczłapali wolno. Tam nikogo z ludzi nie było, a Dzems jak stał, tak stał.

Wtenczas bracia Łąpiesie trzej i Kostyra Maniek jak sportowce jakie zawinęli się bystro. Młody Łąpieś i starszy na budę susem śmig — a ten średni i Kostyra Maniek z dołu skrzynię jedną na plecy złapali.

I zniknęli w ciemności czarnej, cieniem tylko łysnąwszy pod żółtawą na rogu lampą.

Na milicji cicho było, przytulnie. Spał dyżurny jak zajęc, z otwartymi oczami. Czapka obok, przy telefonie korbą kręconym leżała, mocno popiołem upstrzona.

— Dobry wieczór — powiedział Baryła. — Złodziejachów tu macie niekiepskich, panie władza.

— A bo co — mruknął władza łysawy, nie ruszając się ani trochę.

— Skrzynię nam z wozu dmuchnęli — wtrącił się Feliks Rudy.

— Z jakiego wozu? — spytał senny milicjant.

— Dzemsą.

— Aa, z Dzemsą. Nieźle to były wózki. Ale gruchoty już dziś. Chodzi wam jeszcze, chodzi?

— Chodzi, chodzi — zniecierpliwiał się Zyzio Łapka — tylko nie o to się rozchodzi, a o co inne...

— O co się rozchodzi?

— O kradzież, panie kochany...

— Aa, o kradzież się rozchodzi — przerwał mu władza pan z ciekawością udaną. — Dokumenta posiadacie?

— Posiadamy.

— A to pokażcie tu.

Pogrzebali trochę w kieszeniach, w portfelikach z ceraty, pokazali, okruszyny tytoniu z kartek zatłuszczonych wydmuchując.

Zaczął czytać ten facet gruby za stołem. Długo czytał, uważnie. Potem z krzesłem głośno się odsunął, szufladę wyciągnął i z szuflady bloczek raportów. Pióro wieczne z żółtą skuwką odrapaną potrząsnął. Patrzył pod światło na stalówkę. Włos grubymi palcami ściągał z niej ostrożnie.

— Czasu to my za dużo nie mamy — odezwał się Baryła.

— Aa, czasu nie macie. Ale ja mam. Do rana daleko — mówił ten właściciel swego czasu. — Żeby wam się nie brzydziło czekać, to ja mogę was na dół zamknąć, bez sznurówek i pasków. Aa? — spojrzął na nich z dużą satysfakcją, jak na kotlet schabowy z kapustą.

Zyzio Łapka już gębę otworzył, ale Baryła go kopnął w nogę i mrugnął.

Władza dane z dowodów spisywał ręką w mozołe ćwiczoną. Pióro strząsał co chwila, pypcie ze stalówki zdejmował, oglądał, głową w zastanowieniu kręcił.

— Że też człowiekowi tak się męczyć każą — mruknął przy podchlebnie Feliks Rudy. — Papier kiepski, i pióra też nie lepsze wyrabiają...

Zainteresował się władza spostrzeżeniem Feliksa.

— Na to pióro to nic nie mówcie — rzekł groźnie i podniósł pióro do góry. — Parę lat już tym piórem pracuję i bym nawet go sprzedać nie chciał. To jest pióro jak się należy, na wyścieczce w Moskwie kupiłem. O!

Przysunął rękę i zobaczyli koniec pióra po zdjęciu skuwki, wypełniony wodą, przezroczysty, a w środku sputnik maleńki złotoczerwony pływał.

— Waserwaga to jest od razu, możecie sobie obejrzyć...

Wzięli pióro i oglądali w skupieniu, podziw szeptem wydając, a na skuwce pisało „Zwiewda”.

— Pierszorzenne — powiedział Baryła — ale lepiej by maszyna się zdała...

— Aa, maszyna jest — ucieszył się milicjant — jak się należy.

Palcem do tyłu kasę pancerną pokazał, grubaśną, ciężką jak czołg.

— Tylko spróbujcie, zobaczymy, czy się któremu uda ją stamtąd zasunąć! — śmiał się z tryumfem.

Popatrzyli z szacunkiem na kasę.

— Ale u pana by się zdała — upierał się Zyzio Łapka z uśmiechem przymilnym.

— Aa? U mnie? U mnie też jest — powiedział władza i klepnął się po ciężkiej, przytwierdzonej do pasa kaburze.

Jasu Bździoch od początku czuł że się z nim coś niedobrego dzieje. Rzucanie okropne. Wszystkie gnaty zmieszane, ani ręki własnej odnaleźć. A już z głową najgorzej, z kąta w kąt latała, tłukąc się bardzo o deski. Na samochodzie już kiepsko. Ale teraz, myślał Jasu Bździoch, skaranię.

Figłów takich w życiu nie wyprawiał. Huk jak we młynie. Świat się cały jak sito trząsał.

I nie wiedział Bździoch Jasu dlaczego ta mordęga, skąd i po co.

A to bracia Łapiesie trzej i Kostyra Maniek uciekali ze skrzynią na plecach, przez uliczki krzywe i wąskie, przez wyboje i doły, płotki niskie przechodzili szybko, krzewiami wzdłuż drogi do meliny Kostyry Mańka ciągnąc. Skrzynia spadła im na ziem dwa razy, o mur kanciasty zawadziła.

Nareszcie tam gdzie trza dobili, do komórki ciasnej zagracoonej, skrzynia pośrodku legła, obcierali pot z karków szczypiący, młody Łapies zapalił świeczkę.

Ramy od rowerów i koła pogięte, wózek stary dziecinny z buką nadgniłą na bok odrzucili, łom się w kącie znalazł i cęgi.

Sapiąc psuli Zyzia Łapki robotę, gwoździe nowiutkie łamali. Aż wieko sztamająz podważone z trzaskiem okropnym odskoczyło.

— O kurdefranc — jęknął Kostyra Maniek, rękę na włosy sztywniejące kładąc.

Wyciągali szyje, przyglądali się w strachu ciężkim i mdlwym, a tam Jasu Bździoch leżał nagi, z ciała rozebrany.

Ziuta, Maniutka i Zochna siedziały po ciemku w szoferce,

przed milicją lampka brudna krzywo świeciła, trzej panowie długo nie wracali, i rozmawiały tak oto:

Maniutka: — Ziuta, ja wysiadam. Na co mnie tam...

Ziuta: — Nie wygłupiaj się, Maniutka. Nie bądź głupia. Co ci szkodzi.

Zochna: — Ale bo Maniutka rację ma. Bo oni może jakie nie-przystojności chcą wyprawiać.

Maniutka: — Pewnie. Jeszcze nas wywiozą gdzie i zostawią.

Zochna: — I do domu po nocy wracać. Uszlajać buty i ubranie.

Ziuta: — Kto ci kazał się tak biglować. Na dancyngi żadne nie...

Maniutka: — Jeszcze co to za ludzie, to nikt nie wie. Bo ich nikt nie zna nawet...

Zochna: — Właśnie. Żeby chociaż ich przedtem znać.

Ziuta: — Zawsze kiedyś poznać trzeba. Ja tak samo tylko jednego znam.

Maniutka: — Dobry i jeden. Zawsze to inaczej.

Ziuta: — Ee tam, głupoty pleciesz. Nikt ich nie zna, bo z innych stron przyjechali. To i lepiej, bo zaraz ploty by były.

Zochna: — To też racja. A tak to wyjadą, i spokój.

Maniutka: — Co tu tak śmierdzi?

Zochna: — A po reszcie to mogą jechać, co mi szkodzi. Ale żadnemu nie dam.

Ziuta: — To nie daj, twoja sprawa. Ja tam swojemu dam. Jak poprosi.

Zochna: — Dobrze ci mówić. Swojemu. Jakbym swojego miała, też bym dała.

Ziuta: — To se wybierz którego i będzie twój.

Zochna: — Akurat. Myślisz że po ciemku tak łatwo wybrać. Każdy jednakowy.

Maniutka: — Mnie to ten mały się podoba.

Zochna: — Który mały?

Ziuta: — Ten... Zyzio pewnie, czy jak mu tam.

Maniutka: — Pewnie Zyzio.

Zochna: — Pomycnie się nazywa.

Maniutka: — No to co, ale fajny.

Zochna: — Ten Baryła też w sobie chłop. Jak niedźwiedz.

Ziuta: — Pewnie. A tam jeszcze dwóch mają, mnie Feliks mówił.

Zochna: — Dwóch jeszcze? A gdzie?

Ziuta: — No, tam czekają. Na wiosce.

Maniutka: — Co tam oni takiego robią?

Ziuta: — Mierzą. Ziemię mierzą. Geometrią, no.

Zochna: — Ja też kiedyś znałam jednego takiego. Forsy jak lodu miał.

Ziuta: — No! Oni też forsy jak lodu mają.

Maniutka: — Mówcie co chcecie, ale jak jeszcze dwóch, to ja wolę nie jechać. Wsiadam. Co tu tak śmierdzi?

Ziuta: — Głupot nie gadaj, siedź, jak ci dobrze.

Zochna: — Co ci tam śmierdzi?

Maniutka: — No to powąchaj dobrze.

(Wszystkie trzy wachają dobrze)

Ziuta: — Prawda, to wódka śmierdzi. Może ten samochód na spirytus jest.

Zochna: — Ale, na spirytus. To ile by kosztowało.

Ziuta: — Oni tam forsy jak lodu mają.

Maniutka: — Na takie rzeczy by im się opłacało tracić.

Ziuta: — Jak ich stać, to kto im zabroni.

Zochna: — Takie znowuż chojzki to oni nie są.

Maniutka: — Pewnie. To by taksówką jeździli.

Ziuta: — Głupstwa wam się kiełbaszą.

Maniutka: — Ja wsiadam. Śmierdzi tak jak w gorzelnii.

Zochna: — Zobaczno, Ziuta, co tak śmierdzi.

Ziuta: — To spod siedzenia pewnie.

Maniutka: — Zobaczno.

Ziuta: — Kiedy ciemno.

Zochna: — Ręką pomacaj.

Ziuta: — Coś tam jest. W szmaty owinięte. I mokro.

Zochna: — Pomacaj dobrze.

(Wszystkie trzy się schylają i macają dobrze).

Ziuta: — O, sakra! To wódka! W szmaty owinęli, żeby się nie stłukła.

Maniutka: — Ale się stłukła widać.

Ziuta: — Jedna się stłukła. A tu tyle jeszcze.

Zochna: — Ile, ile?

Ziuta: — Czekaj, czekaj, policzę dobrze.

(Zochna i Maniutka czekają, Ziuta liczy dobrze).

Ziuta: — Raz, dwa, trzy...

Zochna: — Ile, ile?

Ziuta: — Siedem. Litrówy same.

Zochna: — Skąd wiesz?

Ziuta: — Przecież liczyłam. Siedem.

Zochna: — Ale że litrówy.

Ziuta: — Czucie mam przecież, nie?

Maniutka: — Jezusku!

Ziuta: — Widzisz, nic wielkiego. Popić tylko trochę jedzie-my. A ty głupia zaraz wsiadać chcesz.

Na dyżurce telefon zabrzączał. Władza słuchawką ucho z całej siły przycisnął i zawrzęszczał obrażonym głosem:

— Taaa...

I od razu ukłonił się na siedząco:

— Ta jes, towarzyszu sekretarzu.

I za chwilę:

— Ta jes, towarzyszu sekretarzu.

I znowu:

— Ta jes, towarzyszu sekretarzu.

Z tamtej strony chrypiało groźnie, jakby telefon schlany był.

— Ta jest, moje uszanowanie — powiedział jeszcze władza i ukłonił się z uśmiechem przyjemnym, metalowożębnym.

Obie ręce na stole szczyrykiem w wolnych chwilach pociętym położył, minę ważną przybrał i spojrzenie ostre.

— Pierwszy sekretarz komitetu powiatowego sam przedzwonił — rzekł, słowo każde wagą obarczając. — Skrzynia u niego pode drzwiami jakaś podłożona. Gwoździami zabita. Sekretarz sam się boi roztworzyć. Zamach może jaki na niego uknuli. Zegarówka to może. A co wam się wydaje? Razu jednego ktoś kamieniem w niego cisnął na skwerku. A znów razu jednego szybę mu wytłukli. Teraz wszystko możliwe. Dzisiaj czujnym trza być. Ludzie mściwe, byle co się czepiają, a dogodzić trudno. Sekretarz tu najwięcej do gadania ma. Figura. Ozdoba! — ryknął na końcu.

Z pokoiku drugiego wyszedł drażał skrzywiony z gębą chropawą i zropiałymi oczami, a kluk długi czerwony zwiślał mu smutno nad kłem spod wargi świecącym.

— Melidujem sie — powiedział zająkliwie — obywatelu sierzańcie.

— Zastąpisz mnie na chwilę, Ozdoba. Telefony odbierać pamiętaj. I nie śpij, psiekrywisy! Ja do akcji wyjeżdżam.

— A niby jak — zaseplenił Ozdoba — służbowy rower, niby, kicha nawaliła...

Sierzant groźnie na niego łypnął.

— Ty ludziom zdrowia nie truj, Ozdoba. Rób co każą, i ci cho siedź, to ci prędy do śmierci zleci...

Ozdoba ściągnął kopyta, a potem usiadł za stołem, i kiedy sierżant czapkę z popiołu czyścił, to Ozdoba miny rozmaite zaczął wyprawiać, żeby najlepszą złapać na wszelki wypadek.

Oni wyszli, a on popadł w marzenie, że za chwilę właśnie przyjmie meldunek o zbrodni. Może nawet na sekretarza samego osobie, kto tam zna niepojęte boskie wyroki.

Towarzysz sekretarz jasno powiedział w korytarzyku mrocznym, pachnącym wodą pokrzywową do włosów, żeby nie wychodziły, bo pękami co rano z grzebienia ściągał, od wódki:

— Zabierzcie to, rozumiecie, jak wasze, a jak nie, to po saperów dzwonię.

— Po saperów? — zdumiał się Baryła. — A po co?

— Żeby rozbroić. Materiał wybuchowy może tam być. Trotyl, albo co gorsze.

Przez mieszkanie grubo pastą mahoniową wyłożone, z telewizorem na widoku, przeszli do kuchni i sekretarz drzwi na ogródek otworzył. Szare światło z domu skrzynię uwidniło.

— Jasne, że nasza! — krzyknął Feliks Rudy, ucieszony bardzo.

— Kamień ze serca mi zleciał — westchnął Baryła.

Podeszli i skrzynię w ręce złapali.

— O Jezu — jęknął Jasu Bździoch — ani chwili spokojnej.

Sekretarz szeptał coś sierżantowi.

— Zaraz, zaraz, obywatelu! — krzyknął sierżant. — Skrzynię położyć. Jak to wasza, to otworzyć trza. Towarzysz sekretarz chce się przekonać. A także samo i ja — dodał groźnie.

— Co przekonać, co przekonać — zgniewał się Zyzio Łapka.

— Pokażcie, co tam w środku. Spisać raport należy się.

Pomilczeli chwilę. Baryła twarz swoją zasmrodzoną od wódki przysunął blisko do twarzy sekretarza woniejącej wodą pokrzywową.

— Pan chce, to mogię powiedzieć. Tam jest trup!

Sekretarz odskoczył.

— Trup? Ale gorzała od was jedzie — zmiętywał się.

— Głupot mnie tu nie wygadywać! — krzyknął sierżant.

— Panie Pomydło — jęknął sekretarz — niech oni to natchmiast zabierają.

— Otwierać! — wrzeszczał sierżant Pomydło, za kaburę się łapiąc.

Feliks Rudy i Zyzio Łapka zamachali rękami.

— A czym? Językiem? Sztamajze jaką, to tak...

— Towarzyszu sekretarzu — ukłonił się gruby Pomydło — pan przyniesie sztamajze.

Skozzył sekretarz do środka mieszkania. Wrócił w mig ze sztamajzą.

Trzask, trzask, nachylili się wszyscy, i zmiękły nogi Pomydła, a sekretarz za brzuch się złapał.

W skrzyni leżał nagi Jasu Bździoch, z ciała do cna rozebrany.

I on tylko wiedział naprawdę, jak się znalazł pod sekretarza drzwiami.

— Ale ci towarzyszu! — śmiał się Baryła, kiedy wracali do wsi z Jasu Bździochem na budzie. — Sekretarz, a mordę miał, jak worycha z Targówka...

— A sztamajze to na wieszku trzymał, jakby z niom na robotę miał iść — Zyzio Łapka powiedział.

— Hi, hi — śmiała się Zochna uprzejmie.

A Maniutka oczy wytrzeszczała, chcąc twarz Zyzia przez ciemny wiatr zobaczyć. Tylko błysk jego oczu od księżycy szedł do niej.

— A wiesz ty, Feliks — mówiła Ziuta w szoferce, podskakując na twardym siedzeniu — one są porządne panienki. Maniutka to nawet we wojsku narzeczonego ma. Porucznik. Musisz kumpłom swoim zapowiedzieć, żeby żadnych figli migli nie wyprowiali. Ze wstydu bym się spaliła.

— Nie martw się — mruknął Feliks, wóz ostro prowadząc.

Rękę prawą ze steru zdjął, na kolano Ziuty położył. Szybkość sfołgował trochę. Rękę dalej posunął. Pod sukienki brzeg.

— Oj, Feliks — jęknęła Ziuta chichotliwie.

— Ciicho, Ziuta, ciicho — powiedział, w bok się do niej lekko przysuwając.

— Aj, aj — zapiszczała cichutko jak myszka, aż on trafił ręką w gorące.

— Tylko pamiętaj — upominała szeptem zadyszany — niech Maniutce krzywda się nie stanie, bo by ją zabił ten porucznik... Na pewno by zabił...

I tak paluch smarem ubrudzony w tym gorącu trzymając, Feliks Rudy dojechał do wsi.

Siedział Antek Sruła z Karolkiem w sołtysa chałupie, dzbanek mleka ciepłego przed nimi, i już oba na się ledwo patrzeć mogli. Sołtysina kiwała się na przypiecku, oczy zblakłe w nich martwo wlepiając.

I próbował Karolek myśleć o swej książce.

I myślał tak:

Literatura jest rzeczą głupią i mało wartą w porównaniu z życiem, a nic nie wartą w porównaniu ze śmiercią. Tylko taki człowiek, który nic nie przeżył ciężkiego, może pasjonować się historyjkami opisanymi drukiem. Bo na przykład o tych ludziach, co ich zabili i zasypali w dołach ich rękami własnymi wykopanych — co można prawdziwego powiedzieć? Jak odrysować ich ostatnią minutę życia? Albo moment, gdy kula dotyka głowy — nie rozwała, bo to już później — ale dopiero dotyka? Z początku dotyk pocisku musi być lekki, przyjemny, ciepły, łaskotliwy, bo kula wiruje, i to pewnie pobudza człowieka do śmiechu; potem coraz mocniejszy i gorętszy, w miarę jak ten kawałek metalu wciska się w skórę, i człowiek pewnie czuje to wszystko, musi czuć, choć sobie sprawy nie zdaje — to co on myśli wtedy? Na jakie kawałki rozlatuje się jego myślenie, kiedy mózg jemu się

rozlatuje na kawałki, i jak się kurczy, jak ginie ten każdy kawałek myślenia? I dla takiego faceta w kawałki się rozlatującego czym wtedy jest literatura? I w ogóle wszystko? No i co komu przyjdzie z tego, że inny jakiś facet o tym pisze? Czy on, ten w kawałkach, sprawdzi, że dobrze napisane i tak było naprawdę? A ten co pisze, czy był kiedy w kawałkach? Bujda to wszystko i na cholerę komu potrzebne. A ci, co czytają, i co piszą, to tak samo im się robaki do dupy dobiorą, no i masz, znowu na błysk. Będzie wiedział nawet jak robakom taka dupa czytelnicza smakuje. Więc policzmy teraz, co pisanie daje, bo w końcu po coś się pisze. Więc pisanie daje: zarobek, jednemu większy, drugiemu wcale, nerwów zżera do diabła i trochę, znajomi się szczycą, że takiego piszącego znają, gramotny facet dziś jeszcze spory ma u ciemniaków mir, a to podanie do sądu, a to załatwić coś lepiej, no i kobitki, łatwiej z nimi, jak to ktoś lubi, one biorą na błysk. No, ale co, przetnie się ze czterdzieści, pięćdziesiąt sztuk i aż rzygać się człowiekowi zachce. Do obcych krajów jeszcze pojechać można, tak bliżej starości, paszport dadzą. Ale tam też to samo. Jedno gówna na całym świecie. Tyle pisanie daje, gówna smak. A opisać jak wpadanie kuli do głowy, żeby to prawda była — nikt nie wie.

Tak myślał Karolek, aż zaszła noc, a Antek Sruła przyglądał mu się uważnie, mleko siorbując z mlaskaniem, i cicho pierdział w krzeselko plecione.

Wszedł Feliks Rudy z Baryłą do izby, buciskami tupiąc mocno w dechy podłogi sękaty, i Karolek zgłupiał całkiem ze złości.

— Ciiicho... — kiedy krzyżeć zaczął, powiedział Baryła. — Panie kierowniczkę złoty, na co nerwów psuć? Życie jest piękne...

— Jasne — przytwierdził Feliks Rudy, bekając z głębi. — Rozmaitości być muszą.

Karolek biegał dookoła stołu.

— Jedziemy, natychmiast jedziemy!

— Eee, to pan fajrantu nawet godnie uczcić nie da — mruzczał Baryła z żalem udawanym — narobiliśmy się co niemiara, jażem z pięć kilo zleciał przez te trzy dni, a umartwienia ile, nie policzyć...

— W porządku, mozem jechać, panie Karolek — zgodził się Feliks Rudy — tyle, że pan poprowadzi, bo ja w stanie nie jestem... z powodu ankoheologicznego wpływu. Wódka mnie lefreks zjadła...

Przestraszył się Karolek prowadzenia nocą, z ludźmi na pokładzie. Myślał chwilę, a oni usiedli przy stole, papierosami się częstując. Antek Sruła rękę też wyciągnął i dostał. Aż wymyślił Karolek nareszcie:

— Dobrze, z konieczności spędzimy tu noc. Jutro o świcie dół zasypać i wyjazd o siódmej. Ale panowie mogą być pewni, że raport napiszę, i z tego bezsensownego przestoju sztab wyciągnie ostre konsekwencje. Idziemy spać.

— Gra! — zawołał Feliks Rudy. — Pan jest równiacha gość, tego się spoździejawałem!

Mrugnął na Baryłę.

— Cóż mamy do pokazania, panie kierowniczkę — szepnął ostrożnie, twarz swą świecącą od potu do Karolka uprzejmie schylając — coś pięknego, palce oblizać...

— Co, co — zainteresował się Karolek gwałtownie, patrząc ukradkiem na gospodynię milczącą. — Znaleźliście coś?

— Eee, nie to — zaśmiał się Baryła.

Oba z Feliksem Rudym już opchnęli Karolkowi za wódkę sporo znalezionych przy kościach obrączek i rozmaitego drobiazgu ze złota. Sami też trochę schowali dla siebie, ale i tak, co z tego. Wszystko w gaz i w gaz. Utrzymać ani.

— No to proszę mi głowy nie zawracać — zmarmotniał Karolek.

— Ale mamy lepsze coś, zara pan się przekona...

Usiadł Karolek i czekał, a Feliks Rudy wyszedł i za chwilę przyprowadził dziewczynę.

— O rany boskie — jęknął Karolek.

Dziewczyny stały przy drzwiach, zapierając się mocno nogami, a Feliks Rudy wypychał je na środek izby.

— To jest nasz pan kierownik Karolek — pokazał palcem Feliks Rudy.

Zochna zebrała odwagę i spytała:

— Który?

I zaczęły wszystkie się chichotać.

— Ten w brylach, a jakże by — odparł urażony.

— A ten drugi? — zapytała Ziuta.

— Ten drugi, to go znasz, pan Baryła.

— Jej się nie o niego rozchodzi — powiedział Baryła i głową kiwnął do Antka Sruły. — Idź, przedstaw się paniom, bydź zentelmanem...

Antek Sruła podniósł się z krzesła, czerwony, gały wywałął i mrugał, jakby w lampę patrzył.

— Niemy — szepnęła Zochna.

— Jaki tam niemy — zgniewał się Antek, z palców mocno strzelając. — Antek Sruła jestem, no i co się śmiać.

Karolek zerwał się szybko, chcąc wyjść. Feliks Rudy wpół go złapał długimi rękami.

— Gdzie pan leci?

— Spać! — powiedział wściekły Karolek.



— Nie piekarnia — zaśmiał się Baryła — na śpiku to ludzi najwięcej umiera, he, he.

— Gospodyni! — krzyknął Feliks Rudy — dawaj pani zagrychę, kiełbasy i grzybków nam potrzeba!

Zaczął sadzać dziewczyny na krzesłach.

Gospodyni zlaża z pieca, łapy rozcapirzyła.

— Nie dom, nie dom — skrzeknęła.

— A dlaczego niby? Zapłacimy jak się należy.

— Nie dom, nie dom — skrzeczała.

— Głupie babsko — mruknął Baryła — cimnota chodząca.

— Nie przeszkadza — odezwał się Zyzio Łapka od drzwi.

— Konserwy mamy na wozie...

— Nie dom, nie dom — krzyczała gospodyni — wynośta się wszystkie, nie dom!

— Te — zastanowił się Baryła — wyrzuca nas, waryjotka stara.

— To kit jej w oko — wrzasnął Feliks Rudy. — Idziemy! Panie Karolek!

— I gdzie pójdziesz, frajerze? — spytał Zyzio Łapka.

— Już ja wiem, spokojna twoja karbidówka. Dawaj, dawaj!

— Ja zostaję — sprzeciwił się Karolek. — Muszę się wyspać. I wam też radzę...

— Nie dom, nie dom — przerwała mu stara, rękami groźnie machając.

— Co pani znowu...

— Nie dom — powtarzała swoje.

— No i widzisz pan — powiedział Feliks Rudy — nie ma inszej sposobы, z namy trza jechać. Spanie tyż dobre będzie, lepsze jak tu — zaśmiał się.

Wyszli, drzwiami głośno trzaskając, aż zaskowytał pies, i na wóz się z krzykiem wladowali.

Nad polaną księżyc błyszczał ogromny i biały.

Pośrodku stał Dzems, reflektory długie szosowe Feliks Rudy włączył, ćmy kołowały w nich szalone. Ostrą czernią zacięły zwały ziemi wyrzucone z dołu. Na nich dziewczyny usiadły, kiecki ostrożnie podciągając. Chłodny, wilgotny piach.

— Hymorojów jeszcze nałapiemy — szepnęła Maniutka.

— Jasne — przytwierdził Antek Sruła — a kto takom pan z hymorojdamy by chciał...

Zamilkły, obrażone ciężko na niego.

— Krzeselka powinny tu być, Feliks — powiedziała Ziuta płacziwie — źle się staracie.

Puknął się w łeb Feliks Rudy.

— Sruła, chono tu ze mną — zawołał — zara się coś skompinuje!

Poszli, a Zyzio Łapka z Baryłą rozpalali gorę.

I za chwilę płomień trzeszczał wysoko, ćmy pękały w nim zlatujące garściami, a koło niego cztery skrzynie podługowate stały.

Jeszcze wyjął Baryła wódki flachów siedem i pożalił się głośno nad ósmą rozbitą. Przywytórzili mu wszyscy, Zyzio Łapka scyzo-rem swoim grubym konserwy otwierał, a Karolek pod krzakami drzał.

No, nareszcie usiedli przy ogniu, po dwa na jednej skrzyni: Zyzio Łapka z Maniutką, Zochna z Baryłą, Ziuta z Feliksem Rudym, a Karolek smutny z Antkiem Srułą.

Pić zaczęli kolejno z termosowej nakrętki.

Parna, gorąca noc.

Karolek marynarkę zdjął. Od ogniska Tissot jego połyskiwał złoty, sygnet i okulary, oraz pot na czole. Nigdy jeszcze Karolek tyle wódki naraz nie wypił.

— J Jezus, porucznik ją zabije — Ziuta jęknęła, gdy Maniutkę Zyzio Łapka chwiejnie poprowadził w krzaki.

— Ja mu zabiję, ja mu zabiję — mruczał Feliks Rudy.

— Ee, bo to on się dowie — krzyknął Baryła. — Tam licznika nie ma...

— Jasne — zabełkotał Antek Sruła. — Nie mydło, się nie wymydlili! Ja to miałem w wojsku jednego, bom kapralem był, co do niego kobita przyjechała, żona znaczy się, to my w czterech śmy ją w krze wtarahali...

Ale go nikt nie dosłuchał, bo z krzaków Zyzia krzyk przyleciał:

— Panie kierowniku! Panie Karolek! Chodź pan tu, chodź pan, ale gazem...

Karolek nie wiedział, co robić ma, ale Antek Sruła w bok go sztuknął:

— No idź pan, jak wołają, co ważnego może...

I Karolek pobiegł zataczliwie w krzaki, tam gdzie go wołał los. A ten los w osobie Zyzia Łapki kłęczał nad Maniutką płasko rozłożoną, białe nogi lśniły pod księżycem. Dyszał ciężko Zyzio Łapka spocony, a Maniutka wrzasnęła, gdy ujrzała Karolka w tle księżyca.

— Ciiicho, oślico jedna, co się drzesz — tłumaczył jej Zyzio Łapka — pan kierownik też człowiek, i także samo wolę bożą czuje. Ładuj pan, panie Karolek — sapał Zyzio, trzymając ręce Maniutki.

— Nie, nie, ja nie chcę — cofnął się przestraszony Karolek.

— Śmiało, śmiało — niecierpliwił się Zyzio — to ja pana pierwszego puszczam, a pan taki...

— Nie, nie — jękał się Karolek, a wódka grała mu w uszach jak ogień zbełtany z krwią.

Wtenczas Zyzio Łapka rozciągnął się płasko na Maniutce i podrygiwać zaczął kuperkiem wąskim, ciemnowym.

Karolek patrzył, jakby do końca życia zapamiętać to chciał, i coraz głośniejsze mu grało, nic już, tylko ten szum jaskrawy.

Jak to opisać, pomyślał jeszcze strzępkiem świadomości, jak. I zdejmowała go rozpacz szybka, wzbierająca: nie nadaje się, nie nadaje, nie.

Wtedy klęknął i całować zaczął szorstkie i stłone, uniesione w górę, tłustawe kolano Maniutki. Suwał rękami po jej nodze wygiętej i drgającej.

— Prędejsz, prędejsz — krzyczał, ale głos mu tylko szeptem wychodził.

— Zaraz, zaraz — Maniutka głowy jego dotknęła, palcami mocno zgarnęła krótkie włosy.

Zyzio nareszcie zeszywniał jak trup.

— W porządku — jęknął głosem spokojnym, jakby się nic nie stało.

Na czworakach wstał, upadł z boku w trawę wilgotną.

— No, teraz pan — szepnęła Maniutka — tylko prędko, bo się tam Ziuta i Zochna o mnie zamartwiają...

Antek Sruła nudził się, to i z flachy pociągał, bo odeszli wszyscy i sam został na skrzyni Jasu Bździocha siedzący, a obok Karolka marynarka z watą spadzistą w ramionach, miękka w pepitkę drobną, teraz niewidoczną, leżała.

Dogasał ogień, to Antek Sruła nogą dogarnął chrustu, szczapkę jedną sękatą podrzucił.

— Jebucki świat — mruzczał do siebie — nie mogli jeszcze jeden dziwki ściągnąć... Karolkowi dobrze, bo mu Zyzio odstąpił, a mie to nikt...

Rozejrzał się, ale nic, tylko ciemność w księżycu błyszcząca.

— Piachu trza by zasypać... — Gniewał się Karolek o ten dół, że rozbabrany...

Na budę wlaź, szpadel zrzucił.

— Ech, Karolek — przypomniało mu się — niech się pomartwi trochę...

Zagwizdał wesoło, fałszywie, z wozu zleciał na pysk.

— Psiach!... — wrzasnęła i zygzakiem do marynary Karolka wrócił.

Gmerał po kieszeniach. Portfel śliski, wypchany dobył. Tam pieniądze i książeczka oszczędności była.

Wetknął portfel w kieszeń swoją Antek Sruła. Śmiał się po cichu do ognia.

Wrócił Karolek na polankę sam, bo Maniutka Zyzia chrapiącego pilnować została, by go żaby z komarami nie zjadły.

Zataczając się dopadł skrzyni i usiadł, żeby przeżyć w skupieniu raz jeszcze to, co przed chwilą się stało. W głowie jego dogasała gra wódki i krwi, ale szło stąd na niego zmęczenie, właściwe pokonanym żywiołom.

Zdjęty nagłym dreszczem, kłującym i zimnym, sięgnął Karolek po marynarkę.

Antek Sruła siedział z drugiej strony ognia, na skrzyni Kartaśńskiego Liłuna.

Karolek macał kieszenie, papierosów szukając.

I zobaczył, że portfela nie ma. Zaczął chyłać się na wszystkie strony, bo może wypadł gdzie. Macał trawę wilgną, chłodną ziemię i piach spoconymi rękami.

Niebo szarzało i ogień przygasał. Ale portfela nie było.

Wstał Karolek i szeroko okrążył syczące ognisko.

— Panie Antku — zabełkotał cicho — pan nie widział mojego portfela? Czarny.

— Portfelu? Nie. Czarny? — zdziwił się Sruła pijacko. — Czarny to nie. Widziałem jakiś, ale to nie był czarny — głądził. — Kto tam widział kiedy czarny portfel? Dla nieboszczyków to dobre, he, he...

— Panie Antku — rzekł Karolek, blisko podchodząc do niego i na stanowczość się siląc — pan siedział przy mojej marynarce. Pan musi wiedzieć, co się stało z moim portfelem!

— Musić to nie muszę — zaciągał Antek cwaniacko, wstając z trudem. — Może jaka z tych kurwów zakosiła... Jakby nie było, to pan kierownik z niemi coś nie coś kołował...

— Pan zamilknie! — krzyknął Karolek, drzenie okropne hamując.

— Mogie — machnęła ręką Antek Sruła — ja tam z kurwamy sie nie wdaje...

— Milczec! — wrzasnęła Karolek, dygotanie swoje puszcżając swobodnie.

— Eee, nie tak ostro, ze mną tak nie idzie, kierowniczkę kochany — obraził się Antek Sruła.

Zrobił krok i złapał Karolka za kłapy.

— Ja ten portfel mam, skurczybyku, ale go nie dam. Wykupne musi być.

— Jakie wykupne, co za wykupne! — szarpał się Karolek daremnie. — Proszę w tej chwili oddać mi portfel!

— Ja o tobie tyż trochę wiem — szeptał głośno Antek Sruła.

— Ja tam nic nie mówię, ale jakbym powiedział, to...  
 Karolek przestał się szarpać.  
 — To co?  
 — Byśmy obadali dopiru.  
 Pot szczywał Karolka. Mocno garścią trzymał go Antek Sruła.  
 — Portfel oddaj, chamie — zachrząścił Karolek.  
 — Sygnecisko leci — potrząsnął go Antek Sruła jak trza — sygnecisko, albo tyn portfel do ognia polecą. No jak?  
 — Ach, ty chamie, chamie ohydny — rzeził Karolek.  
 Machnął ręką i trzasnął Antka Srułę w pysk.  
 Słabe to było, ale wkurwił się Antek, bykiem go zajechał, aż strzeliło. Przewalił się Karolek, ani jęknął.  
 — Dobrze ci, świński ryju? — schylił się nad nim Antek Sruła. — Ty skurwielu, ty... — długo szukał gorszego przekleństwa, aż znalazł: — ty kumunisto, kacapie...  
 A Karolek milczał, ciężko powietrze wciągając.  
 Sruła niżej jeszcze się pochylił, żeby go zebrać ze ziemi, do rozumu przemówić. Wtedy Karolek z całej siły kopnął jąpę nad nim dyszącą. Antek Sruła zwałił się na skrzynię Józwy krawca. Świat zakręcił mu w ślipiach, szare niebo znów przysnęło gwiazdami.  
 — Zerwał się Karolek, uciekać chciał.  
 Antek Sruła tak samo się zerwał. Skoczył za nim. Ale potknął się o szpadel cicho leżący. W piach ryjem zarył.  
 Prędko uciekał Karolek, do krzaków biegł, nogi mu się płątały, wrzeszczał coś.  
 Antek Sruła rzucił za nim szpadlem.  
 I trafił.  
 I Karolek upadł, nic już więcej nie wrzeszczać.  
 Antek Sruła do niego podleciał, kopnął parę razy. Ani dychu nie było. Zastanowił się. Za karczycho podniósł Karolka, ale wisiął mu Karolek w rękach, jak namoknięty łąch. Głowa jego w drzazgi rozwalona. Krew się lała ciepła i śliska na Antka Sruły ręce.  
 — Jjzezusie — szepnął Antek Sruła.  
 Rzucił Karolka. Parę kroków ubiegł. Stanął. Wrócił spowrotem. Drzączka go złapała okropna.  
 — Jjzezusie — szeptał, i mu zęby szczękały.  
 Rozejrzał się w kółko po świecie. Taki sam świat, jak przed chwilą.  
 Antek Sruła zobaczył rozkopany dół. Pociągnął Karolka i w ten dół go wrzucił. Nogami piach kopał, zwałił w dół. Poleciał szpadla znaleźć. Szpadlem pracował ciężko. Zmachał się, ręce w piachu wytarzał.  
 Aż tu głosy ludzkie z krzaków przywiał nadranny wiatr.

— Dobrze było — mówił Zyzio Łapka do Feliksa Rudego, ręce spocone o gać wycierając — i Karolek też nie wąsko wrzucił... A tobie jak poszło?  
 — Gra, powiedzieć nie można. Zawsze z nią gra, parę razy już, nic wielkiego.  
 — Zmianę strzelca wartałoby... — ostanowił się Zyzio Łapka.  
 — Ee, daj żyć, ile można. Po pijoku na suchostoja, to wiesz, jak się człowiek sparuje.  
 — No — przyznał Zyzio z wielkim zrozumieniem.  
 — Jeszcze cyfa jakiego się załapie na zmianach, i jak dojdiesz, od której. A tak, to chociaż wiadomo. Mordę obić zawsze można.  
 — Jasne — Zyzio się zgodził. — Syberyjskiego, z trzema gwiazdkami, co zęby z fotografii wylatują, he, he. Nie daj Bóg.  
 — W łabaju żarcie niegorsze — pocieszał go Feliks Rudy.  
 — Parę kilo ci zawsze podleci...  
 Zyzio Łapka splunął i się zatrząsał.  
 — Niby ciepło, a zimno. Jak spałem to mi nogi tak zmarzły, że przez godzinę nie mogły do przytomności dojść.  
 — Bo żeś pewnie na górcę trzymał.  
 — A może i na górcę. Nie wiem, bom spał.  
 Ziuta z Maniutką, pokurczone, naradzały się pod krzakami.  
 — Zoba, jak rajcują — pokazał palcem Zyzio Łapka. — Dwa dni chodzić nie będą mogli.  
 Wrócił z Zochną Baryła. Zochna zaraz do tamtych pobiegła.  
 — Niezła sztuka — mlasnął Baryła. — Tylko włosy ma nie w porządku. Za płone. Z palców lecą, jak u nieboszczyka. Ale tak w ogólności, to ujdzie.  
 — No to widzisz — zaśmiał się Feliks Rudy. — Jakby nie ja, to...  
 — Chwalić się nie potrzebujesz — mruknął Baryła — za parę dni obadamy, czy się chwalić oplota.  
 — Bać to się nie bój, one nie takie. Jakby miały, to wszystkie. Razem chodzą. A już dawno żem Ziutkę posprawdzał.  
 — Co dawno, co dawno, trzy dni — machnął ręką Baryła.  
 — Cztery — poprawił Feliks Rudy. — Wystarczy, aż za dość. U mnie zawsze po dwóch dniach wychodzi. Ostry jezdem.  
 Tak rozmawiali sobie, ciągnąc po łyku dla poprawki, aż Baryła:  
 — Zyziek, powiedziałbyś lepij, jak Karolkowi poszło.  
 Zyzio Łapka ręką machnął z szacunkiem.  
 — Kozaczek. Umi robotę. Napalony, że bryłów zdjęć zapomniał. Trzy numery odpękał bez folgi...  
 Uśmiali się porządnie.  
 — Panie Karolek! — zawołał chrypliwie Baryła.

— Śpi, nie ma co wołać. Namachał się zdrowo — powiedział Zyzio Łapka. — Tylko Antek Sruła, sirota, bida chodząca...

— A gdzie oni poleżli — zastanowił się Feliks Rudy.

Wtedy z krzaków Antek Sruła wyszedł.

Wolno podchodził, potykając się i przystając, aż zobaczyli krew na jego twarzy.

— Co żeś napsocił? — spytał Baryła. — Biłeś się z kim? Antek Sruła nic nie odpowiedział.

Wtenczas tchnęło ich przeczucie groźne, i Feliks Rudy krzyknął:

— A Karolek gdzie?

Antek Sruła znów nie powiedział nic.

Kobity trzy do nich podeszły, obrażone, milczące.

Antek Sruła łyżę puścił i powiedział tak:

— Sam najwpierszy mnie uderzył. Ja zem nie chciałem wcale...

— Jjezusie! — złapał się za łeb Feliks Rudy — kierownika napieprzył!

— Mocno mu dałeś, mocno? — ciekawił się Zyzio Łapka.

— Całkiem, całkiem — burczał Antek Sruła nie swoim głosem.

— Jak całkiem?

— Całkiem.

— O, kurwancka olek — podskoczył Baryła — on go cheba zabił na śmierć!

Antek Sruła głową tylko kiwnął i usiadł na Szczygła kowala skrzyni.

— Gdzieś go podział, gadaj, gdzie! — szarpał go Zyzio Łapka.

Kobity płakać zaczęły.

— Jezu Maryjo — skielczała Maniutka — mnie porucznik tak samo zabije... — i targała swoje czeskie korale.

— Tamuj — ręką pokazał Antek Sruła przed siebie.

Pobiegli w krzaki.

Za parę minut wrócili.

— Nie ma.

— Nie ma.

— No i co?

Feliks Rudy rozłożył ręce.

— Na milicję trza jechać — twardo powiedział Baryła.

Popatrzyli z przestrachem na siebie, pokiwali w końcu głowami. Antek Sruła podniósł się na nogi.

— A ty nie kompinuj zwiac — rzekł Baryła do niego. — Na nas wszystkich żeby nie było.

Feliks Rudy do szoferki Antka Srułę zaciągnął, klepiąc go po plecach. Motor zapuścił.

Kobity z płaczem okropnym powłaziły na budę. Skrzynie cztery Baryła z Łapką Zyziem też na budę wtara-  
bań.

Wóz kołował powoli, chybotliwie ze stratowanej polany, pus-  
te blaszanki po konserwach do piachu wgniatając.

Zyzio Łapka postukał w dach szoferki.

Stañeli.

Wyskoczył, wódkę co jeszcze została przy popielisku szcze-  
nie pozatykał gazetowym korkiem, na budę przyniósł.

— Szkoda zawsze — powiedział. — To piniądz kosztuje.

I pojechali pędko, cieszyć grubego Pomydło, szosą siwą jak  
niebo.

Słońce nad lasem zagrało, zagrzechotały ptaki. Trawa oschła  
pod wiatrem.

Chłop jakiś polaną przeszedł na sagę, szpadel zobaczył, ro-  
zejrzał się, podniósł, i z tym szpadlem w krzaczkach błyszczących  
zniknął.

Okulary Karolka lśniły ostro w suchej, długiej trawie, a roba-  
ki i żuki rozmaite już do niego szły pracowicie przez piach.

Łódź, C.W. 1-30. III. 64

Andrzej BRYCHT

## NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-  
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE  
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-  
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.  
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20. QUEENS  
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-  
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5.00, F. 25.00.

## Obserwatorium

### Konflikt pakistańsko-indyjski

Gdy w roku 1967 nastąpiła secesja Biafry a rząd pułkownika Gowona, przy współudziale Wielkiej Brytanii i Sowieców, przystąpił do eksterminacji plemienia Ibo, ONZ nie mogła nic uczynić, ponieważ była to „wewnętrzna sprawa suwerennego państwa Nigerii”. Zanim przywrócono „jedność” Nigerii, wymordowano około 1 miliona mieszkańców Biafry. Od lat odbywa się masakra południowej, murzyńskiej, ludności Sudanu przez wojska w Chartumie. ONZ milczy. Jest to „wewnętrzna” sprawa Sudanu.

Gdy w roku 1967 nastąpiła inwazja Czechosłowacji przez wojska Paktu Warszawskiego a delegat czechosłowacki oskarżył ZSSR o agresję, ONZ nie mogło się już schronić za parawanem „wewnętrznej sprawy” ZSSR. Decydujące w ONZ mocarstwa uznały wówczas, że jest to „wewnętrzna sprawa Bloku komunistycznego”, a problem nieinterwencji załatwiono na szczeblu, pełnych zrozumienia dla zachowania pokoju świata, telefonów pomiędzy prezydentem Johnsonem i sekretarzem Breżniewem. Zresztą sprawa wkrótce przestała być kłopotliwa, bo protestujący przeciw agresji sowieckiej delegat czechosłowacki niebawem znikł, a na jego miejscu pojawił się inny, który stwierdził, że jako żywo żadnej inwazji ani agresji nigdy nie było.

Gdy nie tak dawno temu wschodnio-pakistańska ogólnonarodowa partia Awami zażądała autonomii Bengalu — kraju liczącego około 60 milionów ludności, oddziały zachodnio-pakistańskie wymordowały w ciągu kilku dni kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. W ONZ, choć uznano całą sprawę za godną ubolewania, w terminologii tej organizacji pozostała ona nadal „wewnętrzną sprawą Pakistanu”. Pozostała nią nadal, gdy na terytorium Indii znalazło się blisko 10 milionów bengalskich uchodźców, a prezydent Pakistanu, Agha Yahya Khan — z bezczelnością niespotykaną nawet wśród polityków naszej ery, oświadczył, że to nie wojska zachodnio-pakistańskie, ale sami przywódcy bengalscy wymordowali własną ludność.

Motywy, którymi kierował się rząd Indiri Ghandi rozpoczynając wojnę z Pakistanem, są różnorakie. Między innymi chodzi o dawne porachunki, dotyczące Kaszmiru, który Indie zatrzymały w swych granicach, odmawiając od 24 lat przeprowadzenia referendum wśród jego mieszkańców. Ale to są sprawy stare, które nie wywołały obecnej wojny. To, co spowodowało zbrojny konflikt, to niewątpliwie chęć uwolnienia się od rosnącej fali uchodźców ze wschodniego Pakistanu, którzy mogą wrócić do swych siedzib tylko wówczas, gdy Bengal oderwie się od Pakistanu. Jeśli nie — jego ludność albo zginie z rąk żołnierzy zachodnio-pakistańskich lub skazana zostanie na powolną śmierć głodową w obozach dla uchodźców w Indiach, które nie są w stanie wyżywić własnych mieszkańców. To już nie będzie kwestia 250 tysięcy palestyńskich uchodźców. To — problem 10 milionów dzisiaj, a 20 milionów — za kilka miesięcy.

Rząd Indii, który rozpoczął wojnę z Pakistanem, nie przyznaje się do agresji. Premier Indii, pani Indira Ghandi, twierdzi, że to Indie — a nie Pakistan są ofiarą napaści. Jest to oczywista nieprawda. Pakistan nie miał obecnie powodu szukać zwady ze swym sąsiadem, ponieważ chciał bez przeszkód dokończyć pacyfikację Bengalu, mordując dalej jego ludność i paląc bengalskie wioski. Indira Ghandi musi jednak kłamać, ponieważ w ONZ prawa „suwerennych” rządów do mordowania własnych obywateli są bardziej nienaruszalne niż Karta Praw Człowieka, która ma chronić obywateli przed ich własnymi rządami.

W ONZ uczyniono od dawna najzupełniej fałszywy znak równania pomiędzy narodami a ich rządami. Z tego powodu ONZ powinna zmienić nazwę — na Organizację Rządów Zjednoczonych. Wprawdzie te rządy też nie są zjednoczone, ale przy obecnej nazwie „ONZ” są dwa kłamstwa, a przy jej zmianie — byłoby tylko jedno.

Słowo „agresja” stało się w ONZ najcięższym kamieniem obrazy, którym delegaci obrzucają się nawzajem. Wobec ciężaru oskarżenia o „agresję”, wszystko inne jest nieważne. Ponieważ zaś definicja „agresji” została wzbogacona słynną interpretacją Breżniewa na użytek czeski i narodów czesko-podobnych, dyktatorskie rządy mogą robić ze swymi poddanymi co się im podoba. Jeśliby, broń Boże, ktoś się wtrącił z zewnątrz, zostanie potępiony jako napastnik.

Dyskusja w ONZ postawiła Stany Zjednoczone w sytuacji, w której, potępiając napastę Indii, sankcjonują w praktyce ludobójstwo dokonane na Bengalczykach. Jakikolwiek będzie koniec konfliktu pakistańsko-indyjskiego, prestiż Ameryki w krajach trzeciego świata obniży się jeszcze bardziej. Sama dyskusja, dzięki nowemu uczestnikowi — Chinom — wzbogacona została nowymi elementami. Ponieważ Chiny popierają Pakistan, Sowiety zaś — Indie, los Bengalu stał się właściwie instrumentem rozgrywki między tymi dwoma mocarstwami. Można by rzec, że w całej tej sprawie tylko Bengalczykom chodzi o Bengal, a pozostałym uczestnikom o ich własne, niezbyt czyste interesy, ale

sytuacje tego typu nikogo już nie dziwią, a już najmniej — Polaków.

Dwaj prawdziwi partnerzy, którzy wyłonili się za plecami wojujących państw Indii i Pakistanu, stoją w obliczu konfrontacji, której Chiny, jak się wydaje, obecnie bynajmniej nie pragną.

Ponieważ wedle ocen ekspertów wojskowych Indii, mającej liczniejszą i lepiej wyposażoną armię, współdziałającą ponadto z bengalskimi powstańcami, mają większe szanse militarnego sukcesu niż jej przeciwnik — jedyną nadzieją Pakistanu byłaby interwencja Chin. Wydaje się, że jest to dokładnie to, do czego pragną je sprowokować Sowiety. W roku 1966 swym arbitrażem zlikwidowały one bardzo szybko konflikt pakistańsko-indyjski, ponieważ nie życzyły sobie wówczas otwartej konfrontacji z Chinami. Teraz wyraźnie prą do niej. Jeśli Chiny wyjdą poza pogródki i ostrzeżenia i wystąpią ze zbrojną pomocą dla Pakistanu, ZSSR będzie miała pretekst, aby zrobić użytek z sił, skoncentrowanych od dawna na granicy mongolskiej. Ale sądzę, że właśnie dlatego Chiny postępować będą bardzo ostrożnie, udzielając Pakistanowi jedynie „moralnego poparcia”, przy pomocy którego jeszcze nikt nigdy żadnej wojny nie wygrał. Tak więc do konfrontacji sowiecko-chińskiej przypuszczalnie nie dojdzie, ale ZSSR osiągnie z wojny pakistańsko-indyjskiej ważne korzyści. Jeśli Pakistan zostanie pokonany, Sowiety przedstawią się światu jako wyzwoliciele narodów uciśnionych i nie jest wykluczone, że w stolicy Bengaluru postawią Breżniewowi pomnik, zaś liczni klienci trzeciego świata, szukający poparcia lub protekcji u jednego z dwóch komunistycznych supermocarstw, dojdą do wniosku, że lepiej liczyć na ZSSR niż na Chiny. Mimo, że konflikt indyjsko-pakistański jest dopiero w stadium początkowym, od tego wniosku doszedł już obecnie rząd egipski. Odrzucił on apel prezydenta Pakistanu, nawołujący do poparcia sprawy pakistańskiej u wszystkich narodów Islamu.

Zbigniew BYRSKI

New York, 5 grudnia 1971

## BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 168 — DOMINIQUE DE ROUX

# ROZMOWY Z GOMBROWICZEM

W serii rozmów z francuskim krytykiem Dominique de Roux, Gombrowicz objaśnia i komentuje swoją własną twórczość.

Przypominamy naszym Czytelnikom tę książkę — ważną w związku z wielokrotnymi zarzutami, że Gombrowicz jest „niezrozumiały”.

Str. 160.

Cena F. 15 (dol. 3,75; £1.25)

## Archiwum polityczne

### Magazyn radiowy

Ponieważ nie mogę czytać na skutek choroby oczu — całymi dniami słucham. Posiadam dwa odbiorniki radiowe — z których jeden jest o dużej mocy i szerokim zasięgu.

Radio nie jest dla ludzi zaludniających wielkie miasta. Miliony pracowników, którzy w Londynie, w Paryżu czy w Nowym Jorku — w kolejach podziemnych czytają gazety a wieczorem patrzą na telewizję — o radiofonii nie wiedzą niczego. Lecz nie wszędzie do pracy dojeżdża się koleją i nie wszędzie dociera obraz telewizyjny. Natomiast radio dociera wszędzie. W zagnębionych w dżungli afrykańskiej wioskach murzyńskich słuchają radia, na oceanach i na pustyniach słuchają radia — na samotnych wyspach i w puszczech Ameryki południowej słuchają radia.

Drogą radiową można dosłownie dotrzeć do całej ludzkości. Informacja radiowa jest szczególniej wagi dla ludzi w Związku Sowieckim i w całej Wschodniej Europie — ponieważ rozgłośnie w tych krajach podlegają cenzurze.

Dla mieszkańców Zachodu, którzy czytają gazety i periodyki a wieczory spędzają przed ekranem telewizji — pojęcie „żelaznej kurtyny” musi wydawać się archaizmem z epoki Foster Dulles'a. Ani w prasie ani w telewizji nie mówi się o „żelaznej kurtynie”. Przeciwnie, mówi się o odprężeniu, współpracy i błogosławionym pokoju. W tym klimacie termin „żelazna kurtyna” brzmi jak coś wczorajszego, zapomnianego jak książeczki żywnościowe czy kupy na ubrania.

Wystarczy jednak przez dwie godziny posłuchać rozgłośni europejskich by się przekonać, że „żelazna kurtyna” — bez względu czy się o niej pamięta czy nie pamięta — jest faktem a nie urojeniem. Jest taką samą faktyczną rzeczywistością jak Alpy czy Wołga.

Do Warszawy czy do Moskwy podróżuje się długo — lecz na odbiorniku radiowym półmilimetrowe przesunięcie igiełki wskaźnika wystarczy by przekroczyć „żelazną kurtynę”. Żaden mur

Ulbrichta, żadna mapa nie uwypukla z taką realistyczną wyrazistością podziału Europy jak odbiornik radiowy. Te same fakty, te same wydarzenia — odbite w różnych zwierciadłach tworzą dwa niespójne systemy. Jeżeli ktoś — jak niżej podpisany — słucha przez kilka godzin dziennie Europy — choćby chciała, nie może zapomnieć o „żelaznej kurtynie”, ponieważ jawi się ona jako fakt, któremu nie można zaprzeczyć żadnym artykułem czy najmądrzejszą książką.

Moskwa nadaje na wszystkich falach i we wszystkich językach. Nadaje programy dla Europy, Azji, Afryki, Ameryki łacińskiej itp., itd. Oczywiście istnieje również program polski radia Moskwa, którego sygnałem wywoławczym są pierwsze cztery takty znanej piosenki „Umarł Maciek, umarł, już leży na desce”. Sygnał niezmiernie *à propos*. Stacje satelickie wykonują różne prace zlecone. Praga nadaje specjalny program w języku angielskim przeznaczony dla wschodniej Afryki. „Berlin Internacjonal” (N.R.D.) nadaje podobny program dla Afryki zachodniej. Z jednego z takich programów dowiedziałem się, że w Bratysławie otwarto wystawę ilustrującą zasięg rewizjonistycznej kontr-rewolucji w Czechosłowacji w roku 1968. W radio Tirana mówi się dużo o „sowieckim rewizjonistycznym imperializmie”. „Wydarzenia grudniowe” według radia albańskiego — stanowiły dowód, że robotnicy w krajach satelickich gotowi są walczyć o przywrócenie w ich krajach prawdziwego marksizmu-leninizmu (który reprezentuje tylko Pekin).

Chinom poświęca dużo czasu radio Bukareszt, natomiast Związek Sowiecki traktuje radio rumuńskie po macoszemu.

Miliony ludzi na całym świecie pragną wolności, przestrzegania podstawowych praw człowieka i obywatela oraz likwidacji resztek kolonializmu. Moskwa jest orędownikiem wszystkich mniejszości uciskanych i wyzyskiwanych. W północnej Irlandii otwarcie broni mniejszości katolickiej ciskając gromy na „imperialistyczne, okupacyjne wojska brytyjskie”, które nie mają niczego do zaferowania Irlandczykom prócz „jarzma kolonialnego”.

Przed kilku miesiącami pisałem o sytuacji w stocznich szkockich w Upper Clyde. Radio Moskwa podało, że związek zawodowy sowieckich inżynierów i techników ofiarował znaczną pomoc finansową robotnikom Upper Clyde — w dowód uznania dla ich postawy i walki.

Moskwa domaga się przywrócenia praw człowieka i obywatela w Rodezji, w Afryce Południowej, w koloniach portugalskich — jednym słowem wszędzie z wyjątkiem Związku Sowieckiego i jego satelitów.

Jesteśmy świadkami narodzin całkowicie nowego systemu imperialistycznego. Ostatnią operacją staroświeckiego imperializmu był Wietnam. Wydaje mi się, że Wietnamów więcej nie będzie.

Chińskie przysłowie mówi, że „daleką wodą nie można ugasić pożaru”. Dodajmy, że daleką wodą nie można również uruchomić turbiny wodnej czy młyna. Podobnie „dalekim wojskiem” nie

można trwale rozwiązać politycznej sytuacji — o czym Amerykanie przekonali się namacalnie w Indochinach. W czasie głosowania nad amerykańskim i albańskim wnioskiem w sprawie przyjęcia Chin Ludowych do ONZ — 46 państw, otrzymujących pomoc od Stanów Zjednoczonych — głosowało przeciwko wnioskowi amerykańskiemu. Amerykanie byli zdumieni i rozgoryczeni. Reakcja była gwałtowna. Program pomocy poddano drastycznej redukcji i rewizji. Okazało się, że stosunek pomiędzy dawcą a odbiorcą — w bardzo znacznym procencie wypadków — nie jest taki, jaki być powinien z punktu widzenia Ameryki.

Wróćmy do spraw radiowych. Na wyróżnienie zasługują zagraniczne serwisy BBC i radia francuskiego, oraz serwisy w języku angielskim radiostacji szwajcarskiej, holenderskiej, zachodnio-niemieckiej, szwedzkiej, norweskiej i fińskiej. Obszerny i bogaty w informacje program w języku angielskim „Voice of America” nadawany jest z Waszyngtonu. Dobrze opracowane są programy polskie i angielskie z Watykanu.

Jeśli ktoś chce odpocząć od *pop-songs* — należy przenieść się za „żelazną kurtynę”. Kraje „socjalistyczne” stanowią jedyny na świecie rezerwa staroświeckiej, romantycznej pieśni. Radio warszawskie nadaje wiele sentymentalnych i często pięknych piosenek, w których pełno jest róż, słowików i księżycem posrebrzanych ścieżek. Moskwa nadaje czarujące pieśni ludowe rosyjskie, ukraińskie i białoruskie. Niedawno słucałem kapitalnej melodeklamacji z towarzyszeniem bałabajek znanego wiersza Swietłowa pt. „Granada”. Wierzyć się nie chce, że naród który tworzył i tworzy tak wspaniałą muzykę — wyprodukował nie tylko symfoniczną orkiestrę leningradzką lecz również... KGB.

Czytelnika polskiego interesują przede wszystkim audycje w języku polskim. Nie ulega wątpliwości, że państwa europejskie i pozaeuropejskie przywiązują znaczenie do opinii Polaków — ponieważ programów w języku polskim jest mnóstwo. Nie podejmują się skatalogowania tych programów, ponieważ być może istnieją i takie, których do tej pory nie słyszałem.

Żaden z omawianych programów nie reprezentuje niezależnej polskiej myśli politycznej. Trudno się temu dziwić — wiemy bowiem, że żaden z tych programów nie jest finansowany przez Polaków.

Rozgłośnia polska Radia Wolna Europa jest niewątpliwie największą polsko-języczną stacją radiową za granicą. R.W.E. jest dobrze zorientowana w sytuacji krajowej — co nie jest rzeczą łatwą — nie reprezentuje jednak żadnego programu społeczno-politycznego. Ale R.W.E. nie może mieć własnego programu politycznego, i to jest zrozumiałe. Zadaniem R.W.E. jest informować a nie przywodzić. Na ogół serwisy informacyjne są dobre — trafiają się jednak niedociągnięcia — niewybaczalne z punktu widzenia zawodowego dziennikarza. Słuchałem kilku pogadank o książce Bieńkowskiego pt. „Socjologia kłeski”. Pogadanki jasne i inteligentnie ujęte lecz z tych pogadarek nikt się nie dowie kto wydał ową cenną książkę, której tyle uwagi poświęca

ciła R.W.E. Raz powiedziano, że książka została napisana w Kraju i wydana za granicą, innym razem powiedziano, że książka została wydana na Zachodzie. To jest nie fachowa robota. Każde omówienie książki musi zawierać stwierdzenie kto książkę napisał i kto książkę wydał. Być może, że w jednej z wcześniejszych pogadanek, której nie słyszałem R.W.E. wymieniła wydawcę, lecz nawet jeśli tak było — to wypada stwierdzić, że istnieją tysiące słuchaczy, którzy słuchali tylko tych pogadanek, których ja słuchałem i ci ludzie — choć książką z całą pewnością zainteresowali się — nie dowiedzieli się kto ją wydał. To jest amatorstwo albo złośliwość a prawdopodobnie jedno i drugie. Inny przykład z dziedziny amatorstwa. R.W.E. nadaje program pt. „Od naszych korespondentów”. Z dziennikarskiego punktu widzenia trudno sobie wyobrazić coś bardziej beznadziejnego. To nie są żadne korespondencje, ale powtórka starych wiadomości prasowych i radiowych bez żadnego indywidualnego naświetlenia czy interpretacji. (Wyjątek stanowią korespondencje z Włoch W. Sznarbachowskiego, które są informatywne i interesujące).

BBC posiada stały znakomity program pt. „From our own Correspondents”. Z tego programu można się czegoś dowiedzieć tego, czego nie było ani w prasie ani w radiu. Program jest powtarzany dwukrotnie i słucham go dwa razy — ponieważ jest tego wart.

Nie ma powodu dla snobizmu upierać się przy polskich korespondentach. Jest oczywiste, że polski korespondent nie zdobędzie tych wywiadów i informacji, które bez trudności zdobędzie dziennikarz amerykański czy angielski. Korespondent musi mieć to, co się popularnie określa jako „chody” a więc szeroko rozgałęzione stosunki towarzyskie i zawodowe. Nie chodzi o to by pod korespondencją z Paryża czy z Waszyngtonu podpisane było polskie nazwisko. Chodzi o to by korespondencja była dobra.

Polski program BBC posiada audycję pt. „Reflektorem po świecie”. W tym programie spotyka się często przełożone na język polski korespondencje brytyjskich dziennikarzy i specjalistów. Nie można mieć polskiego politycznego reportażu dotyczącego konfliktu indyjsko-pakistańskiego — ponieważ polskich emigracyjnych dziennikarzy nie ma ani w Indiach ani w Pakistanie. Pomijam fakt, że Polska emigracja nie posiada specjalistów od spraw Indii i Pakistanu — natomiast Brytyjczycy mają wybitnych znawców tego przedmiotu. Polski słuchacz będzie znacznie lepiej poinformowany, jeżeli zapozna się z dobrym przekładem reportażu Brytyjczyka czy Amerykanina, który był na „linii frontu” danego konfliktu.

Bardzo dobry jest polski Dziennik Radiowy, nadawany na krótkich falach z Montrealu. Zdarza się, że polski Montreal podaje o 3.30 po południu informacje, których próżno szukać w dziennikach radiowych europejskich, nadawanych tego samego dnia o 5-ej po południu.

„Deutsche Welle” z Kolonii w swych programach polsko-języcznych daje dobre przeglądy prasy niemieckiej i wnikliwe anali-

zy sytuacji w NRD. Prawdopodobnie są to najlepsze analizy dotyczące stosunków w Niemieckiej Republice Demokratycznej. „Deutsche Welle” poświęca również dużo miejsca radykalizmowi młodzieży. Z tego źródła dowiedziałem się, że prof. Golo Mann nazwał Wolny Uniwersytet w Berlinie — najmniej wolnym uniwersytetem w Europie. Lecz to jest temat odrębny.

Szczególną pozycję na mapie radiowej Europy — zajmuje Warszawa. Gdy słyszy się hejnał z wieży Mariackiej w Krakowie — lub szopenowski sygnał wywoławczy stolicy Polski — trudno jest oprzeć się wzruszeniu. Emigranta, który nie był w Kraju od przeszło 30 lat, uderza natychmiast fakt, że współczesna Polska jest państwem morskim. Owe 600 kilometrów wybrzeża, porty, stocznie, statki stanowią ważną; i zaakcentowaną część polskiej współczesności. W „Wiadomościach portowych” — słyszymy jakie statki i w jakich portach cumują „na wejściu” i „na wyjściu”. W koncertach życzeń — spikerka czyta listy żon, narzeczonych, matek i zbiorowe listy rodzin — adresowane do marynarzy polskich statków na morzach świata. Tych statków — o pięknych nazwach — jest, wydaje się, niezliczona ilość.

Imieniny obchodzi się w Polsce uroczyście, a spiker w ostatnim biuletynie wieczornym podaje jakiego świętego obchodzić będziemy następnego dnia. Na krótkich falach przysłuchiwać się można rozmowom stęsknionych żon z mężami na statkach. Radiotelefonicznych stacji jest kilka. Najczynniejsze są stacje w Gdyni i w Szczecinie. We wszystkich takich rozmowach — obie strony sprawdzają ile listów wysłano i ile odebrano.

W Gdańsku i Szczecinie zbudowano nowe „obiekty socjalne” — ściślej mówiąc nowe stołówki dla robotników i stoczniovców. W radio-reportażu poświęconym tej innowacji — reporter zapytał robotnika czy jest zadowolony z wydawanych posiłków. Robotnik-konsument zauważył spokojnie, że w grochówce nie powinno być łupin. W końcowej części audycji reporter zadał dyrektorowi stołówek w Gdańsku następujące pytanie: „panie dyrektorze — jaką grochówkę pan woli — z łupinami czy bez łupin?” Dyrektor, szczeniwa sztuka — natychmiast zorientował się w podchwytce i oświadczył z najgłębszym przekonaniem: „oczywiście z łupinami, bo to bardziej pożywne”. Dodajmy od siebie, że grochówka powinna być przecierana i bez łupin, ponieważ łupiny są: *primo* niesmaczne, a *secundo* — ich wartość odżywcza jest równa zeru.

Lecz na ogół — sądząc z radia — po „wydarzeniach grudniowych” (ile w Polsce będzie tych „wydarzeń” zanim się coś wydarzy?) w portach nastąpiła poprawa a stoczniovcy jako „wielkoprzemysłowa klasa robotnicza” (określenie Gierka) — są oczkiem w głowie partii i rządu.

Jeżeli przyjąć, że radio jako najpowszechniejsze medium komunikacji — odzwierciedla najpełniej oblicze danego kraju — to należy stwierdzić, że pomiędzy Polską a Zachodem istnieją nie tylko różnice, lecz po prostu przepaść. Przepaść jaka oddziela obrządek wschodni od zachodniego.



Brytyjczycy wierzą, że swobodna dyskusja jest nie tylko fundamentem lecz źródłem demokracji. Do decyzji, które obowiązują wszystkich — dochodzi się poprzez dyskusję. W okresie poprzedzającym przystąpienie Anglii do EWG — radio brytyjskie organizowało dyskusje-maratony, trwające po kilku godzin. Brali w owych „maratonach” udział nie tylko posłowie, ministrowie, rzeczoznawcy lecz każdy obywatel, który chciał włączyć się do dyskusji telefonicznie. BBC podawało numery telefonów i każdy mógł zgłosić swoje argumenty „za” lub „przeciw”. Następnie członkowie „okrągłego stołu” w studio BBC odpowiadali na pytania i dyskutowali z rozmówcami spoza studia. Linie były włączone w aparaturę nadawczą tak, że każdy słuchacz tych programów, często na dalekiej prowincji słyszał nie tylko ogólną debatę lecz również i indywidualne rozmowy i dyskusje pomiędzy panem X i panią Y. Zdarzyło się, że owi telefoniczni dyskutanci przypierali do muru ekspertów i polityków.

W BBC nie ma tabu. Dyskutuje się pornografię „za” i „przeciw”, dyskutuje się tzw. prasę podziemną, religie, północną Irlandię, zapobieganie ciąży, celibat księży — jednym słowem poddaje się dyskusji każdy problem współczesnego życia.

Gdyby ktoś mieszkał na wyspie bezludnej i odbierał tylko BBC i telewizję brytyjską to — nawet gdyby był odcięty całkowicie od prasy i osobistych kontaktów — wiedziałby o Wielkiej Brytanii wszystko, lub niemal wszystko. Wiedziałyby on o Anglii więcej niż przeciętny mieszkaniec Londynu, który słucha komunikatów przy śniadaniu a w kolejce podziemnej przegląda jeden czy dwa dzienniki poranne.

Z radia warszawskiego nie można się wiele dowiedzieć. Lecz w tym wypadku nie chodzi o skąpość informacji. Informacje są tak dobrane, że składają się na obraz, który jest fałszywy. Wszystkie wiadomości wewnętrzne podawane są w nieznośnie optymistycznym, cukierkowym tonie. Jest dobrze a będzie jeszcze lepiej. Nie ma dyskusji w sensie zachodnim, to znaczy w sensie ścierania się argumentów, ani nie ma swobodnej krytyki. Totalizm komunistyczny w wydaniu rosyjskim jest monumentalny, ponury i groźny. Ten sam totalizm w wydaniu polskim jest prowincjonalny i drugorzędny.

Można importować ideologie równie dobrze jak licencje przemysłowe — lecz i jedno i drugie należy uczynić własnym. Niedosć jest zakupić licencje na produkowanie samochodów trzeba jeszcze mieć własną dobrą stal. W przeciwnym wypadku procent wybrakowanych samochodów jest nieopuszczalnie wysoki. Nikt nie ma pretensji, że Polska Ludowa nie buduje statków kosmicznych — lecz dlaczego sprowadza z zagranicy gigantyczne ilości obuwia?

Od zakończenia wojny minęło niemal 30 lat — nie ma więc powodu by sprawy bytowe górowały nad wszystkim. Słuchając polskiego radia odnosi się wrażenie, że w Polsce — w przeciwieństwie do innych krajów Europy — okres powojenny trwa nadal. Znana ankieta przedzjazdowa ujawniła, że stosunkowo nie-

wielki procent ludzi w Kraju interesuje się kulturą i środkami masowego przekazu, jak radio, telewizja i prasa. Sfery rządzące są niezmiernie zadowolone z owego rzekomego braku zainteresowania kulturą.

Gdyby w cytowanej ankiecie zamieszczono pytanie: „czy Pan(i) interesuje się chirurgią?” — prawdopodobnie bardzo mały procent respondentów odpowiedziałby na powyższe pytanie potwierdzająco. Niemniej chirurgia jest problemem o ogromnym społecznym znaczeniu, chirurdzy bowiem ratują ludzkie zdrowie i ludzkie życia.

Podobnie przedstawia się sprawa z kulturą. Robotnik może nie interesować się bezpośrednio kulturą, lecz to jakiego inżyniera ma nad sobą, jakiego dyrektora, jakiego szefa wydziału i ministra — to wszystko zależy od klimatu kulturalnego w jakim ci ludzie się wychowali. Wszystko zależy od tego jak ci ludzie zostali „zaprogramowani” w szkole podstawowej, w szkole średniej i na uniwersytecie.

Nie można mieć cenzury i kultury równocześnie. Cenzura znieprawia pisarzy, dziennikarzy, naukowców, którzy piszą „pod cenzurę”, względnie godzą się na obcięta najistotniejszych fragmentów swoich tekstów.

Na Zachodzie — w związku z rozkwitem pornografii — dyskutuje się sprawę cenzury. Pornografia być może znieprawia — lecz cenzura znieprawia jeszcze bardziej. Pornografię należy zwalczać autorytetem moralnym lecz nie cenzurą. Moralność oparta na cenzurze nie jest moralnością.

Analogicznie — kultura socjalistyczna, która opiera się na cenzurze — nie jest kulturą socjalistyczną. Dopiero kiedy w Polsce zniesiono by cenzurę — przekonalibyśmy się czy w Kraju istnieje kultura, którą nazwać by można socjalistyczną.

Kościół katolicki zniósł indeks książek zakazanych — lecz w Polsce odbywają się procesy przeciwko książkom (proces „taterników”). Cenzura jest zawsze lękiem przed konfrontacją, lękiem przed argumentacją strony przeciwnej. Prawdziwy socjalizm dysponuje tak logiczną i przekonującą argumentacją, że nie potrzebuje cenzury. Cenzura potrzebna jest tylko policyjnemu, totalistycznemu „socjalizmowi”, który udaje socjalizm.

Powyższe rozważania chciałbym zakończyć następującą garścią refleksji. Dosłownie nie ma dnia, żeby BBC nie przynosiło wiadomości o jakimś strajku. W Anglii mamy wysoką stopę życiową, robotnicy są na ogół doskonale wynagradzani — a mimo to strajków jest coraz więcej a nie coraz mniej.

Socjologowie przytaczają szereg przyczyn tego zjawiska. Modernizacja fabryk i zakładów przemysłowych powoduje uzasadniony lęk przed utratą pracy wśród robotników. Robotnicy bronią się przed nieuniknionymi zmianami, które niesie rewolucja technologiczna — ponieważ struktura rynku pracy, organizacja zawodowe itd. wszystko to datuje się z poprzedniej epoki. Klasa robotnicza w krajach wysoko uprzemysłowionych — aktywnie szuka dla siebie nowej roli w zmienionych warunkach.

Trudno jest przewidzieć ostateczny społeczny kształt tego procesu, można jednak uznać za pewne, że klasa robotnicza w epoce technologicznej która formułuje się burzliwie na naszych oczach — zajmie bardziej poczesne miejsce niż w okresie poprzednim. Skąd ten optymizm? Wystarczy spojrzeć z perspektywy historycznej na pochodź klasy robotniczej w ostatnim półwieczu. Żadna warstwa społeczna nie może pochwalić się ani w przybliżeniu podobnym awansem socjalnym. Tak stosunkowo niedawno nie wolno było zbierać pieniędzy na składki członkowskie związków zawodowych, a dziś *Trade Unions* stanowią potęgę w Wielkiej Brytanii.

Ów zdumiewający awans wielko-przemysłowej klasy robotniczej na Zachodzie dokonał się dosłownie w obrębie jednego pokolenia. Ludzie liczący 80 lat — których nie brak w Anglii — pamiętają start owego wielkiego marszu.

Istnieją pewne prawidłowości w rozwoju wielko-przemysłowej klasy robotniczej. Nie ma powodu przypuszczać, że postawa i dążenia stoczniovców brytyjskich są diametralnie różne od postawy i dążeń stoczniovców polskich. Wielko-przemysłowe klasy robotnicze wykazują wszędzie analogiczne dążenia i cele.

Polska nie posiadała wielkiego przemysłu i w konsekwencji nie mieliśmy wielko-przemysłowej klasy robotniczej. „Wydarzenia grudniowe”, które doprowadziły do upadku Gomułki — stanowią „premierę” wielko-przemysłowej klasy robotniczej w Polsce. Zgodnie z prawidłowościami rozwojowymi — to był początek serii strajków, które wybuchną w niedalekiej przyszłości. Wielko-przemysłowa klasa robotnicza w Polsce będzie domagać się nie tylko poprawy warunków bytowych lecz przede wszystkim niezależnych związków zawodowych. Doświadczenie uczy, że żadna partia polityczna marksistowsko-leninowska czy socjal-demokratyczna nie jest w stanie zastąpić niezależnych związków zawodowych i tym samym nie jest w stanie zahamować prawidłowości rozwojowej *trade union'ów*. Wyjątek (do czasu) od tej reguły stanowi Rosja, która posiada odrębną specyfikę rynku pracy. Wielko-przemysłowa klasa robotnicza w Sowietach jest planowo rozparcelowana. Robotnikom w Odessie jest bardzo trudno porozumieć się z robotnikami w Leningradzie czy w centrach przemysłowych na Syberii. Lecz w Polsce rozprzestrzenienie przemysłów jest analogiczne jak w państwach zachodnich. O wydarzeniach na Wybrzeżu czy na Śląsku — wie cała Polska tego samego dnia. W porównaniu z olbrzymimi przestrzeniami Związku Sowieckiego — Polska terytorialnie jest małym krajem i dlatego u nas nie jest możliwe izolowanie jednego rejonu od drugiego. O strajku w Odessie — robotnicy w Nowosybirsku mogą nie dowiedzieć się wcale, lub dopiero po miesiącach z pogłosek. W Polsce, jeżeli ktoś „kichnie” w Katowicach to w Gdańsku wszyscy o tym wiedzą tego samego dnia.

W tezach przedzjazdowych włoskiej partii komunistycznej — ogłoszonych w listopadzie 1971 roku — wysunięto zasadę wielopartyjności, podkreślono rolę niezależnych związków zawo-

wych i jeszcze raz potępiono inwazję Czechosłowacji w roku 1968. W cytowanych tezach stwierdzono, że żadna z rządzących partii komunistycznych nie może siebie samej ogłaszać za wzór do naśladowania przez wszystkie inne partie komunistyczne. Każda partia ma prawo poszukiwania swojej własnej drogi do socjalizmu — co jest możliwe tylko w oparciu o zasadę nie-interwencji w wewnętrzne stosunki państw, partii i narodów. Tak wygląda komunizm zachodniego obrządku.

Czy polscy robotnicy muszą zrezygnować na wieki z rzetelnych związków zawodowych tylko dlatego, że narzucono nam komunizm wschodniego obrządku? Polacy nie zaakceptują nigdy wschodniego obrządku ani w chrześcijaństwie ani w komunizmie. W każdym z nas jest domieszka wschodniej krwi — lecz przez tysiąc lat formowani byliśmy jako naród przez kulturę zachodnią i tego nikt dziś nie wymaże, ani nikt nie odrobi. To nie jest frazes trzeciomajowy tylko fakt socjo-historyczny. Napisałem kiedyś, że w Londynie czuję się często człowiekiem Wschodu — jestem jednak pewien, że w Moskwie czy w Leningradzie czułbym się zawsze w stu procentach człowiekiem Zachodu. Nasza zachodniość występuje najsilniej w zderzeniu ze Wschodem. Na Zachodzie natomiast wynaradawiamy się trudniej niż Niemcy czy Austriacy — dzięki naszej wschodniości. Jestem zdecydowanym anglofilem, podziwiam kulturę brytyjską — lecz nawet po dziesiątkach lat pobytu na tych wyspach — zachowuję w stosunku do kultury brytyjskiej dystans przybysza ze Wschodu.

Fakt, że w grudniu 1970 roku strajkowali stoczniovcy, którzy stanowią w Polsce najlepiej płatny odłam klasy robotniczej — potwierdza przesłankę, że dojrzewanie i rozwój wielko-przemysłowej klasy robotniczej w Kraju potoczy się według wzorów i prawidłowości jakie obserwujemy na Zachodzie. Mentalność polskich stoczniovców jest zachodnia i ich reakcje są bliższe postawie stoczniovców w Upper Clyde niż stoczniovców w Odessie. Na Wschodzie przyczyną rozruchów czy strajków jest głód i rozpacz. Na Zachodzie akcję przemysłową podejmują zazwyczaj najlepiej płatni robotnicy, którzy walczą nie tylko o wyższe płace lecz również o przebudowę ustawodawstwa normującego stosunki pomiędzy kapitałem a pracą.

W Anglii członkami związków zawodowych są robotnicy, nauczyciele, urzędnicy państwowi, lekarze, inżynierowie, aktorzy, muzycy itd. Istnieje związek zawodowy studentów wyższych uczelni, a ostatnio wysunięto projekt powołania do życia związku zawodowego dzieci szkolnych. Ów związek będzie obejmował dzieci szkół podstawowych i młodzież szkół średnich. Innymi słowy — obywatel brytyjski od 5-go roku życia aż do śmierci będzie członkiem takiego czy innego związku zawodowego. Zaczyna się wyraźnie zarysowywać problem: związkowość *versus* partyjność. Partie polityczne zaczynają tracić swą reprezentatywność klasową. Czy to oznacza, że zmierzamy do demokracji dualistycznej — sterowanej zarówno przez związki zawodowe jak i przez partie polityczne?

W społeczeństwie otwartym — jak społeczeństwo brytyjskie — rozwój społeczno-gospodarczy przebiega ewolucyjnie. W społeczeństwie zamkniętym najwycyżajniejszy postulat — jak np. niezależność związków zawodowych — nabiera cech hasła rewolucyjnego.

Nieporozumienie polega na tym, że konserwatystom z Komitetu Centralnego wydaje się, że robotnicy walczą tylko o sprawy bytowe. Tak nie jest. Wielko-przemysłowe klasy robotnicze walczą wszędzie o swoje prawa. Polska wielko-przemysłowa klasa robotnicza im będzie lepiej płatna i bardziej dostatnia — tym bardziej będzie rewolucyjna. W „obrzędku wschodnim” apetyt mają wszyscy — lecz nie wszyscy jedzą do syta. W „obrzędku zachodnim” apetyt rośnie z jedzeniem. Panowie z KC i aparatczycy przekonają się o tym niebawem.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

## Możliwości wojenne Izraela

Od 1948 roku, od dwudziestu trzech lat, jesteśmy świadkami bogactwa wydarzeń na Środkowym Wschodzie. Powstanie państwa Izraela, jego konflikt z Arabami, trzy wojny, rozejm i próby pokojowe, nawrót do zbrojnego pogotowia. Wśród państw arabskich widzimy ciągłe niepokoje, zamieszki i rewolucje wewnętrzne, sojusze, umowy, koalicje — wszystko z dominującą myślą: pokonania i zniszczenia izraelskiego państwa.

Państwa zainteresowane w sprawach basenu śródziemnomorskiego brały początkowo żywy udział w rozgrywkach. Powoli ich zainteresowanie bezpośrednie zaczęło słabnąć. Na placu pozostała Rosja (z jej satelitami), która stojąc początkowo po stronie Izraela — objęła opiekę państw arabskich i Stany Zjednoczone patronujące Izraelowi. Dodatkowo występuje Francja w charakterze handlarza broni.

Naiwnie by było sądzić, że oba mocarstwa kierują się w tej polityce jakimiś wielkimi ideami. Chodzi o wpływy i panowanie w basenie morza Śródziemnego, o utrzymanie w swoich rękach Kanału Sueskiego (ciągle jeszcze ważnej i najkrótszej drogi z Europy na Daleki Wschód) i o naftę arabską. Oficjalnie wypowiedziany strach przed ogólną wojną, wywołaną zatargami na Środkowym Wschodzie, wydaje się mniej szczery i raczej służy celom wewnętrznej polityki mocarstw.

W wypadku Stanów Zjednoczonych, mniej chodzi o osiągnięcie wyżej wymienionych celów. W pierwszym rządzie zależy im na wytrąceniu tych atutów z ręki sowieckiej. Zaczęty ostatnio flirt Sekretarza Stanu z egipskim Sadatem na swoją wymowę.

Tym większą, że zaczął się nie notowanym w kronikach amerykańskich wypadkiem: wizyty szefa ministerstwa spraw zagranicznych w państwie nie utrzymującym stosunków dyplomatycznych ze Stanami. Nić, wąta bardzo, została nawiązana i można być pewnym, że obie strony nie zechcą zerwać jej bez zasadniczego powodu. Że chytry Sadat zawarł powtórny pakt przyjaźni z Sowietami — nie jest zaprzeczeniem powyższego. Ubezpiecza się na obie strony. Stany, od czasu wizyty, okazują coraz mniej entuzjazmu w dostarczaniu broni Izraelowi.

W obecnej chwili, stoimy wobec powrotnej sytuacji — zbrojnego pokoju. Sadat zaszachował opinię światową swą propozycją otwarcia Kanału za cenę częściowego odzyskania półwyspu Synaj, jako wstępu do dalszych pertraktacji. Izrael zgodził się pozornie, zastrzegając się, że taka umowa nie pociągnie żadnych następstw w dalszych pertraktacjach. W międzyczasie, od ukończenia wojny 1967 roku, rząd Izraela rozwija gospodarkę na zajętych terenach i osadza na nich swoich kolonistów. W tym działaniu, nie liczy się przeciwnymi orzeczeniami ONZ. Rozmowy pośrednie, przez przedstawiciela ONZ, nie wyjaśniły warunków pokojowych jakie zechce wysunąć Izrael.

Jakie są powody tej niechęci izraelskiego rządu do wyjawienia swoich warunków ewentualnego pokoju? Przecież, jak to słusznie ktoś zauważył, traktat ustalający ostateczne granice Izraela, nie wnosi dodatkowego ryzyka. Jeżeli Arabowie zerwą go zdradziecko, wiadomo będzie jakich granic bronić.

Jak się wydaje, dwa są zasadnicze powody izraelskiej powściągliwości. Głównym jest marzenie o budowie „wielkiego Izraela”. Ambicja wydaje się iluzoryczną, bo brak ludzi na zaludnienie zdobytych obszarów. Liczenie na masową emigrację z Zachodu (zwłaszcza ze Stanów) jest złudne. Paru milionów Żydów z Rosji nie wypuszczą tamtejsze władze. Tylko powtórny zwrot sympatii Sowietów może taką możliwość uaktualnić.

Oдноśnie traktowania problemu emigracji ze Stanów, charakterystyczna jest odpowiedź dana przez panią Goldę Meir amerykańskiemu rabinowi Nusbaumowi. Na jego pytanie: „dlaczego amerykański Żyd ma rzec się spokojnego, wygodnego życia i przybyć do Izraela?” — odpowiedziała krótko: „Bo jest on Żydem”. Drugim powodem niechęci rządu izraelskiego do rozmów pokojowych ma być koalicyjny skład tego rządu. W obliczu wojny 1967 roku powstał gabinet koalicyjny. Oczywiście, w takiej chwili, wszelkie inne względy ustąpiły nakazowi obrony kraju — nie było między-partyjnych zgrzytów. Kiedy pani Meir przystąpiła do formowania swego gabinetu, warunki już były inne. Jednak, dla zyskania większości parlamentarnej, musiała korzystać z szerokiego wachlarza partyjnego. Stąd bardzo wielkie odchylenia w poglądach członków jej gabinetu. Dyskusja nad problemami granicznymi może wywołać ciężki kryzys i pociągnąć upadek gabinetu. Sytuacja wygląda tak: wysunięcie maksymalnych żądań nie osiągnie pokojowego porozumienia; każde ustępstwo dla arabskiej strony łatwo spowoduje załamanie wewnętrzne

ne, spowodowane w pierwszym rządzie przez skrajną prawicę nacjonalistyczną i ortodoksyjne koła religijne.

W tym naświetleniu jest zrozumiałe odwołanie ostatecznych odpowiedzi Izraela. Bezpieczne granice, „zmiękczenie” Arabów, grają rolę wtórną. Chodzi o wygranie czasu na rozbudowę i skolonizowanie „ziem przyłączonych”. W takim postępowaniu jest strategiczny błąd; zarówno politycznej jak wojennej strategii.

Rozpatrzmy od podstaw izraelskie wojny. Wszystkie trzy były zwycięskie. Wszystkie wykazały zdecydowaną wyższość Izraelczyków w sztuce wojennej. Bez przesady można twierdzić, że w 1967 roku sposób prowadzenia działań sięgnął klasycznego szczytu. Że wymienię w kolejnym skrócie:

- manewr lotnictwem, zniszczenie na ziemi lotnictwa egipskiego i jordańskiego, poprzedzający działania ziemne; (kierunek nalotów z południowego zachodu każe po dzień dzień wierzyć laikom w korzystanie z pokładów lotniskowców 6-ej Floty Stanów Zjednoczonych przez lądowe samoloty izraelskie);
- operacje trzech dywizji pancernych na półwyspie Synaj, uwieńczone zniszczeniem sił egipskich i osiągnięciem linii Kanału;
- zdobycie jordańskiej dzielnicy Jerozolimy i wyparcie wojsk jordańskich z zachodniego brzegu Jordanu;
- czołowy atak i zdobycie kompleksu wzgórz Golan, likwidujące zagrożenie przez Syrię i otwierające drogę do Damaszku.

Wszystkie te działania dały całkowite zwycięstwo, zmusiły kolejnych przeciwników do zawarcia rozejmu. Żadne z nich (jak i poprzednie wojny) nie doprowadziło do ostatecznego rezultatu. Było zwycięstwem operacyjnym (lub, jeśli kto woli nomenklaturę anglosaską — „wielkiej taktyki”). W pojęciu realizowania celów politycznych drogą zbrojnego wysiłku, żadna z wojen nie była zwycięstwem strategicznym. Izrael bije arabskie wojska, niszczy ich sprzęt, opanowuje terytoria. Wszystkie te przewagi nie doprowadzają do ostatecznego celu: podpisania pokoju gwarantującego uznanie państwa w określonych granicach i zapewnienie nienaruszalności tych granic.

Polityka zwycięstw wojennych spotkała się z niepowodzeniem. Nie wydaje się, by dalsze próby w tym kierunku przyniosły pomyslniejsze rezultaty. Z pewnością będą zwycięstwa, ale zawsze bezowocne.

Dlaczego zaistniał podobny stan rzeczy jest łatwo wyjaśnić. Mimo wyższości Izraela w dziedzinie prowadzenia wojny, jest on zbyt mały liczebnie by móc uporać się ze stu milionami, składającymi się na szereg państw. Pokona się jedno państwo — pozostają inne. A straty arabskie z nadwyżką uzupełnia Związek Sowiecki i jego satelici. Dla przykładu, wyobraźmy sobie pomyslnie działania zaczepne Izraela poprzez Kanał Sueski. Zostaje zajęty (okupowany) Egipt właściwy. Jak wygląda taka okupacja? Trzymilionowy naród okupuje trzydziestomilionowe pań-

stwo. Liczba mieszkańców okupowanej stolicy sięga czterech i pół miliona. Czy podobna okupacja nie będzie zżerać sił okupującego narodu? Jak długo da się utrzymać? Czy na syjonistycznych zasadach oparta państwowość Izraela nie rozplynie się w morzu okupowanych? Czy nie grozi tym już obecna sytuacja z 30 % ludności arabskiej i parokrotnie większym przyrostem naturalnym tej ludności?

Więc powtórzmy raz jeszcze: Izrael zwyciężył trzykrotnie; zwyciężył po raz czwarty, piąty czy dziesiąty. Ale arabskiego świata nie zmusi do przyjęcia swoich warunków. A jeżeli nadejdzie, z kolei, jedno arabskie zwycięstwo — dla Izraela będzie ono katastrofą. Czy nie należałoby wykorzystać obecnej pomyslniej koniunktury politycznej? Zmusić Arabów do uznania rozsądnych granic a w pierwszym rządzie — do uznania państwowości izraelskiej.

Czy granice obecne, jak je zakreślają tereny okupowane, są rzeczywiście „bezpieczne” z wojskowego punktu widzenia? Na takie pytanie nie da się odpowiedzieć jednym słowem. Zaczniemy od rozpatrzenia czynników, które pozwoliły Izraelczykom na odniesienie trzech, poprzednich zwycięstw. Według mojej opinii są one następujące:

- wysoka wartość bojowa izraelskiego żołnierza,
- sprawność i wiedza dowódców i sztabów,
- właściwie dobrana i konsekwentnie stosowana doktryna wojenna.

Na jakich założeniach opiera się izraelska doktryna wojenna? Jej twórcy (w miarę wpływu lat jej udoskonalania, należy do nich zaliczyć kolejnych szefów generalnego sztabu, od Yigael Yadin'a, Yigal Allon'a, po Yiszak Rabin'a), opierali swoje rozumowania na ocenie własnych i nieprzyjaciela sił i możliwości, warunków terenu i ewentualne międzynarodowe akcje polityczne.

Powstała doktryna „zaczepnej obrony”. Nie należy jej identyfikować z naszym, przedwojennym pojęciem: „rozwiązywanie zadania obronnego działaniami zaczepnymi”. Izraelska doktryna idzie znacznie dalej w swojej „zaczepności”. W przeciwieństwie do tamtego, nie kontentuje się ofensywną odpowiedzią na atak przeciwnika. Nakazuje przewidzieć i uprzędzić jego działania. Idzie tak daleko, że rozgrzesza działanie uprzedzające próby koncentracji sąsiada. Tak sformułowana „zaczepna obrona” uzasadniona była skomplikowaną linią graniczną. Słynny pas graniczny zwęzał się do 9 mil. Żaden punkt na terytorium Izraela nie był oddalony więcej jak 25 mil od którejś z granic wrogiego państwa. Na opóźnianie a tym więcej na obronę nie było miejsca. Przeciwnie, należało przenosić działania w głąb terytorium przeciwnika. Każdorazowa interwencja mocarstw w ONZ dążąca do przerwania wojny na Środkowym Wschodzie, zachęcała do jej zakończenia na wrogim, nie własnym terytorium.

Więc, pierwszą i główną zasadą stały się: — działania zaczepne (1).

Jak wspomniałem wyżej, niespodziewane działania są wydajniejsze, więc następne prawo: — zaskoczenie (2).

W obliczu przewagi liczebnej przeciwnika, przy konieczności rzucenia wszystkich sił i środków do pierwszej linii, bez większych rezerw i ze szkodą dla krajowej gospodarki — wypływa konieczność ograniczenia wojny w czasie: — krótkotrwałość wojny (3).

Dla spełnienia tego (3) warunku, działania muszą być szybkie i rozstrzygające; więc: — szybkość działania (4) i siła uderzenia (5). Co pociąga za sobą umiejętność manewrowania, koncentracji, przy ekonomicznym użyciu sił.

W sumie, izraelska doktryna była unowocześnionym *Blietzkrieg*'iem niemieckim, subtelnie przystosowanym do własnych możliwości, warunków zagrożenia i terenu.

Stosownie do przyjętej doktryny, rozwinięto organizację wojska. Armia lądowa odrzuciła balast ciężkiego wyposażenia, zbędny jej w przewidywanych działaniach. Jej siłą miała być i była — szybkość. Więc broń pancerna, zmotoryzowana piechota, spadochroniarze. Szybkobieżne czołgi, bezodrzutowe działa, saperzy szturmowi.

Przewiduje się zagrożenie z trzech, co najmniej, kierunków (Egipt, Jordania, Syria). Więc koncentracja na głównym kierunku — Egipt. Na reszcie zagrożonych granic — osłona w postaci obronnych osiedli wzmocnionych przedpoborowymi i wysłużonymi rezerwistami.

Ale pierwszeństwo przed wszelkimi rozważaniami o działaniach armii ma w izraelskiej doktrynie — lotnictwo. Uważa się, że wyeliminowanie lotnictwa przeciwnika jest równoznaczne z wygraną wojny. Ten pogląd został usprawiedliwiony w pierwszych godzinach wojny 1967 roku. Organizacja izraelskiego lotnictwa jest dostosowana do przewidzianych zadań. Jego samoloty są zdolne do wykonywania zadań: pościgowych, myśliwskich i myśliwsko-bombowych. Główne trudności leżały w uprzedzeniu działań npla (w pierwszym rzędzie — egipskiego lotnictwa). Zadanie nie łatwe — pamiętajmy, że wszystkie główne miasta Izraela leżały w zasięgu 15 minut lotu egipskich odrzutowców.

Po tym krótkim przeglądzie, możemy rozpatrzeć warunki obrony Izraela w nowych (tymczasowych) granicach. Parę słów o siłach zbrojnych obu stron.

Według wiarogodnych informacji podanych w „The Statesman's Year Book, 1970/1971”, siły zbrojne Izraela wynoszą:

- armia regularna 60.000 ludzi w 4-ch brygadach i 1-ej dywizji pancernej;
- rezerwy 200.000 ludzi w 24-ch brygadach (w nich nieznana ilość panc.).

Zasadnicza budowa armii izraelskiej nie ulega zmianom od szeregu lat. Zmianom organizacyjnym (zgodnie ze zmianą pojęć taktycznych) ulegają raczej niższe szczeble dowodzenia — poniżej brygady. Ponad tysiąc czołgów.

Na wyposażenie marynarki wojennej składają się: 4-ry okręty podwodne, 2-a niszczyciele, 16-cie ścigaczy (torpedowych i o ra-

kietowych pociskach), oraz 10 okrętów desantowych (klasy *landing craft*).

Siły lotnictwa (zawsze oczko w głowie władz naczelnych) wynoszą 8.000 ludzi i 350 samolotów. Wszystkie samoloty pierwszej linii są odrzutowe, produkcji francuskiej lub amerykańskiej. Lotnictwo dysponuje typami samolotów: Mirage III (ponaddźwiękowy myśliwiec, część wyposażona w pociski Matra R. 530), w ilości 72; F-4E Phantom — myśliwskie w ilości 50; myśliwsko-bombowe Mystère IVAs, około 50 sztuk; 15-20 pościgowców Super Mystère; rozpoznawczo-bojowe Vantours; lekkie bombowce A-4 Skyhawk w ilości 48; transportowce Noratlas i inne; oraz śmigłowce (helikoptery) paru typów.

„Hawk” pociski raketowe (ziemia-powietrze) są w użyciu.

Nie będzie właściwie rozpatrywanie sił zbrojnych arabskiego bloku jako całości. Otrzymalibyśmy obraz fałszywy. Weźmiemy pod uwagę siły państw, które wezmą udział w ewentualnej wojnie bez wątplenia i te z nich, które przyłączą się do wojny prawdopodobnie. Do pierwszych należą: Egipt, Syria i Libia (członkowie świeżo powstałej federacji). Za ewentualnych partnerów trzeba uważać: Irak, Jordanię, Arabię Saudyjską i Sudan.

Siły egipskie (według tygodnika *Time*, 17 maja 1971 r.) przedstawiają się następująco:

- 300.000 ludzi, 640 samolotów, 1.600 czołgów, 60 okrętów i 13 okrętów podwodnych.

Wspomaga je: 15.000 ludzi wojskowego personelu ZSSR, 170 stanowisk pocisków przeciwpowietrznych (pod sowieckim nadzorem) i nieznana ilość samolotów z sowieckim personelem działająca z sowieckich baz w Egipcie. Wśród nich, najnowszy pościgowiec Mig-23 o szybkości Mach 3 (trzykrotna szybkość głosu) i pułapie 80.000 stóp.

Zbliżone cyfry sił egipskich podaje „The Statesman's Year Book” na rok 1970/71:

- 230.000 ludzi sił zbrojnych plus 130.000 ludzi gwardii narodowej; 450 samolotów, 105 okrętów (ze ścigaczami i desantowymi statkami łącznie), 16 okrętów podwodnych.

Różnice powstają, bez wątplenia, z równorodnej oceny całości sił i sił „pierwszej linii”.

Siły pozostałych członków federacji przedstawiają się o wiele skromniej. Według „Statesman's Year Book”: Siły Syrii wnoszą:

- 60.000 ludzi (plus 8.000 żandarmerii), 145 samolotów I-ej linii (odrzutowe). 30 małych jednostek morskich, 200 czołgów T-34.

Libia jest w trakcie rozbudowy swych sił. Jej armia liczy obecnie, zaledwie 8.000 ludzi w jednym pancernym, pięciu batalionach piechoty i w dwu dywizjonach artylerii. Ilość czołgów — do stu. Lotnictwo w zarodku, posiada około dwudziestu samolotów bojowych, częściowo amerykańskich, częściowo francuskich typów. 15 okrętów małej wyporności.

Jak widać z powyższego, Libia jako sojusznik nie przedstawia, na razie, poważnej pomocy. Natomiast Syria, w czysto teoretycz-

nych rozważaniach, winna odciągnąć na swój kierunek działania poważne siły izraelskie. Praktyka trzech ubiegłych wojen nie usprawiedliwia podobnego twierdzenia.

Z ewentualnych sojuszników Egiptu, najpoważniejszą siłę przedstawia Jordania; równie ilościowo jak pod względem wartości bojowej. Siły jej wyglądają następująco:

— armia: 53.000 ludzi w dwu dywizjach piechoty (po dziewięć baonów) i dwu brygadach pancernych. Lotnictwo składa się z 2-ch dyonów Hunter myśliwsko-bombowych i 2-ch dyonów pościgowych F-104A Starfighters. W sumie około 70 maszyn. W porcie Akkaba stacjonuje osiem ścigaczy.

Król Hussein, skutkiem doświadczeń ostatniej wojny i walk z palestyńskimi partyzantami, zapewne patrzy niechętnie na ewentualność następnej wojny. Może być do niej wciągnięty pod naciskiem opinii własnej ludności i przez sąsiadujące państwa arabskie. W szczególności, wojowniczo nastrojony Irak będzie szukał kontaktu z izraelskim wrogiem przez terytorium Jordanii.

Na siły Iraku składają się:

— armia z 70.000 ludzi o dwu dywizjach piechoty, dwu dywizjach górskich, i jednej dywizji pancernej (dwie brygady pancerne i jedna piechoty). Dywizje górskie, zmotoryzowane jak piechoty, posiadają dodatkowo zwierzęta juczne. Ministerstwo Obrony dysponuje dodatkowo brygadą piechoty, dwoma pułkami ciężkiej artylerii przeciwlotniczej. Uzbrojenie armii jest przeważnie rosyjskie, z czołgami T-34 i T-54/55 włącznie.

Lotnictwo posiada do 210 samolotów bojowych, częściowo brytyjskich typów, przeważnie sowieckich, Są sowieckie pociski przeciwpowietrzne.

Około dwudziestu mniejszych jednostek morskich.

Arabia Saudyjska i Sudan nie reprezentują poważnej siły militarnej. Ich wspólny wysiłek na izraelskim froncie może się wyrazić w sile około jednej brygady pieszej z elementem pancernym i dywizjonem lotniczym.

W wypadku Iraku, nie może Egipt liczyć na pomoc większą niż połowę jego sił. Rządy państw arabskich, zbyt mało stabilne, nie mogą ryzykować ogałacania kraju z wojska.

Sumując i licząc ogólnie, siły arabskiej koalicji winny przeciwstawić Izraelowi (na innych niż egipski frontach): 140 do 150 tysięcy ludzi wyposażonych w 600-800 czołgów i do 400 samolotów. Siła poważna. Użyta zdecydowanie i w zgraniu z egipskimi działaniami, może zaważyć na wyniku wojny. Znowu, opierając się na poprzednich doświadczeniach, musimy przyjąć podobne możliwości za teoretyczne.

Rozważając wzajemny stosunek sił przeciwników, widzimy nie tak wielką przewagę po stronie arabskiej w liczbach kombatanów. Przy rażącej dysproporcji ludności krajów arabskich do ludności Izraela, różnice winny być o wiele większe. Taką „względną” równowagę sił osiąga Izrael wprowadzając rozporządzone

siły do pierwszej linii. Brak rezerw do uzupełniania formacji. Wniosek: na dłuższą wojnę Izrael nie może sobie pozwolić. Z tego wypływają dalsze wnioski sposobu prowadzenia wojny — doktryna wojenna. A więc ofensywa rozpoczynająca się zaskoczeniem, szybka i na decydujących kierunkach. Drugorzędne kierunki mogą pozostawać w obronie, ale tylko do czasu rozstrzygnięcia na kierunku głównym. W takich działaniach wyższość dowodzenia, sztabowej pracy i wartości izraelskiego żołnierza uzyskują wyższość nad arabskim przeciwnikiem, prowadząc do zdecydowanego, szybkiego zwycięstwa.

Mówiąc ogólnie, wojsko egipskie posiada lepszy, nowocześniejszy sprzęt. Dzieje się tak z dwu powodów. 1) Rosja sowiecka nie szczędzi wysiłku w zaopatrywaniu swoich sojuszników z Bliskiego Wschodu. Dostawcy Izraela, w pierwszym rządzie Stany Zjednoczone, warunkują i ograniczają dostawy. 2) Izrael musi się ograniczać w zakupach w ramach swoich możliwości finansowych, nie będących nieograniczonymi.

Znowu, jak w poprzednim wypadku rezerw ludzkich, braki sprzętu muszą być nadrabiane sztuką i ludzkim wysiłkiem.

Osobne omówienie należy się pociskom S-2, S-3 i S-4 broniącem egipskiej strony kanału od ataku z powietrza. Wydaje się, że w połączeniu z najnowszymi pościgowcami sowieckimi (i przypuszczalnie z sowieckimi załogami) wykluczają one bezkarne działania lotnictwa izraelskiego, jak to miało miejsce w 1967 roku. Już samo ograniczenie działalności lotnictwa, pozbawia Izrael jednego z głównych atutów w wojnie.

Oficjalne czynniki Izraela stwierdziły posiadanie środka na „zneutralizowanie” tych pocisków. Czy nie będą nim pociski „Jerrycho” wytwarzane przez przemysł izraelski w rzekomej ilości sześciu miesięcznie? Mają one mieć zasięg do 480 km., i głowice (atomowe?) o wadze 1.000-1.500 funtów.

Użycie broni nuklearnej (choćby tylko taktycznej) może mieć szersze skutki niż straty egipskie. Wiadomo, że obsługę pocisków „nadzoruje” techniczny personel sowiecki. Na ogół odnoszę się sceptycznie do zdania o niebezpieczeństwie konfliktu na Bliskim Wschodzie dla pokoju światowego. Jednak, użycie (po raz pierwszy) broni atomowej przez Izrael, może wywołać nieprzewidziane reakcje Sowietów.

Doszliliśmy w rozważaniach do punktu, kiedy należy odpowiedzieć na pytanie: co lepsze dla izraelskiego państwa — wojna czy pokój? Czy zwrot zawojowanych ziem lub ich znacznej części będzie zbyt wysoką ceną za pokój, uznanie istnienia Izraela. I dalsze konsekwencje pokoju: otwarcie kanału, stosunki gospodarcze ze światem arabskim, normalizacja finansowa? Czy może miał słuszość Dajan twierdząc, że lepsza wojna niż taki (?) pokój? Przypominam, że moje rozważania idą po linii, przede wszystkim, względów militarnych, zgodnie z twierdzeniem władz izraelskich o konieczności zatrzymania ziem okupowanych dających „bezpieczne granice”.

Przejrzyjmy poszczególne terytoria oceniając je pod względem

obronności Izraela. Zaczynamy od półwyspu Synaj i Kanału Sueskiego.

Ktoś z oficjalnych czynników Izraela określił Kanał jako do bry rów przeciwczołgowy. Zdaje mi się, że takie określenie jest zbyt skromne. Kanał (nawet w obecnym stanie zaniedbania) jest dość szeroki i głęboki, by zmusić stronę przekraczającą go do montowania forsowania ze wszystkimi jego trudnościami i komplikacjami. Więc: budowa środków przeprawowych, tak mostowych jak pływających; zmasowanie środków ogniowych przygotowawczych i wspierających; użycie desantów spadochronowych i z helikopterów itp.

Obrona kanału jest łatwiejsza niż granicy otwartej. W czasie przerw w działaniach (jak obecnie), do obsadzenia umocnień nadbrzeżnych wystarczą załogi bezpieczeństwa dozorujące i ew. alarmujące. Jednak muszą one być wsparte rezerwami zdolnymi do obsadzenia umocnień w momencie zagrożenia i ruchomymi oddziałami likwidującymi włamanie przeciwnika. Czas postawienia tych oddziałów w stan pogotowia i czas ich przybycia do akcji, musi być ściśle obliczony i zgrany.

Powyższe musiało pociągnąć za sobą zmiany organizacyjne w armii Izraela. Dotychczasowe lekkie jednostki stosowne do wojny manewrowej, musiały, częściowo, być zastąpione przez mniej ruchliwe ale wyposażone w większą ilość ciężkich środków ogniowych. W przewidywaniu ew. działań ofensywnych, musiała nastąpić rozbudowa saperkich oddziałów i środków przeprawowych.

A najważniejsze — dotychczasowa, zwycięska doktryna musiała ulec zmianom.

W działaniach przeciw Egipcjowi, mówiąc ściśle teoretycznie, przed Izraelem stoją trzy możliwości: natarcie, obrona stała i opóźnianie w oczekiwaniu na dogodny moment zwrotu zaczepnego.

Natarcie. Trudno przypuścić, by mogło mieć powodzenie bez poprzednich przygotowań trudnych do ukrycia przed obserwacją przeciwnika. Można, więc, wykluczyć jeden z podstawowych elementów izraelskiej doktryny: zaskoczenie. Szybkość działań, również może ulec zmianie, bowiem armia będzie działać na terenach zamieszkałych, nie, jak poprzednio, na pustyni. Wreszcie, lotnictwo izraelskie będzie, więcej lub mniej, skrzepowane w działaniach przez pociski S-2, S-3 i S-4 oraz najnowsze pościgowce sowieckie z ich „technicznymi doradcami”.

Obrona stała. Oszczędność sił ma duże znaczenie. Jest to główny plus tych działań. Z drugiej strony, inicjatywa (tak ważny czynnik w dotychczasowej doktrynie) przechodzi całkowicie do rąk przeciwnika. Umiejętne wykorzystanie sytuacji przez Egipt, może doprowadzić do przewlekłej wojny — dla Izraela fatalnej.

Opóźnianie. Po wstępnych walkach nad kanałem, izraelskie oddziały ustępują planowo w głąb pustyni, wykorzystując każdą

sposobność dla zadania strat przeciwnikowi. Posuwanie się w przód zmusza Egipcjan do rozluźnienia ugrupowania i nasuwa sposobność do ich skutecznego zaatakowania. Znowu, przynajmniej w początkowej fazie, inicjatywa zależy od przeciwnika. Działania opóźniające są trudne i wymagają wysokiej dyscypliny bojowej żołnierzy, a zrozumienia zadań przez dowódców — tego możemy się spodziewać od żołnierzy izraelskich.

Skuteczność działań izraelskich będzie w decydującym stopniu zależała od początkowego wyeliminowania (jak w 1967 roku) lotnictwa egipskiego. Czy tak kompletne zaskoczenie i zniszczenie uda się powtórnie? Przy całej nieudolności egipskich sztabów — można w to wątpić. Jeżeli nie, stu kilometrowy pas pustyni Synaj, na zapleczu frontu, staje się groźnym.

Yigal Allon tak określił wojskowe znaczenie Synaju w swoich pracach: „Półwysep Synaj może służyć jako buforowa strefa między Egiptem i Izraelem, jako odskocznia dla egipskiego ataku przeciw Izraelowi, ale także jako pułapka dla sił koncentrowanych dla takiego ataku”.

Zdanie powyższe sugeruje, że pustynia ta winna być na przedpolu, nie na zapleczu linii izraelskiej. Szersze wywody Allona potwierdzają tę opinię.

Obrona na Kanał nie tylko hamuje inicjatywę. Sto kilometrów otwartej pustyni przedłuża linie komunikacyjne zaopatrzenia i ewakuacji; utrudnia działania po liniach wewnętrznych. Jeżeli egipskie lotnictwo nie poniesie w pierwszej fazie wojny takiej klęski jak 1967 r. (lub powiedzmy odwrotnie: poniesie klęskę mniejszą niż wtedy) i będzie mogło działać — ten stukilometrowy pas otwartej pustyni może stać się wielkim kłopotem dla izraelskiego dowództwa.

Powyższa ocena strategicznej wartości Kanału Sueskiego i pustyni Synaj nie oznacza bynajmniej bym przewidywał przegraną Izraela w przyszłej, ewentualnej wojnie. Daleki jestem od podobnych przypuszczeń. Chcę jedynie wykazać, że zmiana sytuacji geograficznej pociąga za sobą zmianę sytuacji wojennej. Dotychczasowa doktryna, która zdała tak świetny egzamin, musi być odrzucona. Muszą być wypracowane nowe sposoby działań. Po sztabowcach izraelskich możemy się spodziewać, że nie będą gorsze od poprzednich. Na razie, prace na półwyspie rozwijają się w szybkim tempie. Buduje się nie tylko drożnię (zrozumiałe ze względów wojskowych) ale kibbutzim i moszawim. Wskazuje to na chęć zatrzymania tego terytorium na stałe. (Moszawim, l.p.: moszaw różni się od kibbutz tym, że nie jest wspólnotą lecz kooperatywą).

Z innych, spornych terenów, wzgórze Golan są konieczne do skutecznej obrony Izraela. Nawet w okresach pokoju (?) artyleria syryjska (nie partyzanci) ostrzeliwała skutecznie osiedla izraelskie. Problem ludnościowy nie istnieje — w rejonie pozostało jedynie kilkadziesiąt tysięcy Druzów. Ci, jak wiadomo, raczej sprzyjają Izraelitom niż Arabom.

Zachodnia Jordania. Głęboka dolina Jordanu jest dużą prze-

szkodą w wojennych działaniach. Mogłaby stanowić dobrą granicę. Przeciw takiemu rozwiązaniu przemawiają setki tysięcy Arabów zamieszkających Zachodnią Jordanię. Ze strategicznego punktu widzenia, ich obecność przekreśla korzyści granic na Jordanie. Cała Jeruzolima i poprawki graniczne w rejonie Jenin-Latrun są wszystkim co może przynieść Izraelowi korzyści strategiczne.

(Wiadomo, że wicepremier Yigal Allon przeprowadzał rozmowy z królem Husseinem na temat zachodniej części Jordanii. Jego propozycje sprowadzały się do oddania terytorium Jordanii, ale pod ciężkimi warunkami. Wzdłuż doliny Jordanu, po zachodniej stronie, 15-tokilometrowy pas ma być obsadzony przez kolonie izraelskie. Jedyne przejście, z jedynym mostem, ma łączyć wschód Jordanii z jej zachodem. Podobne rozwiązanie, satelicka zależność od Izraela, nie jest do przyjęcia ani dla króla ani dla ludności. Dla króla oznaczałoby śmierć polityczną, a może i fizyczną. Dla ludności — zupełna i poniżająca zależność od znielowidzonych Izraelczyków. Po rozprawach Jordanii z partyzantami, jest w ogóle pod znakiem zapytania stosunek palestyńskich Arabów do państwowości jordańskiej.

W rozmowach, próbował Allon rozwiązać inną kwestię — obszaru Gaza. Obiecywał Husseinowi Gazę z eksterytorialną drogą łączącą ją z wyżej wspomnianym przejściem na Jordanie. Tworzenie niebezpiecznych precedensów.

Gaza jest najtrudniejszym problemem do pokojowego rozwiązania. Mały skrawek terenu — jego posiadanie pociąga za sobą przejęcie 165 tysięcy palestyńskich rozbitków arabskich.

Wreszcie, port Ejlat i jego dojścia. Wydaje się, że nie tylko umocnienia egipskie blokujące dostęp do izraelskiego portu, winny być zniesione, ale wyspa Sharm el Sheikh winna przejść w ręce Izraela.

Na zakończenie, opinie w omawianych sprawach największego męża stanu nowoczesnego Izraela, Dawida Ben-Guriona:

Przed paru laty: Obszar dawnej Palestyny może wygodnie pomieścić 9 milionów Żydów i 6 milionów Arabów.

W bieżącym, 1971 roku: Z ziem zajętych w 1967 roku winniśmy zatrzymać Jeruzolimę i wzgórze Golan. Resztę zwrócić Arabom.

Tadeusz NOWACKI

Wellington, N.Z., 15 listopada 1971

## Widziane z Brukseli

„En avant, Messieurs!”

„Naprzód, panowie!” — wykrzyknął francuski minister spraw zagranicznych Schumann, kończąc tym wezwaniem do podjęcia przez Zachód ofensywy pokojowej swe przemówienie na grudniowej sesji NATO w Brukseli. Po czym udał się na obiad, jakże była już 12.30.

Trudno chyba o bardziej zwięzłe i bardziej trafne streszczenie ostatniego największego, dorocznego nabożeństwa atlantyckiego. Wszystkie wykrzykniki, a było ich w czasie tego nabożeństwa sporo, kończyły się winem i rozważnym kompromisem — jak Pan Bóg przykazał. Ceremoniał zaś był tym sprawniejszy, że mszę celebrował po raz pierwszy nowy pasterz atlantyckiej trzódki, p. Luns. Jest to rekordzista dyplomacji, przez 20 lat kierował holenderskim MSZ, zjechał cały świat, w 1970 roku odwiedził 110 krajów i — jak mówią złośliwi — dwa razy odwiedził nawet... Holandię. Ta znajomość świata i ludzi bardzo mu się teraz przydaje. Na tle swego poprzednika — bardzo zasadniczego i jakby stale przestraszonego Włocha, p. Brosio — Holender Luns sprawa wrażenia ognistego sycylijczyka.

Na szczęście są tutaj dziennikarze sowieccy i inni ze Wschodu. To oni jedyni poważnie traktują NATO, albowiem oni jedyni potrafią właściwie ocenić swobodę poruszania się i łatwy dostęp do informacji w lochach imperialistycznego spisku wojskowego. W Moskwie, jak wiadomo, nie wolno nawet znać adresu siedziby sztabu Armii Zbawienia zwanej tam Paktem Warszawskim. Zachwyty sowieckich kolegów nad bałaganem NATO nie zmniejszyła próba pewnego polskiego publicysty wojskowego, który łatwy dostęp do Pentagonu tłumaczył wyłącznie perfidią Waszyngtonu i demaskował jednocześnie gapiostwo (albo i coś więcej) jednego z naiwnych dziennikarzy warszawskich.

Odpowiadając na maczugowe pytanie jednego z dziennikarzy moskiewskich — zadane jak zwykle z wyjątkowym taktem i z takim-że akcentem — nowy sekretarz generalny NATO zauważył: „Cóż za odświeżający obiektywizm”.

Właśnie ów obiektywizm każe nam stwierdzić, iż w momencie otwierania sesji w Brukseli, panowała w NATO zupełnie nadzwyczajna atmosfera. Istotnie, w chwili gdy wpiąłem do klapy mój znaczek akredytacyjny (nr kolejny 584), już było nieuniknione zakończenie „drugiego piętra” rozmów berlińskich, Brandt i Bahr jeździli do Moskwy, na Krym i do Berlina wschodniego ot, tak na *week-end* i to w dodatku samolotem Wehrmachtu, z czarnym krzyżem na skrzydle. W chwili przerwy Brandt zdążył odebrać nagrodę Nobla i zaproponować ogólnoeuropejskie „buzi”, czyli



jeszcze jeden pakt, których Niemcy tak dużo proponowali a tak mało dotrzymani. Przyszły ambasador NRF w Warszawie już się pakuje, to samo nastąpi niedługo w odniesieniu do Pragi, jak tylko Breżniew poradzi Husakowi (patrz przykład Ulbrychta), aby nie psuć zabawy sudeckimi absurdami, Albania wymienia uściski z Jugosławią i Grecją, a prezydent Austrii jedzie do Włoch i wymazuje konflikt Górnej Adygi czyli austriackiego Tyrolu, przez co skazuje na niepamięć kolejną część naukowego dorobku pewnego marcowego doktora.

Jeżeli wyłączyć z naszych rozważań awantury i konflikty rozdzierające bratnie kraje socjalistyczne, te różne Macedonie, Besarabie, presje sowieckie na Ceausescu, miłość węgiersko-rumuńską, i słowacko-węgierską, jeżeli zapomnieć o salwach na murze berlińskim, nie mówiąc już o okupacji Czechosłowacji, to Europa przypomina oazę spokoju i pokoju. Tylko młodych ludzi taki stan nie dziwi. Dla pokolenia średniego i starszego Europa bez jabłka niezgody jest ciągle nie do pojęcia. Ale młodzi w ogóle dziś dziwni. U nas w domu tylko dorośli oglądają np. lądowania i spaceru na księżycu. Dla dzieci czyli młodzieży, to wszystko „banal i normalka”.

Ponieważ jednak — i może niestety — wbrew niektórym pozorom, w NATO zasiadają nie dzieci a dorośli, więc trudno się dziwić, że europejskie *dolce far niente* wzruszyło osiwiatych w zimnej wojnie dyplomatów i generałów. To chyba sprawiło także, że po raz pierwszy w karierze NATO ostatnią sesję komentowali oni w kategoriach sentymentalnych, słowami żalu.

Dwie ważne sprawy znajdowały się na początku dziennym polityków atlantyckich w Brukseli. Obie razem tworzyły rozdział określany jako „stosunki Wschód-Zachód”. Pierwsza z nich to MBFR, czyli projekt wzajemnego i zrównoważonego ograniczenia sił zbrojnych, druga — to ESC czyli europejska konferencja na temat bezpieczeństwa i współpracy. Obie sprawy startowały mniej więcej razem, choć z przeciwnych kierunków, obie się w Brukseli skrzyżowały i chyba należy je rozpatrywać łącznie, choć każdą z oddzielna (nie ma w tym nic paradoksalnego, takich skojarzeń za chwilę będzie więcej).

#### MBFR czyli nikt nie woła

MBFR, choć inicjały są angielskie, jest pomysłem frankofońskim i można by go przypisać ministrowi belgijskiemu Harmelowi, któremu w ogóle można przypisać wiele dziwnych pomysłów. To na jego wniosek sesja NATO w grudniu 1967 oznajmiła światu, że „sojusznicy studiuja właśnie kroki rozbrojeniowe” i że ma to wykazać „ich wolę działania w kierunku trwałego odprężenia ze Wschodem”. W czerwcu 1968 zbrali się Atlantydzi w Rejkjawi na Islandii. Ożywionych gorącą — mimo zimnego klimatu — wolą pokoju 14 państw uczestniczących w programie obronnym wspólnoty, bez Francji, która jak wiemy od 1966 roku uwa-

ża, że może bronić się sama — 14 więc państw uznało, że należy zaproponować negocjacje na temat MBFR i zaprosić kraje Wschodu do „przyłączenia się do poszukiwań pokoju”. Propozycja ta uzupełniona została wyliczeniem zasad, które miały przekonać ew. kotraherentów, że chodzi tylko o to, aby ten sam stopień bezpieczeństwa i równowagi osiągać znacznie mniejszym kosztem i „w klimacie zaufania” i że niczego w rękawie nie ukrywają, na co udzielono Wschodowi uroczystego słowa honoru.

Odpowiedziała Atlantykowi głucha cisza. Nikt nie wołał. Poza Czechami i Słowakami. W odpowiedzi na apele rozbrojeniowe agresywnego paktu atlantyckiego, pokojowy pakt warszawski najechał Czechosłowację okupując jej ziemie i zapewniając pokój w tej części Europy. Szalenie zaskoczony Zachód nie wiedział zrazu jak ma to potraktować. Ale szybko się otrząsnął i już w listopadzie, czyli w dwa miesiące po inwazji, w chwili kiedy tow. Breżniew w gościnie u wiernego syna polskiej klasy robotniczej, tow. Gomułki, referował przed V Zjazdem PZPR zasady swej nieistniejącej rzekomo doktryny — teoretycznie wyjaśniającej sens okupacji Czechosłowacji — rada Paktu Atlantycznego doszła do przenikliwego wniosku, że „wymienione czynniki poważnie oddalają perspektywę ograniczenia sił zbrojnych”.

Słowo „poważnie” okazało się względne. Tak więc już niedługo, bo w kwietniu 1969 na sesji w Waszyngtonie ministrowie NATO przypomnieli deklarację z Rejkjawi, nieśmiałym gestem ponawiając zaproszenie ZSSR do stołu. Ten jednak zajęty był czym innym i NATO znowu zainkasował kosza. Ale się nie obraził i w Brukseli, w grudniu 1969, ponownie rozmarzył się na temat „powszechnego rozbrojenia, MBFR, przygotowania negocjacji...” itd., itp. Cichy monolog NATO i cisza na Wschodzie trwały aż do maja 1970, kiedy to zebrana w Rzymie niczym niezróżniona rada NATO poleciła „przeprowadzić poważne badania dla potrzeb wstępnych rozmów w sprawie MBFR”. Zaproszono do udziału „zainteresowane kraje, ze szczególnym uwzględnieniem rejonu centralnej Europy” i polecono nawiązać dwustronne kontakty z kim się da.

#### Tbilisi czyli echa kafeterii

W Rzymie panowała wówczas piękna pogoda i nikt naturalnie nie traktował poważnie MBFR. Aż nagle coś zadzwoniło na Wschodzie. W czerwcu 1970 zbrali się mianowicie w Budapeszcie ministrowie spraw zagranicznych państw Układu Warszawskiego i, jak gdyby nigdy nic, tak jakby chodziło o coś zupełnie nowego, zaproponowali aby „rozpatrzeć sprawę ograniczenia zagranicznych sił zbrojnych stacjonujących na terytorium państw europejskich...”. Propaganda na Wschodzie natychmiast nazwała ten pomysł „nową doniosłą inicjatywą pokojową obozu socjalistycznego”. I chyba miała rację, bo choć nikt na Wschodzie nie miał złudzeń co do względnie dalekiej perspektywy wycofania czy

choćby ograniczenia garnizonów sowieckich, sprawujących funkcje, przede wszystkim okupacyjne, w NRD czy Czechosłowacji, w Ewre radości nie było końca a maszyna atlantycka ruszyła ze zdwojonym entuzjazmem. Szybko też, bo już w grudniu 1970, rada NATO sprytnie stwierdziła, że „aczkolwiek Pakt Warszawski nie odpowiedział wprost na deklaracje z Rejkjawi i z Rzymu, to NATO ponawia swoje propozycje, z tym że w ramach MBFR można naturalnie rozpatrzyć także problem obcych wojsk stacjonujących w Europie”.

Teraz już deklaracje — ciągle co prawda nie wprost i niezupełnie na temat — zaczęły się mnożyć. Zabrał głos sam Breżniew, niewątpliwy już wówczas wyłączny właściciel ZSSR. Na 24 zjeździe KPZR w marcu 1971, a potem w maju w Tbilisi, mówił o redukcji zbrojeń, o której, jak wynika z jego słów, ZSSR wprost marzy i do czego zawsze w historii zmierzał. Mimo, że Tbilisi, gród Józefa Wisarionowicza, kojarzy się raczej z lakonicznym stylem „ojca narodów”, Breżniew wysmagał NATO biczem satyry, a więc bronią raczej Chruszczowa. Wyśmiewając mianowicie ciekawskich polityków od rozbrojenia z NATO, Breżniew dowcipnie zauważył, że „przypominają oni kogoś, kto chciałby poznać smak wina, nie skosztowawszy go”. Chcecie się napić, zawołał Breżniew, prosimy do stołu rokowań!

Musiało jednak zajść chyba jakieś nieporozumienie. Rada NATO spotkała się mianowicie w czerwcu 1971 w Lizbonie, gdzie ochoczo — mimo wybuchów bomb podłożonych przez niechętnych prawdopodobnie rozbrojeniu portugalskich guerilleros — odpowiedziała na zaproszenie Breżniewa i wyraziła natychmiast „gotowość wydesygnowania jednego lub kilku przedstawicieli dla przeprowadzenia rozmów w sprawie ustalenia czasu, miejsca, procedury i porządku dziennego obrad nad wzajemnym i zrównoważonym ograniczeniem sił zbrojnych w Europie”.

Lizbonie odpowiedziało jednak tylko echo w kafeterii NATO w Brukseli. Na Wschodzie zaś panowała zupełnie konkretna cisza. Wynikało z niej, że NATO nie powinien się spieszyć z desygnowaniem „jednego lub kilku”, bo nie przysła jeszcze jego pora. To znaczy pora MBFR. Bo poza tym to i Breżniew i Kosygin i Gromyko mówili kilkakrotnie o tradycjach rozbrojeniowych ZSSR i jego nieustającej w tej dziedzinie trosce, o światowych konferencjach, wycofaniu flot. Gromyko wspominał nawet w uspionym ONZ, że „doniosłe inicjatywy rozbrojeniowe ZSSR spotkały się z ogromnym echem na świecie...”.

Tylko propozycje NATO, mimo, że młode i świeże, ciągle nie miały powodzenia. Aby skuteczniej kusić szatana, postanowiono podesać mu odaliskę w postaci p. Manlio Brosio, emerytowanego sekretarza generalnego NATO. 5 października NATO uroczysto powierzyło temu powabnemu Włochowi „misję przedłożenia na Wschodzie poglądów państw sojusznicznych co do zasad redukcji wojsk oraz zbadania intencji i reakcji swych rozmówców...”.

P. Brosio ostro zabrał się do roboty, przygotował *dossier*, bo

już na grudniowej sesji NATO miał przedłożyć wyniki tzw. sondaży. Od tej chwili, po zabukowaniu miejsca „open” w Aero-flocie, p. Brosio z samouczkiem w ręku czeka na walizkach na zaproszenie Kremla. Na sesję grudniową już nie zdąży, ale...

### ESC czyli dialog głuchych

Jeżeli propozycje rozbrojeniowe NATO, rzeczywiście nie na czasie i niepoważne, nie napotkały poważniejszego echa na Wschodzie, to nie znaczy to wcale, że *ex oriente* żaden *lux* nie nadchodził. Podobnie jak Zachód wymyślił MBFR, Wschód miał swoją ESC czyli europejską konferencję w sprawie bezpieczeństwa i współpracy.

Żeby nie sięgać zbyt daleko w przeszłość, gdzie roi się od pokojowych i konferencyjnych inicjatyw Wschodu, udajmy się do Bukaresztu. Jest cudowny lipiec 1966 roku. Ze stolicy Rumunii idzie w świat deklaracja państw socjalistycznych. Choć na owym etapie nie można było pominąć „zachodnio-niemieckich rewanżystów” to główny akcent położony był w tej deklaracji na odwieczne ideały pokoju, wolności, no, w skrócie na to czym na co dzień żyje przeciętny obywatel ZSSR. Dowiedzieliśmy się, że marzeniem Paktu Warszawskiego jest, aby „wszystkie kraje łączyły dobrosąsiedzkie stosunki, oparte o zasady niepodległości, suwerenności, nieingerencji i wzajemnych korzyści”. Ma zapanaować pokojowe współistnienie, bez żadnych presji, grózb i szantażów. Bloki wojskowe — rzecz niedobra, trzeba je rozwiązać, trzeba także zlikwidować obce bazy i trzeba utrwalić wszystkie istniejące granice w Europie. I wreszcie, trzeba to wszystko przedyskutować na specjalnej konferencji, która by ustanowiła system kolektywnego bezpieczeństwa w Europie.

Deklaracja nie odniosła największego sukcesu na Zachodzie. Uważano tu, i słusznie, że warto by, aby ZSSR zaczął od zastosowania tych zasad najpierw u siebie. Sceptycyzm ten nie zmalął, mimo, iż niedługo po Bukareszcie, 24 partie komunistyczne i robotnicze spotkały się u wód w Karlovych Varach i uchwałyły kolejny dokument przeniknięty duchem miłości bliźniego. Nieufny NATO miał, jak się okazało, rację bo wkrótce w pokojowej ofensywie ZSSR nastąpił antrakt potrzebny na najechanie Czechosłowacji. Przerwa nie trwała jednak długo i w celu zatarcia niemiłych czechosłowackich śladów już w marcu 1969 rozlega się z Budapesztu „Apel Paktu Warszawskiego do wszystkich krajów Europy”. Wreszcie, aby było śmieszniej, to właśnie w „znormalizowanej” Pradze w październiku 1969 Pakt Warszawski radośnie, choć nieco przedwcześnie wyraża zgodę na propozycję rządu fińskiego podjęcia rozmów przygotowawczych do konferencji, która miałaby odbyć się w Helsinkach.

Zachód ciągle się ociągał, bo jednak pamiętał Pragę z innego okresu, ale jasne już było, że dyskusji na temat konferencji uni-knąć nie potrafi. Opinia chciała odprężenia, a na Zachodzie trze-

ba się z nią liczyć, małe zachodnio-europejskie nacjonalizmy też w rozmaity sposób sprawę konferencji wygrywały, w sumie chodziło już tylko o wytargowanie najlepszych warunków. Dlatego w znanej nam już deklaracji z Rzymu rada NATO w maju 70 wyraziła „gotowość podjęcia wielostronnych kontaktów, których jednym z celów będzie zwołanie jednej lub wielu konferencji na temat bezpieczeństwa w Europie” dodając naturalnie, że MBFR stanowi integralną część wszelkiego bezpieczeństwa europejskiego.

Potem poszło już szybko. Zawarcie przez NRF traktatów z Moskwą i Warszawą, początek pacyfikowania sytuacji w Berlinie, wielostronna ofensywa Sowietów w celu uwiecznienia terytorialnego *status quo* w Europie, tak aby móc spokojnie stawiać czoła nowej dyplomacji Mao i Nixona (rezultaty widać już w Pakistanie wschodnim), to wszystko sprawiło, że kolejne narady NATO w Brukseli w grudniu 1970 i w Lizbonie w maju 1971 oraz Paktu Warszawskiego w Berlinie w grudniu 1971 i w Bukareszcie w lutym 71, zajmowały się właściwie tylko ustalaniem pozycji wyjściowych do konferencji. Oczywiście protokolarnie przypominało to w dalszym ciągu dialog głuchych z kategorii „Czy idziesz na ryby? — Nie, nie mogę, bo idę na ryby”, ale w istocie chodziło już o program, do którego np. zachodni spryciarze starali się przemyścić, obok sprawy rozbrojenia, takie głupstwa jak swoboda podróżowania, wolny ruch idei, prasy, informacji, niektórzy wspominali nawet o zagłuszeniu radia, ech...

I tak zbliżył się grudzień 1971 i brukselska sesja NATO. Dojechaliśmy do niej więc drugim torem bo na pierwszym, jak już wiemy, ciągle jeszcze siedział p. Brosio.

#### Faza „W-D” czyli triumf trzeciej szkoły

Napięcie panowało tu ogromne. Zgodnie bowiem z tradycją, zawsze przed sesją atlantycką zbierał się jakiś organ Paktu Warszawskiego i niezawodnie podrzucał coś interesującego Brukseli. Tym razem także wydawało się, że w obu interesujących nas sprawach coś się stanie, i że albo się mur berliński zachwieje, albo p. Brosio ruszy z miejsca.

I rzeczywiście. Na 1 grudnia zapowiedziano w Warszawie konferencję ministrów spraw zagranicznych bloku wschodniego. No, powiedziano w Brukseli, trzymajmy się, to będzie bomba. Ale już 2 grudnia było po wszystkim. Z Warszawy do Brukseli nie tylko nie podrzucono bomby, ale zabrakło nawet maleńkiej choćby petardy. Komunikat był bowiem nijaki i nie wiadomo było faktycznie po co się w ogóle ministrowie spotkali.

Ale od czegoś fachowcy. Brukselscy kremlinolodzy od razu zauważyli, że ministrowie na Wschodzie to betka, nikt się z nimi nie liczy, bo nic nie mają do gadania. Zebrali się zaś tylko po to, aby przygotować konferencję szefów, którzy zjeżdżają do

Warszawy aby uczestniczyć w koronacji Gierka przez VI zjazd PZPR. I co? Znowu nic. Trudno się zresztą dziwić Breżniewowi, że nie miał w Warszawie czasu na fidryganki. Zajęty był właśnie wyzwaniem Bengalu przez Indie, gdzie ZSSR odniósł swoje pierwsze poważne zwycięstwo w konflikcie z Chinami. To w związku z tym właśnie Breżniew zniknął z Warszawy od razu po wygłoszeniu banalnego tekstu w drugim dniu obrad i pojawił się ponownie dopiero na końcowym sabacie.

W takich okolicznościach trudno było nie mówić o NATO w kategoriach sentymentalnych. Żal tu był ogromny i zawodu nie ukrywano. Taki kawał w takiej chwili. „Cały pogrzeb na nic” i rozpoczynająca się w tych warunkach sesja skazana była z braku tzw. „hinty” ze Wschodu na „przejęciowość”. Tylko szefowie sztabu i ministrowie obrony, którzy na żartach się nie znają, szybko załatwili swoje interesy. Bez Francji, która woli „sama” itd., 14 ministrów zatwierdziło program „AD-70” czyli kilka dodatkowych miliardów dolarów na zbrojenia w latach siedemdziesiątych (tylko w roku 1971 kosztuje to powabną sumę ok. 106 miliardów dolarów), przejrzeni stan obecności sowieckiej na Morzu Śródziemnym i gdzie indziej, powiedzieli, że nie trzeba się martwić, bo na razie Amerykanie z Europy nie wyjeżdżają, po czym załatwiwszy, jak widzimy, coś raczej przeciwnego do powszechnego rozbrojenia, oddali salę i głos politykom i cywilom.

Przez dwa dni ścierały się tu następnie dwie szkoły. Jedna sceptyczna, reprezentowana przez Rogersa, Scheela i Douglas-Home, chciała uzależnić zgodę na konferencję europejską od podpisania przez ZSSR całości układu o normalizacji w Berlinie. Oznaczało to zwłokę kilku dobrych miesięcy, albowiem Rosja czeka z kolei na procedurę ratyfikacyjną układów NRF z PRL i ZSSR. Druga szkoła, optymistów, reprezentowana przede wszystkim przez radośnie pokrzykującego min. Schumanna, gotowa była zasiąść do blinów z kawiozem, natychmiast, już, od razu, po dogadaniu się Niemców między sobą, co było kwestią godzin.

W tej sytuacji wygrała naturalnie szkoła trzecia. Reprezentowana ona jest zawsze przez belgijskiego ministra Harmela, bezkonkurencyjnego mistrza kompromisu w polityce. Min. Harmel jest tak ceniony za swą łatwość omijania konkretnych, że mimo, iż przegrał niedawno wybory, został „senatorem z kooptacji”, aby móc pozostać w nowym rządzie belgijskim (formalnie nie jest to warunek niezbędny, ale faktycznie ostatni belgijski minister spraw zagranicznych spoza parlamentu umarł w I połowie XIX wieku).

#### Europa czyli hiszpańska oberża

Otóż min. Harmel wychodząc ze słusznego założenia, że coś trzeba powiedzieć w komunikacie, ale że nie ma sensu uwieczniać nieważnych rozbieżności — ponieważ Helsinki są i tak nieuniknione, i nie zależą od deklaracji NATO w Brukseli — zapro-

ponował przejście do czegoś co nazwał „fazą wielostronnie-dwustronną”. Ta genialna formułka pozwoliła wszystkim na podpisanie komunikatu i dość wczesne udanie się na obiad, czyli śniadanie. W istocie oznacza to, że ambasadorowie zainteresowanych państw podejmą kontakty z fińskim rządem w celu przygotowania wstępnych rozmów do podjęcia przygotowań w sprawie zasad organizacji konferencji. Ten bełkocik oznaczać może wszystko i nic, nikogo do niczego nie zobowiązuje i pozwala na utrzymanie przez NATO i w ogóle przez Zachód tego cudownego statutu „hiszpańskiej oberży”, w której gość zjada tylko to, co sam przyniósł.

Oczywiście w Brukseli, nikt nie dramatyzował sytuacji. Szalenie zaferowani dyplomaci przemierzali korytarze z teczkami pod pachą i z minami „na 5 minut przed dwunastą”, choć wszyscy świadomi byli, że — jak mnie pocieszał pewien strateg w barze NATO: „Niech się pan nie załamuje, trudno było przecież odpowiedzieć fajerwerkiem na warszawskie pudło”.

Dzięki środkom zastosowanym w barze doszedłem szybko do siebie. Tym szybciej, że i mój strateg, i ja, i wszyscy inni wiedzą, iż decyzje, te naprawdę ważne nie zapadają ani w Warszawie ani w Brukseli. Oderwanie od rzeczywistości było tak wielkie, że w Brukseli ledwo wspomniano o prawdziwej wojnie w Azji. Dopiero kiedy na jednym z *briefing*’ów pewien niedyskretny dziennikarz zapytał: „A Bengal?”, minister odparł: „Ach, byłbym na śmierć zapomniał. Naturalnie, to ważna sprawa, mówiliśmy o tym z głęboką troską”.

Jakby na zamówienie i na potwierdzenie poglądu o ograniczonym znaczeniu sesji NATO, natychmiast potem jak Bruksela opustoszała, Niemcy podpisali oba układy a Brandt wszczął procedurę ratyfikacyjną.

A u nas znowu zapanowała radość. Wszyscy się cieszą, że Zachód odniósł tak świetny sukces i że w wyniku ostrej dyplomacji i potęgi NATO, zachodni Berlińczycy będą mogli bez obawy o postzerlenie spędzić 30 dni w roku u swych rodzin po drugiej stronie muru (na piechotę, bo autem nie wolno) i że Niemcy z NRF będą mogli jeździć do Berlina zachodniego bez ryzyka spędzenia kilku nocy na odprawie celnej lub nieco dłuższego czasu w kryminale suwerennej NRD. W zamian za to mianujemy NRD państwem demokratycznym i jak tylko się da, to w oczekiwaniu na Helsinki, nawiążemy z nią stosunki dyplomatyczne.

A za dusze mordowanych na murze co jakiś czas, ryczałem, będziemy dawać na msze żałobne.

I tylko p. Brosio, jak ten operowy śpiewak-nieboszczyk będzie powtarzać słabnącym głosem: „Już idę, idę, idę, idę...”.

Dosiego roku!

BRUKSEL CZYK

Pisane 14 grudnia 1971 r.

**Kraj**

## Uwagi do „Wytycznych” na VI Zjazd PZPR

Za punkt wyjścia „Wytycznych” przyjęte zostały — jak najślusniej — wydarzenia grudniowe 1970 roku. Było to wstrząs, który zmusza do nowego spojrzenia na wiele zasadniczych spraw i narzuca szczególnie ostre kryteria oceny przeszłości i programu na przyszłość.

Wychodząc widocznie z tego założenia autorzy „Wytycznych” koncentrują się w ocenie pięciolecia 1966-1970 głównie na drugiej połowie okresu, a zwłaszcza na ostatnich dwóch latach, w których najjaskrawiej wystąpiły sprzeczności społeczno-ekonomiczne i polityczne, narastające aż do grudniowego wybuchu. Trudno negować, że w tym właśnie okresie — po znanych wydarzeniach 1968 roku, określanych kryptonimem „marcowe” — sytuacja uległa gwałtownemu pogorszeniu; zamknięcie ostatnich możliwości wyrażania krytycznej opinii dało ówczesnemu kierownictwu partii i państwa poczucie nieograniczonej swobody autokratycznego działania, które doprowadziło i w tych warunkach do prowadzić musiało do grudnia.

Mimo to, sądzę że w analizie kryzysu grudniowego (i tym samym w wyciągnięciu wniosków na przyszłość) należałoby unikać zbyt kategorię przeciwwstawiania sobie dwóch faz pięciolecia 1966-70; widziałbym nawet potrzebę sięgnięcia znacznie dalej wstecz — aż do przełomu 1956 i przyczyn krótkotrwałości jego wpływu na dalszy socjalistyczny rozwój Polski. Pozwoliłoby to m.in. odpowiedzieć na pytanie, dlaczego skutki 1968 roku wystąpiły tak szybko, tak głęboko i tak tragicznie. „Marzec” był nie tyle samodzielnym źródłem, ile przejawem zaostrzających się sprzeczności między potrzebami społecznymi a prowadzoną polityką; próba uchylecia się od rzeczywistego rozwiązania i zastąpienie go brutalnym uderzeniem pięścią przyspieszyła tylko procesy deformacyjne i zwielokrotniła siłę wstrząsu. Uwagi powyższej nie należy traktować za pedantyczną poprawkę historyczną”, o którą nie warto kruszyć kopii w obliczu dominującej roli

zadań na dziś. Sprawa dotyczy zasięgu koniecznej odnowy — czy objąć ma jedynie złą praktykę ostatnich lat, czy też coś znacznie więcej. O tym, jak wielki zasięg tendencji odnowicielskich przypisuje się nowej polityce partii świadczyć może wypowiedź jednego z uczestników dyskusji na XI Plenum KC PZPR, 4. IX. 1971 roku. Zastępca członka KC, górnik przodowy w kopalni „Polkowice” Tadeusz Kosenko mówi: „Nie będzie przesady, jeśli stwierdzę, że po raz pierwszy w programie rozwoju społeczno-gospodarczego kraju na plan pierwszy stawia się człowieka oraz jego potrzeby materialne i duchowe” (*Trybuna Ludu*, z 5. IX. 1971). Jest oczywiście przesada w tym twierdzeniu (wrócimy do niego niżej), ale fakt, że robotnik i zarazem działacz partyjny wysokiego szczebla tak radykalnie ocenia dokonujący się zwrot, ma swoją wymowę. „Wytyczne” są pod tym względem mniej śmiałe — na tyle mniej, że wręcz wpadają w niekonsekwencję: w pkt. 18 mówi się, że uchwały V Zjazdu Partii „wytyczyły prawidłową linię generalną dalszego budownictwa socjalizmu w Polsce i ustaliły zgodne z potrzebami społecznymi cele w podstawowych dziedzinach życia, a w pkt. 24, krytycznie podsumowując pozjazdową rzeczywistość, stwierdza się, że „szczególnie negatywny wpływ na całość gospodarczej i społecznej polityki w tym okresie wywarł brak długofalowej koncepcji społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju”. Wydaje się, że źródła tej niekonsekwencji tkwią w przestarzałym i szkodliwym schemacie, że partia ma zawsze słuszną linię generalną, że jej najwyższe statutowe organy (zwłaszcza zjazdy) podejmują wyłącznie prawidłowe uchwały — natomiast ujemne zjawiska w praktyce są skutkiem błędów i wypaczeń niewiadomego pochodzenia.

A przecież, jeśli uważnie przypatrzeć się niektórym konkretnym punktom „Wytycznych”, to okaże się, że zmieniają one, czasem radykalnie, również podstawowe składniki dotychczasowej polityki. Oto np. pod koniec pkt. 37 czytamy: „po trzecie — powinniśmy zapewnić import zbóż i pasz treściwych zgodnie z potrzebami rozwoju produkcji zwierzęcej”. Za tym skromnym stwierdzeniem kryje się odwrócenie kierunku, który co najmniej przez lat siedem ciążył jak zmora nad gospodarką kraju i warunkami życia ludności. Mowa, rzecz jasna o likwidacji za wszelką cenę importu zboża i pasz. Temu celowi, traktowanemu jako nadrzędny gospodarczo i politycznie, nieledwie jako probierz patriotyzmu, podporządkowano proporcje produkcji roślinnej i zwierzęcej (planowe ograniczenie tempa wzrostu tej ostatniej), strukturę — wybitnie jednostronną — ogromnych inwestycji w rolnictwie i w przemyśle obsługującym rolnictwo, politykę cen i skupu, wreszcie politykę cen detalicznych, która dwukrotnie w ciągu pięciolecia — w 1967 i w 1970 roku — na kryzysowe skutki przyjętej strategii reagowała w jeden i ten sam sposób: podwyżką ceny mięsa. Gdyby nie dotkliwie konsekwencje, można by potraktować wyniki mechanicznego dążenia do samowystarczalności zbożowej jako rzadkie *curiosum*: sam cel nie został osiągnięty (ogólna ilość sprowadzonych zbóż i pasz była w pięcioleciu

1966-70 prawie taka sama jak w poprzednim pięcioleciu, zaś w ostatnim roku, 1970, import wyniósł ponad 2.800 tys. ton, czyli powyżej poziomu 1965 roku, a czterokrotnie wyżej niż przewidywało odpowiednie zadanie (planowe), natomiast negatywne rezultaty proklamowania i nastawiania się na realizację programu autarkii zbożowej wystąpiły w całej rozciągłości. Przy czym autorzy programu nie mogą uchylać się od odpowiedzialności np. przez powoływanie się na brak dostatecznego rozeznania, gdyż byli w porę wyraźnie i kompetentnie przestrzegani, a to, że nie skorzystano z możliwości wszechstronnej i publicznego rozważenia przedstawianych wówczas argumentów — czasem wręcz alarmów — jest tylko jeszcze jednym przykładem metod, używanych przy podejmowaniu decyzji najwyższej wagi.

Zacytowane sformułowanie pkt. 37 „Wytycznych” przywraca całej tej sprawie zdrowy rozsądek: polityka importu zbóż i pasz ma być podporządkowana nie ambicjonalnym dogmatom, nostalgicznie nawiązującym do nieaktualnych tradycji, lecz po prostu potrzebom — z uwzględnieniem realnych możliwości. A czyniąc to i wiążąc z programem szybszego niż w innych działach rolnictwa rozwoju produkcji zwierzęcej (patrz: pkt. 65) „Wytyczne” poddają rewizji (tak — rewizji) jeden z pierwszoplanowych elementów generalnej linii polityki gospodarczej, zapisanych w uchwałach dwóch kolejnych zjazdów partii — IV w 1964 i V-tego w 1968 roku. I nie ma się czego wstydić, wręcz przeciwnie — właśnie otwarte przyjęcie takiej postawy może podzielać wychowawczo w najlepszym sensie, pobudzając ludzi do kontrowersyjnego angażowania się w sprawy zasadnicze, które dotąd prezentowano im w postaci uświęconego, paralizującego tabu.

„Wytyczne” poddają rewizji nie tylko szereg konkretnych rozwiązań przyjmowanych w poprzednim okresie, lecz również ogólne ujęcie wzajemnego stosunku pomiędzy celami a środkami w programie działania. Na czoło wysunięte zostały cele — pełniejsze zaspokojenie potrzeb materialnych i kulturalnych, bardziej sprawiedliwy podział dochodu, większe szanse awansu i zaspokojenia aspiracji, lepsze stosunki międzyludzkie. Zmiana to istotna — i w stosunku do ostatnich dwóch lat minionego pięciolecia, i w stosunku do znacznie dłuższej praktyki.

Ocena zawarta w przytoczonej wypowiedzi Tadeusza Kosenki nie jest więc pozbawiona podstaw. Przesada polega natomiast na twierdzeniu, że spotykamy się z tego rodzaju ujęciem dopiero po raz pierwszy. To nieprawda — „Wytyczne” mają do czego nawiązywać w przeszłości i powinny nawiązanie to ukazać. Chodzi mi znów, jak łatwo się domyśleć, o przełom 1956 roku i kilkuletni okres następny, mniej więcej do III zjazdu PZPR. Opracowany w tym właśnie okresie plan pięcioletni 1956-60 wychodził z konieczności osiągnięcia maksymalnie możliwego postępu w dziedzinie zaspokojenia potrzeb społeczeństwa, a rozstawienie sił i środków rozpatrywał z punktu widzenia tego nadrzędnego kryterium. Oczywiście każdy okres ma swoje niepowtarzalne cechy, które nie pozwalają na powierzchowne mechaniczne porównanie, ale

trzeba pamiętać (właściwie przypominać, bo dla wielu dorosłych Polaków jest to przeszłość znana tylko z przekazów), że był to okres najszybszego w historii ćwierćwiecza<sup>1</sup> wzrostu stopy życiowej ludności, zwłaszcza płac realnych. Planowany na pięć lat 30 % wzrost płac realnych w stosunku do 1955 roku został osiągnięty z nadwyżką w czwartym roku (1959), a wynik końcowy dla 1960 roku — mimo zarysowującego się już zwrotu na gorsze — wykazał wzrost przeciętnej płacy realnej o 29,1 % (dane, podobnie jak w całym artykule, z roczników statystycznych GUS).

Choć na pierwszy rzut oka zakrawa to na paradoks, to jednak trudno uznać za przypadek, że poprzednie kierownictwo PZPR niechętnie wracało do październikowych osiągnięć, podobnie jak nie przypadkowo ze zbiorów wypowiedzi Władysława Gomułki, wydawanych w latach 1968-70 usunięto nie tylko przemówienie do robotników Poznania, lecz również programowe wystąpienia na VIII Plenum KC PZPR w 1956 roku. Późniejsze lata nie mogły po prostu wytrzymać porównania z zapowiedziami i okresem bezpośrednio popaździernikowym pod żadnym względem — ani metod rządzenia, ani odczuwanych przez ludność wyników. Zgodnie z uchwałą III Zjazdu KC PZPR, okres planu 1961-65 powinien był przynieść 23 % wzrost przeciętnej płacy realnej w stosunku do 1960 roku — faktyczny rezultat wyniósł niecałe 8 %, a w stosunku do 1959 roku zaledwie ok. 6 %, co nie sięga nawet granicy zwykłego w takich obliczeniach błędu statystycznego. Wynik taki — przy stosowaniu prawidłowych kryteriów — powinien był być przez partię oceniony jako katastrofalne niewykonanie planu i wywołać kategoryczne zalecenie kompensaty w następnym okresie. IV Zjazd tego nie uczynił, biernie przyjmując program przedstawiony przez kierownictwo, które w okresie przedzjazdowym arbitralnie odrzuciło jedyną konstruktywną propozycję podniesienia planu spożycia i nie dopuściło nawet do jej dyskusji. W planie przyjętym na podstawie wytycznych Zjazdu wskaźnik wzrostu płacy realnej „urealniono” w ten sposób, że obniżono go tym razem do 10 % na całe pięćdziesiąt lat 1966-70... Według danych GUS wskaźnik ten osiągnięto z 0,5 % nadwyżką.

V Zjazd także nie sformułował wprost zadań w dziedzinie płacy realnej. Sądząc jednak po limitach wzrostu płac nominalnych w opracowanym na Zjeździe systemie bodźców oraz uwzględniając przeciętny wzrost kosztów utrzymania tylko w skali oficjalnie rejestrowanej w poprzednim okresie (8 % za 5 lat) — można było oczekiwać w najlepszym przypadku rezultatów podobnych do tych, jakie osiągnano w 1959 roku, tzn. — ogólnie mówiąc — niewiele znaczących ekonomicznie i społecznie.

Zarówno na IV jak i na V Zjeździe o wiele chętniej niż płacą

1. Pomijamy pierwsze lata powojennej odbudowy, kiedy tempo poprawy mogło być wyższe, gdyż często zaczynano niemal od zera, a cały proces miał zupełnie inny charakter, wykluczający w ogóle porównania z normalnymi etapami rozwojowymi.

realną operowano wskaźnikami wzrostu dochodów realnych na 1 mieszkańca. Wskaźniki te kształtowały się dużo pomyślniej niż płace (dynamika wyższa ponad dwukrotnie), gdyż pozostawały pod wpływem silnego przyrostu zatrudnienia pozarolniczego. Jednakże długotrwałe utrzymywanie takiej struktury podnoszenia dochodów ludności — dominująca rola przyrostu zatrudnienia przy niewiele odbiegającym od stagnacji przeciętnym wzroście płac — musiało dawać coraz bardziej ujemne skutki społeczne i ekonomiczne. Rozluźniły się, a w wielu przypadkach wręcz uległy zerwaniu, związki między lepszym wykonaniem danej pracy a wzrostem dochodów rodziny. Niski poziom i słaba dynamika wzrostu płac stały się dotkliwymi przeszkodami na drodze podnoszenia wydajności i poprawy stosunku do pracy.

„Wytyczne” na VI Zjazd świadczą o zrozumieniu tej doniosłej sprawy. Zadanie wzrostu płacy realnej zostało w nich sformułowane niedwuznacznie i wysunięte na czoło celów planu. Trudno ocenić z zewnątrz — bez znajomości szczegółowych materiałów — czy 17-18 % wzrost rzeczywiście wyczerpuje wszystkie możliwości; w każdym razie powinien to już być rząd wielkości odczuwalnych — ponad granicę błędu i efektów tzw. automatycznego ruchu płac, związanego z przeszerogowaniami z tytułu podnoszenia kwalifikacji, wysługi lat itp. Przy porównaniach 1956-59 trzeba mieć ponadto na uwadze że w czekającym nas okresie wzrost płac będzie musiał iść w parze z tworzeniem miejsc pracy dla znacznie większej ilości osób niż wówczas.

W 1956 roku — podobnie jak w 1971 — zasadnicza zmiana miejsca potrzeb ludności w planach gospodarczych dokonana została w warunkach silnej presji społecznej, w szczególności po dramatycznych wystąpieniach robotniczych. W latach następnych presja stawała się coraz mniej widoczna — była bowiem coraz bezwzględniej eliminowana — a procesowi temu towarzyszył nawrót do dawnych metod rządzenia i planowania, przede wszystkim zaś do metody rozwiązywania każdej trudności i nieudolności gospodarczej kosztem zaspokożenia potrzeb ludności. Doświadczenie to powinno posłużyć do wyciągnięcia poważnych wniosków, nie bacząc na złożoność i delikatność problemu. Intencje — nawet najlepsze i najszczerze — nie stanowią dostatecznej gwarancji utrzymania polityki na kursie przyjętym w dobre wielkiego rachunku sumienia. Gwarancją taką może dać jedynie stworzenie przesłanek do stałego działania presji z dołu, zwłaszcza ze strony klasy robotniczej. Nie waham się użyć słowa presja chociaż zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że może się stać pretekstem do demagogicznych interpretacji. Chodzi naprawdę o to, by każdy szczebel władzy, a zwłaszcza najwyższy, był stale pod skutecznym naciskiem otwarcie formułowanych potrzeb społecznych. Jeśli unikamy takiej presji, bojąc się np. żądań niewspółmiernych do aktualnych możliwości — dajemy wyraz utraty zaufania w siły i mądrość klasy robotniczej, odmawiamy jej w praktyce tego, co przyznajemy w podręcznikach — przodującej roli politycznej. Skuteczny nacisk oddolny odgrywa przy tym

nie tylko bezpośrednią rolę socjalną, lecz staje się także doniosłym czynnikiem postępu ekonomicznego, organizacyjnego, technicznego — gdyż zamyka pozornie łatwo, jakże nieraz nęcące furtki-pułapki i zmusza do znajdowania rozwiązań głębszych, zwróconych w przód, wymagających wyższych kryteriów w polityce kadrowej itp. Nie ma potrzeby podkreślać, że jeżeli presja taka występuje na co dzień, jeśli nie spycha się jej pod powierzchnię — mniejsze jest nie tylko ryzyko zejścia z socjalistycznego kursu, lecz również ryzyko późniejszego wybuchu.

„Wytuczne” VI Zjazdu powinny więc, jak sądzę, zawierać pochwałę presji społecznej, z której się zrodziły i której trwanie będzie istotnym warunkiem ich realizacji. Pochwała powinna z kolei łączyć się z propozycjami odpowiednich rozwiązań instytucjonalnych.

Spółeczno-polityczne gwarancje zaspokojenia potrzeb ludności w nadchodzącym okresie mają szczególne znaczenie m.in. dlatego, że — jak wynika z tekstu „Wytucznych” — urzeczywistnienie programu napotka na niemałe trudności, wynikające z ogólnych proporcji zarysowanego planu.

Nakłady inwestycyjne w pięcioleciu 1971-75 osiągnąć mają w sumie 1.400 miliardów zł w cenach 1971 roku a więc rosną szybciej niż dochód narodowy (42 % inwestycje, 38-39 % dochód narodowy). Pomijając kwestie bardziej specjalistyczne (stosunek inwestycji brutto i netto, dochodu narodowego wytworzonego i podzielonego), oznacza to wzrost udziału inwestycji w dochodzie narodowym (co, jeśli odpowiada prawdzie, należałoby wyraźnie napisać w prezentowanych społeczeństwu dokumentach). Słusznie stwierdza się w „Wytucznych”, że 42 % wzrost nakładów inwestycyjnych jest niższy w porównaniu do okresów poprzednich (około 48-49 % wzrostu z jednego okresu pięcioletniego na drugi) — jednak tylko wtedy, gdy porównuje się obecny plan z faktycznym wzrostem poprzednio, plany były bowiem także dawniej skromniejsze (np. plan na lata 1966-70 przewidywał nakłady w kwocie 840 mld., czyli ok. 36 % wyższe niż w latach 1961-65), natomiast rzeczywiste nakłady okazywały się zawsze większe przy równoczesnym nie wykonaniu zadań rzeczowych. Założenie, że tym razem plan inwestycyjny zostanie wykonany, musi więc opierać się na uzyskaniu już w bieżącym pięcioleciu istotnego efektu usprawnień w planowaniu i funkcjonowaniu gospodarki.

Obok inwestycji netto, akumulacja obejmuje przyrost zapasów i rezerw. „Wytuczne” przewidują, że przyrost ten będzie nieco niższy (37 %) od przyrostu dochodu narodowego.

Tempo przyrostu zapasów i rezerw odegrało w przeszłości rolę swoistego „amortyzatora prezentacyjnego” w planowaniu. Ilekroć zbyt ambitny program inwestycyjny zagrażał udziałowi spożycia w przedstawianym Zjazdowi lub Sejmowi planie, różowiono obraz przez założenie zmniejszenia tempa przyrostu zapasów. Jest to ciekawy wskaźnik, którym najłatwiej bodaj manipulować w prezentacji, gdyż nie ma możliwości ściślego określenia z góry

powiązań między nim a innymi rozdziałami planu, natomiast trudno osiągnąć rzeczywistą poprawę, gdyż dynamika zapasów wykazuje szczególną wrażliwość na sprawność funkcjonowania gospodarki. Tak jak zła przemiana materii w organizmie prowadzi do odkładania się zbędnej i szkodliwej tkanki tłuszczowej tak źle funkcjonująca gospodarka będzie gromadziła nadmierną ilość materiałów i surowców, półfabrykatów, towarów gotowych itp. — przy równoczesnym ciągłym braku właściwych produktów we właściwych miejscach i właściwym czasie. W minionych latach stale obserwowaliśmy, jak to po krytyce nadmiernego obciążenia dochodu narodowego przyrostem zapasów w okresie sprawozdawczym, następowało z reguły optymistyczne ustalenie wskaźnika na nowy okres planowy.

Jeśli więc uznać, że tym razem nie chodzi już o wygładzanie kantów (a optymizm w postaci 37 % jest rzeczywiście względnie umiarkowany) to znów stawia się widoczną na odczuwalną i szybką poprawę w funkcjonowaniu mechanizmu gospodarczego. Tak też należy rozumieć ustęp 32, 47 i 77 „Wytucznych”.

Jednak nawet przyjęcie obu założeń nie zdejmuje problemu wysokości obciążenia dochodu narodowego akumulacją, ograniczającą bieżący udział spożycia. Obciążenie to będzie — przy wykonaniu planu wzrostu dochodu narodowego inwestycji i zapasów — wyższe niż faktycznie w poprzednim pięcioleciu, kiedy to średnio przekroczyło rekordowy poziom 1953 roku (28 %), a w latach 1968 i 1970 osiągnęło dotychczasowe maksimum 29 %. „Wytuczne” nie przesadzają ostatecznej wersji planu — trzeba więc mieć nadzieję, że zostaną uruchomione wszystkie narzędzia planistyczne, by wykorzystać każdą realną możliwość zmniejszenia napięcia inwestycyjnego. Należałoby także — na wypadek przekroczenia wielkości nakładów w toku realizacji planów — przewidzieć z góry kolejność i stopień wycofywania się z pewnych przedsięwzięć inwestycyjnych aby uniknąć nadmiernych kosztów przestawiania planu w biegu i uniknąć rozczarowań związanych z niezapowiadaniem zaniechaniem lub opóźnieniem niektórych obiektów. W dotychczasowej praktyce ofiarą pospieszonych przestawień padały z reguły obiekty o bezpośrednim znaczeniu dla zaspokojenia potrzeb ludności.

„Wytuczne” wiążą pomyślnie wykonanie zamierzeń z reformą ekonomiczną: „Realizacja podstawowych celów i zadań planu pięcioletniego na lata 1971-75 oraz po roku 1975 jest w dużym stopniu uzależniona od konsekwentnego wprowadzania w życie reformy systemu gospodarowania” (ust. 75). Jest to całkowicie słuszne stwierdzenie, ale wobec tego, że brzmi nie po raz pierwszy, warto zdać sobie sprawę z sytuacji, w jakiej wypadnie je urzeczywistniać.

Polska należy do tych krajów socjalistycznych, w których najwcześniej uświadomiono sobie potrzebę reformy i opracowano rozwiniętą jej koncepcję. Dorobek ekonomii polskiej w tej dziedzinie zyskał uznanie w innych krajach socjalistycznych, i to

nie tylko w sensie teoretycznym, lecz również przy opracowaniu założeń praktycznych, jak to można chyba — bez fałszywej skromności — skonstatować na przykładzie Węgier. Jednak, mimo że stanowiła jeden z naczelných elementów programu odnowy w 1956 roku, reforma ekonomiczna nie doczekała się realizacji w ciągu długich lat piętnastu. Co gorsza — utrzymaniu starego, powszechnie krytykowanego, systemu towarzyszyły ciągłe zapowiedzi zmiany. Wszystkie zjazdy partii — III, IV i V — oraz niejedno plenum KC podejmowały w tej sprawie uchwały, pozytywne zarówno co do zasady jak i co do treści reformy, która, najogólniej biorąc, pójść miała w kierunku decentralizacji i ekonomicznych metod kierowania gospodarką. Nawet wówczas, kiedy pole tzw. walki ideologicznej pozostawiano lichym harcownikom anty-rynkowym — z wysokich szczebli wciąż padały reformatorskie wypowiedzi, wciąż nierealizowane. Musiało to wywołać zniechęcenie i utratę zaufania. Wreszcie, kiedy dawne kierownictwo polityczne i gospodarcze postanowiło pretekstem reformy przesłonić brutalny sens deflacyjnej operacji zamrożenia płac i podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby, a usłudze reformatorskie wypowiedzi, wciąż nierealizowane. Musiało to wywołać zniechęcenie i utratę zaufania. Wreszcie, kiedy dawne kierownictwo polityczne i gospodarcze postanowiło pretekstem reformy przesłonić brutalny sens deflacyjnej operacji zamrożenia płac i podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby, a usłudze reformatorskie wypowiedzi, wciąż nierealizowane. Musiało to wywołać zniechęcenie i utratę zaufania.

Zmiana kierownictwa daje szansę odbudowy sprzyjającego klimatu społecznego, który dla pomyślnego przeprowadzenia reformy ekonomicznej — niełatwej przecież i nie od razu znoszącej złote jaja — jest co najmniej tak ważny, jak dysponowanie odpowiednimi manewrowymi rezerwami materialnymi.

Czy z tego punktu widzenia należało rezygnować w „Wytycznych” z przedstawienia „zasadniczych kierunków reformy systemu funkcjonowania gospodarki i państwa”, które to kierunki dopiero „zostaną opracowane w najbliższych miesiącach i przedstawione VI Zjazdowi do zaaprobowania” (ust. 76).

Z jednej strony świadczyć to może o dążeniu do pełniejszego dopracowania projektu, z drugiej jednak — przynajmniej w odniesieniu do reformy ekonomicznej, której zasadnicze kierunki powinny być od dawna widoczne — pozbawia dyskusję przedzjazdową możliwości ustosunkowania się do pozycji zajmowanej dziś przez nowe kierownictwo partii; zaprezentowanie takiej pozycji — jako podstawy do dyskusji, a nie gotowej platformy — wydaje się tym bardziej potrzebne, że zaznaczone w tekście „ogólne cele i wymogi, jakim powinna odpowiadać reforma” zawierają szereg niejasności.

Na podstawie tego, co mówi się w ust. 39, poświęconym systemowi płac (znaczące rozszerzenie uprawnień przedsiębiorstwa), w ust. 78 — o koncentracji centralnego planowania na podstawowych celach społeczno-ekonomicznych i środkach ich realizacji, w ust. 80 — o konieczności zerwania z dotychczasową praktyką odgórnego ingerowania w operatywne sprawy jednostek niż-

szego szczebla, w ust. 81 — o ekonomicznym charakterze metod kierowania rozwojem gospodarki i in. — można by wnioskować, że proponowane zmiany pójdą w słusznym kierunku, który autor tego artykułu przywykł określić mianem „modelu zdecentralizowanego” albo, ściślej, „modelu gospodarki planowej z wykorzystaniem mechanizmu rynkowego” (oczywiście, terminologia jest rzeczą umowną, a w każdym razie drugorzędną). Trudno byłoby jednak stwierdzić z całą pewnością, czy intencje „Wytycznych” w tej sprawie zostały tu trafnie odczytane.

Chciałbym na jednym konkretnym przykładzie zilustrować pilną potrzebę sprecyzowania ogólnej linii przewodniej reformy. W ust. 97, do którego jeszcze powrócimy dla omówienia problematyki samorządu robotniczego, zapowiada się „zmniejszenie zakresu dyrektywności planowania przy równoczesnym wzmacnianiu znaczenia rozrachunku gospodarczego przedsiębiorstwa”. Otóż, pojęcie dyrektywności planowania może być interpretowane dwojako: po pierwsze — w przeciwieństwie do planowania, które jest tylko lub niewiele więcej jak prognozą — planowanie dyrektywne utożsamia się z planowaniem skutecznym, wyposażonym w efektywne środki realizacji; oczywiście przy tej interpretacji nie należy zmniejszać zakresu dyrektywności planowania. Po drugie — planowanie dyrektywne może być i jest w praktyce rozumiane jako planowanie nakazowe, operujące systemem obowiązujących wskaźników i limitów, które hierarchicznie wyższy szczebel zarządzania „spuszcza” konkretnie określonym jednostkom szczebla niższego i na podstawie którego dokonuje się potem ocena działalności tych jednostek<sup>2</sup>; przy takiej interpretacji zmniejszenie dyrektywności planowania czy jedynie „ograniczenia nakazów administracyjnych” (ust. 82) wydaje się niewystarczające.

Sądzę, że reforma ekonomiczna w Polsce powinna być oparta na jasno sformułowanej zasadzie likwidacji systemu obowiązujących wskaźników i limitów typu nakazowego, a tym samym na zasadzie autonomii planów różnych szczebli i rezygnacji z oceny drogą porównywania ich z wskaźnikami planowymi. Oczywiście, jak każda reguła, tak i ta powinna dopuszczać wyjątki — konkretnie uzasadnione i ograniczone w miejscu i w czasie. Przyjęcie wymienionej zasady powinno stworzyć szansę urzeczywistnienia tylekroć postulowanych przesłanek otwarcia pola inicjatywie ludzkiej, zwiększenia elastyczności systemu gospodarczego, lepszego dostosowania produkcji do potrzeb odbiorcy, uwrażliwienia na koszty i końcowe efekty finansowe itp., o których mowa m.in. w „Wytycznych”. Równocześnie — jak świadczy czteroletnie już niemal doświadczenie Węgier — zasada ta może

2. Rozróżnienie między nakazowością a dyrektywnością w szerokim znaczeniu dokonane zostało m.in. w Tezach Rady Ekonomicznej w sprawie niektórych kierunków zmian modelu ekonomicznego z maja 1957 r. (patrz: „Dyskusja o polskim modelu gospodarczym”, Książka i Wiedza, Warszawa, 1957).



spełniać wymóg dyrektywności w pierwszym ujęciu, przy założeniu, że szczebel centralny podejmuje bezpośrednie decyzje w podstawowych problemach makroekonomicznych (zwłaszcza w odniesieniu do inwestycji rozwojowych), które w ten sposób zakreślają ramy działania wszystkich jednostek gospodarki narodowej; — wyznacza ekonomicznym jednostkom gospodarczym (przedsiębiorstwom dzisiejszego typu lub zjednoczeniom, kombinatom itp., (zależnie od systemu organizacyjnego) generalne reguły postępowania czyli ich funkcje celu, z którymi wiąże się fundusze bodźców materialnych, możliwości rozwojowe itp. (reguły postępowania mogą być oczywiście różnicowane, zgodnie z zasadą, że maksymalizacja funkcji celu podsystemów powinna prowadzić do maksymalizacji funkcji celu systemu jako całości); — skutecznie kontroluje zewnętrzne parametry ekonomiczne działalności jednostek gospodarczych (ceny, stopy procentowe, warunki kredytowania, stawki podatkowe, celne itp.), co znowu nie jest bynajmniej równoznaczne ze stosowaniem jednej metody kontroli (np. bezpośredniego ustalania przez państwo wszystkich cen), wymaga natomiast obserwacji kryterium przeciwdziałania monopolistycznym względnie oligopolistycznym manipulacjom wielkościami ekonomicznymi.

Nie ma potrzeby rozważania tu bardziej szczegółowych elementów tej koncepcji na ogół dobrze znanej i chyba dziś szerzej nawet akceptowanej niż dawniej. Szersza akceptacja — wbrew oczekiwaniom zwolenników „oświeconej” wersji super-centralizmu — wynika, moim zdaniem, m.in. — z głębszego rozpoznania skutków i możliwości, jakie niesie z sobą rozwój cybernetyki i komputeryzacja dla metod sterowania wielkimi systemami.

Kompleksowa i konsekwentna reforma ekonomiczna jest w obecnej naszej sytuacji koniecznym warunkiem postępu. Koniecznym, lecz nie wystarczającym gdyż najdoskonalsza nawet konstrukcja czysto ekonomicznych powiązań między jednostką a kolektywem, kolektywem a gospodarką narodową nie zapewni sama przez się pełnego wykorzystania potencjalnych możliwości socjalizmu. Toteż zmianę systemu funkcjonowania gospodarki „Wytyczne” słusznie traktują jako część szerszego problemu „umocnienia (wydaje się, że powinno być raczej „rozwoju”, uw. W.B.) socjalistycznych stosunków produkcji”, w czym pierwszorzędą rolę odegrać powinna zapowiadana reforma państwowa.

Jedną z ważnych płaszczyzn powiązania reformy ekonomicznej z rozwojem całości naszego systemu społecznego i politycznego stanowią samorząd robotniczy.

Kwestia celowości samorządowej formy zarządzania czy też udziału pracowników w zarządzaniu (nie są to, nawiasem mówiąc, pojęcia identyczne) należy w teorii i praktyce organizacji do wysoko kontrowersyjnych. Przedmiotem sporów są przede wszystkim możliwości współdziałania i racjonalnego podziału pracy między kierownictwem a odpowiednimi instytucjami pracowniczymi, rola ekspertów w systemie samorządów lub współ-

zarządzania, dyscyplina a uprawnienia w dziedzinie kadrowej (co dotyczy już samorządu *sensu stricto*). Ocena wyników tych kontrowersji jest rozmaita, i choć stopniowo daje się zauważyć stopniowy wzrost zasięgu współzarządzania, również w krajach wysoko rozwiniętych — to nie brak przykładów, także w krajach socjalistycznych, gdzie form takich nie stosuje się wcale lub w minimalnym zakresie.

Znamienne, że wymienione kontrowersje w zadziwiająco niskiej mierze dały o sobie znać w Polsce — zarówno w praktyce jak i literaturze teoretycznej — mimo piętnastoletniego i niemal powszechnego istnienia samorządu. Przyczyna tkwi po prostu w tym, że był to w dużym stopniu samorząd fikcyjny, malowany.

„Wytyczne” na VI Zjazd słusznie stwierdzają, że „zamierzenia w dziedzinie reformy systemu planowania i zarządzania otwierają przed samorządem robotniczym nowe możliwości i zadania” (ust. 97). Dotychczasowy system sprowadzał bowiem prawie do zera możliwość podejmowania decyzji na szczeblu przedsiębiorstwa, z góry więc pozbawiał samorząd pola działania.

Kompleksowa i konsekwentna reforma stworzy przesłanki ekonomiczne rzeczywistej samorządności robotniczej. Stworzy również — co wypada podkreślić z całą siłą — szczególnie ostrą potrzebę społeczną samorządności. Dopóki bowiem panuje system centralistyczny, nie istnieje praktycznie alternatywa technokratyczna czy demokratyczna w zarządzaniu przedsiębiorstwem; dyrekcje i samorządy są z pewnego punktu widzenia jednakowo bezsilne. Natomiast otwarcie pola decyzji urealni ewentualność technokratyczną, ewentualność na pewno niepożądaną, a możliwą do uniknięcia głównie przez aktywizację samorządu.

Powstaje pytanie, czy istniejące formy instytucjonalne samorządu sprzyjają tego rodzaju aktywizacji? Nic nie ma na ten temat w „Wytycznych”, choć wydaje się, że odpowiedź na postawione wyżej pytanie powinna brzmieć: nie. Istnieje pilna potrzeba zmian.

Dwukrotnie w okresie Polski Ludowej klasa robotnicza spontanicznie występowała z inicjatywą tworzenia organów współzarządzania: w pierwszym porywie przejmowania kapitalistycznych fabryk w 1945 r. oraz przed Październikiem 1956 r.; w obu przypadkach organy te tworzone w formie rad, bezpośrednio wybieranych przez załogi. Rady robotnicze powoływane w 1956 roku stały się na mocy ustawy z listopada 1956 roku jedynym organem samorządu. W tym charakterze przetrwały do 1958 roku, kiedy nowa ustawa włączyła je w skład Konferencji Samorządu Robotniczego jako naczelnego organu samorządowego. Nietrudno dostrzec, że posunięcie to zbiegło się w czasie z regresem na innych odcinkach, o czym była mowa poprzednio.

Skomplikowana konstrukcja KSR co najmniej z dwóch powodów wywarła, jak sądzę, szkodliwy wpływ na rozwój samorządu. Po pierwsze — najwęższym organem samorządu uczyniła ciało, składające się nie tylko z wybieranego do tego celu przedstawicielstwa pracowników, lecz również, z urzędu, z komitetu

zakładowego PZPR i rady zakładowej związków zawodowych, a później także z reprezentacji stowarzyszeń technicznych, organizacji młodzieżowych itp. W takim ustawieniu rada robotnicza nie ma równorzędnej pozycji wobec organów, które są na terenie zakładu ogniwami potężnych, hierarchicznie zbudowanych organizacji; odnosi się to szczególnie do komitetu partyjnego, który jest przeciw lokalnym ramieniem decydującego trzonu władzy państwowej — w skali terenowej, wojewódzkiej, centralnej. Rozwiązanie to hamuje, a często wręcz paraliżuje rzeczywistą samorządność rad robotniczych, deprecjonuje ich rolę i poczucie współuczestnictwa u tych, którzy mają je wybierać, kontrolować, żądać odpowiedzialności — tj. u załóg.

Po drugie — wbrew wszelkim namiętnie bronionym pozorom — konstrukcja KSR niweczy również pozycję w samorządzie tych organizacji, które korzystają z urzędowego przywileju. Jeśli nie trzeba ubiegać się o prawdziwe poparcie wyborcze swoich przedstawicieli, trudniej o więź z załogą i o zachowanie najcenniejszego źródła autorytetu — zaufania mas. Zadziwiające, że np. stowarzyszenia techniczne i organizacje młodzieżowe godzą się na taką sytuację, ba, uważają ją niekiedy za dowód uznania ich roli, podczas gdy w rzeczywistości jest to tylko dowód, że nie potrafią stanąć w samorządzie o własnych siłach, bez administracyjnych kul. Do organizacji partyjnej odnosi się to oczywiście w największej mierze: rolę kierowniczej siły politycznej osiągnąć może tylko środkami politycznymi.

Dlatego sądzę, że należy zlikwidować instytucję KSR i powierzyć funkcję organu samorządu wyłącznie radom robotniczym. Wprawdzie sama ta zmiana do końca nie wyczerpuje sprawy stworzenia sprzyjających warunków rozwoju samorządu, zwłaszcza jeśli chodzi o przeciwdziałanie nieformalnym presjom na skład osobowy rad — jednak wydaje się, że miałyby to ogromne znaczenie pozytywne.

Problem samorządu omówiony został w „Wytocznych” w ustępie poświęconym głównie związkom zawodowym. Okoliczność ta pogłębia, moim zdaniem, istotne niejasności w zasadniczej sprawie funkcji związków zawodowych.

W porównaniu z dotychczasowym ujęciem „Wytoczne” przesuwają akcent na funkcję socjalną: „Podstawowym ich (związków zawodowych) zadaniem powinno być konsekwentne działanie na rzecz poprawy warunków pracy, przestrzegania socjalistycznych zasad wynagradzania, troska o sprawy materialne i socjalne”. To trafne sformułowanie zostaje jednak natychmiast uzupełnione innym, odbierającym jasność poprzedniemu: „Równoległe z tym związki zawodowe winny współdziałać w podnoszeniu wydajności pracy, umacnianiu dyscypliny społeczno-produkcyjnej, co ma decydujące znaczenie dla poprawy stopy życiowej ludzi pracy”. Uważam, że drugie zdanie odrzuca nas znowu na stare pozycje, wbrew długiemu doświadczeniu minionych lat.

Doświadczenie to wskazuje, po pierwsze, że niedostateczna

dbałość o bezpośrednie interesy pracownicze — owe sprawy materialne i socjalne, warunki pracy i wynagrodzenia — odbije się negatywnie na wydajności pracy i dyscyplinie społeczno-produkcyjnej. Doświadczenie to wskazuje — po drugie — że związki zawodowe realizujące funkcję produkcyjną nie są w stanie równoległe skutecznie bronić bezpośrednich interesów pracowniczych, co powoduje, że oczywista zdawałoby się więź między wzrostem wydajności a poprawą stopy życiowej ludzi pracy przestaje być oczywista; skutki są bardzo złe — doraźne i długotrwałe, w świadomości ludzkiej.

Problem polega więc nie na tym, by odmawiać działalności związków zawodowych wpływu na produkcję i dyscyplinę społeczną, lecz na tym w jaki sposób wpływ ten wywierać. Właściwa wydaje się tylko jedna odpowiedź: przez koncentrację na obronie bezpośrednich interesów pracowniczych, na funkcji socjalnej, które stanowiła i stanowi rację istnienia związków zawodowych. Jeśli w dodatku zakładamy przeprowadzenie reformy ekonomicznej i urealnienie samorządu robotniczego, który ma włączyć załogę właśnie do spraw wydajności, dyscypliny produkcyjno-społecznej itp. — to trudno nawet znaleźć miejsce dla związków zawodowych w tej dziedzinie.

Na koncepcji i praktyce działania związków zawodowych ciążyła dotąd ujemnie obawa przed zasadą kontradiktoryjności, przed tym, by współuczestnicy procesu podejmowania lub realizacji decyzji zajmowali, odpowiednio do swej roli społecznej, odmiennie, jednostronne pozycje. Jest to niesłuszna obawa, gdyż poza skrajnymi sytuacjami rozpadania się dawnych form więzi społecznej, stosowanie tej zasady właśnie chroni przed jednostronnością, ułatwia znalezienie prawidłowego rozwiązania, stosunkowo najbardziej zadowalającego wszystkie punkty widzenia. Trzeba odnotować, że w innych fragmentach „Wytocznych” znajdujemy jakby więcej zrozumienia dla kontradiktoryjności jako metody dochodzenia do słusznych wniosków. W ust. 83 mowa o przedstawianiu alternatyw jako o szczególnie ważnym elemencie przygotowania prawidłowych decyzji ekonomicznych na szczeblu centralnym. W ust. 137 poświęconym doskonaleniu stylu i metod działania partii, postuluje się dopuszczenie „w coraz większym stopniu rozważań nad zróżnicowanymi ocenami tego samego problemu i na tym tle odmiennymi propozycjami rozwiązań”. Sugestia jednoznacznego określenia funkcji związków zawodowych jako obrońcy bezpośrednich interesów pracowniczych nie zawiera w gruncie rzeczy niczego ponad postulat instytucjonalizacji owych zróżnicowanych ocen. Konieczność liczenia się z rządów przedsiębiorstw, administracji gospodarczej, władz państwowych z jednostronnym punktem widzenia związków zawodowych chyba lepiej niż dotąd zapobiegnie dotychczasowej jednostronności zwalczania trudności gospodarczych, a tym samym wzmocze nacisk na poszukiwanie rozwiązań racjonalniejszych, bardziej postępowych.

Potrzeba takiego właśnie określenia funkcji związków zawo-

dowych rośnie wraz ze wzrostem złożoności zagadnień społeczno-gospodarczych i rosnącą koniecznością rozpatrywania różnych wariantów decyzji. Złudzeniem jest oczekiwanie, by jedna i ta sama instytucja planująca czy projektująca przedstawiała z reguły obiektywne alternatywy, najczęściej inne warianty mają służyć tylko za korzystne tło dla jednego wybranego. Związki zawodowe są dostatecznie wielką i zasobną organizacją, by mogły stworzyć warunki opracowania rzeczywistych alternatyw w interesującym je zakresie, a także kontroli realizacji programu. Wiadomo np. ile sporów i nieufności wzbudza publikowany przez GUS wskaźnik kosztów utrzymania; indywidualna ocena z zewnątrz tego wskaźnika jest w gruncie rzeczy nie możliwa. Dlaczego związki zawodowe nie mogłyby wreszcie podjąć samodzielnej kontroli ruchów kosztów utrzymania podając wyniki do publicznej wiadomości i tym samym doprowadzając do koniecznej konfrontacji metod, poglądów wniosków — zarówno w skali ogólnokrajowej jak lokalnej. Tego typu działalność — łamiąc monopol informacji i tym samym zwiększając stopień zaufania społecznego — nie tylko nie musiałaby utrudniać procesu planowania, lecz przeciwnie — mogłaby go ułatwić. Nie przypominam sobie, by mimo wzrostu kosztów utrzymania z roku na rok, którykolwiek plan pięcioletni lub wytyczne do niego (publikowane) zawierały przewidywania w tym zakresie, choć wiadomo, że wydzwięk społeczny i ekonomiczny nawet pełnego wykonania planu wzrostu płacy realnej jest różny przy różnym zachowaniu się wskaźnika kosztów utrzymania. (Nawiasem mówiąc „Wytyczne” na VI Zjazd również pomijają tę kwestię). Zamiast podjąć trudną sprawę, stosuje się wątpliwej skuteczności unik przed brakiem dostatecznego stopnia zaufania ze strony społeczeństwa. Trzeba i można to zmienić — pod warunkiem wprowadzenia uważanej ongiś za kanon socjalizmu zasady „szklanych ścian”, czyli zasady jawności i takiego formułowania problemów planu, by społeczeństwo miało pełne rozeznanie alternatyw, stanowiących realny przedmiot wyboru.

Koszty utrzymania zostały wzięte jako przykład, jeden z wielu, który znalazłby zapewne lepsze niż dzisiaj rozwiązanie — także, a może nawet przede wszystkim z punktu widzenia wydajności pracy i dyscypliny społeczno-produkcyjnej — gdyby funkcje związków zawodowych sprecyzowane zostały w sposób wyżej postulowany.

Nowe ustawienie wzmocniłoby pozycję związków zawodowych, a co za tym idzie, otworzyłoby szansę odwrócenia kierunku rzeczywistej zależności kolejnych instancji związkowych i ich składu osobowego: zamiast z góry w dół, z dołu do góry. Trudno przecenić znaczenie tego rodzaju zmiany, bo przeciw sposób działania ludzi i całych ogniw organizacyjnych określany jest nie przez formalne, lecz faktyczne linie zależności i odpowiedzialności.

Zupełnie naturalne, że niemal każde z poruszonych tu zagad-

nień ujawnia aspekt polityczny, a rozwiązania sprzężone są z odpowiednimi politycznymi przeobrażeniami. W warunkach socjalizmu — gdy podstawowe środki produkcji są znacjonalizowane, a państwo kieruje całością gospodarki narodowej na zasadach planowania centralnego — władza polityczna, sposób jej sprawowania stają się nieodłącznym i bodaj najważniejszym elementem stosunków produkcji. Ewolucja tych stosunków, proces stopniowego kształtowania postaw odpowiadających postępowi rzeczywistego uspołecznienia środków produkcji, przebiega w bezpośredniej zależności od stopnia rzeczywistego udziału mas ludowych w sprawowaniu władzy, a sprzeczności rozwojowe znajdują wyraz przede wszystkim w sprzecznościach między potrzebami ekonomiki a mechanizmem politycznym.

„Wytyczne” na VI Zjazd uznają ten fakt, podkreślając (ust. 78): „niezbędny wymóg marksistowsko-leninowskiej jedności ekonomiki, polityki i nauki” i wysuwając wspomniany wielokrotnie postulat reformy państwa. Podobnie jak w kwestii reformy ekonomicznej, zasadnicze kierunki reformy państwa mają być dopiero opracowane, a w tekście — znajdujemy przeważnie tylko ogólne dezyderaty, nie zaś konkretne kierunki rozwiązań instytucjonalnych. W odróżnieniu jednak od problematyki reformy ekonomicznej, w tej sprawie trudno zgłaszać zastrzeżenia wobec zaprezentowanego w „Wytycznych” ujęcia. Składa się na to szereg czynników, a wśród nich przeraźliwie niski stan wiedzy, zastrępowanej apologetycznym pustostwem tym oficjeli, im bardziej zasadniczy problem i im wyższego szczebla mechanizmu politycznego dotyczy. Dlatego też najważniejszym postulatem, który zgłosiłbym pod adresem VI Zjazdu jest postulat intensyfikacji i zapewnienia swobody poszukiwań w tej dziedzinie, co łączy się, rzecz jasna, z warunkami swobody badań naukowych w ogóle i wolności słowa. Szkoda, że „Wytyczne” zachowują na ten temat całkowite milczenie.

Włodzimierz BRUS

Powyższy artykuł Wł. Brusa, napisany dla jednego z tygodników warszawskich, nie został opublikowany ze względów cenzuralnych, co — nawiasem mówiąc — jest ilustracją jak wygląda tak reklamowany przez E. Gierka „Dialog”.

Artykuł drukujemy bez wiedzy i zgody Autora. (Redakcja).

## Kontrasty krakowskie

BARBAKAN I KASYNO

Do Krakowa przyjeżdżam zawsze z dużą przyjemnością, związany jestem uczuciowo z tym miastem. Pierwszy raz zawitałem

tu bezpośrednio po powstaniu, wtedy gościnny Kraków przygar-  
nął moją rodzinę.

Później szkoła, gimnazjum (jedno z szacownych krakow-  
skich), studia i wreszcie pierwsza praca.

Na dworcu czekał na mnie kolega pracujący w jednej z kra-  
kowskich gazet. Gościłem go niedawno u siebie w Warszawie,  
teraz była kolej na niego.

— Wstąpimy na kawę?

— Chętnie.

Po drodze barbakan otoczony rusztowaniami.

— Odnawiacie Rondel?<sup>1</sup>

— Nie, rozbieramy ruinę bo zasłania widok.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem dowcipu. Dopiero póź-  
niej. Na tyłach barbakanu leżą groby żołnierzy radzieckich. Za-  
rośnięte krzakami nie wadziły nikomu. Do czasu. Ostatnio krzaki  
wycięto, groby uporządkowano, zmieniono płyty z piaskowca na  
marmurowe.

Teraz trudno cmentarza w centrum miasta nie zauważyć. Od  
strony dworca zasłania go nadal barbakan i stąd ten smutny  
dowcip.

W ogóle Kraków długo się jakoś uchował bez pomnika wdzię-  
czności, jako jedyne miasto wojewódzkie i nie tylko wojewódz-  
kie, bodajże w każdym mieście powiatowym stoi taka ozdoba.

W latach sześćdziesiątych zaradzono temu brakowi i na pla-  
cu Wolności (dawniej Inwalidów) wybudowano kilkupiętrowy  
obelisk (obelisk — od obelgi mówią krakowianie).

Zresztą ustawiony w dobrym miejscu, na przeciw byłego  
gmachu Gestapo, później U.B. teraz zamieszkałego przez profe-  
sorów U.J. i ich rodziny, ale nie tylko — z boku, dyskretnie,  
w dalszym ciągu mieści się Służba Bezpieczeństwa Komendy Woj.  
M.O.

Po drugiej stronie ulicy kasyno ubowskie, wieczorem znalaz-  
łem tam się zupełnie nieoczekiwanie, ale o tym później.

Załatwiłem swoje sprawy w *Życiu Literackim*, w *Przekroju*  
i wstąpiłem do redakcji, w której pracuje mój przyjaciel.

Po obiedzie przyjaciel zaprosił mnie do siebie.

— Wstąpimy tylko do „Veritasu” i „Jubilera” po alkohol  
i jedziemy do mnie.

— Dlaczego do „Jubilera” i „Veritasu”? — zdziwiłem się.

— Bo skończyły mi się bony Pekao — odpowiedział.

— ???

Wyjaśnił. W Krakowie działa od lat postrach alkoholików  
dr Marcinkowski. Tzn. alkoholikom on specjalnie nie wadzi,

1. Popularna w Krakowie nazwa barbakanu.

przeszkadza za to normalnym mieszkańcom (lubiącym się od  
czasu do czasu napić, a nie obeznanym z dżunglą alkoholową  
Krakowa).

Do niedawna (bo ostatnio się trochę zmieniło) w Krakowie  
nie sprzedawano wódki i wina w soboty, pierwszego, dziesiątego,  
piętnastego oraz ostatniego każdego miesiąca. Tzn. bardzo często.

Nie sprzedawano nigdzie, z wyjątkiem paxowskiego „Verita-  
su”, gdzie sprzedawano wina mszalne (ostatecznie byle Marcin-  
kowski nie będzie Piaseckiemu praw dyktował), „Jubilera” (fi-  
lia „Nataszy”) — gdzie sprzedawano koniaki radzieckie i Pekao  
gdzie można było nabyć wszelkie rodzaje alkoholu za dolary...

Ponieważ były to wszystko alkohole wysokiej klasy, a co za  
tym idzie drogie, więc „zawodowi odbiorcy” musieli szukać alko-  
holu gdzie indziej. Powstała w Krakowie najgęstsza w kraju sieć  
tzw. melin, gdzie można było wódkę kupić o każdej porze dnia  
i nocy, nie dużo drożej niż w sklepie (jakieś 15-20 zł na „pół-  
litrze”). To było nie do zwalzenia, po pierwsze milicjanci też  
ludzie i też wódkę piją, więc i w ich interesie leżało, by meliny  
były, a po drugie mnożyło się to jak grzyby po deszczu: na  
miejscu jednej zlikwidowanej wyrastały trzy nowe, bo była ko-  
niunktura.

Podobna sytuacja jak w czasie prohibicji w Stanach.

Dr Marcinkowski nie mógł tego zrozumieć a mógł dyktować  
przepisy, mając duży autorytet podbudowany życzliwością Go-  
mułki (słynna historia z artykułem Urbana w *Polityce*: Urban  
ośmieszył Marcinkowskiego i wtedy Gomułka wystąpił na XIII  
plenium w obronie skrzywdzonego działacza antyalkoholowego.  
Urban miał jakieś drobne nieprzyjemności a Marcinkowski otrzy-  
mał statut świętej krowy).

Teraz sytuacja się zmieniła, alkoholu nie sprzedaje się tylko  
w dni rzeczywistych wypłat (pierwszego, dziesiątego, ostatnie-  
go) w pozostałe dni wódkę kupić można do godziny 19-tej, po  
tej godzinie nie sprzedaje się nawet w sklepach, które są otwarte  
dłużej, jak na przykład „Delikatesy”. Tak że meliny mają jeszcze  
pole do popisu, poza tym masa ludzi robi sobie prywatnie bimber  
w domu, traktując to jako rodzaj sportu, na większą skalę za-  
częło to się po podwyżce cen alkoholu.

Rzucono wtedy hasła: „wódka podrozała — pijemy bez za-  
kąski” i „wódka podrozała a cukier nie” (jak wiadomo bimber  
najczęściej pędzi się z cukru).

Gdy wyczerpaliliśmy leżący tak bardzo na sercu mojemu przy-  
jacielowi temat, spytałem go czy prawdą jest to, co pisałem w *Życiu  
Literackim* Machejek, iż w grudniu w Krakowie demonstrowało  
na rynku „kilkuset chuliganów i kilkadziesiąt źle zorientowa-  
nych studentów”?

— Niezupełnie tak było — odpowiedział.

Na wieść o wydarzeniach na wybrzeżu, zebrał się na rynku krakowskim tłum 10 do 15 tysięcy ludzi i zaczął wznosić okrzyki solidaryzujące z Gdańskiem i Gdynią. Milicja zamknęła rynek kordonem i przystąpiła do pacyfikacji, mimo użycia gazów i petard tłumowi rozproszyć się nie dało, musiano wezwać wojsko. Wojskiem obsadzono też KW i Gmach Radia. Po paru godzinach demonstrację rozproszono aresztując około 1000 osób, które na wszelki wypadek pobito, większość zwolniono tego samego dnia, pozostałych postawiono po tygodniu przed kolegium specjalnym i z grzywną 2000-4000 zł zwolniono, te grzywny są ściągane do dzisiejszego dnia. A wojsko gościliśmy około tygodnia, założyli sobie biwak na placu Szczepańskim. Większość demonstrujących to była młodzież studencka. Tak poważnie, to władze bały się rozruchów w Nowej Hucie, ale tam był spokój...

— A przy okazji — dodaje przyjaciel — wiesz co wygrzebałem właśnie w Jagiellonce? Przeglądałem stare roczniki, powojennego *Naprzodu* (organ PPS) i znalazłem tam opis trzecioma-jowej demonstracji z 1946 roku. O tej demonstracji zupełnie się zapomniało, a była to pierwsza w krajach dem. lud. na długo przed Berlinem. W tym roku minęło akurat 25 lat.

Przypominam sobie teraz tę demonstrację, brałem w niej udział jako dwunastoletnie dziecko, tłum szedł pochodem ulicą Basztową, niósł tylko biało-czerwone flagi, szedł milcząc, koło barbakanu zajechały drogi samochody z ubowcami, tłum szedł dalej, z samochodów otworzono ogień, w pierw nad ludźmi, później w ludzi, padli zabici i ranni, ludzie zaczęli uciekać (mało mnie wtedy nie zaduszono), aresztowano kilkaset osób, w parę miesięcy później odbył się proces kilkunastu wybranych. Proces, o ile dobrze pamiętam, prowadzony był względnie przyzwoicie, obrońcy występowali odważnie, szczególnie mecenas Rymar, kogoś tam uniewinniono, reszta dostała po parę lat. Stare dzieje. Tyle innych wydarzeń było przez te dwadzieścia pięć lat.

Rozmyślenia przerywa mi przyjaciel.

— Wiesz co jeszcze znalazłem w *Naprzodzie*? Artykuł śp. dr. Drobnera, pt. „Chory Kraków” — chodziło mu o zły dla komunistów wynik referendum w Krakowie, artykuł kończy się znamennym zdaniem: „Kraków jest chory, ale my go uleczymy!”. Zabawne, że podobnego sformułowania musiał użyć w 21 lat później pierwszy sekretarz KW w Krakowie, Czesław Domagała, podsumowując „marzec krakowski”. Choroba zdaje się być nieuleczalna.

W międzyczasie skończył nam się alkohol, a że wieczór dopiero się zaczynał postanowiliśmy jeszcze gdzieś wstąpić.

— Pójdziemy do kasyna.

— Jakiego kasyna, wojskowego? — spytałem.

— Nie, milicyjnego, U.B. — odpowiedział.

Myslałem że to żart, ale to nie był żart; kasyno stało się bardzo popularnym miejscem spotkań w Krakowie (nawet w dni dansingowe: wstęp tani a narzut na alkohol niewielki).

— W gruncie rzeczy — powiedział mój przyjaciel — to jest rewizyta, bo na normalnych dansingach oni są zawsze tylko ze służbowo a nie prywatnie i patrzą kto za ile pije. Właściwie kasyno jest takim samym miejscem jak każde inne.

Nie byłem przedtem nigdy w kasynie tego typu, więc się zgodziłem. Lokal pamiętał lepsze czasy, kiedyś to był Biedermayer. Duże, przestronne sale...

Najbardziej interesowały mnie twarze przy stolikach. Uderzyła mnie duża ilość młodzieży.

— Narybek?

— Ale skąd. Po prostu milicja patroluje klubowi sportowemu „Wisła” i każdy co trenuje w „Wisła” ma kartę wstępu do kasyna, a że jest tu tanio...

— Acha.

— A poza tym nie patrz tak po twarzach, bo i tak nic z tego nie zrozumiesz. Tu naprawdę przychodzi cały Kraków. O, patrz, to znany tłumacz, a tam siedzą nasi koledzy dziennikarze, a tu znów znany aktor...

— No dobrze — przerywam — a każdy tu tak może wejść?

— Nie, ale każdy posiadacz karty może wprowadzić gościa. A jak cię trzy, cztery razy wprowadzą to portier cię zapamięta i później ty już możesz wprowadzać. A kobiety w ogóle wpuszczają się bez ograniczeń jeśli ich brakuje — kobiety wiadomego rodzaju.

Mój przyjaciel miał rację: rzeczywiście spelunka jak każda inna. — A jednak razi trochę brak bojkotu towarzyskiego.

— Bojkot, bojkotem — powiedział mi na to przyjaciel — ale z nimi lepiej żyć dobrze, a jak się żyje na przyjacielskiej stopie to i różne drobiazgi można załatwić, no i paszport łatwiej dostać.

## KRYPTA I KOPIEC

Każdy Polak musi obowiązkowo zwiedzić Wawel z wycieczką szkolną. Przyjeżdżając do Krakowa w latach późniejszych już tam się nie kwapi. Chyba, że oprowadza gości z zagranicy, wtedy trzeba się pochwalić. Tak było i ze mną.

Gościłem akurat zaprzyjaźnione małżeństwo z Pragi Czeskiej.

Po zwiedzeniu Warszawy przywiozłem ich do Krakowa. Naturalnie: Wawel, Katedra, Groby Królewskie i wreszcie Krypta Marszałka.

Coś mi się tu zmieniło, ale co? Kiedy byłem tu po raz ostatni? W sześćdziesiątym siódmym. Wtedy trumna była zastłana tarczami szkolnymi z wszelkich możliwych zakątków kraju. Widocznie jakieś dziecko jako pierwsze odpięło z ramienia tarczę i położyło, inni naśladowali, a wycieczek szkolnych tu dużo... Teraz tarcze zniknęły.

A jak było przedtem? Zaraz po wojnie krypta była zamknięta. W tych czasach kiedy ja zacząłem chodzić na Wawel była zamknięta kratą i nieoświetlona. My, uczniowie szkół krakowskich, chodziliśmy regularnie 12 maja (w rocznicę śmierci Marszałka) i 11 listopada, świeciliśmy własnymi latarkami i rzucaliśmy kwiaty przed kratę.

Później krypta była nadal zamknięta, ale pod sufitem świeciła się już mdła żarówka. Przewodnik mówił wtedy: „Tam dalej jest Krypta Piłsudskiego, kto chce niech idzie obejrzeć, bo ja tam nie idę”. I nie szedł.

Nie pamiętam momentu otwarcia krypty, nie pamiętam także kiedy przewodnicy zaczęli ludzi do niej doprowadzać.

Anno Domini 1971 krypta jest odnowiona i wysprzątana, walające się dawniej po kątach wieńce i vota porozwieszano po ścianach. Przybyła tablica z popiersiem Marszałka i napisem:

„Wskrziesicielowi Polski w pięćdziesięciolecie odzyskania niepodległości 1918-1968 — współtowarzysze walki”<sup>1</sup>.

Obok oprawiony w ramki życiorys Piłsudskiego obiektywnie napisany: że pierwszy marszałek (pierwszym był Foch, ale to nie ważne), wskrziesiciel państwa, działacz PPS, itd., itd., pominięto tylko okres wojny polsko-bolszewickiej. Byłem zszokowany, bo tak w PRL o Piłsudskim jednak się nie pisze mimo niewątpliwej ewolucji.

Przewodnik doprowadzając kolejną grupę mówił mniej więcej to samo co wisiąło, oprawione w ramki. Akurat była to wycieczka ze Związku Radzieckiego. Ciekaw byłem jaka będzie reakcja komsomolców na to co usłyszą i rzeczywiście widać było, że nazwisko Piłsudskiego kojarzy im się z czymś innym, raczej negatywnym, ale nie śmieli się pytać, ze zdziwieniem i niedowierzaniem oglądali ten rok 1968 na tablicy.

Gdy wythumaczyłem moim czeskim przyjaciółom przyczynę mojego rozbawienia, spytali się czy w Krakowie są jeszcze jakieś inne pamiątki po Piłsudskim.

Odpowiedziałem że tak i zawiozłem ich na kopiec Marszałka.

1. Napis odtwarzam z pamięci.

Droga na kopiec jest dobrze utrzymana, pokryta asfaltem. Parking na Sowińcu odnowiony, odnowiony jest także budynek pocztowy, gdzie przed wojną można było stemplować znaczki okolicznościowym stemplem. Teraz jest tam kawiarenka, stoliki na zewnątrz, bufet w głębi; odnowiono też mieszczące się na dole urzędzenia sanitarne. Jeszcze parę lat temu budynek był całkowicie zdewastowany, drzwi i okna były powyrywane, ściany pokryte pornograficznymi rysunkami i napisami (często o wyrażonej treści antyreżymowej).

Niestety sam kopiec, w odróżnieniu od zaplecza, jest od lat nieodnawiany i dosłownie się rozsypuje, ścieżki zarosnięte krzakami, tak że miejscami trudno się przecisnąć. Na samym szczycie, z okazji wymiany translatora, usunięto tablicę ku czci Marszałka.

W drodze powrotnej zobaczyłem że na murze otaczającym kopiec wisi jakaś nowa tablica. Na tablicy był napis:

„Dla uczczenia 25-lecia PRL, ludność dzielnicy Zwierzyniec w czynie społecznym uporządkowała teren na Sowińcu 22 lipca 1969 roku”.

W oficjalnej nomenklaturze Krakowa są kopce: Krakusa, Wandy, Kościuszki i na Sowińcu. Kopiec Piłsudskiego nie istnieje.

Skąd ta różnica w traktowaniu Krypty i Kopca? Wyjaśnienie jest proste. Do krypty przychodzi dużo gości zagranicznych, najczęściej z Polonii, i dla nich jest krypta urządzona (a prawdopodobnie i za ich pieniądze).

Natomiast okolice kopca są miejscem niedzielnego wypoczynku normalnych mieszkańców Krakowa i tutaj natrętna propaganda kultu Marszałka nie byłaby wskazana.

J. HUSSOWSKI

Warszawa listopad 1971

## Nowe władze PRL

Na pierwszym posiedzeniu nowo wybranego Komitetu Centralnego PZPR, 11 grudnia 1971, dokonano wyboru nowych władz partyjnych.

W skład Biura Politycznego KC PZPR weszli: Edward Babiuch, Edward Gierek, Henryk Jabłoński, Mieczysław Jagielski, Piotr Jaroszewicz, Wojciech Jarużelski, Władysław Kruczek, Stefan Olszowski, Franciszek Szlachetec, Jan Szydłak, Józef Tejchma.

Zastępcami członków Biura Politycznego zostali: Kazimierz Barcikowski, Zdzisław Grudzień, Stanisław Kania i Józef Tejchma.

W skład Sekretariatu Komitetu Centralnego weszli: Edward Gierek — I sekretarz KC PZPR, Edward Babiuch, Kazimierz Barcikowski, Stanisław Kania, Stanisław Kowalczyk, Jerzy Łukasiewicz, Franciszek Szlachciec, Jan Szydłak i Józef Tejchma.

Członkami Sekretariatu KC zostali: Ryszard Frelek i Andrzej Werblan.

Członkowie KC PZPR: Edward Gierek, Bronisław Anteki, Edward Babiuch, Kazimierz Barcikowski, Mieczysław Bartosiński, Marian Bednarczyk, Tadeusz Bejm, Jadwiga Biel, Jadwiga Blusz, Bolesław Boguszewski, Janusz Brych, Józef Buziński, Szymon Chybił, Jan Chyliński, Józef Cyraniewicz, Jan Czapla, Stanisław Cmielewski, Józef Dechnik, Lucja Demianiuk, Ludwik Drożdż, Ryszard Frelek, Aleksander Gertz, Eugeniusz Grochal, Zdzisław Grudzień, Lechosław Gruszczyński, Mieczysław Hebda, Henryk Jabłoński, Mieczysław Jagielski, Piotr Jaroszewicz, Tadeusz Jaroszewski, Wojciech Jaruzelski, Ryszard Jendrzey, Stefan Jędrychowski, Jan Kaczmarek, Franciszek Kaim, Henryk Kamińczak, Stanisław Kania, Józef Kardys, Alojzy Karkoszka, Piotr Karpiuk, Józef Kępa, Józef Klasa, Bolesław Koperski, Tadeusz Kosenko, Stanisław Kowalczyk, Władysław Kozdra, Wincenty Kraśko, Edmund Krawiec, Stanisław Królik, Władysław Kruczek, Stanisław Kujda, Zdzisław Kurowski, Włodzimierz Lejczak, Jan Leś, Irena Lipińska, Jerzy Łukasiewicz, Józef Majchrzak, Stefan Misiaszek, Jan Mitrega, Mieczysław Moczar, Stanisław Mojkowski, Lucjan Motyka, Jerzy Muszyński, Zenon Nowak, Józef Nowotny, Wiesław Ociepka, Kazimierz Olszewski, Stefan Olszowski, Danuta Oszutowska, Józef Pacer, Józef Pajestka, Teodor Palimąka, Antoni Paśko, Stanisław Pawlak, Brunon Peta, Józef Pińkowski, Adam Polak, Tadeusz Porębski, Jerzy Putrament, Jan Puzoń, Tadeusz Pyka, Kazimierz Rokoszewski, Tadeusz Rudolf, Danuta Skrzypczyk, Antoni Skwarek, Irena Sroczyńska, Roman Stachoń, Waclaw Staniszewski, Bohdan Stusio, Henryk Szafranski, Stanisław Szkraba, Franciszek Szlachciec, Jerzy Szopa, Jan Szydłak, Eugeniusz Szyr, Józef Tejchma, Mieczysław Tomkowski, Stanisław Trepczyński, Włodzimierz Trzebiatowski, Józef Urbanowicz, Leon Wantula, Edmund Wasilewski, Andrzej Werblan, Jerzy Wojtasik, Stanisław Wroński, Zygmunt Wroński, Tadeusz Wrzaszczyk, Aleksander Wyrozębski, Stefan Wyszumek, Aleksander Zarajczyk, Jerzy Zasada, Władysław Zastawny, Jerzy Ziętek, Andrzej Zabiński, Zdzisław Żandarowski.

Zastępcy członków Komitetu Centralnego: Jerzy Antczak, Edmund Apolinarski, Józef Barecki, Irena Bednarczyk, Wiesław Bek, Stanisław Bogucki, Stanisław Bohdanowicz, Maria Bukarowicz, Bolesław Chocha, Marian Chruszczewski, Stanisław Ciósek, Kazimiera Czerwińska, Józef Czyrek, Wit Drapich, Marian Drewniak, Jan Figus, Jan Gluza, Kazimierz Górny, Mieczysław Grad, Mieczysław Grudzień, Mieczysław Hankus, Michał Jakubiec, Ludwik Janczyszyn, Romuald Jezierski, Jan Kamiński, Bolesław Kapitan, Mieczysław Karaś, Antoni Karpiak, Kazimierz Kąkol, Józef Kochański, Janusz Kolczyński, Urszula Konieczna, Stefan Kowalski, Roman Kozioł, Tągomierz Kraśkowski, Józef Król, Wiesława Salwa-Kubasik, Jerzy Kuberski, Teodor Kufel, Jerzy Kwiatek, Jan Lew, Tadeusz Ludwikowski, Tadeusz Łomnicki, Adam Łopatka, Igor Łopatyński, Włodzimierz Łotysz, Antoni Majdziński, Jerzy Majewski, Henryk Marian, Eugeniusz Mazurkiewicz, Ludwik Maźnicki, Maria Milczarek, Mirosław Milewski, Eugeniusz Molczyk, Jan Mroczek, Bogdan Nalezty, Barbara Natowska, Józef Okuniewski, Eugeniusz Ołubek, Jan Pawłowski, Tadeusz Pietrzak, Mieczysław Przysucha, Jan Raczkowski, Antoni Radliński, Mieczysław Rakowski, Janusz Roszkowski, Mieczysław Rog-Swios-

tek, Zygmunt Rybicki, Halina Sidorczuk, Józef Siemek, Florian Siwicki, Henryk Słabczyk, Włodzimierz Sokorski, Bogusław Stachura, Stanisław Stefański, Maciej Szczepański, Franciszek Szczerbal, Edward Sznajder, Jerzy Szuba, Marian Sliwiński, Franciszek Tekliński, Tadeusz Tuczapski, Helena Uznańska, Władysław Walczykiewicz, Andrzej Wasilewski, Jadwiga Wasylkowska, Zdzisława Wesolowska, Ryszard Wojna, Władysław Wójcik, Aleksander Wróbel, Zdzisława Zadrozna, Mieczysław Zajfryd, Stefan Żurawski.

## Humor krajowy

Najświeższe dowcipy z warszawskiej kawiarni:

- Co będzie po Zjeździe PZPR?
- Boże Narodzenie.

- Dlaczego było tak mało dowcipów o Zjeździe Partii?
- Bo wszystkie są zawarte w „Tezach Zjazdowych”.

- Jaka jest najważniejsza litera w alfabecie?
- Litera „G”. Był Gomułka, był Grudzień, był Gdańsk, jest Gierek, a będzie „g...o”.

W *Polityce* miał się ukazać rysunek, który został zdjęty przez cenzurę. Przedstawiał on dwóch narciarzy stojących nad stromym stokiem. Jeden z nich mówi do drugiego:

- Zjazd — to drobiazg, ale ten slalom później!...

Zebrała Zofia HERTZ

## Sprawy i troski

### O „wieloetniczności”, zdumieniach i alarmach

W artykule Alicji Iwańskiej „O grupach etnicznych” (*Kultura*, październik 1971, nr 10/289) znajduje się zdanie: „Zdumiona byłam i zaalarmowana widząc ilu poważnych intelektualistów identyfikowało się z polską grupą etniczną w Ameryce podczas ostatniego Kongresu polskich naukowców zorganizowanego przez Polish American Institute of Arts and Sciences na Uniwersytecie Columbia w New Yorku” (nb. nazwa jest nieściśła, w rzeczywistości brzmi ona „Polish Institute of Arts and Sciences in America”).

Mam wielkie uznanie dla prof. Iwańskiej jako badaczki, mam podziw dla pisarki znanej mi od „21 wierszy” odbitych na powielaczu w Chicago, aż do głęboko ludzkich prac o Indianach meksykańskich, ale z kolei ja zdumiałem się i zaniepokoiłem tym co napisała w przytoczonym zdaniu. Co to za zdrożność, co za słabość, co za groźba — dla kogo i czego — „identyfikować się” ze swoją grupą etniczną? Przecież cały kongres był manifestacją polskiej obecności na kontynencie amerykańskim, wkładu myśli polskiej do nauki tego kontynentu, jej związku z polską myślą w kraju. Nie jestem skory do uniesień, przebywałem w Ameryce od niedawna i być może będę w niej popasał niezbyt długo, lecz przeżyłem, zresztą po raz drugi, chwilę solidarności z ludźmi, którzy w niebłahęj liczbie półtysiaca zebraли się na tym kongresie, obradowali w iluś tam sekcjach, wygłosili kilkaset referatów, prowadzili przez kilka dni dyskusje w poczuciu, że poza odległymi od siebie specjalnościami łączy ich coś innego, większego, trwalszego, ważniejszego niż oni sami.

Byłem uwiązany na sekcji literackiej, lecz usiłowałem sprawdzić swoje euforyczne samopoczucie, zaglądając do innych sekcji. Spędziłem m.in. trochę czasu na zebraniu sekcji „politologów” (*political scientists*). Kilkadziesięcioro ludzi przeważyło w młodym i średnim wieku. rozważało tam w doskonałej angielszczyźnie, ze świetną znajomością rzeczy, z nieskazitelną bezstronnością

zagadnienia Polski współczesnej — prowadził tę rozprawę prof. Zawodny, autor książki o Katyniu, w najlepszym stylu kongresowym: sprężystość, precyzyjność, z elegancją i humorem. Nie zdołałem go zapytać, bo w pochłaniającej atmosferze kongresu nie zdołałem go nawet osobiście poznać, czy „identyfikował się” ze mną i z grupą etniczną, do której należy na podobnych prawach, jak ja sam. Przypuszczam, że nie przyszło mu to tak samo do głowy, jak mnie. Może było to dla niego również oczywiste jak dla mnie — aż do chwili przeczytania artykułu prof. Iwańskiej.

Pragnąłbym więc rozważyć główną tezę tego artykułu, że „moda na etniczność” jest zjawiskiem przejściowym, pozbawionym większej wartości, a nawet szkodliwym i niebezpiecznym. Chodzi mi nie tylko o samousprawiedliwienie się ze zdrożnej „identyfikacji” — jest to sprawa mniej ważna i mało kogo obchodzi. Ważniejsza jest sprawa ogólna. Wydaje mi się ona dosyć zasadniczej wagi.

Najpierw — „moda”, żeby na razie przyjąć to określenie. Socjologia mody jest nauką zabawną i pożyteczną, uczy że zmienne gusty mają głębokie uwarunkowania społeczne i psychologiczne, wyrażają jakieś sensy, instynktownie, półświadomie zmiernają ku jakimś celom. Osobiście jestem jegomościem staromodnym, nie zapiściłem bokobrodów i włosów opadających na barki, lecz jestem na tyle perwersyjny, że wolę ze względów higienicznych (a może i innych?) *mini-skirts* od spódnic do kostek obręzionych szczerką, które nosiła moja matka. Jestem jeszcze na tyle młody i trzeźwy, że wolę *ethnicity* od *melting pot*, wolę mozaikę czy, mówiąc skromniej i ściślej, tylko inkrustację etniczną od „kotła hutniczego”. Z wielu względów. Ze względów higieny duchowej, ze względów humanitarnych, ze względu na interes kultury do której należę i na interes ludzi, dla których przynależność do tej kultury nie jest, nie była do niedawna tak oczywista, naturalna, po prostu nie do uniknięcia, jak dla mnie.

Zdumiewa mnie i alarmuje niezrozumienie faktu, że dla Polonii, dla milionów *Polish Americans* „moda na etniczność” jest może ostatnią szansą historyczną. Prof. Iwańska wie to równie dobrze jak ja albo i lepiej ode mnie, że byli oni i są obywatelami jakiejś innej kategorii, niż WASP (*White-Anglo-Saxon-Protestant*), niż „Ajrysz”, Skandynawowie czy Niemcy. Pomijając wczesne dziewiętnastowieczne czy jeszcze wcześniejsze nieliczne i na pół legendarne antecedencje, polska emigracja masowa do Stanów przypada na przełom ostatnich stuleci, liczy kilka (trzy, cztery) obrotów pokoleniowych. Wskutek znanych okoliczności była ona złomem ludzkim brutalnie spychanym do hutniczego kotła amerykańskiej. Aż dziw bierze, iż tyle i tylu ocalało z tej próby, dzielonej z przybyszami z innych krajów. Przez przypadek spędziłem kilka wakacji letnich w stanie Wisconsin, graniczącym o miedzę ze stanem Illinois, którego faktyczną stolicą jest Chicago z wchodzącym w jego obręb polskim „Czykagowem”. Krajobrazowo piękny, gospodarczo zasobny Wisconsin jest w olbrzymim stopniu etnicznie niemiecki. Z niezbyt szlachetną pociechą stwier-



dziłem, że tamtejsi niemieccy Amerykanie już w drugim pokoleniu zatracili znajomość języka, poza nazwiskami nie zachowują żadnego związku z krajem pochodzenia. Zapewne nie da się to uogólnić. Germania amerykańska, jeśliby przyjąć termin analogiczny do terminu Polonia, jest potężną siłą, przede wszystkim ekonomiczną; dawała i daje się nam we znaki.

Ten przykład poucza, że nie należy lekceważyć „etniczności”, nawet płytkiej, nawet ograniczającej się do kultywowania nawykowej religijności, obyczajów rodzinnych i gastronomicznych czy tradycji lokalnych (w Chicago wśród setek klubów działa także niegramatycznie nazwane „Koło Pań Pinczowian”). Dzięki nim coś się ocaliło przed nadejściem owej „mody”, której p. Iwańska tak nie ceni. Trudno przeczyć, że metody kultywowania odrębności etnicznej są przedpotopowe, niewystarczające, często chybiające celu, nawet szkodliwe. Ale metody to nie rzecz sama.

A ta rzecz jest nie do pogardzenia. Właściwie jest nie do omiśnienia. Jest do wygrania lub przegrania. Co można wygrać i dla kogo? Można wygrać Polonię dla niej samej, dla kraju, dla kultury polskiej. W atmosferze zainteresowania problemami etnicznymi Polonia ma możliwość poprawienia, ustabilizowania swojej pozycji społecznej, politycznej i kulturalnej. Jest już na tyle zaможna, okrzepła, wrośnięta w półkontynent amerykański, żeby wywalczyć sobie na nim miejsce, żeby mieć więcej przedstawicieli w ciałach ustawodawczych, w egzekutywie, w hierarchii kościelnej, żeby zaznaczyć mocniej swój już istniejący udział w nauce, zdobyć głos w środkach masowego przekazu, wreszcie zapisać się w sztuce amerykańskiej; w tej ostatniej dziedzinie praktycznie rzecz biorąc świeci całkowitą nieobecnością.

Zatroskanie p. Iwańskiej o „polityczne instytucje amerykańskie”, które są jakoby zagrożone przez etnicyzm wydaje się bezpodstawne. Także ich kult, ponieważ „zbudowane są na ideach anglosaskich” trzeba uznać za przesadny. Nie są one ani tabu, ani doskonałością samą w sobie. Przechodzą w tej chwili próbę wytrzymałości i próbę przystosowania do nowych wymagań życia. Nikt ich nie zamierza italianizować, ukrainizować czy polonizować — bo nawet gdyby się i chciało, jak to zrobić? Najmniej roją o tym polscy Amerykanie. Są, jak na mój gust, nawet zbyt konserwatywni. Ich konserwatyzm płynie z głębokiego przywiązania do instytucji amerykańskich, nie dlatego że „anglosaskie”, lecz dlatego że w swoim instynkcie, w doświadczeniu historycznym i w obserwacji otocza współczesnego odczuwają je jako najbardziej ludzkie. Nie ma chyba bardziej lojalnych obywateli Stanów Zjednoczonych niż Amerykanie polskiego rodowodu.

Mają więc prawo, a nawet obowiązek wobec siebie walczyć o to, żeby owe instytucje nie były „anglosaskie”, żeby było w nich miejsce należne wszystkim grupom etnicznym według ich wartości i wkładu, ambicji i dynamiki rozwojowej a bez wkuypywania się zaparciem odrębności. Dla Polonii amerykańskiej nie jest to sprawa prosta i łatwa. Stanowi ona usypisko czy rozsypano tylko w małej części i tylko luźno związane. Poza trzema wielkimi,

choć w tej chwili zatrzymanymi w rozwoju *Fraternalis*, organizacjami samopomocowymi, ta milionowa masa, obliczana rozmaicie, naprawdę nieobliczalna i praktycznie nieobliczalna jest olbrzymem spętanym, leżącym na ziemi. Od czasu do czasu ruszy on brwią, drgnie w nim serce, ła zakręci się mu w oku, stopy poruszają się w takt krakowiaka czy oberka, lecz nie używa on całej swojej siły, nie wprawia w ruch całego swego potencjału.

W ostatnich kilku latach, da się to nawet określić z większą przybliżoną dokładnością: w ostatnich czterech, pięciu latach coś się w tym kolosie poruszyło, poprzez usypisko przebiegł prąd wiążący luźne ziarna piasku. Łączy się to zapewne z ożywieniem działalności Kongresu Polonii Amerykańskiej, organizacji nadrzędnej, związku związków z naturalną przewagą „związków bratnich”. Sprzyja temu klimat „mody na etniczność”. Pobudza do tego równoległy ruch w innych grupach etnicznych, litewskiej, czesko-słowackiej, ukraińskiej, nie mówiąc o murzyńskiej, która stanowi rozdział osobny. Dostrzegli zjawisko obcy. Historyk, specjalista od nauczania historii (*education of history*), wybitny badacz zagadnień etnicznych, profesor University of Chicago Mark M. Krug, ogłosił niedawno obszerne studium *Polish Americans: A New Awakening* (*The Chicago Tribune*, 10 października 1971). Jakoś nie dostrzegła zjawiska prof. Iwańska, choć przebywała w Chicago przede mną dłuższy czas i zostawiła tu po sobie dobrą pamięć.

Nie ma nic łatwiejszego jak pisać o Polonii Amerykańskiej, w szczególności o Polonii Chicagowskiej, stylem paszkwilu. Przed tą łatwizną cofa się cokolwiek ambitniejsze, cokolwiek bardziej odpowiedzialne pióro. Branie odwetu za zawiedzione oczekiwania po kilkutygodniowym czy kilkumiesięcznym pobycie jest monia po jakąś prywatną satysfakcją, lecz społecznie nic nie znaczy. Po drugiej stronie wywołuje tylko rozdrażnienie i zaparcie się na stanowisku obrażonej słuszności. Sprawa wymaga bardziej wnikliwego rozpoznania i bardziej cierpliwego współdziałania.

Amerykanie polskiego pochodzenia — wskazał to również prof. Krug — cierpią na *inferiority complex*, choć wzbraniają się do tego przyznać i mają za złe, gdy się o tym mówi. Byłoby dziwne, gdyby na taki kompleks nie cierpieli. Jest on skutkiem ubocznym, pozostałością epoki „pieca hutniczego”. Mechanizm tego pieca zaczynał działać już w szkole podstawowej. Piętnowano tam dziecko za ślad akcentu nie-amerykańskiego, choć akcent „ogólnoamerykański” jest czystą fikcją, zakazywano mu mówić w domu językiem rodziców, wpajano poczucie organicznej gorszości. Byłoby zapewne żłudzeniem wyobrazić sobie, że te praktyki mięły bez śladu i bezpowrotnie. Skończyła się tylko całkowita bezbronność. I pojawiły się odmienne założenia teoretyczne. Przynajmniej teoretycznie każde dziecko dowiadyuje się, że Ameryka jest dziełem zbiorowym i wspólnym dobrem przybyszów z wielu stron świata, ma ono prawo do jednakowego traktowania z innymi, do lekcji „etnicznego” języka, jeśli środowisko, do którego należy dość stanowczo tego zażąda.

Dopiero na szerszym tle można zrozumieć dlaczego Amerykanów polskiego pochodzenia tak boleśnie dotykają tzw. „*Polish jokes*”, których bohaterem nieodmiennie jest *a dumb Polack*, jeden z najgłupszych, najbardziej prostackich stereotypów, wymyślonych w tym kraju. Zużywają na prostestach przeciw nim wiele cennej energii, choć naprawdę godną odpowiedzią wydaje się pomijać je wzgardliwym milczeniem i zaprzeczać im faktami dokonanymi, konkretnymi osiągnięciami. Należy wątpić w celowość akcji polsko-amerykańskiego milionera p. Piszka. W szlachetnym odruchu przeznaczył on 500 tysięcy dolarów na płatne ogłoszenia w gazetach dowodzące, że Polska i Polacy — mówiąc dosadnie — nie wypadli sroce spod ogona. Za te pieniądze można by ufundować dwie, trzy „wieczyste” katedry polskie na czołowych uniwersytetach, stworzyć na jednym z nich nie istniejące *Polish area studies* (studium obejmujące wszystkie aspekty kultury od języka do folkloru) albo zmobilizować taką ilość studentów specjalizujących się w sprawach polskich, od której aż mrozy się w głowie.

Cała sytuacja nie jest ani łatwa ani prosta — przeciwnie, złożona i trudna. Wymaga wysiłku myślowego i sensownego działania. I jest w niej miejsce dla intelektualistów polsko-amerykańskich. Zaczniemy od kongresów naukowych, bo drugi z nich stał się punktem wyjścia tych uwag przez pół polemicznych, przez pół wyjaśniających szerszej sprawę.

Polonia przyjęła te kongresy jako potwierdzenie siebie, jako manifestację podwyższającą jej poczucie własnej wartości; każdy sukces polski leczy ją z kompleksu upośledzenia, sam przez się podnosi, umacnia i pobudza. Przy innej okazji przypominałem słowa wybitnego, dziś już nieżyjącego działacza polonijnego w Nowym Jorku, Wazetera. Warto je tu powtórzyć. Zwalisty, apoplektyczny, człowiek-buldozer, może skłonny do uniesień, ale chyba nie skłonny do aktów franciszkańskiej pokory, powiedział on publicznie do Damiana Wandycza (inicjatora i organizatora kongresu w 1966 a także w 1971 roku): „W trzy dni zrobił pan dla sprawy polskiej więcej niż ja przez trzydzieści lat”. Było to słowne, ale i uczuciowe i myślowe, utożsamienie się grupy etnicznej w całej jej złożoności i nieokreśloności ze zjazdem pracowników naukowych.

Także sam zjazd był nieuchronną identyfikacją z tą grupą. Z wielu powodów. I dlatego, że uczestniczyli w nim, ciągle nie dość liczni lecz często wybitni, intelektualiści, którzy wyrosli z tej grupy etnicznej i nie zerwali z nią związku. I dlatego, że była ona przedmiotem rozważań kongresowych. I wreszcie dlatego, że w przewodzie solidaryzowania się z kulturą polską i społecznością w kraju nie jest ani możliwe, ani byłoby wskazane pominięcie to ogniwo pośrednie, ten wariant kultury i ten odszczep społeczny, stanowiący bezpośrednie zaplecze, istniejący jako dotykalna rzeczywistość tuż za ścianami sal wykładowych, w których konfrontuje się wyniki badań i rozprawia na ich temat. Wzajemnie od czasu owych zjazdów jeśli nie polskie masy

etniczne, to ich grupa przywódcza mniej lub bardziej świadomie szuka porozumienia z intelektualistami, mniej lub bardziej logicznie oczekuje od nich pomocy. Ale gdy się patrzy na sprawę bez złudzeń, nie układa się ona w schemat idylli. I to po obu stronach.

Są intelektualiści, którym niełatwo zrozumieć o co idzie; matematyk o międzynarodowym standingu, członek Amerykańskiej Akademii Nauk, na jakimś obiedzie powiedział do mnie scenicznym szeptem: „Nie rozumiem o czym oni mówią. Nie mam poczucia upośledzenia, nigdy nie doznałem żadnej dyskryminacji”. Są intelektualiści tak daleko odbici od skupisk polsko-amerykańskich i ich zagadnień, że nie jest metaforą powiedzenie jednego z nich: „Rozmawiam po polsku tylko sam z sobą” (zapewne mógłby dodać: myślę i śnię po polsku). Jeszcze inni są całkowicie ześrodkowani na sobie i na swojej pracy, co koniec końców jest ich dobrym prawem. Nie brak kalek psychicznych pozbawionych zmysłu społecznego, arystokratów duchowych nie chcących się „zniżyć do tłumu” i snobistycznych masochistów „alienacji” — tych wszystkich trzeba zostawić ich własnemu losowi.

Również po drugiej, Polonijnej, stronie sprawa wikła się w niezrozumieniach i uczuleniach, utyka na prowincjonalnym mandarynizmie, wygórowanym poczuciu własnej ważności. Nigdy w moim życiu nie chodziłem tyle po kweście, nie kołatałem często daremnie do tyłu drzwi o pieniądze nie dla siebie, co w bogatej Ameryce. Każdy dolar dany wahającą się ręką obciąża tu nieufność ludzi, którzy go kiedyś ciężko zarabiali. Są sprawy, z którymi Polonia nie umie sobie od lat poradzić, jak sprawa Muzeum Polskiego w Chicago i Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, ale nie dopuszcza do nich fachowców — może to budzić uzasadnione powątpiewanie w szczerść ogólnikowych apelów o współpracę. Wyższe studia polskie są ciągle niedostatecznie obsyłane przez dzieci Polonii. Ma ona w ogóle jedną z niższych lokat wśród wszystkich grup etnicznych, jeśli idzie o procent młodzieży kierowanej do szkół akademickich.

Zaznaczona tu złożoność związku jest wyzwaniem dla intelektualistów polsko-amerykańskich, zwłaszcza obediencji humanistycznej, socjologicznej, antropologicznej, społeczno-politycznej. Zamiast poddawać się alarmistycznym lękom, że mogą ulec „indywidualnemu zwężeniu”, że mogą uronić coś z klerkowskiej niepokalaności, powinni otworzyć oczy i dojrzeć co się wokół nich dzieje, otworzyć uszy i dosłyszeć wezwania choćby słabe, zmieszane i sprzeczne. Należy ich alarmować, ale w przeciwnym kierunku, nawoływać do wygrania koniunktury na wieloetniczność, do współdziałania w tym wysiłku.

Gdyby się udało w pełni lub w jakimś stopniu wyzyskać koniunkturę, wreszcie zaczęłyby się opłacać w globalnym rachunku olbrzymia inwestycja polska, zaczęłyby rentować nieobliczalny czarnoroboczy trud, krwawy pot kilku milionów i kilku pokoleń, ich dobijanie się prawa do ludzkiego życia poprzez upokorzenie i upośledzenie. W dotykalny sposób urzeczywistniłaby się niena-

pisana saga wszystkich polskich emigracji zarobkowych i politycznych na kontynent amerykański.

To może wydać się zbyt oderwane i sentymentalne, „literackie”. Ale w etniczynie tkwią zupełnie konkretne, podlegające chłodnemu obliczeniu możliwości działania dla dobra kultury polskiej i dla dobra Polski.

Polonia świadoma swej odrębności to potencjalny konsument książki, sztuki niekoniecznie tylko o charakterze folklorystycznym, i tylko na najniższym, jarmarcznym poziomie. Jest to moje przekonanie oparte na obserwacji, że nieliczni wydawcy emigracyjni nie doceniają Polonii jako odbiorcy, nie znajdują do niego drogi, bo jej naprawdę nie szukają. W miarę awansu intelektualnego Polonia może i powinna być naturalną transmisją, naturalnym pośrednikiem wprowadzającym polski dorobek myślowy w szerszy obieg.

Polonia silna, zorganizowana, wiedząca czego chce i zdolna przeprowadzić co chce, to — używając już terminów specyficznie amerykańskich — wielka *pressure group*, wielka *lobby*, powołana do tego, by działać na rzecz Polski, na rzecz jej doraźnych interesów i jej celów niezmiennych, choć w tej chwili nieosiągalnych.

W zasięgu aktualnej obserwacji istnieje przykład takiego skutecznego działania. Izrael broni się i należy wierzyć, obroni się dzięki budzącej podziw prędkości swego społeczeństwa, lecz także i w bardzo wielkiej mierze dzięki Żydom amerykańskim. Ten argument powinien uciszyć skrupuły, że opowiedzenie się za pluralizmem etnicznym, solidaryzowanie się ze swoją grupą etniczną jest „zasadniczym odchyleniem od roli emigranta politycznego”. Wprost przeciwnie. W pewnych warunkach może być jedynym, jedynie skutecznym spełnieniem tej misji.

Prof. Iwańska wśród kilku słów zaczynających się od majuskuły zawiesiła emfaticzny znak zapytania również przy słowie „Ludzkość”. Mam wątpliwości czy to nie jest myślenie zbyt abstrakcyjne, mierzenie zbyt dalekie. Ale zostawiając wątpliwości na boku, można powiedzieć, że pluralizm etniczny jest bardziej ludzki, bardziej humanitarny i humanistyczny niż brutalnie technicyzyczna idea „kotła hutniczego”. Bronimy prawa jednostki do bycia sobą, prawa narodu do samostanowienia i samobycia; dlaczego odmawiać tego prawa grupom etnicznym?

W wielu punktach nie zgadzałem się z autorką szkicu „O grupach etnicznych”. Dla równowagi winienem powiedzieć w czym się z nią zgadzam. I mnie „wizja Ameryki wieloetnicznej” wydaje się „nieomal psychodeliczna”, to znaczy należąca do kategorii przyjemnych rojeń, do strefy sztucznych rajów.

Nie ma na jej urzeczywistnienie obiektywnych widoków, bo Ameryka składa się z grup etnicznych i z większości, która już zatraciła poczucie etniczne, z *the ethnics* i *straight Americans*, z Amerykanów bez bliższego określenia, „Amerykanów amerykańskich”, jeśli można użyć takiego pleonazmu przez analogię do niepleonazmowych określeń *Polish Americans*, *Irish Americans*,

*Scandinavian Americans*. Dlatego na początku tych uwag przeciwstawiłem osławionemu obrazowi „pieca hutniczego” obraz nie „mozaiki” lecz „inkrustacji etnicznej”, pełnoprawnego istnienia innorodnych składników zintegrowanych z całością.

Idę w sceptycyzmie dalej niż p. Iwańska. Jestem skłonny w wieloetniczności upatrywać nawet nie „modę” lecz tendencję taktyczną. Na skutek swoich błędów, ściśle biorąc błędów anglosaskiego rasizmu, Stany Zjednoczone stoją w obliczu kultury w kulturze, społeczeństwa w społeczeństwie, nawet państwa w państwie — Czarnej Ameryki, Afro-Ameryki. Prze ku niej pierwotna dynamika rasowa rozjątrzana poczuciem wielowiekowego upośledzenia. Na tle tej groźby białe grupy etniczne zyskały znaczenie, którego im odmawiała epoka „pieca hutniczego” i odmawiają do dziś pogrobownicy i nostalgicy tej epoki. Mogą one być przeciwwagą, amortyzować odśrodkowe napięcia, mogą, choć z pozorów to się wydaje paradoksalne, działać na rzecz spójności.

Jeśli takie odczytanie „mody na etniczność” da się utrzymać, odsłania ono jej komplikacje i niebezpieczeństwa. Nie jest pomysłem jej skojarzenie z ruchem murzyńskim chociażby się o nim myślało. Może ono przetrzącać resentymenty związane z jednym ruchem na drugi. Może prowadzić do pomyłek w ocenie perspektyw i celów, w wyborze metod i sloganów (niewczesne, naśladowcze pokrzykiwanie o „Polskiej Sile”). Przy spazmatyczności, skłonności do gwałtownych przerzutów, cechujących psychikę amerykańską, tendencja idąca w jednym kierunku może się zwrócić w kierunku przeciwnym. Nawet bez tego emancypowanie się grup etnicznych nie może obyć się bez zadrażnień. Należy ich unikać i ograniczać je do nieuniknionego minimum. Kosztowna akcja p. Piszka powinna była być przed rozpoczęciem rozważań także od tej strony.

To wszystko wskazuje, że intelektualiści polsko-amerykańscy mają w całej sprawie wielką rolę do odegrania. Mogą wspierać swoją grupę etniczną i umacniać ją swoimi osiągnięciami, pomóc jej w wyzwalaniu się z kompleksów. Mogą ułatwiać pełniejszą orientację w zjawisku, uświadamiać o jego złożoności, działać miarkująco.

Wniosek końcowy tych uwag jest prosty i chyba niewątpliwy. „Wieloetniczność” nie daje powodu do zgorzzonego zdumienia i przedwczesnych alarmów. Powinna się stać wyzwaniem dla intelektu.

Tymon TERLECKI

## Emigracja do Afryki Południowej

Nawiązując do informacji ogłoszonych w nrze 4/271 *Kultury* w kwietniu 1970 o możliwościach imigracji do Południowej Afryki zwróciłem się do członków Zarządu Zjednoczenia Osadników Polskich w Płd. Afryce z prośbą o podanie mi jak się te sprawy przedstawiają obecnie.

Uzyskane informacje winny zainteresować rodaków zamierzających imigrować do Południowej Afryki:

„Na skutek wzmożonej imigracji z Europy, która w ubiegłym roku wyniosła około 40.000 osób, departament imigracji stosuje bardziej dokładną selekcję w udzielaniu wiz na stały pobyt. Pierwszym warunkiem jest zapewnienie sobie kontraktu pracy, który musi być uwierzytelniony.

Departament imigracyjny został tak rozbudowany, że w każdym przedstawicielstwie dyplomatycznym lub konsularnym Republiki jest jeden lub kilku urzędników imigracyjnych, którzy przyjmują podania petentów i udzielają im potrzebnych wyjaśnień. Petent z reguły jest informowany że załatwienie podania musi potrwać około sześciu miesięcy.

Bezpośrednie zwracanie się do departamentu imigracji w Pretorii jest bezcelowe, jak również bezcelowe jest pisanie urgensów i żalów do Zarządu Zjednoczenia celem interwencji w Pretorii.

Ze strony Zarządu Zjednoczenia pomoc dla imigrantów jest ograniczona. Z powodu braku osób chętnych do pomocy, nie można nadażyć z odpowiedziami na listy nadsyłane z szeregiem, czasem bardzo dziwnych, zapytań. Są jednak osoby które dzięki swoim kwalifikacjom uzyskują bez trudności pracę i stałe prawo pobytu, bez szukania pomocy ze strony Zjednoczenia. Tacy imigranci wyrabiają dobrą markę dla siebie i dla innych rodaków.

Natomiast innym typem „imigranta” są osoby, które otrzymują wizę turystyczną a po kilku tygodniach czy miesiącach pobytu występują do władz o udzielenie im stałego prawa pobytu.

Z zasady władze imigracyjne podania takie załatwiają odmownie i petenci jak niepyszni muszą wyjeżdżać. Chcemy podkreślić, że nie dotyczy to Polaków, gdyż w pierwszym rzędzie postępują tak inni. Lecz zdarzały się wypadki, że i nasi rodacy musieli wyjechać, rozgoryczeni że tutejsza Polonia im nie pomogła. Musimy podkreślić, że postępowanie tych osób bardzo utrudnia sytuację w wypadkach kiedy trzeba interweniować w sprawach zastępujących na specjalne wyróżnienie.

Na skutek napływu Polaków, pomoc nasza musiała ulec ograniczeniu. Nie mając na to specjalnych środków finansowych i wobec braku pomocników „nie możemy wozić, pożyczyc i tłumaczyć” jak to zostało podane w naszym poprzednim komunikacie. Czynimy to w miarę naszych możliwości, ale nie z zasady, i dlatego każdy nowoprzybyły Polak-imigrant musi być przygotowany na przetrwanie pierwszych miesięcy o własnych siłach, lecz przy wydajnej pomocy władz imigracyjnych.

Podajemy nasz adres: Zjednoczenie Osadników Polskich w Południowej Afryce — Association of Polish Settlers in South Africa.

P.O. Box 9484 Johannesburg.

Równocześnie chcemy nadmienić, że „Sekcja imigracyjna i Opieki społecznej” przestała istnieć.

Rozmawiał R. KRÓLIKOWSKI

Johannesburg, grudzień 1971.



**TAZAB**  
22 ROLAND GARDENS LONDON SW7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:  
TAZAB OF LONDON  
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003  
Telefon: ALgonquin 4-4160

## Kronika kulturalna

### In memoriam : Jean Bourrilly

W rządzie obcokrajowców, którym przeznaczone było — nieoczekiwanym zrządzeniem losu — spotkanie z Polską i dla których stało się ono źródłem całozyciowej przygody, Jean Bourrilly (1911-1971) zasługuje na poczesne miejsce. Któżby się mógł był spodziewać, że w normalnym toku rzeczy Marsylijczyk, uczeń École normale supérieure, potem *agrégé* literatury angielskiej i przed wojną już dyrektor Instytutu Francuskiego w Dublinie, nagle, w 30-tym roku życia, przestawi wszystkie swoje zainteresowania naukowe i nauczycielskie aby resztę życia poświęcić bez reszty polskiej mowie, polskiemu piśmiennictwu, polskiej kulturze? Aby tak się stało trzeba było trafu, że po klęsce Francji w 1940 roku, Jean Bourrilly jako porucznik rezerwy znalazł się w niemieckim obozie jenieckim Oflag 17 A w Edelbachu w Górnej Austrii, gdzie miał przebyć za drutami pięć lat. Spotkał tam wśród tysięcy internowanych jeńców francuskich setkę oficerów polskiej dywizji grenadierów która walczyła w Lotaryngii w ramach armii francuskiej. To spotkanie miało zadecydować o całym Jego przyszłym życiu.

Młody uczony wzrósłszy w tradycji ciekawości naukowej — ojciec Jego był profesorem na Uniwersytecie w Aix — szukał od samych początków kontaktów osobistych z Polakami w obozie. Od początkowych okolicznościowych rozmów koleżeńskich, poprzez późniejsze przyjacielskie zbliżenie, doszło z czasem do codziennych, regularnych spotkań, do zażyłego współżycia i stałej współpracy. Jean Bourrilly ofiarnie nauczał polskich towarzyszy broni literatury angielskiej w ramach polsko-francuskich studiów akademickich w obozie. Wzajemnie Bourrilly pragnął poznać tajniki polskiej mowy — wydawałoby się — trudno dostępnej dla cudzoziemca. I oto w toku codziennego uczenia się w najbardziej trudnych warunkach — bez podręczników, bez papieru, bez ołówków, — stopniowo i nieoczekiwanie stawał się on znawcą naszego

języka, miłośnikiem polskiej literatury, tłumaczem jej arcydzieł. Po wojnie miały się ukazać we Francji Jego tłumaczenia „Anhellego” (1958) czy „Balladyny” (1961) a na wydanie czekają tłumaczenia „Listów Słowackiego do matki”, „Króla Ducha” czy „Sonnetów Krymskich”. Piękne tłumaczenie białym wierszem „Pana Tadeusza” pozostanie niedokończonym.

Ale wyniki tej codziennej współpracy, uprzyjemnionej osobistym urokiem i godną podziwu wytrwałością francuskiego ucznia, Jego zapałem do pracy i rosnącym umiłowaniem przedmiotu — miały przekroczyć wszelkie oczekiwania. Dzięki Niemu my sami zdaliśmy sobie wtedy sprawę z niedostrzeganego często przed tym piękną naszej własnej mowy. Jean Bourrilly, zaraz po wojnie, zachęcony przez Swych polskich przyjaciół, udał się wraz z rodziną do Polski aby naocznie zapoznać się z krajem znanym Mu dotychczas tylko z pism i z opowiadań. Miał on tam ugruntować swoje kontakty z polszczyzną w latach 1946-1950 kiedy był dyrektorem Instytutu Francuskiego w Krakowie i wykładał na U.J., potem w latach 1956-1959 kiedy był radcą kulturalnym Ambasady Francuskiej w Warszawie. Na obu tych etapach dokonał wiele dla kulturalnego zbliżenia na nowo Polski i Francji, dla wymiany młodych sił naukowych, dla wzajemnego zrozumienia; nie zrażał się żadnymi przeciwnościami (a nie brakło ich, do ekspulsji z Polski w roku 1950 w czasie represyj antyfrancuskich włącznie). Przeciwnie, Jego „opcja na rzecz polskości” stała się właśnie w tych latach istotną treścią Jego życia. Żył on odtąd całkowicie sprawami polskimi, cieszył się osiągnięciami i martwił troskami narodu.

Dzięki równocześnie prowadzonym gruntownym badaniom naukowym nad Swym ulubionym poetą Słowackim, wydał w roku 1960 w Paryżu Swą monumentalną tezę doktorską dotyczącą młodości poety<sup>2</sup>, — owoc poszukiwań źródłowych, świadczący wyraźnie o romantycznym braterstwie autora z poetą; dzieło to zachowa trwałą wartość i stanowić będzie główne źródło znajomości twórczości młodego Słowackiego we Francji. Równocześnie pracował Bourrilly nad Mickiewiczem czego dowodem są dwa wydawnictwa z tych lat<sup>3</sup>.

Uznany za jednego z najwybitniejszych polonistów francuskich, Jean Bourrilly powołany został w roku 1960 na utworzoną wtenczas (po raz pierwszy w historii) katedrę literatury polskiej na Sorbonie. Odtąd przez jedenaście lat na tej katedrze uczył młodzież jak należy rozumieć, studiować i tłumaczyć dzieła polskiej literatury na tle porównawczym. Humanista, literat, poeta,

1. Zdałem z tego swego czasu sprawę w 3-cim tomie „Nauki polskiej na obczyźnie” (Londyn, 1961, str. 217).

2. „La jeunesse de Jules Słowacki, 1809-1833. La vie et l'oeuvre” (Paryż, Nizet, 1960, stron 502).

3. „Mickiewicz and France” (po angielsku w „Mickiewicz and the World Literature” (red. Waclaw Lednicki, Berkeley 1956) i „A. Mickiewicz: les sonnets de 1826” (po francusku w „Livre du centenaire”, red. St. Stroński i W. Folkierski, Londyn 1958).

Jean Bourrilly umiał porywać słuchaczy, przekazywać im Swoje upodobania literackie i kształcić nowe pokolenie miłośników polskiej kultury. Równocześnie jako przewodniczący (po Jean Fabre) Komitetu Francuskiego współpracy kulturalnej z Polską zwalczał rozliczne opory aby utrzymać i utrwalić tę współpracę. Żeżeli zdołała ona przetrwać i umacniać się to wielka w tym Jego zasługa.

Ostatni raz był w Polsce towarzysząc generałowi de Gaulle w jego znanej podróży do kraju.

Ciesząc się powszechnym uznaniem i Francuzów i Polaków, wszelkich odcienn i obu pokoleń, lubiany i szanowany przez współpracowników i uczniów, laureat nagród naukowych za tłumaczenia z języka polskiego (dwie nagrody polskiego PEN-klubu i nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego), — odszedł przedwcześnie w pełni pracy twórczej, po ciężkiej chorobie. W czasie Jego pogrzebu słusznie powiedziano nad Jego trumną w kościele polskim w Paryżu, że „Zakochał się On w Polsce”. Dla Francji i dla Polski, dla nauki i kultury świata, jest to strata niepowetowana.

Do ogólnego hołdu składanego Jego pamięci, piszący te słowa pragnie — jako Jego towarzysz broni i niewoli i jako naoczny świadek Jego prac i zmagania, jako ten który był czynny w procesie Jego „polonizacji”, dodać swe skromne świadectwo: Jean Bourrilly stanowi trwały przykład siły atrakcyjnej kultury polskiej, polskiego słowa i polskiej twórczości literackiej. Po Paul Cazin będzie on ucieleśniał braterską współpracę między Polakami a Francuzami, nawiązaną w obliczu wspólnych nieszczęść i której wierny pozostał do końca.

Jerzy Stefan LANGROD

## Komunikat

Queens College of the City University of New York zatwierdziło nowy przedmiot, *Polish Honors*, który będzie wykładany w semestrze wiosennym, zaczynającym się 1 lutego 1972 roku.

Tematem wykładów będzie „Literatura Polska na Uchodźstwie, ze szczególnym uwzględnieniem autorów nagrodzonych przez jury *Kultury i Wiadomości*”.

Autorzy nagrodzeni i *wszelcy inni*, którzy chcą, by książki ich były omówione na wymienionym kursie, proszeni są o przesłanie swoich książek (choć po jednym egzemplarzu), wraz z raczej dłuższą notą biograficzną, wymieniając wszystkie ich utwory i krótką ich treść). Materiały te należy wysłać pod adresem:

Prof. Paweł Łysek,  
Queens College,  
Flushing, New York, N.Y. 11367,  
U.S.A.

## Książki

### Wędrowiec i róże

„Własność ziemi nagiej jest koniunkturalna, obliczalna za każdym razem w dukatach i talarach. Dopiero zabudowania i upiększenia nadają jej wartość jakościową, nie obliczalną w gotówce i rozstrzygającą o przywiązaniu rolnika do ziemi. Te słowa wyjęte z eseju zamykającego zbiór pism Jerzego Stempowskiego (Pawła Hostowca, znanego co dawniejszym czytelnikom *Kultury* z „*Notatek nieśpiesznego wędrowca*”) mogłyby też stanowić motto tego diariusza podróży po coraz dokładniej pustoszonych ziemiach i palonych lasach Europy — Europy „od Berdyczowa po Rzym”! Wędrowki te odbywały się w „czasach przełomowych” — dla ludzi pokolenia Stempowskiego stan permanentny — lecz plon ich stanowi lekturę w horacjańskim znaczeniu dobrą: „użyteczną i wdzięczną”. Ta książka została napisana przez człowieka mądrego i dzięki temu zawiera spokój i pogodę właściwe mądrości. Pod słowem „mądrość” rozumiem tu nie ogromną erudycję autora, lecz tę jakąś „wartość jakościową” umysłu i charakteru, dzięki którym udało mu się pogodzić rzeczy na pozór nie do pogodzenia: przymusową wędrowkę („urodzony na kresach, już w Polsce byłem do pewnego stopnia emigran-tem”) z prawdziwie „rolniczym” przywiązaniem do ziemi (dosłownie: ileż uwagi poświęca drzewom, rzekom i zwierzętom mijanych okolic!); a także miłość ku „krzewom i drzewom ozdobnym” — jak brzmi tytuł ostatniego podrozdziału — z akceptacją spostrzeżenia Rilkego: „wszak Piękne jest tylko początkiem Straszego”. Ta „jakość” sprawiła, że „niedola i bezsilność emigrantów” nie przemieniły mu się w jałową tułaczkę, a umiłowanie książek, obrazów i muzyki — w śmieszny na tle post-rilkowego Straszego estetyzm.

Jak każde dobre piarstwo szkice te — wspomnienia, eseje, reportaże — mają wiele warstw: materiał faktograficzny („...par-

\* Jerzy Stempowski (Paweł Hostowiec): *Od Berdyczowa do Rzymu*, Biblioteka „Kultury”, tom 210. Instytut Literacki, Paryż, 1971.

ki ukraińskie istnieją dziś być może już tylko w moich wspomnieniach...”), oceny bieżących (od I wojny do lat 60-ych) wydarzeń politycznych, popis dobrego pisania i lapidarności sformułowań („profitariusze wszystkich krajów...”); tutaj zatrzymam się przy warstwie chyba najgłębszej, jednoczącej — owego estetyzmu, który nie jest estetyzmem.

Wirgiliusz, poezja barokowa i francuscy symboliści splatają się u Stempowskiego w naturalną całość z refleksjami na temat np. hitleryzmu przed wojną, obrazem ruin powojennej Europy czy reportażem z komunistycznej Jugosławii. Nie są to inteligentne wstawki „żeby ładniej brzmiało”, tylko sposób parzenia na świat. Dla Stempowskiego świat jest wprawdzie pełen okropności, nędzy ludzkiej, nieszczęść i pychy, lecz jest też ojczyzną rzeczy lepszych i bardziej niewzruszonych: pięknych myśli, uczuć i form. *Nec locus ubi Troia* — lecz Iliada istnieje nadal. I jest nawet ważniejsza od Troi:

„Lektura Iliady, czytanej bez przerwy przez dwa i pół tysiące lat daje [...] poczucie wspólnoty duchowej ze wszystkimi pokoleniami poprzednimi i dostarcza kompletnego złudzenia stałości i ciągłości życia”.

I nie chodzi tylko o złudzenie — zastanawiając się nad łatwością z jaką hitlerowcom udało się przekształcić całe pokolenie w barbarzyńców zdolnych wiadomo do czego, Stempowski przypisuje to odcięciu od źródeł, od przekazywanych z pokolenia w pokolenie systemów wartości, od wszelkich nie-dorażnych prawd, których reprezentatem była od wieków literatura. Pisząc o różach wśród płonących lub zagrożonych pożarem lasów czyni to z przekonaniem, że róże też są ważne — bo „rozstrzygają o przywiązaniu”.

Stempowski jest humanistą w renesansowym, nie dzisiejszym tj. salonowo-kongresowym znaczeniu tego słowa i główny moim zdaniem urok pozostałej po nim książki leży w możliwości obcowania z kimś, kto naprawdę i na zawsze ukochał róże sercem i rozumem — i uważa to za rzecz najnaturalniejszą w świecie. „Okresy pogardy dla przeszłości i tradycji znaty już wieki poprzednie. Nie widziano jednak, aby okresy takie trwały długo [...]. Prawdziwi barbarzyńcy uważają się zwykle za nieszczęśliwych, dopóki nie nauczą się łacińskiej gramatyki”.

Norwidowsko biedny u schyłku Podróży ten „czytelnik wędrowny” niósł z sobą norwidowską myśl o sztuce — czy szerzej: kulturze — jako „chorągwi na prac ludzkich wieży”, jako o *sacrum*, które — uświęcone uwagą pokoleń — daje, podobnie jak modlitwa wierzącemu, nie tylko pocieszenie, lecz i odkupienie. I to ostatnie nie jest cczą retoryką: książka Stempowskiego przesiąknięta jest przekonaniem, że więź z „piękną przeszłością” ludzkości jest potrzebna jak chleb i powietrze, bo kultura jest złotym środkiem pomiędzy barbarzyństwem i automatyzmem. Pisząc o „realistach”, dążących do „eliminacji rzeczy niepotrzebnych” zauważa, że konformizm i ciasnota wyobraźni w ten sposób zrodzone wydały już owoce:

„Zachód Europy widział upadek Wilhelma II, Mussoliniego i Hitlera. Przelano przy tym morze krwi, ale nie popełniono żadnego godnego uwagi aktu nieposłuszeństwa. Jak można wnosić chociażby z pism H. D. Thoreau, Céline'a i z manifestów surrealizmu, 'rzadka i trudna cnota nieposłuszeństwa' miała tu też zwolenników, ale ślady jej znaleźć można tylko w twórcach wyobraźni. W rzeczywistości od czasów Napoleona kult dyscypliny za wszelką cenę jest jednym z najistotniejszych rysów cywilizacji europejskiej. Rys ten był niezbędnym warunkiem wojen o hegemonię kontynentu i w dalszych konsekwencjach przygotował Europę do obecnej roli prowincji”.

Nie chcę mnożyć cytatów, by nie stwarzać wrażenia, że omawiana książka stanowi kolekcję rodzynek i *bon-mot*'ów; jest właśnie przeciwnie: jest to „nieśpieszna” relacja, w zdaniach i sądach wiedziona lojalnością wobec widzianych krain, nie chęcią olśnienia słuchacza. I dlatego dobrze się jej słucha.

M. BRONSKI

## Uniwersytet Łódzki fałszuje własną historię

List otwarty:

Do Rektora Uniwersytetu Łódzkiego,  
Prof. Dr. Zdzisława Swarczyńskiego  
Prof. Dr. Józefa Dutkiewicza, kierownika katedry historii najnowszej  
Prof. Dr. Antoniny Kłoskowskiej, kierownika katedry socjologii.

W jednej z bibliotek paryskich wpadła mi do ręki wydana w 1970 roku książka jubileuszowa Uniwersytetu Łódzkiego<sup>1</sup>. Nie będę tał że ogarnęło mnie wzruszenie. Oto ćwierć wieku historii młodej uczelni polskiej, która równocześnie jest w dużej części historią mojego życia. Byłem jak wiecie jednym z pierwszych studentów Wydziału Historycznego tej uczelni w roku akademickim 1945/1946. Byłem jednym z pierwszych magistrów wychowanków łódzkiej Alma Mater. Tuż po uzyskaniu dyplomu w końcu 1948

1. Uniwersytet Łódzki 1945-1970. Przewodniczący Kolegium Redakcyj-

nego: A. Kłoskowska; Słowo wstępne: Zdzisław Swarczyński. *Dzieje Wydziału Filozoficzno-historycznego* opracował J. Dutkiewicz. Łódź, 1970, s. 216.

roku, rozpocząłem pracę jako asystent w tejże uczelni. Pod kierownictwem niezapomnianej pamięci, wybitnej humanistki Prof. Dr. Natalii Gąsiorowskiej-Grabowskiej, uzyskałem w 1954 roku tytuł doktorski. Zachowałem w swoich zbiorach egzemplarz pi-semka *Głos Uniwersytetu* z marca 1954, w którym — w artykule poświęconym mnie i mojemu koledze J. Danielewiczowi (wraz z naszymi fotografiami) — podkreślony jest fakt, że jesteśmy pierwszymi doktorami (wówczas tytuł ten brzmiał „kandydat nauk”) wychowankami Uniwersytetu Łódzkiego.

W 1956 roku zostałem mianowany docentem i *de facto* (a od 1961 roku) *de jure* — kierownikiem Zakładu Najnowszej Historii Polski. Swoją pracę naukową poświęciłem pionierskim wówczas badaniom nad historią społeczno-polityczną Polski XX wieku, a w szczególności nad problematyką rewolucji 1905-1907 roku. Ukoronowaniem i pozytywną oceną mojego dorobku naukowego była nagroda naukowa II stopnia uroczyste mi wręczona 1.X. 1967 roku przez ministra Jabłońskiego. Równy pół roku później zostałem oszkalowany w partyjnej prasie i usunięty z Uniwersytetu. Z dokumentem podróży do Izraela z ważnością zaledwie na kilka dni opuściłem wraz z rodziną Kraj, pozbawiony uprzednio obywatelstwa.

Próżność jest słabością ludzką. Tak więc wertowanie „Księgi” rozpocząłem od poszukiwania swojego nazwiska, śladów swojej działalności. Wzruszenie ustąpiło miejsca uczuciu gniewu i politowania wobec jej autorów i redaktorów. Nazwisko moje i wielu moich kolegów zostały skazane na niepamięć.

Panie Profesorze Dutkiewicz! Spod pańskiego pióra wyszedł szkic dziejów Wydziału Filozoficzno-Historycznego. Znał Pan doskonale moją działalność naukową i mój dorobek. Nawet poświęcił im Pan sporo uwagi (str. 57 i inne), ale uczynił Pan to w sposób rażąco sprzeczny z zasadami, które Pan wpajał studentom ucząc ich metodologii historii. Charakteryzując mój dorobek i oceniając go nawet bardzo pozytywnie przemilczał Pan całkowicie moje nazwisko, albo co jeszcze gorsze, w sposób kolidujący z zasadami uczciwości i przyzwoitości ludzkiej przypisywał Pan moje prace innym osobom.

Oto jaskrawy przykład. Na stronie 57 formułuje Pan: „Prof. Gąsiorowska [...] wydała dwa tomy źródeł do historii rewolucji 1905 roku w okręgu łódzkim”. Prawda zaś, którą Pan doskonale zna, przedstawia się następująco: W latach 1957-1964 wydałem 3 duże volumeny (ponad 2000 stron druku) dokumentów archiwalnych do dziejów rewolucji 1905-1907 roku. Był to plon dziesięciu lat mozolnej pracy. Nie chcę uprawiać autoreklamy, ale jak Pan zapewne wie, z całej naszej twórczości poddanej naciskom cenzury najtrwalszą wartość posiadają edycje źródeł. Dlatego też ku mojej satysfakcji publikację tę znalazłem w wielu naukowych bibliotekach Europy i Stanów Zjednoczonych. Aby uzyskać umowę na tego rodzaju deficytową publikację wolałem

występować pod patronatem wpływowej i powszechnie szanowanej Prof. Natalii Gąsiorowskiej i na moją prośbę zgodziła się ona figurować jako redaktor-opiekun. Na okładce jednak i karcie tytułowej każdego tomu wyraźnie podane jest „wydał Paweł Korzec”.

Panie Profesorze Dutkiewicz! Obaj znaliśmy Prof. Gąsiorowską i Pan wie równie dobrze jak i ja, że była ona uosobieniem uczciwości ludzkiej i że gdyby żyła niewątpliwie z obrzydzeniem i pogardą potraktowałaby wykorzystanie jej nazwiska dla oszu-kańczych machinacji.

Wiele miejsca poświęcił Pan Zakładowi Historii Ruchu Robotniczego. I znowu zapomniał Pan przezornie o mnie, który tym Zakładem kierowałem do 1968 roku. Za to wielokrotnie i służalczo wymieniał Pan nawet najdrobniejsze prace docent doktor Aliny Barszczewskiej, docent doktor Barbary Wachowskiej, docent dr. Józefa Śmiałowskiego. Obydwaj znamy źródła tej gorliwości. Są to docenci „marcowi”, którzy swoje tytuły naukowe zdobyli przy pomocy owej sławetnej formuły „wydać jeden artykuł i dwóch kolegów”, stając się po marcu 1968 roku czynnym i służalczym narzędziem Urzędu Bezpieczeństwa.

Nie chciałbym pisać tylko o sobie. Obydwaj wiemy jak ogromną rolę odgrywał na Wydziale i Uczelni docent doktor Leon Tadeusz Błaszczak, który w wyniku „radosnej twórczości” Barszczewskiej, Śmiałowskiego, Wojciecha Szczygielskiego itp. usunięty został z Uniwersytetu i zmuszony do emigracji. Był on kilkakrotnie dziekanem, dyrektorem Instytutu Historycznego, przewodniczącym Organizacji Związkowej, kierownikiem katedry Historii Kultury i Sztuki. Miał też okazały dorobek naukowy i pedagogiczny. Ale Pan i o nim zapomniał mimo, że w innych wypadkach ma Pan pamięć godną podziwu. Tak np. nie zapomniał Pan o drobnym artykule Tadeusza Hübnera, który zaledwie kilka miesięcy był asystentem. Został bowiem zamordowany podczas orgii pijackiej uczelnianych czołowych aktywistów Z.M.S. Zbrodnia została zatuszowana, albowiem została ona popełniona w mieszkaniu jednego z czołowych „hunwejbínów” paxowsko-pezetperowskich. Zapomniał Pan natomiast o długoletnim pracowniku naszego Instytutu dr. Jakubie Goldbergu. Chyba tylko dla tego, że emigrował on jeszcze przed marcem 1968 roku i jest dzisiaj wybijającym się pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jerozolimskiego. Zapomniał Pan o swym długoletnim uczniu i adiunkcie Adamie Leśniewskim, tylko zapewne dlatego, że nie odpowiada on kryteriom rasowym obowiązującym w obecnej Polsce.

Bardzo po „macoszemu” potraktował Pan sekcję filozoficzną naszego wydziału, którego twórcą był wybitny Tadeusz Kotarbiński, od którego mógłby się Pan nauczyć rzetelności naukowca i godnej postawy prawdziwego humanisty.

Jakże można było ani razu nie wspomnieć prof. Leszka Kołakowskiego, absolwenta i pracownika Wydziału Filozoficznego. Był to wszak najwybitniejszy uczeń Uniwersytetu Łódzkiego i



nasza Uczelnia będzie się nim niewątpliwie szczyć w czasach, gdy pamięć o wymienionych docentach-denuncjatorach całkowicie zaginie. Przecież jest Pan doskonale poinformowany, że o współpracę Kołakowskiego zabiegają największe uniwersytety świata.

O dziwo, zapomniał Pan o docencie doktorze Stefanie Amsterdamskim, dziekanie naszego Wydziału i kierowniku katedry filozofii marksistowskiej. A przecież on, mimo że padł w 1968 roku ofiarą denuncjacji doc. Barszczewskiej i doc. Wachowskiej, nie opuścił kraju i kontynuuje tam swoją działalność naukową. Podobnie zapomniał Pan o współpracownikach Amsterdamskiego jak np. o doktorze Aleksandrze Orłowskim.

Panie Profesorze, łączyły nas przecież najlepsze, zdawałoby się, stosunki i wzajemny szacunek. Czy to wszystko można tak łatwo wymazać z własnej i cudzej pamięci. Wiem, że pańskie warunki materialne nie są najlepsze, ale czy warto było dla jakichś marnych 2.000 zł. honorarium sprzedać zasady i moralność pracownika nauki.

Już niemal słyszę pański argument, że to nie Pan winien a partia i cenzura, które nie pozwalają umieszczać naszych nazwisk. Na to odpowiem Panu, że to częściowo nieprawda, bo w tejże samej publikacji prof. dr Stefania Skwarczyńska wymienia jednak historyka literatury Samuela Sandlera, mimo że ten, podobnie jak my, prześladowany opuścił kraj. Pan i inni wspomniani w niniejszym liście, fałszując historię Uniwersytetu Łódzkiego, kierowaliście się asekurantwem i samocenzurą, aby przypadkiem nie narazić się władzom partyjnym.

A zresztą, czy intelektualista może w takim wypadku zrzucić z siebie odpowiedzialność? Czy nie byłoby lepiej gdyby Pan, zmuszony do fałszerstwa, w ogóle zrezygnował z napisania tego artykułu. Partia i inne czynniki mogą wstrzymać druk jakiegoś utworu z takich czy innych względów. Ale przecież nie ma takiej sytuacji by zmuszano profesora uniwersytetu do pisania pod dyktando, wbrew jego woli.

Pani Profesor Doktor Antonina Kłoskowska! Darzyłem Panią zawsze dużym szacunkiem z powodu Pani niezależności duchowej i nonkonformizmu. Pamiętam jak Pani i inni Pani Koledzy w ponurych latach stalinizmu zamknęliście się, jak w wieży z kości sioniowej, w swoim Instytucie na IV piętrze ulicy Uniwersyteckiej nr 3, nie ulegając presjom i pokusom ówczesnego reżymu. Czy nie sądzi Pani że patronując w charakterze Redaktora Naczelnego prostacko-fałszerskiemu dziełu, w rodzaju opisanej wyżej książki, rzuca Pani poważny cień na cały swój dorobek zarówno naukowy jak przede wszystkim moralny. A może po prostu jako wierna uczennica idzie Pani w ślady swojego Mistrza Prof. Dr. Józefa Chałasińskiego, wybitnego socjologa, który w sposób trudny do zrozumienia dokonał na starość gwałtownej wolty z pozycji humanizmu i liberalizmu na pozycje rasizmu w jego moczarowsko-paxowskim wydaniu.

Panie Rektorze, Prof. Dr. Zdzisławie Skwarczyński! Zawsze

Pana darzyłem szacunkiem. Nie zapomniałem naszych długich gawęd w czasie wieczornych spacerów po pięknym parku Domu Pracy Twórczej w Ustroniu koło Wieruszowa. Jakże bliskie były nasze poglądy w ocenie sytuacji moralnej na naszej uczelni. Jakże trafne były pańskie poglądy w sprawie demoralizujących nacisków politycznych na kadre profesorską i na proces paczenia charakterów młodej kadry naukowej; jakże surowo i słusznie oceniał Pan oportunizm i karierowiczostwo części kolegów. Był to, jak mi się wydaje, 1964 rok, okres sielankowy w porównaniu z tym co nastąpiło po marcu 1968 i trwa do dzisiaj. A jednak i Pan nie wytrzymał pokusy. Za żudny miraż rektorskich gronostajów sprzeniewierzył się Pan swoim pięknym zasadom. Podobnie jak pański poprzednik, a nasz wspólny kolega, prof. dr Andrzej Nadolski, nie zahałał się Pan przed objęciem urzędu rektorskiego z nominacji partii, w tym smutnym okresie pogromu i deprawacji nauki polskiej. Nic dziwnego, że zaprzędasz swą niezależność musi Pan konsekwentnie patronować takim imprezom wątpliwej sławy, jak omawiana „Księga Jubileuszowa Uniwersytetu Łódzkiego”.

Czy nie zauważa Pan, Panie Rektorze, dziwnej prawidłowości. Zarówno Pan, jak i były rektor Nadolski, jak również prof. Kłoskowska i prof. Dutkiewicz jesteście ludźmi bezpartyjnymi. Wszyscy nawet znani byliście ze swej lekko manifestowanej opozycyjności w stosunku do P.Z.P.R. Ale w okresie skrajnej demoralizacji partii po 1968 roku ludzie waszego pokroju są gwałtownie potrzebni dla firmowania jej haniebnych machinacji. Wy zaś staliście się posłusznym narzędziem w realizacji brudnej polityki partii.

Gdy hitlerowscy okupanci przeprowadzali masakrę Żydów polskich, pracownicy urzędów stanu cywilnego usuwali ich karty ewidencyjne z kartotek ludności. Gdy władcy Polski Ludowej postanowili dokończyć dzieła uczynienia z Polski kraju „Judenfrei” Wy, którzy jak wynika z szaczonej nazwy waszego zawodu, powinniście być humanistami, podjęliście się niestawnego zadania zatarcia pamięci po „ostatnich Mohikanach” skupiska żydowskiego w Polsce<sup>2</sup>.

Paweł KORZEC

Paryż, 30 października 1971

2. W 1970 roku ukazały się też materiały sesji naukowej pt. *Łódź i ziemia łódzka w badaniach Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1945-1970* pod red. Wł. Welfe, Łódź, 1970, s. 179. W książce tej prof. Dutkiewicz i inni autorzy stosują takie same metody fałszowania i preparowania dziejów Uniwersytetu Łódzkiego.

## Nadesłane nowości wydawnicze

- CIECHANOWSKI (Jan M.). *Powstanie Warszawskie*. Str. 399 i 1 nlb. (Wyd. „Odnowa”, Londyn, 1971).
- GARLIŃSKI (Józef). *Politycy i żołnierze*. Str. 311 i 1 nlb. (Wyd. „Odnowa”, Londyn, 1971).
- POŁOM (Stefan). *W cieniu sierpnia*. Wiersze. Str. 80 i 2 nlb. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn, 1971).
- MILCZEWSKI - BRUNO (Ryszard). *Poboki*. Wiersze. Str. 76. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn, 1971).
- Praońców śladem*. Kalendarz na rok 1972. Str. 175 i 1 nlb. Opracowanie Zespołu Redakcyjnego miesięcznika *Nasza Rodzina*. (Osny - Val d'Oise, 1971).
- Rękopis Matki Marii Teresy ze świateł Józefiny Dudzik 1860-1918*. Str. 103 B + dokumenty, fotografie, i komentarz. Opracował i wydał na prawach rękopisu: O. Henryk Maria Malak, Lemont, Illinois, 1968.
- Charyzmaty Matki Marii Teresy. Na tle jej epoki w świetle teologii i postulatów Soboru Wat. II*. Str. 77 i 3 nlb. (powielacz). Opracował i wydał na prawach rękopisu: O. Henryk Maria Malak, Lemont, Illinois, 1968.
- MĘKARSKI (Stefan). *Nauka, szkolnictwo i młodzież po grudniu 1970*. Str. 23. (Odbitka z broszury: „Szkolnictwo wyższe i nauka polska na obczyźnie”, Londyn, 1971).
- MĘKARSKI (Stefan). *Z dziejów uniwersytetu Jana Kazimierza w okresie niepodległości 1919-1939*. Str. 177-185. Nadbitka ze zbioru opracowań i artykułów Polskiego Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury na Obczyźnie (Londyn, 1970).
- DUSZA (Edward). *Groteska*. Wiersze. Str. 29. Nakładem autora (New York, N.Y., 1971).
- ROTHBERG (Abraham). *Aleksandr Solzhenitsyn — The Major Novels*. Str. 215 i 5 nlb. (Wyd. Cornell University Press, Ithaca, N.Y., 1971, cena dol. 7,50).
- Manuscript of Mother Maria Theresa née Josephine Dudzik 1860-1918*. Str. 103 + dokumenty, fotografie i komentarze. (Powielacz). (Documented and Published by Rev. Henry Maria Malak, Lemont, Illinois, 1968).
- LERMONTOV (M.). *Selected Poetry*. Tłumaczenie na angielski C.E. L'Ami i Alexander Welikotny. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. The University of Manitoba Press, Winnipeg, 1965).
- MATEJKO (Alexander). *The Executive in Present Day Poland*. Str. 29. (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XVI, No. 3, Summer, 1971, str. 5-31, New York, N.Y.).
- DUKER (Abraham D.). *Some Cabalistic and Frankist Elements in Adam Mickiewicz's „Dziady”*. Str. 22. (Odbitka z *Studies in Polish Civilization*. Selected Papers Delivered at the First Congress of Scholars and Scientists Convened by the Polish Institute of Arts and Sciences in America, November 25, 26, 27, 1966 in New York. Institute of Arts and Sciences in America, 1971, str. 213-35).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *On the History of „Ashes and Diamond”*. (Nadbitka z *The Slavic and East European Journal*, Volume XV, Number 3, Fall 1971, str. 324-331).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Thoreau in Russia*. (Nadbitka z *Thoreau Abroad*, Archon Books, 1971, The Stone String Press, Inc., Hamden, Conn., str. 133-140).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *The Promised Land: A Modern Novel*.

- Str. 6. (Odbitka z *Studies in Polish Civilization*, New York, Polish Institute of Arts and Sciences, 1971).
- BORWICZ (Michael). *Factors Influencing the Relations between the General Polish Underground and the Jewish Underground*. (Nadbitka z *Jewish Resistance During the Holocaust*, Yad Vashem).
- DZIEWANOWSKI (M. K.). *Czartoryski and His „Essai sur la diplomatie”*. (Nadbitka z *Slavic Review*, American Quarterly of Review, American Quarterly of Soviet and East European Studies, Volume 30, Number 3, September 1971, str. 589-605).
- LIPOWSKI (Z. J.). *Surfeit of Attractive Information inputs: A Hallmark of our Environment*. (Nadbitka z *Behavioral Science*, Vol. 16, No. 5, Sept.-Oct., 1971, USA, str. 467-471).
- Onomastica Canadiana 1970*. Seria Onomastica No. 42. Str. 42. Str. 32. Red. I. Gerus-Tarnawecy (w języku angielskim i francuskim). (Wyd. Institut Canadien des Sciences Onomastiques et l'Académie Ukrainienne Libre des Sciences (UVAN), Winnipeg, 1971).
- Slavica Canadiana A.D. 1968*. Seria Slavistica No. 66. Str. 80. Opracowanie Jaroslav B. Rudnyckij przy współpracy J. Kirschbauma i T. W. Krychowskiego. (W języku angielskim i ukraińskim). (Wyd. Canadian Association of Slavists, Polish Canadian Research Institute and Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1969).
- SŁAWUTYCZ (Jar.). *Tworec ukraińskiej nauki w Kanadzie*. Ta in-szi statti i materiały z prywodu 60-riczja prof. Jar. Rudnyckoho (1910-1970). Str. 96. (Nakładem Fundacji im. D. Łobajaja, Winnipeg, 1971).
- RUDNYCKIJ (J. B.). *An Etymological Dictionary of the Ukrainian Language*. Introductory Part (0/11). Str. 85 i 3 nlb. Wydanie drugie przejrzone. (Wyd. Ukrainian Free Academy of Sciences — UVAN, Inc., Winnipeg, 1972).
- RUDNYCKIJ (J. B.). *G — A Prescribed Letter in the Soviet Union* (G — Proskribowana, bukwa w SSSR). Str. 128. Seria Slavistica, No. 67-68. W języku angielskim i ukraińskim. (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1970).
- RUDNYCKIJ (J. B.). *Status of the Ukrainian and Other Slavic Languages in Canada (Stanowyszcze ukrajinskoji i inszych slowianskichykh mow u Kanadi)*. Seria Slavistica, No. 70. Str. 32. (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1971).
- RUDNYCKIJ (Jar.). *Z podorozi na Maltu 1962 roku*. (From my Maltese Diary 1962). Str. 14. (Wyd. Ukrainskoho Towarystwa Zakordonnych Studij, Monachium-Winnipeg, Waletta).
- LESIA UKRAINKA. *Pałki błyskawicy*. Str. 194 i 4 nlb. Słowo wstępne i wybór prof. Wołodymyry Szajana. (Wyd. Sojuzu Ukrajinciw u Welykij Brytaniji, Londyn, 1971).
- Ukrajinskyj Wisnyk*. Wypusk IV, Siceń 1971. Dokumenty VI. Str. 191 i 3 nlb. (Wyd. P.I.U.F. and Smolokyp, Paryż-Baltimore, 1971).
- GUL (Roman). *Czytaju „Awgust czterynadcatogo” A. I. Solzenicy-na*. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. Raussem Publishers, New York, 1971).
- SMIEJA (Florian). *El Principe de Polonia ante Breda, Segun un Diario Coetaneo*. (Nadbitka z *Revista de Literatura*, Fasc. 69 y 70. — Enero-Junio 1969, str. 95 a 104).
- RHODE (Gotthold, Prof. Dr.). *Die Geschichte Osteuropas auf dem XIII. Internationalen Historikerkongress in Moskau (16.-21. August 1970)*. (Nadbitka z *Jahrbücher f. Geschichte Osteuropas*, Bd. 19 H. 2, 1971, str. 313-319).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

12-11-71

Zmarła w Warszawie Helena Duninówna, literatka, autorka książek dla młodzieży.

16-11-71

W Warszawie krąży pogłoski o aresztowaniach w rodzinie b. ambasadora PRL w ZSSR, Ptasńskiego, za przemyt złota. ■ Rumunia zwróciła się do Francji o pośrednictwo i pomoc w sprawie zawierania preferencyjnych umów ze Wspólnym Rynkiem. Zauważyć należy, że kraje bloku sowieckiego nie uznają dotąd Wspólnego Rynku. Posunięcie to jest więc nowym dowodem samodzielności polityki rumuńskiej. Możliwe też, że jest pierwszym krokiem w kierunku uznania Wspólnego Rynku przez państwa Komunu (Rada Współpracy i Pomocy Gospodarczej bloku sowieckiego).

18-11-71

W Warszawie odbyło się XII plenum KC PZPR, które zatwierdziło sprawozdanie z działalności KC za lata 1968-1971. ■ Od 1972 roku, zgodnie z zawartymi porozumieniami, ruch osobowy między PRL, Niemcami Wschodnimi i Czechosłowacją będzie się odbywał na podstawie samych tylko dowodów osobistych. Dotyczy to pobytów nie przekraczających trzech miesięcy.

19-11-71

Polska Akademia Nauk przyznała nagrodę im. Marii Skłodowskiej-Curie — za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauk ścisłych — prof. R. S. Imgardonowi, dyrektorowi Instytutu Fizyki im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, za jego prace dotyczące teorii informacji i jej zastosowań w termodynamice i optyce.

20-11-71

W bież. roku PRL wyeksportuje około 30 milionów ton węgla. 38 % eksportu skierowane jest do Związku Sowieckiego, Niemiec Wschodnich i Czechosłowacji. ■ Pomędzy PRL i Związkiem Sowieckim podpisano, pierwszą w historii tych państw, umowę turystyczną. ■ Ucnien polscy wraz z sowieckimi prowadzą wspólne prace naukowo-badawcze w ramach 252 tematów branżowych. ■ Odbyło się uroczyste otwarcie w szwedzkim porcie Ystad odcinka międzynarodowej drogi samochodowej E-14, biegnącej przez Polskę. Odcinek nowej drogi posiada 60 km. i biegnie z Ystad do Malmö. Droga E-14 stanowi główny trakt międzynarodowej trasy turystycznej i towarowej Bałtyk-Tatry-Budapeszt-Adriatyk. Przez Polskę przebiega 469 km. tej trasy, ze Świnoujścia do Jakuszyc na południu. ■ W Polsce na sześciu tegorocznych aukcjach sprzedano 3.500 wierzchowców za sumę ponad 1,7 mln złotych. ■ Geolodzy odkryli pod Krakowem ogromny zbiornik podziemny słodkiej wody, którego pojemność szacuje się na 20 mld metrów sześciennych.

22-11-71

Profesor Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Włodzimierz Hodys, został odznaczony krzyżem kawalerskim Polonia Restituta za działalność dydaktyczną i wychowawczą. ■ B. ambasador PRL w Londynie, doc. Marian Dobrosielski, został mianowany dyrektorem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, na miejsce Ryszarda Frelka, obecnie kierownika wydziału zagranicznego KC PZPR. W Londynie p. Dobrosielski znany był głównie jako amator klusek w „Ognisku”.

25-11-71

PRL zorganizowało most powietrzny między Warszawą i Kairem, który będzie trwał do końca marca 1972. Samoloty te będą przywoziły świeże owoce cytrusowe, pomidory, egipskie tekstylia, galanterię skórzaną, oraz kwiaty. Drugi most powietrzny łączy Warszawę z Budapesztem skąd ma być przywiezione 5 milionów jednodniowych kurcząt. W jedną stronę samoloty latają puste, niewykorzystane. ■ Awaria rurociągu płockiej „Petrochemii” doprowadziła do zalania kilkukilometrowego odcinka Wisły olejami.

27-11-71

We Wrocławiu odbyły się uroczystości związane z 25-leciem działalności w PRL Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W tym okresie czasu Ossolineum wydało ponad 5.600 tytułów w 20 milionach egzemplarzy. ■ W pierwszej połowie 1971 r. w PRL nastąpił wzrost wypadków przy pracy o 10 % w stosunku do pierwszego półrocza 1971 r. Powodem większości wypadków jest wadliwa organizacja pracy.

28-11-71

Zmarł w Katowicach, w wieku lat 71, znany pisarz, Jan Brzoza (prawdziwe nazwisko pisarza: Józef Worobiec). ■ Tygodnik paxowski *Kierunki* podaje niektóre szczegóły organizacyjne PAX'u. PAX prowadzi swoją działalność w 18-tu oddziałach wojewódzkich i 106-ciu oddziałach powiatowych. Należy do niego kilkanaście tysięcy członków i kandydatów. W Radach Narodowych wszystkich szczebli pracuje 260 radnych PAX'u. Ponadto działalność PAX'u koncentruje się na terenie organizacji masowych jak: Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Liga Obrony Kraju.

1-12-71

Jarosław Iwazkiewicz otrzymał godność doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego. Rektorem Uniwersytetu jest prof. Zygmunt Rybicki, promotorem był prof. Jan Zygmunt Jakubowski. Niewątpliwie dobrana obsada! ■ Papież Paweł VI mianował ks. bpa Lecha Kaczmarka ordynariuszem diecezji gdańskiej. ■ Działalność przeciętnego przedsiębiorstwa w PRL reguluje przeszło 130 wskaźników dyrektywnych i informacyjnych. ■ W Filharmonii Narodowej w Warszawie wykonano utwór Stefana Kisielewskiego „Cosmos I”, pod dyktando Andrzeja Markowskiego. ■ Związek Sowiecki podpisał umowy handlowe z firmami amerykańskimi na sumę 125 milionów dolarów. W zamian za urzędzenia dla górnictwa i przemysłu Związek Sowiecki dostarczy Stanom Zjednoczonym metali nie żelaznych. ■ Po zakończeniu wizyty w Moskwie minister handlu Stanów Zjednoczonych, M. H. Stans, przybył do Warszawy, gdzie odbył rozmowy dotyczące handlu między obydwoma krajami. Na zakończenie swego pobytu w Polsce minister Stans oświadczył, że po powrocie do Waszyngtonu, Rząd Stanów Zjednoczonych rozpatrzy sprawę ułatwień kredytowych dla Polski.

3-12-71

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 79, Stefan Zbrożyna, długoletni członek PPS, więzień polityczny i działacz AK w okresie okupacji.

5-12-71

Zakłady Cegielskiego w Poznaniu obchodzą 125-ciolecie swego istnienia. ■ Rada Ministrów PRL ustanowiła trzystopniową odznakę — złotą, srebrną i brązową — „Za zasługi w ochronie porządku publicznego”. Odznaka przyznawana będzie osobom umacniającym swoją pracę ład publiczny oraz tym, którzy wykazali męstwo w bezpośrednim działaniu. Ponadto Rada Ministrów ustanowiła odznakę „Zasłużony dla budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych”. Przyznawana ona będzie za zasługi, wieloletnią i ofiarną pra-

cę w budownictwie i przemyśle materiałów budowlanych, jak również za zasługi dla rozwoju tych dziedzin gospodarki. Odznaka jest też trzystopniowa: złota, srebrna i brązowa. Orderomania kwitnie: istnieją medale i odznaczenia miedzioresortowe, jak np. „racjonalizator produkcji”, „zasłużony przodownik pracy socjalistycznej” oraz ponad 30 odznaczeń poszczególnych ministerstw. Jedynymi ministerstwami, które nie posiadają własnych orderów są: ministerstwo leśnictwa, przemysłu ciężkiego i finansów, ale ta luka jest zastępowana odznaką „Zasłużony pracownik Rady Narodowej”.

6-12-71

W dniu otwarcia VI Zjazdu PZPR, Gierek wygłosił referat programowy. Zawierał on m.in. wytyczne Planu 5-letniego na lata 1971-75. Uderzające jest, że Partia nie uznała za właściwe przedstawić Zjazdowi gotowego planu, lecz tylko wytyczne. Widać stąd, że prace nad planem są bardzo spóźnione. Referat zawiera tylko kilka liczb na temat planu, ale to co z nich można wywnioskować nie jest pocieszające. Stare dogmaty ciągle obowiązują. W ciągu pięciolatki, na inwestycje przeznaczona się ogromną sumę 1.400 miliardów złotych. Wynosi to przeciętnie 24 % dochodu narodowego, a więc ciągle bardzo dużo. Produkcja środków produkcji wzrosła o 52 % a produkcja środków konsumpcji o 42 %. Mimo wielu obietnic antykonsumpcyjna orientacja planu wciąż się jeszcze utrzymuje. ■ Sprawozdanie KC PZPR za okres między V a VI Zjazdem Partii podaje, że PZPR liczy obecnie (według stanu na 30. 9. 71 r.) 2.270 tys. chłopów, i 980 tys. pracowników umysłowych. W 1971 r. zahamowany został nadmierny liczebny rozwój partii. W ciągu trzech kwartałów 1971 r. skreślono z szeregów partii ok. 100 tys. osób, wydalono 10,5 tys. osób.

10-12-71

VI Zjazd PZPR uchwalił wniosek o przyspieszenie wyborów do Sejmu. Maja one nastąpić na wiosnę br. Jednocześnie Zjazd zalecił reformę obowiązującej Konstytucji PRL, uchwalonej w 1952 r. Nowa Konstytucja, utrzymując kierowniczą rolę partii, ma wzmocnić rolę Sejmu i organów kontroli oraz zmienić dotychczasowy stosunek między administracją a wymiarem sprawiedliwości. ■ 70-lecie urodzin obchodził Alfons Karny, wybitny rzeźbiarz, autor 200 prac, wśród których przeważają „głowy”: kompozytorów, muzyków, pisarzy i innych twórców. ■ Tegoroczną nagrodę miesięcznika *Odra* przyznano Edwardowi Balczeranowi za książkę „Oprócz głosu”. ■ Larysa Bogoraz, żona J. Daniela, skazana w październiku 1968 r. na 4 lata zesłania za manifestację przeciw interwencji w Czechosłowacji — została zwolniona z obozu na Syberii. Jej mąż Julij Daniel — zwolniony we wrześniu 1971 — mieszka w Kałudze na pół-przymusowym osiedleniu. ■ Sowiecki Komitet Obrony Praw Człowieka zwrócił się do Rady Najwyższej ZSSR z prośbą o ułaskawienie Andreja Amalrika, przebywającego w łagrze na Dalekim Wschodzie. Amalrik zapadł ponownie na zapalenie opon mózgowych i stan jego jest groźny.

19-12-71

Zmarł w Moskwie na raka płuc Aleksander Twardowski, w wieku 61 lat. Zmarły był wybitnym poetą i przywódcą skrzydła liberalnego w sowieckim środowisku intelektualnym. W pogrzebie wziął udział Al. Sołżenicyn, który zaraz potem złożył kwiaty na grobie Chruszczowa.

22-12-71

Sejm PRL uchwalił rozwiązać się w połowie lutego br. — a więc na rok przed ustawowym terminem. Wybory mają odbyć się w marcu rb. przed projektowaną wizytą E. Gierka we Francji. Jednocześnie Sejm przyjął do wiadomości zmiany w rządzie. Ministrem Spraw Zagr. został mianowany

Stefan Olszowski; ministrem Kultury St. Wroński — kandydatura jak najbardziej odpowiednia, gdyż p. Wroński w czasie wojny czynny w partyzantce sowieckiej, potem przez szereg lat był sekr. gen. Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Ostatnio był on kierownikiem domu wydawniczego partii „Książka i Wiedza”. Ponadto Stefan Jędrychowski, dotychczasowy minister Spraw Zagr. został Ministrem Finansów; Wiesław Ociepka został min. Spraw Wewn. na miejsce Fr. Szlachcica. Alojzy Karkoszka został min. Budownictwa. Ociepka, Wroński, Karkoszka, Szlachcice należą do org. part. na Śląsku.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

15-11-71

Ława Przysięgłych w st. Pensylwania uznała A. Martina winnym zamordowania przywódcy górników amerykańskich — Józefa Jabłońskiego, jego żony i córki, orzekając, że był to mord bez żadnych okoliczności łagodzących. Na podstawie tego orzeczenia sąd wydał wyrok kary śmierci. Martin przyznał się do popełnienia zbrodni i oświadczył, że został wynajęty przez osobnika zwanego „Tony”, który zapłacił mu za to 1.700 dolarów. Niestety ani prokurator, ani sąd nie zainteresowali się w czasie całego procesu kim mógł być ten tajemniczy „Tony” wynajmujący morderców. Prasa pisała, że „Tony” nazywa się w środowisku Związku Górników obecnego prezesa tego związku, którego zamordowany Jabłoński oskarżał o nadużycie wyborcze. ■ Prof. Jan Drewnowski, kierownik katedry planowania ekonomicznego i społecznego w Instytucie Studiów Społecznych (Institute of Social Studies) w Hadze, wybrany został w październiku 1971 pro-rektorem tego Instytutu. Instytut Studiów Społecznych jest uczelnią poświęconą zagadnieniom tzw. trzeciego świata, tj. krajów rozwijających się. Prowadzi studia podyplomowe dla kandydatów z całego świata.

16-11-71

Biuro Międzynarodówki Socjalistycznej na sesji w Londynie pod przewodnictwem dra Brunona Pittermana, b. wicekanclerza austriackiego, postanowiło odmówić przedstawicielstwom emigracyjnym dziesięciu partii socjalistycznych Europy Środkowo-Wschodniej dalszego korzystania z praw „członków-doradców” (*consultative members*), tj. praw do udziału i przemawiania na kongresach Międzynarodówki bez prawa głosowania. W praktyce uchwalała ta równa się skreśleniu tych dziesięciu partii z listy członków Międzynarodówki. Prawa „członków-doradców” przysługiwały tym partiom od początku istnienia powojennej Międzynarodówki, tj. od roku 1951. ■ Nakładem belgradzkiego wydawnictwa *Prosvjeta* ukazał się w tych dniach pierwszy kompletny podręcznik języka polskiego. Autorem podręcznika jest prof. języka polskiego i literatury na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Belgradzkiego, dr D. Zivanovicz. Podręcznik liczący 334 strony, uzupełniony jest słownikiem polsko-serbo-chorwackim i serbo-chorwacko-polskim. ■ W Niemczech, w wydawnictwie Neske, ukazał się przekład książki Mariana Pankowskiego „Matuga Kommt”, w tłumaczeniu Waltera Tiela. Ponadto w wydawnictwie Europa-Verlag (Austria), wydano książkę Bronisława Baczko „Rousseau, Einsamkeit und Gemeinschaft” w tłumaczeniu Eddy Werfel. ■ Ukazał się drugi nakład książki „Soldier Bear”, Wiesława A. Lasockiego i Geoffrey’a Morgana, wydanej przez firmę brytyjską William Collins z Londynu. (Książka jest angielską wersją książki W. A. Lasockiego pt. „Wojtek spod Monte Cassino”, wydanej przez firmę Gryf Publications Ltd., Londyn). Ponadto mają się ukazać przekłady tej książki w języku norweskim w Ernst Mortensen Forlag, Oslo; w języku szwedzkim w Berghs Forlag

AB, Malmö; w języku japońskim w Mainichi Shimbun Sha, Tokyo. Podpisany został również kontrakt na druk „Soldier Bear” po norwesku w odcinkach, w piśmie *Vi Menn*, wychodzącym w Oslo. ■ Jury nagrody literackiej im. Anny Godlewskiej, ufundowanej przez p. Juliusza Godlewskiego, przyznało następujące nagrody na rok 1972: dwie równorzędne nagrody po 10.000 franków szwajcarskich Józefowi Łobodowskiemu oraz Marii i Józefowi Czapskim. Nagrodę w wysokości 4.000 Fr.S. — Michałowi Chmielcowi, redaktorowi londyńskich *Wiadomości*. ■ W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odbył się odczyt płk. Mieczysława Jurkiewicza na temat „Konflikt dwu ideologii wolnościowych”, urządzony staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego. ■ Bogusław Borowicz, wykładowca fotografii i estetyki fotograficznej Państwowego i Katolickiego Uniwersytetu w Santiago de Chile, obchodził 20-ciolecie pracy artystycznej i pedagogicznej w Chile. Wystawę retrospektywną jego prac zorganizował uniwersytet miasta Concepcion w Pałacu Sztuki, a British Council — w Santiago. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się o uroczystym posiedzeniu A.C.E.N. w Nowym Jorku, poświęconym 15-ej rocznicy Powstania Węgierskiego. Posiedzenie zostało zagajone przez prezesa A.C.E.N., Stefana Korbońskiego.

#### 17-11-71

Na miejsce odwołanego Mirosława Azembskiego, korespondentem Radia i Telewizji warszawskiej w Paryżu został Zbigniew Lipiński. ■ W bawarskim Residenz Theater rozpoczęły się próby „Ślubu” Gombrowicza. Premiera odbyć się ma w styczniu 1972 r. Reżyseruje Bernhard Wicki.

#### 18-11-71

Polski film „Życie rodzinne” z Mają Komorowską w roli głównej zdobył jedną z trzech głównych nagród na Międzynarodowym Festiwalu Filmów w Chicago.

#### 19-11-71

W Kolegium Związkowym w Cambridge Spring (USA) odbyło się posiedzenie Rady Szkolnej na którym stwierdzono że kryzys finansowy Kolegium dałoby się zażegnać tylko przez powiększenie liczby studentów o 200-tu, podczas gdy zaobserwowano ich spadek w roku akademickim 1971-72, spowodowany tym, że większość studiujących nie pochodzi z rodzin polskich i nie jest zainteresowana projektami rozbudowy studiów polonistycznych.

#### 21-11-71

W Théâtre des Champs Elysées w Paryżu odbył się koncert Witolda Lutosławskiego, w czasie którego wręczono mu nagrodę fundacji Maurice Ravel. Nagroda ta wynosi 30.000 F. i jest przyznawana co trzy lata kompozytorom za całokształt ich twórczości. ■ W ramach dorocznego wykładu *Adam Mickiewicz Memorial Lectures*, na Carleton University w Ottawie, finansowanych przez Fundację im. A. Mickiewicza w Kanadzie, odbył się wykład dr. Piotra Wandycza, profesora historii na Yale University. Prelekcja pt. „Polska w Polityce międzynarodowej” zgromadziła wiele publiczności ze sfer uniwersyteckich, ministerstwa spraw zagranicznych oraz polonijnych. ■ W zakładach przemysłu samochodowego w Badonii-Wirtembergii wybuchł strajk spowodowany odrzuceniem przez pracodawców zaleconego przez Komisję Pojednawczą kompromisowego projektu podwyższenia płac o 7,5 %. Strajk rozpoczął się w wielkich fabrykach Daimler-Benz i Audi NSU koło Stuttgartu i objął 55.000 robotników. Następnie strajk rozszerzył się na dalsze 75 zakładów przemysłu metalowego liczba strajkujących osiągnęła 120.000. W odpowiedzi na strajk, pracodawcy zakładów przemysłu metalowego w Badonii-Wirtembergii zastosowali lokaut we wszystkich zakładach zatrudniających powyżej 100 osób. Lokautem dotkniętych zostało 544 zakładów i

360.000 robotników. Jednakże pracodawcy zgodzili się oddać sprawę do sądu arbitrażowego specjalnie w tym celu powołanej Komisji Arbitrażowej, która rozpoczęła pracę w Stuttgarcie.

#### 22-11-71

W bieżącym roku Prix Goncourt w Paryżu przyznano książce Jacques Laurent pt. „Les Bêtises” zaś Prix Renaudot książce Pierre-Jean Rémy pt. „Le Sac du palais d'été”.

#### 23-11-71

Stan bezrobocia w Wielkiej Brytanii osiągnął najwyższy poziom w listopadzie 1971 i wynosi 970.022 osób, tj. 5,5 % siły roboczej. Jest to najwyższy poziom bezrobocia w Wielkiej Brytanii od przeszło 30 lat. Podczas burzliwej debaty w Izbie Gmin na ten temat, Rząd angielski ogłosił, że dla zwalczania bezrobocia przeznaczą sumę 160 milionów funtów na inwestycje publiczne w ciągu najbliższych 2-ech lat. Przedstawiciel Rządu stwierdził jednak, że nie oznacza to zmiany w zasadach prowadzonej przez Rząd polityki ekonomicznej. ■ Ogłoszone nowe dane Urzędu Spisów Powszechnych Stanów Zjednoczonych wskazują, że w roku 1970 liczba ludności ubogiej wzrosła do 25,5 milionów. Za kryterium ubóstwa uważany jest, dochód 3.968 dolarów na rodzinę miejską złożoną z 4 osób. ■ Rząd Stanów Zjednoczonych zapowiedział niezwłoczne wprowadzenie programu inwestycji w wysokości 50 milionów dolarów na terenach, na których najbardziej odczuwa się bezrobocie. ■ Polonia amerykańska w Nowym Jorku, Filadelfii, Chicago, Bostonie i Detroit podjęła akcję w obronie historycznego domu w Filadelfii, w którym mieszkał T. Kościuszko. Wysunięto żądanie aby dom został uznany za zabytek historyczny i znalazł się pod ochroną państwową. Wniosek w tej sprawie złożył Senatowi USA sen. E. Muskie.

#### 24-11-71

Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił powołanie specjalnej komisji do oceny działalności amerykańskich stacji radiowych Radio Free Europe i Radio Liberty. Jednocześnie uchwalono na dwa lata budżet tych rozgłośni w wysokości 37 mln. dolarów rocznie. Senat zatwierdził ten budżet tylko na rok.

#### 25-11-71

W Londynie zmarł, w wieku lat 82, senior aktorów polskich na emigracji, Józef Janota-Bzowski. ■ W Argentynie powstał specjalny komitet, prowadzący na całym świecie zbiórkę celem postawienia pomnika-nagroba dla Grygora Macejko, zabójcy min. Bronisława Pierackiego. W różnych krajach, w których znajdują się większe ośrodki ukraińskie, powstały lokalne komitety. W odezwach podkreśla się, że chodzi o „uczczenie bohatera, który z ramienia organizacji wykonał wyrok”. Macejko zmarł z górą 5 lat temu w miejscowości Lanus, w pobliżu Buenos Aires.

#### 26-11-71

Sekcja Polska YMCA zorganizowała wystawę rysunków Richarda Wawro. Jest to młody, osiemnastoletni chłopiec, upośledzony fizycznie i psychicznie. Jego rysunki są swego rodzaju fenomenem.

#### 27-11-71

W National Art Centre w Ottawie odbyła się uroczystość ustawienia w foyer, przy wejściu do sali operowej, popiersia Fryderyka Chopina, dłuta Alfreda Karnego. Odlew tego dzieła ofiarowany został przed rokiem gubernatorowi Generalnemu, p. Michenerowi, przez rząd PRL. ■ Przy uniwersytecie w Toronto powstała nowa placówka naukowa: Instytut Immunologii dla szko-

lenia doktorantów i magistrów w tej specjalności. Wśród 16-tu członków tej placówki znajduje się dr Stanisław Dubiski, kierownik laboratorium immunologicznego Western Hospital i profesor na wydziale medycznym. Dr Dubiski był uczniem i asystentem prof. Hirszfelda, a w Kanadzie przebywa od 1961 roku. ■ Okręg Montreal Kongresu Polonii Kanadyjskiej, po uzyskaniu zgody Zarządu Głównego Kongresu, przemianował się na Okręg Quebec i uzyskał „charter” (statut) od władz prowincjonalnych. Jest to pierwszy okręg KPK, który postanowił rozpocząć działalność niejako autonomiczną w sprawach nie przewidzianych statutem dla Zarządu Głównego. Chodzi przede wszystkim o prace na odcinkach, które konstytucyjnie należą do uprawnień rządów prowincjonalnych. ■ W torontońskim tygodniku ukraińskim *Homini Ukrainy* ukazało się w nrze 44 z 23. 10. 71 obszernie omówienie „Zeszytów Historycznych” — oczywiście materiałów dotyczących problemów ukraińskich — a w nrze 47 z 13. 11. 71 — fragment poematu Józefa Łobodowskiego „Tryptyk o zamężonej cerkwi” opublikowany w *Kulturze*. Fragment ukazał się w wolnym przekładzie O. Pitlara. ■ W ramach realizacji programu popierania zasady wielokulturowości rząd kanadyjski w Ottawie zapowiedział publikację ponad dwudziestu prac naukowych o poszczególnych grupach etnicznych w Kanadzie. Oczekuje się również pomocy finansowej na druk podręczników szkolnych dla grup etnicznych. ■ W Montrealu odbyła się konferencja zwołana przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie, poświęcona przedyskutowaniu problemów związanych z utrzymaniem szkółek polskich oraz programem nauczania języka i historii polskiej.

#### 29-11-71

W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odbył się obchód 140-ej rocznicy założenia Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego, połączony z otwarciem wystawy: „Pierwsze dary założycieli dla Towarzystwa i jego Biblioteki”. ■ Prix Fémina została przyznana Angelo Rinaldi za książkę „La Maison des Atlantes” (Denoël-Lettres Nouvelles). Prix Médicis — za powieść francuską — przyznano Pascalowi Lainé za książkę „L'Irrévolucion”, — za powieść zagraniczną — autorowi amerykańskiemu James Dicey'owi za książkę „Délivrance” (w tłumaczeniu francuskim Pierre Cliquant, — Flammarion).

#### 1-12-71

Jak się dowiadujemy, prezydent August Zaleski w Londynie nadał Józefowi Mackiewiczowi order Polonia Restituta. ■ W Izraelu rozpoczął się strajk lekarzy, protestujących przeciw terrorystycznej akcji prowadzonej przez grupy ordoksyjne przeciwstawiające się przeprowadzaniu autopsji w szpitalach. Jest to już szósty strajk lekarzy z tego powodu. ■ Demokraci w stanie Illinois wysunęli na kandydata do Senatu USA polskiego kongresmana R. Pucińskiego.

#### 2-12-71

Zmarł w Hollywood S. Dziarczykowski, od wielu lat przedstawiciel *Kultury* w Kalifornii, był urzędnik MSZ.

#### 3-12-71

Pismo palestyńskie *Maariv* podaje, że ponad 50 rodzin emigrantów żydowskich z Gruzji wystosowało list do Kosygina z prośbą o pozwolenie powrotu. Powodem jest niemożność zaadaptowania się.

#### 5-12-71

W Monachium zmarł, w wieku lat 69, Giorgij (Gaito) Gazdanow znany pisarz i publicysta rosyjski. ■ Staraniem Towarzystwa Przyjaciół *Kultury* w Toronto odbyła się dyskusja na temat artykułu Leszka Kołakowskiego,

zamieszczonego w czerwcowym numerze *Kultury*, pt. „Tezy o nadziei i beznadziejności”. Zebranie zagał p. A. Waroczewski, a wieczór prowadził prezes W. Iwaniuk. Wieczór zgromadził nadspodziewanie dużą ilość publiczności, a ożywiona dyskusja była odzwierciedleniem istniejących sprzeczności w społeczeństwie emigracyjnym. Wsuwane w czasie dyskusji własne tezy dyskutantów były, w dużej mierze, tezami o beznadziejności. ■ Stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej, literat z Krakowa, W. Wnuk, opracowuje w Chicago książkę poświęconą historii Związku Podhalan w Ameryce.

#### 6-12-71

W Paryżu zmarła, w wieku lat 99, Maria Krzesińska, wybitna tancerka, przyjaciółka Mikołaja II, późniejsza żona w. księcia Andreja Władimirowicza. Z balkonu jej pałacu przemawiał na początku rewolucji rosyjskiej Lenin. Była pochodzenia polskiego.

#### 7-12-71

Prix Interallié zostało przyznane Pierre Rouanet za książkę „Castell” (Grasset).

#### 8-12-71

Staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu odbył się odczyt prof. Lucjana Krawca pt. „Prace konspiracyjne i walki partyzanckie na Ziemi Wileńskiej w latach 1939-1945”. ■ Komitet Wolnej Europy w Nowym Jorku ze względów oszczędnościowych zlikwidował swoją agencję prasową, która w pierwszym rządzie obsługiwała prasę polonijną. Mówi się poza tym o likwidacji w najbliższym czasie A.C.E.N.'u — z tych samych powodów.

#### 14-12-71

Teatr Lucernaire w Paryżu wystawił sztukę Sławomira Mrożka „Policjanci”.

#### 15-12-71

W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu, staraniem Polskiego Towarzystwa Historycznego i Literackiego, odbył się odczyt p. Jana Mycińskiego z Instytutu Katolickiego w Lille: „Cyprian Godebski — żołnierz i poeta”.

#### 16-12-71

W Sztokholmie odbył się wieczór dyskusyjny T-wa Przyjaciół *Kultury*, poświęcony artykułowi L. Kołakowskiego „Tezy o nadziei i beznadziejności” (*Kultura* Nr 6/285, 1971). Po zagajeniu przez inż. T. Pietrzaka rozwinęła się żywa dyskusja, w której wzięli udział: Dr M. Lisiński, red. T. Norwid-Nowacki, red. Ł. Winiarski, L. Szulkin, dr J. Lewandowski, doc. Al. Orłowski i in.

#### 17-12-71

Izraelski minister imigracji, Natan Peled, oświadczył w wywiadzie, że dziesiątki tysięcy Żydów obywateli sowieckich, będą mogli w 1972 roku wyemigrować do Izraela.

#### 18-12-71

W kościele polskim w Paryżu odbyło się nabożeństwo na intencję ofiar manifestacji robotniczych na Wybrzeżu, urządzone staraniem Federacji Polskiego Związku Obróbców Ojczyzny. ■ W kaplicy polskiej OO. Franciszkanów w Martin, Coronado (Argentyna), w drugą rocznicę zaginięcia jachtu „Polonia” wraz z trzema żeglarzami: Mieczysławem i Piotrem Ejsmontami i Wojciechem Dąbrowskim, została wmurowana ku ich czci tablica według projektu L. Olszyńskiego.

## Listy do Redakcji

Sydney, 9 grudnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Aleksandra Peczenika ze Sztokholmu (*Kultura* Nr 12/291) uzmysłowił mi, że do swojej wypowiedzi powinienem był dołączyć bibliografię. Jest ona obszerna i nie ogranicza się niestety do wąskiego grona naukowców. Poprzestaną na wymienieniu trzech ważnych pozycji; każda z nich z kolei podaje obszerną bibliografię:

— „Resources and Man” by National Academy of Sciences — National Research Council. Wydawnictwo: W. H. Freeman and Company, San Francisco, 1969.

— „Science & Survival” by prof. Barry Commoner (Washington University, St. Louis). Wydawnictwo: Ballantine Books, New York, 1970/1971.

— „The Population Bomb” by prof. Paul R. Ehrlich (Stanford University, U.S.A.). Wydawnictwo: Ballantine/Friends of The Earth Book, 1971.

Daleki jestem od pogardzania większością społeczeństwa i byłym bardzo szczęśliwy gdybym poza *wishful thinking* spotkał się z rzeczowymi argumentami obalającymi te apokaliptyczne (i bynajmniej nie moje) prognozy.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

J. BONIECKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W październiku w gazecie *Nowiny-Kurier*, drukowanej w języku polskim w Tel-Awivie, ukazał się artykuł A. Klugmana stanowiący — podobno — replikę na materiały moje zamieszczone w *Kulturze* a szczególnie na mój artykuł z nru wrześniowego pt. „Między Wisłą a Jordanem”.

W teźże replice nie zajmuje się jednak Klugman tezami mojego artykułu. Zostawia go zupełnie na uboczu przyznając jedynie, że „... może każdy poszczególny fakt czy zjawisko przytoczone przez nią jest prawdziwe...”. Nęka natomiast swoich czytelników mnóstwem szczegółów z mego życia prywatnego; doprawdy, nie wiedziałam, że posiadam gdzieś w świecie tak uważnego biografa. Bada Klugman starannie mój życiorys, budżet rodzinny, wysokość otrzymywanych honorariów a nawet to, czy przypadkiem nie sprędałam w Izraelu starej pralki przywiezionej jeszcze z Polski.

Skąd my znamy te metody i ten styl? — znamy je z praktyki polskiej. Tam nazywa się to po prostu „opluskwaniem”. Co to jest „opluskwanie”? — Jeżeli aparat partyjny dochodzi do wniosku, że artykuł dziennikarza X albo książka pisarza Y zbyt otwierają czytelnikom oczy, to odpowiedni propagandzista otrzymuje zlecenie, żeby autora X albo Y opluszczyć. W atakach na nich pomija się wówczas treść artykułu czy książki, natomiast rusza nagonka na osobę autora. Że pije i zdradza żonę. Że ma nieślubne dziecko i nie płaci podatków za psa. Że kupił sobie samochód. Że pobił starszkę na ulicy.

Nasuwa się przypuszczenie, że metodę tę Klugman opanował bezbłędnie w trakcie swoich wieloletnich służb w aparacie PZPR. W ogromniastym artykule donosi więc izraelskim urzędом podatkowym, że mam długi, a rozgorączkowanym czytelnikom, że „zarobiłam na Żydach kilkanaście tysięcy dolarów” — to ostatnie jest — jak wiadomo — zadaniem ponad siły człowieka. Z licznych, zadziwiających informacji jakie tam o sobie wyczytałam najbardziej zastanowił mnie postawiony serio zarzut, że... za artykuły swoje otrzymuję honoraria. Ale, jak się przyjrzeć dokładnie, to to jest faktycznie bardzo nieładne...

Poza tym cały materiał Klugmana pełen jest zwykłych kłamstw (np. jakieś wymyślone rozmowy, które z nim rzekomo prowadziłam, zwierzając się Klugmanowi — niby swemu spowiednikowi — że w artykułach „wykreślam kota ogonem”), półprawd i pojedynczych zdań wyrwanych z kontekstu drukowanych w *Kulturze* materiałów — co, oczywiście, zmienia ich sens i tendencje. ZAŁOŻMY JEDNAK ŻE TO JEST PRAWDA. Założmy, że ja osobiście jestem osobą o szalenie niskim morale. Lecz przeciw artykuł „Między Wisłą a Jordanem” nie mówił o MNIE tylko o przymusie religijnym, nietolerancji, szowinizmie i innych ZŁYCH stronach życia w Izraelu. Czy — atakując MNIE — uważa Klugman tamte sprawy ZA ZAŁĄ-TWIONE?

Wydaje się, że tak. Pisz na przykład: „Nawet gdy miała rację w swej krytyce odkładało się artykuł z uczuciem niesmaku. Tak się nie pisze o swoim kraju”.

Skąd my to znamy? — toż to endeckie hasło „Wara od Macierzy!!!”. Sęk bowiem w tym, że niektórzy propagandziści izraelscy wychowują własny naród w przekonaniu, że „u nas wszystko jest dobrze, bo my jesteśmy Żydami, a kto jest innego zdania — tego trzeba napiętnować jako antysemitę”. Mnie osobiście natomiast wydaje się — i myślę, iż większość Czytelników *Kultury* pogląd ten podziela — że łobuzerstwo, draństwo, szowinizm, nietolerancję i ciemnotę należy piętnować niezależnie od tego czy spotykamy się z tym w Polsce, w Izraelu czy na Madagaskarze. Nie sądzę też, aby uporczywe robienie z Izraela czegoś w rodzaju „świętej krowy” dobrze służyło samej sprawie tego państwa.

Dziwne jest także, że najcięższe działa pod hasłem „Wara od Macierzy” wysuwa akurat były aktywista PZPR i propagandzista reżymowy. Mimo wszystko, właśnie Klugmanowi przystoi raczej pewien umiar w wypowiedziach publicznych.

Myślę, że nikt rozsądny artykułu „Między Wisłą a Jordanem” nie uważa za artykuł „antyizraelski”. Jest to materiał przeciwko dominacji religii i rabinatu w życiu izraelskim, przeciwko wychowywaniu społeczeństwa w duchu nietolerancji i rasowej niechęci. Na szczęście ani ten rabinat ani ten szowinizm to nie jest cały Izrael, i ze wszystkich artykułów drukowanych w *Kulturze* wynika to bardzo wyraźnie.

Golda Meir powiedziała kiedyś że wierzę, iż nadejdzie czas porozumienia pomiędzy Izraelem a Arabami a nawet pomiędzy Izraelem a Związkiem Sowieckim, natomiast nie przypuszcza aby porozumienie było możliwe pomiędzy nią a Meirem Wilnerem (szefem komunistycznej partii prosowieckiej). Chciałabym to sparafrazować — wierzę, że przyjdzie czas kiedy wewnętrzne stosunki w Izraelu ulegną zmianie jeśli chodzi, na przykład, o dominację rabinatu. Nie wierzę natomiast żeby zmianie uległa mentalność A. Klugmana niezależnie od tego, czy aktualnie służy Ciemnogrodowi polskiemu czy izraelskiemu.

Łączę wyrazy poważania,

Alina GRABOWSKA

Toronto, 30 listopada 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę odpowiedzieć p. A. Wołodkiewiczowi jedynie ze względów zasadniczych. Wolno autorowi nawet najgorszej pracy być niezadowolonym z recenzji, ale na pewno nie upoważnia go to do fałszywej argumentacji. Przykro mi iż muszę powracać do sprawy, którą uznałem za zakończoną. Nie chciałem na różne braki pracy p. Wołodkiewicza zwracać uwagi, ale skoro mnie sprokował to wskażę.

Nikt nie zmuszał go do publikacji jej, a więc skoro nie miał wydawcy ani środków mógł zrezygnować. Praca bibliograficzna musi być idealnie ścisła a jej wartość jest zawsze zamknięta w określonym czasie. Prace takie jak p. Wołodkiewicza ukazały się w 1967 i 1968 roku a więc na dobrą sprawę jego jest zbędna. Czytelnika nie obchodzą kłopoty wydawnicze autora a p. Wołodkiewicz tak naiwnie tłumaczy fałszywą datę roku wydania iż wręcz rozbija.

Nie „wyobrażam sobie” wkładu, ale wiem co to jest. Wkład jest konkretem. Wkład w kulturę to współdziałanie w jej tworzeniu, jeśli więc ktoś napisał książkę, która wchodzi w tę kulturę, namalował obraz, znajdujący się w galerii publicznej, w zbiorach krajowych, rzeźbę, wynalazł coś w jakiejkolwiek dziedzinie naukowej, technicznej, to jest to konkretny wkład w kulturę. Nie jest nim natomiast wykonywanie nawet wysoko specjalistycznej pracy zawodowej.

Naturalnie jest to wręcz niemożliwe w pracy bibliograficznej, jak to również łaskawic wyznaje p. Wołodkiewicz. Wobec tego należy stwierdzić iż tytuł jego pracy „Polish Contribution to Arts and Sciences in Canada” jest błędny.

Skoro p. Wołodkiewicz za olbrzymi swój wyczyn uważa dokonane przez siebie obliczenie ilości osób zatrudnionych na uniwersytetach i w instytutach badawczych tom oczywiście „straszliwy krzywdzieciel”. Tym większy iż bodajże kilkakrotnie, mimochodem, przy różnych okazjach, podobne zestawienia wykonywałem. Winszuję tym wszystkim „poważnym recenzentom” o których wspomina p. Wołodkiewicz. I szlachetnemu poecie w Londynie, który naturalnie „świetnie” orientuje się w problemach Polonii Kanadyjskiej i — zmarłej w międzyczasie — niewątpliwie czcigodnej Pani z Nowego Jorku, która wystąpiła z paniem na łamach *Wiadomości*.

Istotna jest jedna sprawa i nie można dopuścić do jej fałszowania — statystyka. W Kanadzie publikuje się kwartalnie i rocznie dane odnośnie imigracji: *Immigration Statistics Canada*. Jest to oficjalne wydawnictwo wydziału statystycznego Departamentu Imigracji. I tam „jak byk” zestawienie imigrantów za lata 1946-1967 włącznie wynosi: 102.376. Z tego źródła można się dowiedzieć, że obywatelstwo polskie posiadała większa ilość a mianowicie 127.038, a urodzonych w Polsce było jeszcze więcej bo 134.566 imigrantów powojennych przybyłych do 1967 roku włącznie. Starczy. Dziękuję.

Z wyrazami poważania,

Benedykt HEYDENKORN

Szanowny Panie!

Jesteśmy przeżarci kompleksami. Dawniej nie wchodzeniem w drogę dawaliśmy sposobność pańkarzom do wykazywania naszej inności. Dzisiaj sami już o niej mówimy, jak gdyby było się czym chwalić. Jesteśmy inni.

Jeden list antysemity wywołał falę potakiwań i zaprzeczeń, przy czym zastanawiający jest fakt, iż czytelnicy *Kultury*, podkreślający z naciskiem swoje przywiązanie do tego pisma, nie czytali Kołakowskiego, który już w 1956 roku powiedział to, czego Sartre nie dopowiedział w 1957.

Antysemityzm nie jest teorią, z którą można i należy dyskutować. Antysemityzm jest religią głupców i jeśli słyszę czasami człowieczka ze swoim: „Ty parszywy Żydzie!” na ustach, uśmiecham się i z kieszeni wyciągam adres przychodni psychiatrycznej.

To samo zrobiłbym chętnie, gdy czytałem felieton pana Flemminga, który w dowód uznania dla Izraela nazywa się „gojem-syjonistą”. Polska dla tego autora jest gorsza od Izraela, bowiem Polacy *nie chcą* być niepodlegli, a Izraelczycy *chcą*. Pan Flemming oczywiście zapomina, że Polska leży w Środkowej Europie, a Izrael na Bliskim Wschodzie i chętnie bym mu o tym przypomniał za lat powiedzmy dwadzieścia, kiedy Izrael może się nagle znaleźć między Związkiem Sowieckim a Morzem Śródziemnym. Nie muszę chyba panu Flemmingowi przypominać, że filosemityzm jest tą samą formą rasizmu, co antysemityzm i pewnie dlatego nie będę z nim dyskutował o tym, czego naprawdę chcą Izraelczycy i jak wygląda w tym kraju sprawa dobrobytu.

Nie twierdzą, że należy dziwić się naszym kompleksom, wyrosłym (w moim wypadku) na gruncie sześciu milionów trupów, ale wydaje mi się, że w pewnym momencie trupy przestają być podstawą do dyskusji. Nasza historia jest historią tragiczną, ale nie ulega wątpliwości dla mnie fakt, że jej ostatnie rozdziały, pisane już w Izraelu, świadczą przeciwko nam. Dlaczego my, Żydzi polscy (ale nie ci z listu Tuwima) tak łatwo potrafimy w każdym słowie krytyki dostrzec li-tylko antysemityzm autora, a w bezsensownym opisywaniu „prymitywu” narodów arabskich doszukujemy się wyższych ras? Dlaczego pan Pragier miast na pienia jakiegoś autora odpowiedzieć rzeczową krytyką Izraela (bo o nim pisał przecież pan Kowalewski) pisze o przywarach religijnych Żydów w Polsce międzywojennej?

Dlaczego nie usiądźmy sobie kiedyś przy okrągłym stole, antysemitom i filosemitom, Żydzi i Polacy i nie wyjaśnimy sobie, dlaczego pan X jest antysemitą, a pan Y — filosemitą, dlaczego pan Z jest Żydem, a pan X — Polakiem?

Ku rozwadze redakcji kreśli się z należnym szacunkiem,

Jan LAPTER

San Francisco, 10 grudnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Minał rok od chwili opublikowania w Nrze 10/277 *Kultury* artykułu A. Woźnickiego pt. „W poszukiwaniu księdza polonijnego”. Artykuł ten znieślawiał Kongres Polonii Amerykańskiej oraz polskie duchowieństwo na terenie U.S.A.

Moje poprzednie sprostowanie z dnia 22 grudnia 1970 roku wskazujące na nieścisłości, fałszy i brak udokumentowania przez A. Woźnickiego wysuniętych zarzutów, nie zostało przez *Kulturę* opublikowane.

Ze względu na wielką krzywdę moralną, jaką wspomniany artykuł wyrządził, uważam, że pomimo upływu czasu sprawa jest aktualna i proszę o opublikowanie tego listu.

Na zakończenie pragnę podkreślić dziwną działalność A. Woźnickiego, który będąc członkiem oddziału Kongresu w San Francisco i chwając tę



organizację na terenie miejscowym, nie waha się rzucać oskarżeń na tenże Kongres na szpaltach pisma o zasięgu międzynarodowym.

Z poważaniem,

C. SEYFERT

Toronto, 8 grudnia 1971.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę sprostować omyłkę w numerze 7/8 (1971) w rubryce „Wpłaty na Fundusz Kultury”.

Redakcja pokwitowała moją wpłatę w wysokości 550 franków, co odpowiada stu dolarom kanadyjskim. Byłbym niewypowiedzianie rad, gdyby mnie było stać na taką ofiarę. Przesłałem tylko 10 dolarów i choć była to jedenasta z kolei wpłata (a nie trzecia, jak omyłkowo podano), jestem daleko w tyle za hojniejszymi czytelnikami *Kultury*.

Przeglądając ich szczupłą listę w każdym numerze, nasuwają mi się smutne refleksje z obserwacji torontońskiego życia polonijnego.

Spotykam np. „działaczy”, mających na ustach szablonowe patriotyczne frazesy, noszących w klapach marynarek odznaki tzw. „Funduszu Olimpijskiego”.

Reżym warszawski nie szczędzi wydatków na reprezentację sportową. Nie ulega wątpliwości, że każdy wybitniejszy sportowiec znajdzie się w polskiej ekipie, biorącej udział w międzynarodowych zawodach, niezależnie od wpływów gotówkowych spoza kraju. Oczywiście jest bowiem, że sport jest jednym z cennych instrumentów propagandy.

„Fundusz Olimpijski”, inspirowany przez placówki PRL, służy zwiększaniu środków finansowych na polityczną propagandę reżymu poza granicami PRL. Wyciąganie zaś ręki po polonijne dolary popierane jest obłudnym apelem do sentymentu emigracji: Daj — pomożesz w rozstawianiu imienia polskiego w świecie. I dają.

Niedawno wydany przez *Kulturę* „List do Emigranta” nie mógłby się ukazać bez uprzednich ofiar na „Fundusz Kultury”. A jest to krzyk polskich patriotów w kraju błagający emigrację o oparcie, a nie pomoc finansową.

„Fundusz Olimpijski” służy znakomicie wysiłkom reżymowym w wytwarzaniu i pogłębianiu rozdziału między Polakami w świecie, a Polakami w kraju. Dorzuca jedną więcej cegiełkę do podmurowania ukutej przez niektórych działaczy Polonii torontońskiej tezy:

„Jesteśmy Kanadyjczykami polskiego pochodzenia. Skoro nasz rząd uznaje rząd PRL, nie mamy powodu dla zajmowania innego stanowiska”. Nie dociera do ich świadomości, że uznanie faktu istnienia nie oznacza konieczności ani celowości popierania. Zwłaszcza wbrew uczuciom i interesom znakomitej większości narodu.

Nikomu widocznie z entuzjastów przerożnych „Funduszy Olimpijskich” nie przychodzi na myśl, że rzucają kamienie pod nogi tym właśnie patriotom, którzy dążą do istotnych zmian, do wolności, patriotom marksistom i nie-marksistom.

Łączę wyrazy poważania,

Z. SZPIKOWSKI

Monmouth, w listopadzie 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie jestem zwolennikiem sprostowań w listach do Redakcji, odnoszących się do spraw o których czytelnicy dawno mieli czas zapomnieć. Nie

chciałbym jednak ażeby ciekawy artykuł M. Brońskiego „Nić czarna” w listopadowym numerze *Kultury* o powieściach Piotra Guzego pozostawił błędne wrażenie, że nie doceniam tego pisarza, gdy w rzeczywistości zaliczam obie jego powieści do najwybitniejszych osiągnięć współczesnej literatury powieściowej — zarówno w treści, jak i w formie.

Broński pisze: „Trudno mi zgodzić się z krytyką Wita Tarnawskiego, który w *Wiadomościach* zarzucił Guzemu niekonsekwencje i przerwy w prowadzeniu strumienia świadomości”. To stwierdzenie, jak każde stwierdzenie nie obejmujące całości obrazu, może w oczach Czytelników, którzy nie czytali mego artykułu, przybrać sens przeciwny temu, jaki w artykułach wyraziłem.

Sądzę że dla uniknięcia nieporozumień powinienem uzupełnić sąd Brońskiego tym, czego w nim zabrakło. Artykuł mój nosił tytuł „Blaski i cienie nurtu świadomości”, a jego zasadniczym tematem były nie powieści Guzego, o których mówiłem tylko przykładowo, lecz samo zagadnienie „nurtu świadomości” i jego słabych stron jako literackiej metody, zresztą nie bez podkreślenia zalet.

Mój stosunek do powieści Guzego określiłem wyraźnie na samym początku artykułu: „Piotr Guzy zastosował technikę nurtu świadomości w dwu swoich powieściach: „Krótkim żywocie bohatera pozytywnego” i „Stanie wyjątkowym” z uderzającym powodzeniem. Niemniej nawet w świetnym zastosowaniu Guzego widzę nadal nieprzezwyciężone braki samej metody. Dla mnie powieści Guzego, właśnie dlatego że są tak wybitne, są jakby szkolnym przykładem zasadniczej ułomności *stream of consciousness* jako generalnego środka przekazu życia w utworach sztuki powieściowej”.

Z powyższego wynika, jasno że moja krytyka odnosiła się nie tyle do osiągnięć Guzego, ile do samej zasady „nurtu świadomości”. Zazaczyłem tam chyba dość wyraźnie, że Guzy wyszedł w swoich utworach znacznie obronniejszą ręką z zacześnień tej metody aniżeli większość jej zwolenników.

Do Brońskiego nie mam oczywiście pretensji, że w czysto marginesowej uwadze swego artykułu nie przedstawił mego sądu w całości i mimowoli go przez to wypaczył. Nie byłbym się też o to upominał. Uważam jednak że winien byłbym wielkiemu talentowi Guzego niniejsze sprostowanie.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Wit TARNAWSKI

#### ODPOWIEDZI REDAKCJI:

K. Luksemburg: — Niestety przesyłanej rozprawy nie zamieścimy. Jej objętość przekracza możliwości miesięcznika, ponadto zaś poruszana przez Pana tematyka była wielokrotnie omawiana na łamach *Kultury*.

Władysława Mroczkowska (Chicago), p.W. (Aarhus), „Grupa Uchodźców w Göteborgu”, „Sztokholmianin”, Leon Holzer (Melbourne), M. Fridman, (East Malvern, Australia): — Nie zamieścimy z powodów, które podaliśmy przy analogicznych listach w numerze grudniowym.

Czesław Berezowski (Melbourne): — Dziękujemy za miłe słowa o Juliuszu Mieroszewskim. Nie sądzimy, aby naszym zadaniem było wyszukiwanie jasnych stron w PRL. Tym zajmuje się — i to natrętnie — propaganda warszawska. Naszym zadaniem jest zwracanie uwagi na anomalie i walka z nimi.

Musimy jedynie pilnować, aby nasze informacje były ścisłe. Że jednak nasze oceny są zbliżone do rzeczywistości — świadczą o tym zarówno wydarzenia na Wybrzeżu, jak i procesy polityczne.

Fr. Skowryra (Astoria, N.Y., USA): — Przykro nam, że nasze argumenty Pana nie przekonały. Nigdy nie pretendowaliśmy do nieomyślności, ale trudno nam przyznawać się do błędów do których się nie poczuwamy. Czy nie lepiej byłoby stwierdzić, że po prostu mamy inne poglądy i inne oceny?

Pana krytykę ludzi z ostatniej emigracji *piszących w „Kulturze”* uważamy za niesprawiedliwą i krzywdzącą. W konkretnych wypadkach argumenty mogą być tylko konkretne fakty.

## “POLONIA”

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO  
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 1<sup>er</sup> Trimestre 1972.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg .....	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25 .....	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000 .....	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23 .....	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523 .....	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 34 Facer Str., St. Catharines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301. Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491 .....	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 .....	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ...	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 .....	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm .....	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; W. Dziarczykowska, 2402 Chermoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Gallinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R. J. Sas-Babczynski, 15517 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165 .....	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. ....	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.  
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,  
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

### BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 211 — WITOLD GOMBROWICZ

## DZIENNIK (II)

1957 - 1961

(TOM VII „DZIEŁ ZEBRANYCH”)

Str. 256.

Cena F. 25 (dol. 5,00; £ 2.00)



TOM 213 — WITOLD GOMBROWICZ

## DZIENNIK (III)

(1961 - 1966)

(TOM VIII „DZIEŁ ZEBRANYCH”)

Str. 224.

Cena F. 22 (dol. 4,50; £ 1.75)



TOM 214 — SERIA „DOKUMENTY”

ZESZYT 38

## REWOLTA SZCZECIŃSKA I JEJ ZNACZENIE

Opracowała EWA WACOWSKA

Tom zawiera pełny tekst 9-ciogodzinnego spotkania Edwarda Gierka z załogą stoczni im. A. Warskiego w Szczecinie w styczniu 1971 roku, opatrzone komentarzami, oraz liczne aneksy.

Str. 256.

Cena F. 25 (dol. 5,50; £ 1.75)



TOM 215 — CZESŁAW MIŁOŚZ

## PRYWATNE OBOWIĄZKI

Retrospektywny wybór tekstów wybitnego poety i eseisty.  
Wybór jest poprzedzony zasadniczym wstępem Autora.

Str. 256.

Cena F. 25 (dol. 5,50; £ 1.75)

**Cena 11,00 F**